

Ingeborg Bachmann

Malina

przełożył

Sławomir Błaut

Wydawnictwo a5

Ingeborg Bachmann, Malina

© Suhrkamp Verlag Berlin 2010

All rights reserved

© Polski przekład Wydawnictwo a5 2010

Osoby

Ivan urodzony w 1935 na Węgrzech, w Pecs (dawniej Fiinfkirchen). Od kilku lat mieszka w Wiedniu i regularnie oddaje się pracy w gmachu, który stoi przy Karntnerring. Aby nie stwarzać Ivanowi teraz i na przyszłość zbędnych komplikacji, powiedzmy, że jest to instytut spraw niezwykle potrzebnych, ponieważ zajmuje się pieniędzmi. Nie jest to bank kredytowy.

Bela,

Andras dzieci, 7 i 5 lat

Malina wiek, z wyglądu, nieokreślony, dzisiaj skończył czterdziestkę, autor „Apokryfu”, który jest już nie do nabycia w księgarniach i którego parę egzemplarzy

5
sprzedano w końcu lat pięćdziesiątych. Dla niepoznaki urzędnik państwowy kategorii A, zatrudniony w Austriackim Muzeum Wojska, gdzie ukończone studia w zakresie historii (kierunek główny) i historii sztuki (kierunek poboczny) pozwoliły mu znaleźć posadę i zająć dogodną pozycję, dzięki której posuwa się naprzód, nie ruszając się, nie zwracając na siebie uwagi wtrącaniem się, ambicją, żądaniem czy nielojalnymi pomysłami udoskonalania procedury i pisemnych kontaktów między Ministerstwem Obrony przy Franz-Josefs-Kai a Muzeum w Arsenale, które, nie rzucając się specjalnie w oczy, należy do najosobliwszych instytucji naszego miasta.

paszport austriacki, wystawiony przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych. Uwierzytelnione świadectwo obywatelstwa. Oczy piw., włosy bl., urodzona w Klagenfurcie, następują daty i zawód, dwukrotnie przekreślony i wypisany na nowo, adresy, trzykrotnie przekreślone, a powyżej można przeczytać starannym pismem: zamieszkała Ungargasse 6, Wiedeń III.

Czas dzisiaj
Miejsce Wiedeń

Tylko nad podaniem czasu musiałam zastanawiać się długo, bo nie potrafię niemal powiedzieć „dzisiaj”, chociaż „dzisiaj” mówi się codziennie, ba, musi się mówić, ale kiedy ludzie na przykład zwierają mi się, jakie mają plany na dzisiaj - nie wspominając już o jutrze - nie patrzę, jak sądzi

6

się często, wzrokiem roztargnionym, lecz bardzo uważnym, z zakłopotania, tak rozpaczliwy jest mój stosunek do „dzisiaj”, bo przejść przez to „dzisiaj” mogę tylko w panicznym strachu i szalonym pośpiechu, tak samo pisać o nim albo choćby, w owym panicznym strachu, mówić o tym, co się wydarza, bo wszystko, co się napisało o „dzisiaj”, należałoby natychmiast niszczyć, jak drze się prawdziwe listy, gniecie, nie kończy ich, nie wysyła, ponieważ dotyczą „dzisiaj” i ponieważ w żadnym „dzisiaj” nie dojdą już do adresata.

Kto napisał kiedyś straszliwie błagalny list, aby potem go podrzeć i wyrzucić, wie najlepiej, co rozumiem tutaj przez „dzisiaj”. A któż nie zna tej prawie nieczytelnej kartki: „Proszę przyjść, jeśli to w ogóle wchodzi w rachubę, jeśli pan może, chce, jeśli wolno mi pana o to prosić! O piątej w „Cafe Landmann!” Albo tego telegramu: „zadzwoń do mnie natychmiast stop jeszcze dzisiaj”. Albo: „dzisiaj to niemożliwe”.

Bo „dzisiaj” to słowo, które powinno być zastrzeżone tylko dla samobójców, dla wszystkich innych nie ma po prostu sensu, „dzisiaj” to dla nich jedynie określenie dowolnego dnia, właśnie dzisiejszego, zdają sobie sprawę, że znów muszą pracować osiem godzin albo zwolnić się z pracy, pójść tu i tam, kupić coś, przeczytają poranną i wieczorną gazetę, wypiją kawę, zapomną o czymś, umówią się, zadzwonią do kogoś, jest to zatem dzień, w którym musi się coś wydarzyć, lepiej jednak, żeby nie wydarzyło się za wiele. Kiedy ja natomiast mówię „dzisiaj”, mój oddech traci regularność, pojawia się owa arytmia, którą można już stwierdzić na elektrokardiogramie, tylko z zapisu nie wynika, że przyczyną jest moje „dzisiaj”, wciąż nowe, dręczące, ale ja mogę dostarczyć dowodu zakłócenia, zapisanego niepokojnym kodem lekarzy, dowodu czegoś, co poprzedza

7

napad strachu, czyni mnie podatną, stygmatyzuje mnie, dziś jeszcze funkcjonalnie, jak mówią, sądzą oni, znawcy dowodów. Tylko ja obawiam się, że sprawia to „dzisiaj”, które jest zbyt podniecające, zbyt niepohamowane, zbyt przejmujące, i w tym patologicznym podnieceniu „dzisiaj” będzie istniało dla mnie do ostatniej chwili.

Jeśli więc nie tyle przypadkowo, co pod strasznym przymusem osiągnęłam tę jedność czasu, to jedność miejsca za-

wdzięcam łagodnemu przypadkowi, bo nie ja ją znalazłam. W tej dużo bardziej nieprawdopodobnej jedności doszłam do siebie i orientuję się w niej, och, jeszcze jak, bo miejscem jest w zasadzie Wiedeń, w tym nie ma jeszcze nic dziwnego, ale właściwie miejscem jest tylko jedna ulica, a raczej mały kawałek Ungargasse, co wynika stąd, że mieszkamy tam wszyscy troje, Ivan, Malina i ja. Patrząc na świat z III dzielnicy, mając tak ograniczoną perspektywę, jest się naturalnie skłonny do wyróżniania Ungargasse, doszukiwania się w niej czegoś, wychwalania i przypisywania jej pewnego znaczenia. Można by powiedzieć, że to szczególna ulica, ponieważ zaczyna się w niemal cichym, przyjemnym miejscu przy Heumarkt i stąd, gdzie mieszkam, widać Park Miejski, ale także groźną Wielką Halę Targową i Główny Urząd Celny. Jeszcze jesteśmy między godnymi, zamkniętymi w sobie kamienicami i dopiero niedaleko za domem Ivana, z numerem 9 i dwoma lwami z brązu przy bramie, ulica staje się bardziej niespokojna, bezładna i bezplanowa, chociaż zbliża się do dzielnicy dyplomatycznej, pozostawiając ją jednak po prawej i ujawniając niewielkie powinowactwo z tą - jak się mówi potocznie - „wielkopańską dzielnicą” Wiednia. Małe kawiarenki i liczne stare gospody czynią tę ulicę użyteczną, idziemy „Pod Starego Halerza”, po drodze mamy przydat-

8
ny garaż, Automag, bardzo przydatną „Nową Aptekę”, trafikę na wysokości Neulinggasse, a nie zapominajmy też o dobrej piekarni na rogu Beatrixgasse i, na szczęście, o Miinzgasse, na której możemy zaparkować nasze samochody, nawet jeśli nigdzie indziej nie ma już miejsca. Tu i ówdzie, choćby na wysokości Consolato Italiano z Instituto Italiano di Cultura, nie można jej odmówić pewnej urody, której przecież nie ma za wiele, bo najpóźniej na widok nadjeżdżającego tramwaju linii 0 lub ponurego garażu ambulansów pocztowych, na którym dwie tablice, nie rozwodząc się, stwierdzają krótko: „Cesarz Franciszek Józef I - 1850” oraz „Kancelaria i warsztaty”, puszcza się w niepamięć jej nobilitacyjne wysiłki, a ona przypomina swą odległą młodość, starą Hungargasse, przy której przyjeżdżający z Węgier kupcy, handlarze koni, wołów i siana mieli swoje oberże, zajazdy, i oto biegnie już tylko, jak głosi urzędowy dokument, „dużym łukiem w kierunku miasta”. Zataczając ów duży łuk, którym jadę niekiedy z Rennweg, zwraca moją uwagę coraz to nowymi szczegółami, rażącymi nowościami, sklepami, które noszą nazwę „Mieszkać lepiej”, lecz są dla mnie ważniejsze od wszystkich triumfujących nad nimi placów i ulic miasta. Nie sposób nazwać jej nieznaną, bo już się ją zna, ale cudzoziemiec nigdy jej nie zobaczy, ponieważ nie ma na niej nic do oglądania i można tu tylko mieszkać. Turysta zawróciłby na Schwarzenbergplatz albo najpóźniej na Rennweg, koło Belwederu, z którym łączy nas jedynie za-

szczytne miano „III dzielnicy”, cudzoziemiec mógłby może zbliżyć się z drugiej strony, od Towarzystwa Łyżwiarskiego, jeśli mieszka w nowym kamiennym pudle, w hotelu „Vienna Intercontinental”, i spacerując po Parku Miejskim zapuści się zbyt daleko. Ale do tego Parku Miejskiego, ponad którym wapiennie biały pierrot zanucił mi kiksującym głosem:

9

To />#<:/> - «/'<? dawny bas
ni czas”

chodzimy najwyżej dziesięć razy do roku, ponieważ można tam dojść w pięć minut; a Ivan, który z zasady nie przemusza się piechotą, mimo moich próśb, pochlebstw, zna go tylko z okna samochodu, bo park jest po prostu za blisko; żeby zaczerpnąć powietrza i zrobić dzieciom przyjemność, jeździmy do Lasu Wiedeńskiego, na Kahlenberg, do zamków Laxenburg i Mayerling, do Petronell i Carnuntum w Burgenlandzie. Do tego Parku Miejskiego, do którego nie musielibyśmy jeździć, mamy stosunek powściągliwy i oschły, a ja nie pamiętam już nic z owego baśni czasu. Niekiedy jeszcze spostrzegam przygnębiona krzak magnolii z pierwszymi kwiatami, ale nie można za każdym razem robić z tego sensacji; i jeśli, jak dziś, znów mówię odruchowo do Maliny, ach, te magnolie w Parku Miejskim, widziałeś? to on, ponieważ jest uprzejmy, odpowie mi i kiwnie głową, ale zdanie o magnoliach zna już na pamięć.

W Wiedniu, czego nie trudno się domyślić, są dużo piękniejsze ulice, ale znajdują się w innych dzielnicach i spotyka je los zbyt pięknych kobiet, na które patrzy się od razu z należnym podziwem, ani przez chwilę nie myśląc o tym, żeby nawiązać z nimi bliższy kontakt. Nikt jeszcze nie twierdził, że Ungargasse jest piękna albo że skrzyżowanie Invalidenstrasse z Ungargasse oczarowało go lub odebrało mu mowę. Toteż i ja nie chcę o mojej, naszej ulicy wygłaszać nieuzasadnionych twierdzeń, powinnam raczej w sobie Pięciolinia z utworu Arnolda Schonberga „Pierrot Lunaire” z 1912 roku. Muzyka do słów Alberta Girauda.

10

samej poszukać więzi z Ungargasse, ponieważ tylko we mnie zatacza ona łuk, do numerów 9 i 6, powinnam zadać sobie pytanie, dlaczego zawsze pozostaję w jej polu magnetycznym, czy to idąc przez Freyung, czy robiąc zakupy przy Graben, podążając do Biblioteki Narodowej, stojąc na Lobkowitzplatz i myśląc: tutaj, właśnie tutaj trzeba by mieszkać! Albo Am Hof! Nawet marudząc w śródmieściu i udając, że nie chcę iść do domu, siadając na godzinę w kawiarni i przeglądając gazety, ponieważ skrycie chciałabym już być w drodze i z powrotem u siebie, a kiedy skręcam w moją dzielnicę, z Beatrixgasse, przy której dawniej

mieszkałam, albo z Heumarkt, wtedy jest inaczej niż z chorobliwym uczuleniem na czas, choć czas zbiega się nagle z miejscem, ale za Heumarkt wzrasta mi ciśnienie, a jednocześnie ustępuje napięcie, skurcz, który chwyta mnie w obcych stronach, i chociaż idę szybciej, staję się wreszcie całkiem spokojna i uskrzydłona szczęściem. Nigdzie nie czuję się pewniej niż na tym odcinku ulicy, za dnia wbiegam po schodach na górę, w nocy dopadam bramy, już z kluczem w dłoni, i znów przychodzi upragniony moment, kiedy klucz obraca się w zamku, otwiera się brama, otwierają się drzwi, i to uczucie powrotu do domu, które wzbiera we mnie w powodzi ruchu pojazdów i ludzi już w promieniu stu, dwustu metrów, gdzie wszystko zapowiada mi mój dom, a właściwie wcale nie mój dom, lecz naturalnie własność towarzystwa akcyjnego czy jakiejś bandy spekulantów, która ten dom odbudowała, skleciła raczej, ale o tym prawie nic nie wiem, bo w latach odbudowy mieszkałam o dziesięć minut stąd, i przez bardzo długi czas przechodziłam koło numeru 26, będącego dla mnie długo numerem szczęśliwym, zgnębiona i z poczuciem winy, jak pies, kiedy zmieniwszy pana, spotyka starego i nie wie, do kogo powinien być bardziej przywiązany. Ale dzisiaj przechodzę koło Beatrixgasse 26, jakby

11

tam nigdy nic nie było, prawie nic, albo tak, był kiedyś w tym miejscu zapach dawnych czasów, tylko że nie ma już po nim ani śladu.

Mój związek z Maliną przez lata składał się z przykrych spotkań, największych nieporozumień i paru niemądrych urojeń - chcę przez to powiedzieć: dużo większych nieporozumień niż z innymi ludźmi. Niewątpliwie od początku byłam zdana na niego i wcześniej musiałam wiedzieć, że stanie się moim przeznaczeniem, że miejsce Maliny było już przez Malinę zajęte, zanim pojawił się w moim życiu. Zostało mi tylko oszczędzone, a może sama sobie tego oszczędziłam, zbyt szybko związałam się z nim. Bo już na przystanku tramwajów E2 i H2 niewiele kiedyś brakowało, żeby się zaczęło. Stał tam Malina z gazetą w ręce, a ja udawałam, że go nie zauważyłam, i sponad swojej gazety patrzyłam w niego uporczywie i nie mogłam odgadnąć, czy rzeczywiście tak był zatopiony w lekturze, czy też spostrzegł, że wpatruję się w niego, hipnotyzuję, chcę zmusić, żeby spojrzał. Ja miałabym zmusić Malinę! Pomyślałam sobie, że jeśli najpierw przyjedzie E2, to wszystko będzie dobrze, jeśli tylko, na miłość boską, nie przyjedzie najpierw niesympatyczny H2 albo wręcz rzadziej kursujący G2, a potem rzeczywiście nadjechał E2, lecz gdy wskoczyłam do drugiego wozu, Malina zniknął, ale nie w pierwszym wozie, nie w moim, nie został też na przystanku. Mógł tylko nagle wbiec na stację kolei miejskiej, kiedy ja się odwróciłam, nie mógł przecież rozplynąć się w powietrzu. Ponieważ nie znalazłam wytłumacze-

nia, szukałam go, wypatrywałam i nie znałam też przyczyny jego i mojego zachowania, nurtowało mnie to przez cały dzień. Ale to odległa przeszłość, a nie mam dość czasu, żeby dzisiaj o tym mówić. Po latach to samo zdarzyło mi się z nim

12

jeszcze raz, w sali odczytowej w Monachium. Stał raptem obok mnie, ruszył potem parę kroków naprzód, między przepychającymi się studentami, szukał miejsca, cofnął się, a ja, z emocji bliska omdlenia, wysłuchałam półtoragodzinnego odczytu „Sztuka w epoce techniki” i przez cały czas, w tym skazanym na siedzenie bez ruchu i skupienie tłumie, szukałam Maliny. Najpóźniej tego wieczoru zdałam sobie sprawę, że nie chcę mieć nic wspólnego ani ze sztuką, ani z techniką, ani z tą epoką, że nie będę nigdy zajmować się którymkolwiek z publicznie omawianych związków, tematów, problemów, i nabrałam pewności, że chcę Maliny i że wszystko, co chcę wiedzieć, musi przyjść od niego. Na koniec wraz z innymi biłam głośno brawo, dwaj monachijczycy zajęli się mną i pomagali wydostać się z sali, jeden wziął mnie pod rękę, drugi bawił mądrą rozmową, inni zagadywali mnie, a ja patrzyłam w stronę Maliny, który też zdążył ku wyjściu, ale pomału, mogłam więc być szybsza, i zrobiłam rzecz niemożliwą, potrafiłam go, jak gdyby mnie popchnięto, jak gdybym wpadła na niego, i rzeczywiście wpadłam. Nie miał zatem wyjścia, musiał mnie zauważyć, zresztą nie jestem pewna, czy zobaczył mnie naprawdę, ale wtedy po raz pierwszy usłyszałam jego głos, spokojny, nienaganny, na jednym tonie: daruje pani.

Nie znalazłam na to odpowiedzi, bo nikt jeszcze tak się do mnie nie odezwał, i nie byłam pewna, czy prosił mnie o darowanie, czy mi darował, łzy tak prędko napłynęły mi do oczu, że nie mogłam już za nim popatrzeć, tylko, ze względu na innych, patrzyłam w ziemię, wyjęłam chusteczkę z torebki i twierdziłam szeptem, że ktoś mi nadepnął na nogę. Kiedy znów mogłam podnieść wzrok, Malina zniknął w tłumie.

W Wiedniu już go nie szukałam, wyobrażałam sobie, że jest za granicą, i bez nadziei przemierzałam swoją drogę do

13

Parku Miejskiego, bo nie miałam jeszcze samochodu. Pewnego dnia przeczytałam o nim w gazecie, ale w artykule nie chodziło o niego, lecz przede wszystkim o pogrzeb Marii Maliny, najokazalszy, największy, w jakim brali udział wieśćnicy, dobrowolnie i naturalnie tylko ze względu na aktorkę. Wśród żałobników znajdował się brat Marii, bardzo utalentowany, młody, znany pisarz, który nie był znany i którego dziennikarze pomogli szybko zdobyć jednodniową sławę. Bo w godzinach, kiedy to ministrowie i dozorczy, krytycy i gimnazjaliści z miejsc stojących podążali długim orszakiem na cmentarz centralny, Marii Malinie nie mógł się

na nic przydać brat, który napisał jedną, nikomu nieznaną książkę i w ogóle był „nikim”. Trzy słowa „młody, utalentowany, znany” były konieczne do jego obłóczyn w ten dzień narodowej żałoby.

O tym trzecim, niepociągającym zetknięciu za pośrednictwem gazety, które znów miało ten jednostronny charakter, nie mówiliśmy nigdy, jak gdyby nie dotyczyło go w niczym, a tym bardziej mnie. Bo w tym straconym czasie, kiedy nie mogliśmy nawet wypytywać się nawzajem o nasze imiona, a cóż dopiero o nasze życie, nazywałam go w myślach „Eugeniuszem”, gdyż „Księżę Eugeniusz, dzielny rycerz” był pierwszą piosenką, której musiałam się nauczyć, i tym samym pierwszym imieniem męskim, imię od razu bardzo mi się spodobało, także miasto „Belgrad”, którego egzotyka i znaczenie uleciały dopiero, gdy okazało się, że Malina nie pochodzi z Belgradu, tylko z nad jugosłowiańskiej granicy, jak ja, i nieraz mówiliśmy sobie coś po słoweńsku lub w dialekcie z pogranicza, jak w pierwszych dniach: Jaz in ti. In ti in jaz. Nie odczuwamy zresztą potrzeby mówienia o naszych pierwszych dobrych dniach, ponieważ dni stają się coraz lepsze, i śmiać mi się chce z czasów, kiedy to byłam wściekła na Malinę, że tak długo pozwalał mi się mar-

14
nować z innymi i z innym, skazywałam go za to na wygnanie z Belgradu, pozbawiałam imienia, przypisywałam mu ciemne sprawki, czyniłam go hochsztaplerem, to filistrem, to szpiegiem, a jeśli byłam w lepszym humorze, usuwałam go z rzeczywistości i umieszczałam w kilku baśniach i legendach, nazywałam go Florizellem, Drozdobrodym, najchętniej jednak pozwalałam mu być świętym Jerzym, który zabił smoka, ażeby mógł powstać Klagenfurt, z wielkiego bagna, na którym nic nie rosło, ażeby mogło z niego powstać moje pierwsze miasto, i po wielu próżnych igraszkach wracałam zniechęcona do jedynie słusznego przypuszczenia, że Malina w istocie przebywa w Wiedniu i że ja w tym mieście, w którym miałam tyle możliwości, żeby go spotkać, stale się z nim mijałam. Zaczęłam wypowiadać się o Malinie, ilekroć była gdzieś o nim mowa, choć nie zdarzało się to często. Jest to obrzydliwe wspomnienie, które dzisiaj już mnie nie boli, ale czułam potrzebę udawania, że i ja go znam, że wiem o nim to i owo, i popisywałam się dowcipem jak inni, kiedy opowiadano komiczną, niecną historię o Malinie i pani Jordan. Dzisiaj wiem, że Maliny nigdy z tą kobietą nic nie „łączyło”, jak tu się mówi, że nawet Martin Renner nie spotykał się z nią potajemnie na Cobenzl, bo przecież była jego siostrą, przede wszystkim jednak nie sposób sobie wyobrazić Maliny w związku z innymi kobietami. Nie można wykluczyć, że Malina znał kobiety przede mną, zna przecież wielu ludzi, więc także i kobiety, ale nie ma to żadnego znaczenia, odkąd jesteśmy razem; nigdy więcej nie przychodzi

mi to na myśl, bo moje podejrzenia i niepokoje związane z Maliną rozwiały się w jego zdziwieniu. Również młoda pani Jordan nie była kobietą, której plotka długo przypisywała słynne zdanie: „Uprawiam odwrotną politykę”, wypowiedziane jakoby w chwili, gdy asystent męża zastał ją na klęczkach przy szorowaniu podłogi, i ona dała wyraz po-
15

gardzie dla swojego męża. Odbyło się to inaczej, w innej historii, i wszystko da się kiedyś sprostować. Z postaci zmyślonych przez plotkę wyłonią się postaci prawdziwe, wyzwolone i wielkie, jak dzisiaj dla mnie Malina, który nie jest już tworem plotek, lecz oswobodzony siedzi przy mnie albo idzie ze mną przez miasto. Na inne sprostowania nie nadszedł jeszcze czas, są one przeznaczone na później. Nie na dzisiaj.

Muszę tylko zadać sobie jeszcze pytanie, od kiedy wszystko między nami ułożyło się tak, jak jest teraz, czym możemy dla siebie nawzajem być, skoro tak jesteśmy do siebie niepodobni, tak różni, i nie jest to kwestia płci, usposobienia, trwałości jego egzystencji i nietrwałości mojej. Nie wątpiłem Malina nie prowadził nigdy tak konwulsyjnego życia jak ja, nigdy nie trwonął czasu na błahostki, nie telefonował to tu, to tam, nie dopuszczał, by go coś zaskoczyło, nie dawał się w nic wplątać, tym bardziej nie stał pół godziny przed lustrem, żeby wpatrywać się w siebie, a potem pędzić gdzieś, zawsze za późno, wyjąkując usprawiedliwienia, popadając w zakłopotanie z powodu czyjegoś pytania lub własnej odpowiedzi. Myślę, że i dziś jeszcze mało mamy wspólnego, jedno toleruje drugie, dziwi się drugiemu, ale moje zdziwienie jest ciekawe (czy Malina w ogóle się dziwi? coraz mniej w to wierzę) i niespokojne, gdyż moja obecność nigdy go nie irytuje, gdyż dostrzega ją, kiedy mu się podoba, nie dostrzega, kiedy nie mamy sobie nic do powiedzenia, jak gdybyśmy nie przechodzili stale obok siebie w mieszkaniu, a jedno mogło nie dojrzeć drugiego, nie słyszeć przy codziennych czynnościach. Wydaje mi się wtedy, że jego spokój wypływa stąd, iż jestem dla niego zbyt nieważnym i zbyt znanym „ja”, jak gdyby on wydzielił mnie z siebie, od-
16

przypadek, zbyt cenne wcielenie, jak gdybym powstała tylko z jego żebra i była od dawna niepotrzebną, ale też nieuniknioną mroczną historią, która towarzyszy jego historii, chce ją uzupełniać, którą on jednak wyodrębnia i oddziela od swojej jasnej historii. Dlatego też jedynie ja mam coś z nim do wyjaśnienia, przede wszystkim samą siebie muszę i mogę tylko przed nim objaśnić. On nie ma nic do wyjaśniania, nie, on nie. Robię porządek w przedpokoju, chciałabym być w pobliżu drzwi, bo on zaraz przyjdzie, klucz obraca się w zamku, cofam się parę kroków, żeby mnie nie uderzył, on zamyka na klucz, jednocześnie i uprzejmie mówimy: dobry

wieczór. A idąc z nim korytarzem, mówię jeszcze coś: Muszę opowiedzieć. Będę opowiadać. Nic mi już nie przeszkadza we wspomnianiu.

Tak, mówi Malina, bez zdziwienia. Wchodzę do bawialni, on idzie dalej, w głąb, bo ostatni pokój jest jego pokojem. Muszę i będę, powtarzam sobie głośno, bo jeśli Malina nie pyta i nie chce nic więcej wiedzieć, to jest to słuszne. Mogę się uspokoić.

Jeśli jednak moje wspomnianie miałoby objąć tylko zwyczajne wspomnienia, to, co dawne, przeżyte, opuszczone, to jeszcze mi daleko, bardzo daleko do umiającego milczeć wspomniania, w którym nic już nie może mi przeszkodzić. Co miałoby mi przeszkodzić, jeśli chodzi na przykład o miasto, w którym się urodziłam, bez konieczności zrozumienia, dlaczego właśnie tam i nie gdzie indziej, ale czy muszę to sobie przypominać? Biura turystyczne udzielają najważniejszych informacji, to i owo nie wchodzi w zakres ich kompetencji, ale i ja nie jestem kompetentna, musiałam jednak dowiedzieć się w tamtejszej szkole, gdzie złączyły się „męska odwaga i wierność kobieca” i gdzie, w naszym hymnie, lśnią „lodowe pola Glockneru”. Najwybitniejszy syn naszego miasta, Thomas Koschat, o którym świadczy

17

Thomas Koschatgasse, jest kompozytorem pieśni „Opuszczony, opuszczony, jakże jestem opuszczony”, w szkole Bismarcka musiałam jeszcze raz uczyć się tabliczki mnożenia, którą już znałam, do szkoły benedyktyńskiej chodziłam na religię, aby potem nie przystąpić do konfirmacji, zawsze po południu, z dziewczynką z innej klasy, bo wszystkie pozostałe, katoliczki, miały religię przed południem, ja mogłam wtedy robić zawsze, co chciałam, młody wikary miał podobno przestrzeloną głowę, stary dziekan był surowy, wąsaty i zadawanie pytań uważał za objaw niedojrzałości. Gimnazjum urszulanek ma teraz drzwi zamknięte na klucz, jeszcze raz nimi potrząsnęłam. W „Cafe Musil” nie dostałam może kawałka tortu po egzaminie wstępnym, ale chciałabym, żebym go dostała, i widzę siebie, jak kraję tort widelczykiem. Może dostałam ten tort dopiero w parę lat później. Na początku promenady nad Wórthersee, niedaleko przystani dla statków, pierwszy raz mnie pocałowano, ale nie widzę już twarzy, która zbliża się do mojej, także imię nieznanego musiał wchłonąć muł jeziora, pamiętam tylko coś o kartkach żywnościowych, które dałam owemu nieznanemu, on jednak nie wrócił już nazajutrz na przystań, bo został zaproszony przez najpiękniejszą kobietę w mieście, która w dużym kapeluszu chodziła po Wienergasse i miała na imię Wanda; raz szłam za nią aż do Waagplatz, bez kapelusza, bez perfum i bez pewnego kroku trzydziestopięcioletniej kobiety. Nieznajomy był może zbiegiem albo chciał wymienić kartki na papierosy i wypalić je z piękną, wysoką kobietą,

tylko że ja miałam już wtedy dziewiętnaście lat, nie sześć, i tornister na plecach, kiedy to się rzeczywiście zdarzyło. Na zbliżeniu widać mały most przez rzekę Glan, nie wieczorny brzeg jeziora, lecz ten skąpany w południowym słońcu most i dwóch małych chłopców, którzy też mieli tornistry na plecach, a starszy, co najmniej dwa lata starszy ode mnie,

18

zawołał: Ej, ty, chodź no tu, coś ci dam! Słowa nie poszły w zapomnienie, tak samo chłopięca twarz, ważne pierwsze wezwanie, moja pierwsza dzika radość, zatrzymanie się, wahanie, pierwszy krok po tym moście ku komuś drugiemu i zaraz potem chłaiście twardej dłoni w twarz: A masz! Było to pierwsze uderzenie w moją twarz i pierwsza świadomość głębokiej satysfakcji tego, który bije. Pierwsze poznanie bólu. Zaciskając dłonie na paskach tornistra i nie płacząc, równym krokiem ktoś, kto kiedyś był mną, podreptał drogą ze szkoły do domu, tym razem nie licząc sztachet w przydrożnym płocie, po raz pierwszy znalazłszy się między ludźmi, czasem więc jednak wie się, kiedy to się zaczęło, jak i gdzie, i jakimi łzami należałoby wówczas płakać.

Było to na moście przez Glan. Nie na promenadzie nad jeziorem.

Podczas gdy niektórzy rodzą się w takie dni jak 1 lipca, kiedy urodziło się od razu czterech bardzo sławnych ludzi, albo 5 maja, kiedy cała ciżba reformatorów świata i geniuszy wydawała swoje pierwsze okrzyki*, ja nigdy nie zdołałam dowiedzieć się, kto popełnił tę nieostrożność, żeby rozpocząć życie w dniu, który dla mnie był pierwszy. Nie znam satysfakcji, jaką daje znalezienie się w jednej godzinie gwiazdnej z Aleksandrem Wielkim, Galileuszem czy Karolem Marksem, i nawet w podróży z Nowego Jorku do Europy, na statku „Rotterdam”, na którym sporządzono listę urodzin wszystkich pasażerów, przypadających na okres żeglugi, w dniu kiedy przyszła kolej na mnie, tylko do mojej kabiny przyniesiono złożoną w wachlarzyk kartę z życzeniami od kapitana, a ja jeszcze do południa miałam nadzieję, że 1 lipca urodzili się m.in. Gottfried Wilhelm Leibniz i Georg Christoph Lichtenberg, George Sand, Hans Werner Henze - kompozytor i przyjaciel Bachmann, zaś 5 maja: Soren Kierkegaard i Karol Marks.

19

wśród wielu setek pasażerów, jak we wszystkie dni poprzednie, jest jeszcze kilku, którzy tego dnia otrzymają tort w prezencie i zostaną zaskoczeni odśpiewaniem „happy birthday to you”. Ale potem okazało się, że jestem jedyna, daremnie rozglądałam się po całej jadalni, nie, nikogo więcej, szybko napoczęłam tort, rozdzieliłam spieszenie między trzy holenderskie stoliki, mówiłam, piłam, mówiłam, że nie znoszę silnej fali, że całą noc nie spałam, pobiegłam z powrotem do kabiny i zamknęłam się na klucz.

Nie było to na moście przez Glan ani na promenadzie

nad jeziorem, ani też nocą na Atlantyku. Płynęłam tylko przez tę noc, pijana, ku ostatniej nocy.

Dopiero później wpadłam na to, że w dniu, który wtedy jeszcze mnie interesował, ktoś przynajmniej umarł*. Nie bacząc na ryzyko wejścia w paradę banalnej astrologii, ponieważ związki wysoko nad naszymi głowami wolno mi sobie wyobrażać, jak tylko zechcę, ponieważ żadna nauka nie może mi patrzeć na palce i trzepnąć po nich, łączę mój początek z pewnym końcem, bo dlaczego ktoś nie miałby zacząć żyć, kiedy gaśnie duch jakiegoś człowieka, ale nazwiska tego człowieka nie wymienię, bo ważniejsze jest, że od razu przypomniało mi się kino na tyłach Karntnerring, w którym przez dwie godziny, pogrążona w kolorach i wielkiej ciemności, po raz pierwszy oglądałam Wenecję, uderzenia wiosł w wodę, za światłami podążała po wodzie muzyka i jej pam-pam pa-pam, które mnie wciągnęło, ku postaciom, parom i ich tanecznym krokom. Tak oto przybyłam do Wenecji, której nigdy nie zobaczę, w wietrzny, dźwięczący wiedeński zimowy dzień. Tę muzykę często później słyszałam, improwizowaną, odmienianą, raz z są-

* Ingeborg Bachmann urodziła się 25 czerwca 1926 roku w Klagenfurcie. 25 czerwca 1822 roku zmarł E.T.A. Hoffmann.

20

siedniego pokoju, gdzie ją rozszarpywano podczas wielogłosowej dyskusji o upadku monarchii, przyszłości socjalizmu, i ktoś zaczął krzyczeć, ponieważ ktoś inny powiedział coś przeciwko egzystencjalizmowi albo strukturalizmowi, złowiłam uchem jeszcze jeden takt, ale w tej chwili muzyka zginęła we wrzasku, a ja bez niej, ponieważ nie chciałam słyszeć nic innego. Często przecież nie chcę słyszeć i często nie mogę patrzeć. Tak jak nie mogłam patrzeć na umierającego konia, który spadł ze skały pod Hermagorem, szłam wprawdzie kilka kilometrów, żeby mu sprowadzić pomoc, ale zostawiłam go małemu pastuszkowi, który też nic nie mógł zrobić, albo jak nie mogłam słuchać Wielkiej Mszy Mozarta i strzałów na wsi w czasie karnawału.

Nie chcę opowiadać, wszystko mi przeszkadza we wspomnianiu. Malina wchodzi do pokoju, szuka opróżnionej do połowy butelki whisky, podaje mi szklanekę, nalewa sobie i mówi: Jeszcze ci przeszkadza. Jeszcze. Przeszkadza ci jednak inne wspomnienie.

Rozdział pierwszy

Szczęśliwa z Ivanem

Znów paliłam i znów piłam, liczyłam papierosy, szklanki, dzisiaj mogę wypalić jeszcze dwa, gdyż od dziś do poniedziałku to są trzy dni, bez Ivana. Po sześćdziesięciu papierosach Ivan będzie jednak z powrotem w Wiedniu, zadzwoni najpierw do zegarynki i sprawdzi zegarek, potem zamówi budzenie w biurze zleceń, które zaraz oddzwoni, potem od razu zaśnie, tak szybko, jak tylko Ivan potrafi,

zbudzi się po telefonie z biura zleceń ze złością, której za każdym razem daje inny wyraz, jękiem, przekleństwami, wybuchami, oskarżeniami. Potem zapomni o całej złości i jednym susem dopadnie łazienki, żeby umyć zęby, potem wziąć prysznic, potem się ogolić. Nastawi tranzystor i będzie słuchał porannych wiadomości. Tu Radio Austriackie program I. Oto wiadomości w skrócie: Waszyngton... Ale Waszyngton, Moskwa i Berlin to tylko wścibskie miejscowości, które mają o sobie wielkie wyobrażenie. W moim kraju przy Ungargasse nikt ich nie bierze poważ-

23

nie, kwitując uśmiechem takie natręctwa jak demonstracje ambitnych parweniuszy, nie uda im się więcej wmieszać w moje życie, z którym wbiegłam w inne, na Landstrasse Hauptstrasse, przed tą kwiaciarnią, której nazwę muszę jeszcze odszukać, i przystanąłam w biegu tylko dlatego, że na wystawie stał bukiet złotogłowiu, czerwony, najczerwieńszy z czerwonych, nigdy takiego nie widziałam, a przed wystawą stał Ivan, więcej nic już nie pamiętam, bo od razu poszłam z Ivanem, najpierw na pocztę przy Rasumofskygasse, gdzie musieliśmy podejść do dwóch różnych okienek, on do „Przekazów pieniężnych”, ja do „Znaczków pocztowych”, i już to pierwsze rozstanie było tak bolesne, że przy wyjściu, na powrót odnajdując Ivana, nie wydobyłam z siebie ani słowa, Ivan nie musiał mnie o nie pytać, bo nie miałam cienia wątpliwości, że pójdę zaraz z nim, do niego, a było to ku mojemu zdumieniu ledwie parę domów ode mnie. Granice zostały rychło ustalone, kraj, który przyszło nam utworzyć, jest przecież maleńki, bez roszczeń terytorialnych i bez odpowiedniej konstytucji, błogi kraj, z dwoma tylko domami, które można znaleźć również w ciemności, przy zaćmieniu słońca i księżyca, i wiem na pamięć, ile kroków muszę zrobić ode mnie na ukos przez ulice do domu Ivana, mogłabym iść z zawiązanymi oczyma. Świat bardziej rozległy, w którym żyłam dotychczas - zawsze w panice, z suchymi ustami, z dławieniem w gardle - został ograniczony do swego błahego znaczenia, ponieważ temu światu przeciwstawia się rzeczywista siła, choćby ta siła, jak dzisiaj, składała się tylko z czekania i palenia, aby nic z niej nie przepadło. Muszę, ostrożnie, bo się splątał, z uniesioną słuchawką dziesięciokrotnie odkręcić sznur telefonu, żeby znów był poręczny, gdy coś się stanie, a potem mogę, zanim się coś stanie, nakręcić ten numer: 72-68-93. Wiem, że nikt nie odpowie, ale nie o to mi chodzi, tylko żeby u Ivana dzwoniło, w zaciem-

24

nionym mieszkaniu, a ponieważ wiem, gdzie stoi jego telefon, dzwonienie powinno stamtąd powiedzieć wszystkiemu, co należy do Ivana: to ja dzwonię. Usłyszy to ciężki głęboki fotel, w którym chętnie siada i nagle zasypia na pięć minut, i szafa, i lampa, pod którą leżymy we dwoje, jego koszule,

ubranie i bielizna, którą rzuca na podłogę, żeby pani Agnes wiedziała, co zanieść do pralni. Odkąd mogę nakręcić ten numer, w moim życiu nic się wreszcie złego nie wydarza, nie wpadam już pod koła, nie borykam się z trudnościami bez wyjścia, nie podążam naprzód i nie zbaczam z drogi, gdyż wstrzymuję oddech, zatrzymuję czas, telefonuję, palę i czekam.

Gdybym przed dwoma laty, z jakiejś tam przyczyny, nie przeprowadziła się na Ungargasse, gdybym nadal mieszkała przy Beatrixgasse, jak w czasach studenckich, albo za granicą, jak tylekroć później, wtedy działałoby się ze mną to czy owo, a ja nie dowiedziałabym się nigdy najważniejszej rzeczy na świecie: że wszystko, co znajduje się w moim zasięgu, telefon, słuchawka i sznur, chleb, masło i piklingi, które trzymam na poniedziałkowy wieczór, ponieważ Ivan je najbardziej lubi, albo kielbasa specjalna, którą ja najbardziej lubię, że wszystko nosi piętno Ivana, znak firmowy Ivana. Także maszyna do pisania i odkurzacz, które dawniej czyniły nieznośny hałas, musiały zostać wykupione i obłaskawione przez tę dobrą i potężną firmę, drzwi samochodów nie zatrząskują się już z łoskotem pod moimi oknami, zniecka pod nadzór Ivana dostała się chyba nawet przyroda, bo ptaki śpiewają z rana ciszej i zezwalają na drugi, krótki sen.

25

Ale od czasu tego objęcia w posiadanie dzieje się jeszcze dużo więcej i wydaje mi się dziwne, że medycyna, która uważa się za naukę, i to czyniącą błyskawiczne postępy, nie wie nic o tym zjawisku: że tutaj, w tym kręgu, w którym przebywam, ból słabnie, między Ungargasse 6 i 9, że mniej jest nieszczęść, że rak i guzy, astma i zawał, gorączka, zakażenia i depresje, nawet ból głowy i wrażliwość na zmianę pogody złagodniały, i zadaję sobie pytanie, czy nie jest moim obowiązkiem poinformowanie uczonych o tym prostym środku, aby wiedza, która sądzi, że potrafi zwalczyć wszelką chorobę coraz bardziej wymyślnymi lekami i kuracjami, mogła uczynić wielki skok naprzód. Tutaj uspokoiła się także rozdygotana nerwowość, opadło wysokie napięcie, które unosi się nad tym miastem i przypuszczalnie wszędzie, a schizotypia, schizoid świata, jego obłądne, rozszerzające się pęknięcie, zamyka się niepostrzeżenie.

Ostatnie ślady nerwowości to już tylko pośpieszne szukanie szpilek do włosów i pończoch, lekkie drżenie przy nakładaniu tuszu do rzęs i manipulowaniu szminkami do powiek, cienkimi pędzelkami do kresek, przy zanurzaniu lekkich kłębków waty w jasnym i ciemnym pudrze. Albo niepowstrzymane wilgotnienie oczu w trakcie biegania tam i z powrotem między łazienką a korytarzem, szukanie torebki, chusteczki, opuchnięcie ust, są to tylko takie drobne zmiany fizjologiczne, lżejszy chód, który podwyższa o centymetr, i lekki ubytek na wadze, ponieważ później nadcho-

dzi popołudnie i biura kończą pracę, a wtedy zaczyna się infiltracja tej partyzantki snów na jawie, która przenika i podburza Ungargasse, nagle opanowuje ją całkowicie swoimi wspaniałymi proklamacjami i jedynym hasłem, którym posługuje się, aby osiągnąć swój cel, a jakże to hasło, które już dziś oznacza przyszłość, mogłoby brzmieć inaczej niż Ivan.

26

Brzmi ono Ivan. Zawsze i wciąż Ivan.

Przeciwko zepsuciu i przyzwoitości, przeciwko życiu i przeciwko śmierci, przeciwko przypadkowemu upływowi, wszystkim tym pogrożkom z radia, wszystkim nagłówkom gazet, z których bierze się zaraza, przeciwko perfidii przenikającej z górnych i dolnych pięter, przeciwko powolnemu zżeraniu od wewnątrz i przeciwko pochłonięciu z zewnątrz, przeciwko obrażonej minie pani Breitner każdego ranka - utrzymuję tę wczesną pozycję wieczorną, czekam i palę, coraz ufniej i pewniej, tak długo i tak pewnie, jak to nie jest dane nikomu, bo ja zwyciężę pod tym znakiem.

Choć Ivan na pewno został stworzony dla mnie, nie mogę rościć sobie do niego wyłącznego prawa. Albowiem pojawił się, aby przywrócić spółgłoskom moc i uchwytność, aby na nowo otworzyć samogłoski, nadać im pełne brzmienie, aby na moich wargach znów pojawiły się słowa, aby wskrzesić pierwsze zniszczone związki i wybawić problemy, więc ja nie odstąpię go ani na krok, będę zestrajać, wpisywać jeden w drugi nasze identyczne, dźwięcznie brzmiące inicjały, którymi podpisujemy nasze małe karteczki, i po zespoleniu naszych imion moglibyśmy ostrożnie zacząć pierwszymi słowami znów oddawać cześć temu światu, ażeby i on zapragnął czci dla siebie, a ponieważ chcemy zmartwychwstania, nie zniszczenia, unikamy dotykania się nawzajem w czyjejs obecności i tylko po kryjomu spoglądamy na siebie, bo Ivan musi najpierw swoimi spojrzeniami zmyć z moich oczu obrazy, które przed jego pojawieniem się padły na siatkówkę, i po wielu oczyszczeniach znów jednak wyłania się ten posepny, straszny obraz, prawie nie do wymazania, a Ivan prędko narzuca mi inny, jasny, żebym nie patrzyła

27

złym wzrokiem, żebym zatraciła to okropne spojrzenie, o którym wiem, skąd się wzięło, ale nie przypominam sobie, nie przypominam...

(Jeszcze nie możesz sobie przypomnieć, jeszcze nie, za dużo ci przeszkadza...)

Ale ponieważ Ivan zaczyna mnie uzdrawiać, nie może już na ziemi być tak całkiem źle.

Ponieważ dzisiaj nikt już nie wie, choć kiedyś wiedzieli wszyscy, dlaczego musi to się odbywać po kryjomu, dlatego zamykam drzwi, opuszczam zasłonę, dlatego sama jedna stoję przed Ivanem, wyjawię tego przyczynę. Chcę,

żeby tak się to odbywało, nie dlatego, by nas ukryć, lecz by przywrócić tabu, i Malina to zrozumiał, nie musiałam mu tłumaczyć, bo nawet gdy moja sypialnia stoi otworem i jestem sama albo gdy on jest całkiem sam w mieszkaniu, przechodzi obok i idzie do swojego pokoju, jak gdyby te drzwi nigdy nie były otwarte, jak gdyby nigdy nie były zamknięte, jak gdyby w ogóle nie było tam żadnego pomieszczenia, aby niczego nie sprofanować, aby pierwszym aktem śmiałości i ostatnim łagodnego oddania nie odbierać szansy. Lina też tu nie sprząta, bo do tego pokoju nie wolno wchodzić nikomu, nie dzieje się nic, co nadawałoby się do wyjawienia, rozstrząsania i analizowania, bo my z Ivanem nie włączymy się nawzajem po ziemi, nie łamiemy kołem, nie torturujemy i nie mordujemy, tylko stajemy przed sobą i ochramiamy to, co do nas należy i jest nie do uchwycenia. Ponieważ Ivan nigdy mnie nie wypytuje, nie okazuje nieufności, nie podejrzewa, moja podejrzliwość maleje. Ponieważ nie przygląda się dwóm przekornym włoskom na brodzie, nie dostrzega też dwóch pierwszych zmarszczek pod oczyma, ponieważ nie przeszkadza mu mój kaszel po 28

pierwszym papierosie, a nawet, gdy chcę powiedzieć coś nierozważnego, on zamyka mi usta dłonią, w innym języku mówię mu wszystko, czego jeszcze nigdy nie mówiłam, skórą i włosami, bo on nigdy nie będzie chciał wiedzieć, co robię w ciągu dnia, co robiłam dawniej, dlaczego wróciłam do domu dopiero o trzeciej nad ranem, dlaczego wczoraj nie miałam czasu, dlaczego dzisiaj telefon był zajęty przez godzinę i z kim teraz przez telefon rozmawiam, bo ilekroć zaczynam zwyczajne zdanie i mówię: Muszę ci to wytłumaczyć, Ivan przerywa mi: Dlaczego, co ty musisz mi tłumaczyć, nic, zupełnie nic, komu ty musisz się tłumaczyć, przecież nie mnie, nikomu, bo to nikogo nie obchodzi...

Ale ja muszę.

Nie potrafisz mnie okłamywać, wiem o tym, wiem dobrze.

Ale tylko dlatego, że nie muszę!

Czemu się śmiejesz? Nie byłby to żaden wstyd, mimo wszystko mogłabyś to robić. Spróbuj, ale nie potrafisz.

Nie muszę.

A ty?

Ja? Musisz o to pytać?

Spróbować mogę, ale czasem nie powiem ci czegoś. Co o tym myślisz?

Zgadzam się. Muszę się zgodzić. Ty nic nie musisz, ty możesz, Ivan.

Podczas gdy my odnajdujemy się tak bez trudu, trwa ta masakra w mieście, nieznośne uwagi, komentarze i strzępy pogłosek krążą w restauracjach, na parties, w mieszkaniach, u Jordanów, Altenwylów, Wantschurów, albo docierają do

wszystkich biedniejszych za pośrednictwem pism ilustrowanych, gazet, kina i książek, w których mówi się o rzeczach w taki sposób, że kuszą i zachęcają do naśladowania, i każdy chce stanąć nago, rozebrać innych do naga, żeby znikła

29

wszelka tajemnica, wyłamana jak zamknięta na klucz szuflada, ale gdzie nie było żadnej tajemnicy, tam nic się nie znajdzie, i bezradność po włamaniach, obnażeniach, lustracjach i inspekcjach wzrasta, nie gorzej żaden krzak ciernisty, nie zapala się choćby najmniejsze światełko, ani w upojeniach, ani w fanatycznym otrzeźwieniu, a prawo świata spoczywa na wszystkich bardziej niezrozumiale niż kiedykolwiek.

Ponieważ oboje z Ivanem opowiadamy sobie tylko to, co dobre, i czasem coś, żeby się wspólnie pośmiać (nie śmiejąc się z nikogo), ponieważ potrafimy uśmiechać się nawet w chwilach załamania, znajdujemy więc sposób, który nam pozwala podnieść się i wrócić do siebie, mam nadzieję, że moglibyśmy wywołać infekcję. Powoli zarazimy naszych sąsiadów, jednego po drugim, wirusem, o którym już wiem, jaką powinien mieć nazwę, i gdyby powstała z tego epidemia, pomogłoby się wszystkim ludziom. Ale wiem też, jak trudno go dostać, jak długo trzeba czekać, nim się dojrzeje do tej infekcji, i jak było mi ciężko i naprawdę beznadziejnie, zanim to się stało!

Ivan patrzy na mnie pytająco, więc musiałam coś powiedzieć, i staram się czym prędzej odwrócić jego uwagę. Znam nazwę wirusa, ale będę się strzec, żeby nie wypowiedzieć jej przy Ivanie.

Co ty tam mamrociesz? Co jest niełatwo dostać?

O jakiej ty chorobie mówisz?

Ależ nie o chorobie, nie mówię o żadnej chorobie, myślę tylko, że są rzeczy, które trudno dostać!

30

Albo rzeczywiście mówię za cicho, albo Ivan nie rozumie, co Malina dawno by zrozumiał, odgadł, pojął, nie potrafi usłyszeć, co myślę ani co mówię, a poza tym nie powiedziała mu ani słowa o wirusie.

Mnóstwo stało mi na przeszkodzie, zgromadziłam więcej substancji obronnych, niż potrzeba człowiekowi, żeby się uodpornić, nieufność, obojętność, nieustraszoność po zbyt wielkich strachach, i nie wiem, jak Ivan sobie z tym poradził, z taką masą oporu, z tą głęboką niedolą, nocami skazanymi na bezsenność, nieustanną nerwowością, uporczywym wyrzekaniem się wszystkiego, ale już w pierwszej chwili, w której Ivan nie tyle spadł z nieba, co, z uśmiechem w oczach, bardzo wysoko i lekko pochylony stanął przede mną na Landstrasse Hauptstrasse, wszystko tamto zostało unicestwione, i tylko za to powinna bym nadać Ivanowi najwyższe odznaczenia, a najwyższe ze wszystkich za to, że od-

krywa mnie na nowo i trafia na mnie, jaką byłam kiedyś, na moje najwcześniejsze warstwy, odsłania moje zasypane „ja”, i będę go czcić za wszystkie jego zdolności, za które jednak, za które? - ponieważ nie sposób jeszcze przewidzieć końca i ponieważ żaden koniec nie powinien nadejść, zaczynam poprzestawać na najprostszej, która polega po prostu na tym, że Ivan znów skłania mnie do śmiechu.

Nareszcie ożywa moje ciało, które wskutek pogardy stało mi się obce, czuję, jak w środku wszystko się odwraca, jak mięśnie uwalniają się od ciągłego skurczu, rozluźnia się ich tkanka gładka i prążkowana, jak oba układy nerwowe równocześnie podlegają konwersji, bo nic nie odbywa się

31

wyraźniej niż ta konwersja, proces naprawy, oczyszczenie, żywy dowód, rzeczywisty, który można by też wymierzyć i oznaczyć z pomocą najnowszych instrumentów metafizyki. Jak to dobrze, że w mig pojęłam, co mną w pierwszej chwili oładnęło, i że dzięki temu natychmiast, bez udawania, bez protestu, poszłam z Ivanem. Nie zwlekałam ani chwili, bo żeby owo dzianie się, o którym z góry nic nie można wiedzieć, nigdy się nie wiedziało, nigdy nie słyszało ani czytało, w ogóle nastąpiło, trzeba maksymalnego przyśpieszenia. Lada drobiazg mógłby je na wstępie zdusić, zdławić, zatrzymać na starcie, tak bowiem czule są początek i powstawanie tej największej siły na świecie, ponieważ świat jest chory i nie chce jej, zdrowej siły, dopuścić. Klakson samochodu mógłby wpaść w pierwsze zdanie, policjant mógłby zapisać źle zaparkowany skuter, wrzaskliwy przechodzień mógłby, zataczając się, wejść między nas, jakiś typ mógłby zasłonić nam widok furgonetką, mój Boże, nie sposób wymyślić wszystkiego, co mogłoby stanąć na przeszkodzie! Mogłabym, słysząc sygnał karetki pogotowia, odwrócić się ku jezdni, zamiast spojrzeć na bukiet złotogłowiu w oknie kwiaciarni, albo ktoś mógłby Ivana poprosić o ogień, i on już by mnie nie zobaczył. Ponieważ tyle na nas czyhało niebezpieczeństw, ponieważ już trzy zdania, w tym miejscu przed wystawą, to byłoby za wiele, prędko odeszliśmy razem z tego gorącego, niebezpiecznego miejsca i zaniechaliśmy wielu spraw. Toteż trzeba nam było długiego czasu, żeby wyjść poza pierwsze, proste, nic niemówiące zdania. Nie wiem nawet, czy dzisiaj dałoby się już powiedzieć, że mówimy ze sobą i potrafimy rozmawiać jak inni ludzie. Ale nam się nie śpieszy. Pozostaje nam jeszcze całe życie, mówi Ivan.

31

Bądź co bądź wypracowaliśmy sobie parę pierwszych grup zdań, niemądrych początków, połówek, końcówek zdań, otoczonych aureolą wzajemnej wyrozumiałości, a większość z nich można dotychczas znaleźć wśród zdań telefonicznych. Ćwiczymy je stale, bo Ivan dzwoni do mnie raz z biura przy Karntnerring i drugi raz późnym popołu-

dniem albo wieczorem z domu.
Halo. Halo?
To ja, któż inny
Tak, naturalnie, wybacz
Co u mnie? A u ciebie?
Nie wiem. Dziś wieczorem?
Źle cię rozumiem
Źle? Co? Może więc ty
Nie słyszę cię dobrze, może ty
Co? Stało się coś?
Nie, nic, może ty jeszcze do mnie później
Naturalnie, lepiej zadzwonię do ciebie później
Miałem co prawda z przyjaciółmi
No, jeśli nie możesz, to
Tego nie powiedziałem, tylko jeśli ty nie
W każdym razie zdzwonimy się później
Dobrze, ale koło szóstej, bo
Dla mnie jednak to będzie za późno
Dla mnie właściwie też, ale
Dzisiaj może to nie ma sensu
Wszedł ktoś?
Nie, tylko panna Jellinek teraz
Ach, nie jesteś już sama
Ale później proszę, proszę na pewno!

33

Każde z nas ma swoich przyjaciół, a poza tym znajomych, tylko bardzo rzadko kogoś, o kim nawzajem wiemy, kto to jest i jak się nazywa. Z przyjaciółmi i znajomymi musimy na przemian chodzić na obiad, choćby na chwilę wpaść z nimi do kawiarni albo zająć się cudzoziemcami, nie wiedząc, co z nimi począć, przeważnie musimy jeszcze czekać na telefon. Raz przynajmniej, ale tylko z woli przypadku, powinno się zdarzyć, że Ivan i ja spotkamy się w mieście, on ze swoimi znajomymi, ja ze swoimi, wtedy wiedziałby chociaż, że mogę wyglądać inaczej, że potrafię się ubrać (w co wątpi), że jestem rozmowna (w co jeszcze bardziej wątpi). Bo w jego obecności milknę, ponieważ najbliższe słowa: dobrze, zaraz, tak, i, ale, potem, ach! są tak naładowane, wypowiedane dla niego nabierają stokrotnego znaczenia, tysiąc razy bardziej wymowne niż zajmujące opowiadania, anegdoty, prowokujące potyczki słowne, z których znają mnie przyjaciele i znajomi, gesty, kaprysy, maniery na pokaz, bo dla Ivana nie mam nic na pokaz, nie robię nic, żeby udawać, i jestem wdzięczna, kiedy wolno mi przyrządzić mu drinka i coś do jedzenia, po kryjomu wyczyścić buty, wywabiać plamy z jego marynarki, a słowa: O, zrobione! znaczą więcej niż marszczenie czoła nad jadłospisem, tryskanie wobec znajomych znakomitym humorem, prowadzenie dyskusji, zbieranie powitań i pożegnań, niż podochocone powroty do domu z przyjaciółmi, jeszcze szklaneczka w barze

„Loosa”, ucałowania z dubeltówki i: do rychłego! Bo jeśli Ivan idzie na obiad do „Sachera”, naturalnie na koszt instytucji i dlatego że musi, to ja na pewno jestem umówiona późnym popołudniem w „Niebieskim Barze” u tegoż „Sachera” i nie spotykamy się, czy chcę to sprowokować, czy temu przeszkodzić, gdyż jestem dzisiaj na kolacji w „Stadtkrugu”, ale Ivan pojechał z cudzoziemcami na Grinzing, jutro muszę paru znajomym pokazać Heiligenstadt i Nussdorf, my-
34

ślę o tym z rozpaczą, a on będzie z jednym panem na obiedzie „Pod Trzema Huzarami”. Dużo osób przyjeżdża do niego z zagranicy, moi znajomi też często stamtąd przyjeżdżają, i to, na przykład, znów nie pozwala nam zobaczyć się dzisiaj, pozostaje nam tylko telefonowanie. I wokół naszej pierwszej grupy zdań telefonicznych skupia się, przy przelotnych spotkaniach, przed rozejściem się do różnych osób, całkiem inna grupa zdań, które dotyczą słowa „przykład”. Ivan mówi, że stale słyszy z moich ust „na przykład”. I żeby wybić mi z głowy zdania przykładowe, sam teraz posługuje się nimi, na przykład nawet w ciągu tej jednej godziny, jaka nam pozostaje do kolacji.

No i co, na przykład, panno Chytrusko? Jak to było, na przykład, kiedy pierwszy raz przyszedłem do twojego mieszkania, na drugi dzień, wtedy wyglądaliśmy, na przykład, bardzo nieufnie.

Ja, na przykład, jeszcze nigdy nie zaczepiłem nieznajomej na ulicy i nigdy przedtem nie przyszłoby mi do głowy, że taka, na przykład, nieznajoma od razu z nieznajomym, co mówisz?

Nie przesadzaj!

Na przykład ciągle nie jest dla mnie jasne, co ty właściwie robisz. Co, na przykład, można przez cały dzień robić w domu, nie ruszając się na krok. Pozwól mi, na przykład, zastanowić się. Nie, tylko nic mi nie opowiadaj.

Proszę, ja ci to bez trudu wyjaśnię!

Ja, na przykład, nie jestem ciekawy, nic mi nie mów, pytam tylko o to i owo, ale ponieważ jestem bezprzykładnie dyskretny, nie oczekuję odpowiedzi.

Ivan, nie tak!

A jak?

35

Jeślibym, na przykład, wróciła dziś wieczorem do domu zmęczona, ale mimo to czekałabym jeszcze na telefon, to co ty, na przykład, Ivan, byś powiedział?

Jak wrócisz, połóż się od razu spać, panno Chytrusko.

I po tym zdaniu Ivan wyszedł.

Ivan, w odróżnieniu od innych mężczyzn, nie znosi, kiedy specjalnie czekam na telefon, poświęcam dla niego mój czas, dostosowuję się do jego wolnych chwil, więc robię to po kryjomu, poddaję się i myślę o jego zasadach, bo prze-

jęłam od niego wiele podstawowych zasad. Lecz dzisiaj jest późno, powinnam była spotkać Ivana po drodze na pocztę piętnaście lat temu. Na naukę nie jest za późno, ale jak krótki będzie czas, w którym będę jeszcze mogła wykorzystać to, czego się nauczę. Zanim jednak dziś, na jego rozkaz, zasnę, dochodzę do wniosku, że wówczas nie potrafiłabym zrozumieć lekcji w całej rozciągłości.

Ponieważ dzwoni, grucha, brzęczy, chwytam za telefon, chcę już powiedzieć „halo”, bo mógłby to być Ivan, ale potem bez słowa odkładam słuchawkę, gdyż dzisiaj nie uzyskałam pozwolenia na ostatnią rozmowę. Dzwoni ponownie, zaraz jednak przestaje, było to ostrożne dzwonienie, może to był Ivan, mógł to być tylko Ivan, a ja nie chcę umierać, jeszcze nie, jeśli to rzeczywiście był Ivan, powinien być ze mnie zadowolony i myśleć, że dawno śpię.

Ale dzisiaj palę, czekam i palę przy telefonie, aż minie północ, podnoszę słuchawkę, Ivan pyta, ja odpowiadam.

36

Tylko wezmę popielniczkę

Chwileczkę, ja też

Ty też zapaliłeś

Aha. Zaraz. Nie, nic z tego

Nie masz zapalek?

Mam ostatnią, nie, spróbuję od świecy

Ty też to słyszysz? Proszę się wyłączyć

Telefon ma swoje kaprysy

Co takiego? Stale ktoś gada. Jakie cyprysy

Powiedziałam: kaprysy, nic ważnego, przez „k”

Nie rozumiem, co ty z tymi cyprysami

Wybacz, to było nieszczęśliwe słowo

Dlaczego nieszczęśliwe, co chcesz przez to powiedzieć?

Nic, tylko jeśli tyle razy powtarza się jedno słowo

Ale nawet kiedy cztery osoby gadają jedna przez drugą, potrafię wyłowić głos Ivana i póki słyszę go i wiem, że on mnie słyszy, póty żyję. Póki telefon, nawet jeśli musimy przerywać, znowu dzwoni, alarmuje, brzęczy, szaleje, czasem o jeden ton za głośno i o parę za cicho, kiedy zatrząskuje się lodówkę, nastawia gramofon lub puszcza wodę do wanny, ale on mimo to woła, a któż wie, co robi telefon i jak nazwać jego wybuchy? póki jednak przynosi mi głos Ivana, czy się rozumiemy, czy prawie nie, czy już wcale, ponieważ wiedeńska sieć telefoniczna psuje się na kilka minut, wszystko jest mi obojętne, także to, co ma mi do powiedzenia, i pełna oczekiwania, na powrót do życia, na śmierć, zaczynam znów od „halo?”. Tylko Ivan o tym nie wie, dzwoni albo nie dzwoni, jednak dzwoni.

37

Jak to ładnie, żeś do mnie

Ładnie, dlaczego ładnie?

Tak po prostu. To ładnie z twojej strony

Ale ja klęczę na podłodze przed telefonem i mam nadzieję, że Malina nigdy nie zaskoczy mnie w tej pozycji, nie powinien zobaczyć, że padam przed telefonem, jak mużulmanin na swoim dywanie, z czołem przyciśniętym do parkietu.

Nie mogłabyś trochę wyraźniej

Muszę coś z tą słuchawką, już dobrze?

A ty, jakie masz plany?

Ja? Ach, nic szczególnego

Moja Mekka i moja Jerozolima! Oto jestem wybrana spośród wszystkich abonentów telefonicznych, oto rozbrzmiewa mój 72-31-44, bo Ivan potrafi już z pamięci znaleźć mnie na każdej tarczy i pewniej znajduje mój numer niż moje włosy, moje usta i moją dłoń.

Ja dziś wieczorem?

Nie, jeśli nie możesz

Owszem, ale tam nie chcę

Uważam jednak, że to jest, daruj

Mówię ci, to nie ma żadnego

Lepiej pójdź, bo zapomniałem

38

Więc zapomniałeś. Więc ty

Wobec tego do jutra, śpij dobrze!

Ivan nie ma więc czasu, słuchawka wydaje się w dotyku zimna jak lód, nie plastik, tylko metal, i podsuwa się do mojej skroni, bo słyszę, jak on odkłada swoją, i chciałabym, żeby ten dźwięk był jak strzał, krótki, szybki, żeby to się skończyło, nie chciałabym, żeby Ivan był taki jak dziś i jak zawsze, chciałabym końca. Odkładam słuchawkę, nie wstaję z klęczek, potem wlokę się do bujaka i biorę książkę ze stołu: „Podróż kosmiczna - dokąd?” Czytam gorączkowo, co za bzdura, przecież zadzwonił, on też chciał, żeby było inaczej, muszę się przyzwyczaić, że tego nie powie, jak i ja nic więcej nie powiem, rozdział się skończył. Księżyc został zdobyty, zbieram listy ze stołu w bawialni, żeby nie drażniły Maliny, czytam je ponownie w gabinecie, kładę na wczorajszych, przekładam teczki, „Bardzo pilne”, „Pilne”, „Zaproszenia”, „Odmowy”, „Załączniki”, „Niezapłacone rachunki”, „Zapłacone rachunki”, „Mieszkanie”, nie mogę jednak znaleźć teczki bez nazwy, która byłaby mi najbardziej potrzebna, odzywa się telefon, na pewno o cały ton za głośno, rozmowa międzymiastowa, krzyczę trochę, z gorączkową uprzejmością, nie wiedząc, co mówię i z kim mam rozmawiać: proszę pani, proszę pani, proszę centralę, przerwano nam, proszę pani! Co to było, Monachium czy Frankfurt? W każdym razie przerwano mi, odkładam słuchawkę, sznur od telefonu znów się zaplątał, mówiąc i zapominając się, sama się w niego zaplątuje, to od rozmów z Ivanem. Nie mogę teraz ze względu na Monachium, czy co to tam było, dziesięć razy odkręcać sznura. Niech sobie będzie splątany.

Pozostaje mi spoglądanie na czarny telefon, przy czytaniu,
39

przed pójściem spać, kiedy stawiam go przy łóżku. Mogłabym go wymienić na niebieski, czerwony czy biały, tylko że już do tego nie dojdzie, bo w moim mieszkaniu nie wolno niczego zmieniać, aby oprócz Ivana, jedynej nowości, nic nie odwracało mojej uwagi, także od czekania, kiedy telefon ani drgnie.

Wiedeń milczy.

Myślę o Ivanie.

Myślę o miłości.

O zastrzykach rzeczywistości.

O ich działaniu, tylko przez parę godzin.

O następnym, silniejszym zastrzyku.

Myślę w ciszy.

Myślę, że jest późno.

To jest nieuleczalne. I jest za późno.

Ale żyję i myślę.

I myślę, że to nie będzie Ivan.

Cokolwiek nadejdzie, będzie to coś innego.

Żyję w Ivanie.

Nie przeżyję Ivana.

W sumie jednak nie ulega wątpliwości, że Ivan i ja znajdujemy niekiedy godzinę, niekiedy nawet cały wieczór, że mamy dla siebie trochę czasu, który upływa inaczej. Każde z nas żyje innym życiem, ale to jeszcze nie wszystko, bo nie opuszcza nas poczucie jedności miejsca, Ivan, który na pewno nigdy się nad tym nie zastanawiał, też nie może jej uniknąć. Dzisiaj jest u mnie, jutro ja będę u niego, a kiedy nie chce mu się tworzyć ze mną zdań, rozkłada swoją albo

40

moją szachownicę, w swoim albo w moim mieszkaniu, i zmusza mnie do gry. Ivan złości się, między jednym a drugim posunięciem wykrzykuje słowa węgierskie, pewnie obelżywe lub kpiące, dotychczas rozumiem zawsze tylko: jaj i je, i wołam nieraz: eljen! Okrzyk z pewnością niestosowny, ale przecież jedyny, jaki znam już od lat.

Rany, co ty wyprawiasz ze swoim gońcem, proszę cię, zastanów się jeszcze nad tym ruchem. Ciągłe nie możesz się połapać, jak ja gram? Kiedy Ivan mówi w dodatku: Istenfaj! albo: az Isten kinjat! przypuszczam, że te wyrażenia należą do grupy jego nieprzetłumaczalnych przekleństw, i tymi domniemanymi przekleństwami naturalnie zbija mnie z tropu. Grasz bez planu, mówi Ivan, nie wprowadzasz swoich figur do gry, twoja dama znów jest nieruchoma.

Muszę się roześmiać, potem znów głowię się nad problemem mojej nieruchomości, a Ivan daje mi znak oczyma. Skapowałeś? Nie, przecież ty nic nie kapujesz. Cóż ty teraz masz w tej swojej głowie, kapustę, kalafior, liście sałaty, same jarzyny. Ach, a teraz bezgłowa, pustogłowa panna chce

odwrócić moją uwagę, znam się na tym, suknia zsunięta z ramienia, ale ja tam nie patrzę, pomyśl o swoim gońcu, nogi już od przeszło półgodziny pokazuje się powyżej kolan, ale tym razem nic ci z tego nie przyjdzie, i ty to nazywasz grą w szachy, moja panno, ze mną jednak tak się nie gra, ach, zaraz zrobimy naszą śmieszna minkę, tego się spodziewałem, straciliśmy gońca, droga panno, dam ci jeszcze jedną radę, uciekaj stąd, idź z E5 na D3, ale na tym kończy się moja galanteria.

Rzucam mu mojego gońca i śmieję się nadal, przecież on gra dużo lepiej ode mnie, najważniejsze, że czasem osiągam z nim w końcu pat.

Ivan pyta, bez związku: Kto to jest Malina?

41

Nie mogę na to odpowiedzieć, gramy dalej w milczeniu i marszcząc czoło, znów robię błąd, Ivan nie trzyma się touche est joue, cofa moją figurę, po czym nie robię już błędu i nasza gra kończy się patem.

Za pat Ivan dostaje swoją dobrze zasłużoną whisky, spogląda na szachownicę z zadowoleniem, ponieważ ja, z jego pomocą, nie przegrałam, chciałby doszukać się czegoś we mnie, ale to nic pilnego. Nie mówi, wciąż jeszcze nie mówi, czego chciałby się doszukać, daje mi tylko do zrozumienia, że nie chce tak szybko dojść do jakiegoś wniosku, zbyt chętnie oddaje się przypuszczeniom, przypuszcza nawet, że mam talent, nie wie, jaki talent, w każdym razie musi to być coś związanego z „powodzeniem”.

Powinno ci się zawsze dobrze powodzić.

Ależ nie mnie, dlaczego właśnie mnie!

Kiedy Ivan przymyka powieki i tylko przez szparki spogląda oczyma, które są takie ciemne, ciepłe i duże, że nawet wtedy widzi mnie dobrze, mówi, że być może miałam talent, by wynaleźć sobie kogoś, kto mi to wszystko popsul.

Co popsul? Moje powodzenie? Jakie powodzenie? Ivan robi groźny ruch ręką, ponieważ powiedziałam coś głupiego, ponieważ nie chcę dopuścić do uleczenia czegoś, chociaż teraz byłoby to uleczalne. Ale z Ivanem nie mogę o tym mówić, ani o tym, dlaczego wzdrygam się przy każdym gwałtownym ruchu, ciągle przecież prawie nie potrafię z nim mówić, tylko nie boję się Ivana, chociaż przytrzymuje mi obie ręce na plecach, obezwładnia mnie. Mimo to oddycham szybciej, a on jeszcze szybciej pyta mnie: Kto ci to zrobił, kto ci nabił głowę takimi głupstwami, co ty masz w głowie prócz tego głupiego strachu, ja cię nie straszę, nic cię nie powinno straszyć, co ty sobie wyobrażasz w tej głowie

42

pełnej sałaty, fasoli i grochu, głupia księżniczko na grochu, ciekaw jestem, nie, nie jestem ciekaw, czyja to zasługa, twoje wzdryganie się, twoje chowanie głowy, twoje potrząsanie głową, twoje odwracanie głowy.

Dużo mamy zdań o głowie, dziesiątki, jak zdań telefonicznych, jak zdań szachowych, jak zdań o całym życiu. Brak nam jeszcze wielu grup zdań, o uczuciach nie mamy jeszcze ani jednego zdania, ponieważ Ivan ani jednego nie wypowiedział, ponieważ ja nie mam odwagi wypowiedzieć pierwszego zdania tego rodzaju, lecz rozmyślam nad tą odległą grupą, której nam brakuje, mimo wszystkich dobrych zdań, na które potrafimy się już zdobyć. Bo kiedy przestajemy mówić i przechodzimy do gestów, które zawsze nam się udają, zaczyna się dla mnie, zamiast uczuć, rytuał, nie pusty przebieg, nie błahe powtórzenie, lecz na nowo spełniona kwintesencja uroczystych formuł, z jedyną modlitwą, do jakiej naprawdę jestem zdolna.

A Ivan, cóż Ivan może o tym wiedzieć? Ale mimo to mówi dzisiaj: Więc to jest twoja religia, więc to jest to. Jego głos ma zmieniony ton, mniej wesoły, wyzbyty zdziwienia. Doszuka się w końcu, co mi jest, bo mamy przecież jeszcze całe życie. Może nie przed sobą, może tylko dzisiaj, ale mamy życie, to nie ulega wątpliwości.

Zanim Ivan odejdzie, siedzimy oboje na łóżku i palimy, znów musi jechać na trzy dni do Paryża, wcale się tym nie przejmuję, mówię od niechcenia: ach tak, ponieważ między jego i moimi skąpymi odezwaniem a tym, co naprawdę chciałabym mu powiedzieć, istnieje próżnia, chciałabym mu

43
powiedzieć wszystko, siedzę jednak tylko tutaj, z przesadną dokładnością gaszę niedopałek w popielniczce i podaję mu ją, jak gdyby to było bardzo ważne, żeby nie strząsał popiołu na moją podłogę.

Nie sposób opowiedzieć Ivanowi czegokolwiek o sobie. Ale ciągnąć tak dalej, nie wprowadzając siebie do gry - dlaczego mówię: gra? dlaczego, u licha, nie jest to moje słowo, to słowo Ivana - też nie sposób. Dokąd dotarłam, to wie Malina, i dopiero dzisiaj znów pochyliłiśmy się nad mapami, nad planami miast, nad słownikami, rzuciliśmy się na słowa, wyszukujemy wszystkie miejsca i słowa i wytwarzamy aurę, jakiej potrzeba, aby żyć, wtedy życie nie ma tyle patosu. Jakże jestem smutna, dlaczego Ivan temu nie zaradzi, dlaczego rzeczywiście gasi papierosa zamiast cisnąć popielniczką o ścianę, strzepnąć popiół na podłogę, dlaczego musi mówić mi o Paryżu zamiast zostać tutaj albo zabrać mnie do Paryża, nie, żebym chciała jechać do Paryża, ale nie chcę stracić mojego kraju przy Ungargasse, pragnę zatrzymać go na zawsze, mój jedyny, mój ponad wszystkim leżący kraj. Mało mówiłam i dużo milczałam, ale wciąż jeszcze gadam za dużo. O wiele za dużo. Mój wspaniały kraj, nie cesarsko-królewski, bez korony św. Stefana i bez korony Świętego Cesarstwa Rzymskiego, mój kraj złączony nową unią, który nie potrzebuje ani potwierdzenia, ani usprawiedliwienia, ale tylko ze znużeniem wysuwam naprzód gońca, którego po

następnym ruchu Ivana muszę jednak cofnąć, lepiej od razu mu powiem, że rezygnuję, że partię uważam za przegraną, ale że chętnie pojechałabym z nim kiedyś do Wenecji albo tego lata nad Wolfgangsee, albo, jeśli on rzeczywiście ma tak mało czasu, na jeden dzień do Durnstein nad Dunajem, ponieważ znam tam stary hotel, i posłużę się winem, ponie-

44

waż Ivan tak lubi wino z Durnstein, ale nigdy nie pojedziemy do tych miejscowości, bo on stale ma za dużo roboty, bo musi jechać do Paryża, bo musi wstać o siódmej rano.

Masz chęć pójść jeszcze do kina? pytam, bo chęcią na kino mogłabym skłonić Ivana, żeby nie szedł jeszcze do domu, otworzyłam gazetę na stronie z programem kin.

„Trzej nadludzie robią porządek”, „Jim z Teksasu”, „Gorące noce w Rio”. Dzisiaj jednak Ivan nie chce już jechać do miasta, zostawia figury szachowe, jednym łykiem opróżnia szklanekę, rusza spiesznie do drzwi, jak zwykle bez pożegnania, może dlatego, że mamy jeszcze przed sobą całe życie.

Przyszywam guzik do szlafroka i spoglądam raz po raz na stertę papieru przed sobą. Panna Jellinek siedzi ze spuszczoną głową przy maszynie i czeka, wkręciła dwa arkusze z kalką, a ja milczę i odgryzam nitkę, podnosi radośnie wzrok, kiedy dzwoni telefon, sięga po słuchawkę, a ja mówię: Proszę powiedzieć, co tylko pani zechce, że mnie nie ma, że musi pani dopiero sprawdzić (ale gdzie panna Jellinek ma sprawdzać, przecież chyba nie w szafie na ubranie czy w kredensie, bo rzadko tam przebywam) - proszę powiedzieć, że zachorowałam, wyjechałam, umarłam. Panna Jellinek robi wrażenie napiętej i uprzejmej, zasłoniła dłonią membranę i szeptem: Ale to zamiejskowa, z Hamburga.

Proszę powiedzieć, co tylko się pani podoba.

Panna Jellinek decyduje się powiedzieć, że nie ma mnie w domu, nie, żałuje, nie wie, odkłada słuchawkę z zadowoleniem. Bądź co bądź było to jakieś urozmaicenie.

A co napiszemy do Recklinghausen, Londynu i Pragi? miałyśmy przecież dzisiaj odpowiedzieć, upomina panna Jellinek, więc zaczynam pędkiem:

45

Wielce Szanowni Panowie,
bardzo dziękuję za list z dnia, itd.

I nagle przychodzi mi na myśl, że płaszcz, który na wiosnę nazywam wiosennym, na jesieni natomiast jesiennym, ma odprutą podszewkę, biegnę do szafy w ścianie, bo kiedyś muszę tę podszewkę przyszyć, grzebię w poszukiwaniu ciemnoniebieskiej nitki, pytam ochoczo: Na czym to stanęłyśmy, co ja powiedziałam? Ach, tak. Ach, proszę napisać, co tylko przyjdzie pani do głowy, że coś stanęło mi na przeszkodzie albo że wyjechałam, albo że będę chora.

Panna Jellinek śmieje się trochę, na pewno więc napisze

o przeszkodzie, bo jest zwolenniczką powściągliwych odmów, które brzmią równie grzecznie, jak neutralnie. Nie należy ludziom dawać powodu do urazy, uważa panna Jellinek, która pyta zawsze o pozwolenie, ilekroć chce pójść do łazienki. Wraca wyperfumowana, ładna, wysoka, szczupła, jest zaręczona z asystentem z polikliniki, i długimi pięknymi palcami wystukuje na maszynie piękne ukłony, tu i ówdzie uprzejme lub serdeczne pozdrowienia.

Panna Jellinek czeka i czeka. Podszewka została przyzysyta i każda z nas wypija łyk herbaty ze swojej filizanki. Żeby pani nie zapomniała - Urania, to też pilne.

Panna Jellinek wie, że może się teraz roześmiać, ponieważ jesteśmy w Wiedniu, który nie budzi w niej respektu jak Londyn, Santa Barbara i Moskwa, pisze list zupełnie sama, chociaż jest on podejrzanie, powiedziałabym: słowo w słowo, podobny do listu do wszystkich uniwersytetów ludowych i stowarzyszeń.

Potem wypływa problem Anglii, a ja przeżuwać resztkę niebieskiej nitki. Wie pani co, na dzisiaj po prostu skończymy i napiszemy tę epistołę w przyszłym tygodniu. Nic mi nie przychodzi do głowy. Panna Jellinek daje mi do zrozumie-

46
nia, że słyszy to zbyt często i że od tego nic się nie zmienia na lepsze, chce koniecznie zacząć, chce spróbować sama.

Dear Miss Freeman:

thank you very much for your letter of august 14th.

Ale teraz musiałabym opowiedzieć pannie Jellinek całą tę bardzo skomplikowaną historię, więc mówię błagalnie: Najrozsądniej byłoby, gdyby napisała pani dwie linijki i wysłała wszystkie cztery listy doktorowi Richterowi, i dorzucam nerwowo, bo lada chwila zadzwoni Ivan: Ależ nie, mówię pani już dziesiąty raz, on się nazywa Wulf, nie Wolf, nie jak wilk z bajki, może pani sprawdzić, nie, numer 45, jestem prawie pewna, więc niech pani sprawdzi, będzie pani miała to z głowy, zaczekamy, aż on odpisze, ta Miss Freeman narobiła okropnego bigosu.

Panna Jellinek też jest tego zdania, uprzęta biurko, a ja przenoszę telefon. W następnej chwili rzeczywiście dzwoni, odczekuję, aż zadzwoni trzy razy, to Ivan.

Czy ta Jellinek już poszła?

Panna Jellinek, bardzo proszę, na co ty sobie pozwalasz?

Niech będzie panna

Za kwadrans?

Tak, to byłoby możliwe

Nie, zaraz kończymy

Tylko whisky, herbata, nie, nic więcej

Czesząc się i wkładając płaszcz, jeszcze kilka razy otwierając torebkę, szukając siatki na zakupy, panna Jellinek przypomina mi, że chciałam sama napisać trzy ważne listy i że nie mamy już znaczków, chce też kupić taśmę Tesa, a ja

przypominam jej, że następnym razem musi koniecznie przepisać nazwiska tych ludzi z luźnych kartek do agendy, wie pani, tych tutaj, bo stale trzeba przechowywać w pamięci jakieś osoby, które powinny znaleźć się w książce adresowej albo w agendzie, ponieważ nie sposób tylu nazwisk zapamiętać.

Życzymy sobie z panną Jellinek pięknej niedzieli, a ja mam nadzieję, że ona nie zacznie jeszcze raz drapować fu-larowego szalika wokół szyi, bo Ivan rzeczywiście może przyjść lada chwila, i słucham z ulgą, jak drzwi zatrząskują się i delikatne a mocne obcasy nowych pantofli zbiegającej w dół panny Jellinek stukają po schodach.

Ponieważ przychodzi Ivan, bardzo prędko jestem gotowa, walają się jeszcze tylko kopie listów, i jeden jedyny raz Ivan pyta, co ja tu takiego robię, a ja mówię: Och, nic, mam tak zmieszana minę, że on nie może powstrzymać się od śmiechu. Nie interesują go listy, tylko niewinny arkusz, na którym jest napisane „Trzej mordercy”, odkłada go z powrotem. Ivan wystrzega się tego, ale dzisiaj pyta, co znaczą te kartki, bo parę arkuszy zostawiłam na krześle. Bierze jeszcze jeden do ręki i czyta ubawiony: „Rodzaje śmierci”. A z innej kartki odczytuje: „Ciemności egipskie”. Czy to twoje pismo, to ty napisałaś? Ponieważ nie odpowiadam, Ivan mówi: To mi się nie podoba, domyślałem się czegoś podobnego, a tych wszystkich książek, które stoją w tym twoim grobowcu, nikt przecież nie chce, dlaczego są tylko takie książki, muszą być i inne, muszą, jak „Exsultate jubilate”, żeby z radości można było wyskoczyć ze skóry, ty też z radości często wyskakujesz ze skóry, dlaczego więc sama tak nie piszesz. Wynosić tę nędzę na targ, jeszcze ją pomnażać w świecie, to przecież obrzydliwe, wszystkie te książki są wstrętne. Cóż to za obsesja z tą ciemnością, wszystko

zawsze jest smutne, a oni jeszcze ten smutek pogłębiają w tych foliach. O, tutaj: „Z domu żałoby”, to mi wystarczy. Tak, ale, mówię onieśmielona.

Żadne ale, mówi Ivan, oni zawsze cierpią od razu za całą ludzkość i jej nieszczęścia, myślą o wojnach i wyobrażają sobie już nowe, ale kiedy pijesz ze mną kawę albo kiedy pijemy wino i gramy w szachy, to gdzie wtedy jest wojna i gdzie głodująca, umierająca ludzkość, i czy wtedy rzeczywiście wszystkiego ci żal, czy też żal ci tylko, że przegrywasz partię albo że ja będę zaraz strasznie głodny, z czego się teraz śmiejesz, czyżby ludzkość miała w tej chwili dużo powodów do śmiechu? Ale przecież ja się nie śmieję, mówię, mimo to muszę się roześmiać, niech sobie nieszczęścia dzieją się gdzie indziej, bo tu nie ma nieszczęścia, skoro Ivan siada ze mną do obiadu. Mogę tylko myśleć o soli, której nie ma jeszcze na stole, i o maśle, którego zapomniałam

w kuchni, i nie mówię tego głośno, ale postanawiam, że znajdę dla Ivana piękną książkę, bo Ivan ma nadzieję, że nie napiszę o trzech mordercach i nie pomnożę cierpienia, już go nawet nie słucham.

W mojej głowie zaczyna się chaos słów, potem świecenie, migocze już parę zgłosek, ze wszystkich szkatulek wylatują kolorowe przecinki, a kropki, które były kiedyś czarne, unoszą się rozdmuchane do rozmiaru balonów na oponie mózgowej, bo w książce, która jest wspaniała i którą zatem zaczynam odnajdywać, wszystko będzie w stylu „Exsultate jubilate”. Jeśli ta książka powstanie, a któregoś dnia będzie musiała powstać, to człowiek z radości rzuci się na ziemię, tylko dlatego, że przeczytał z niej jedną stronę, wywinie koziołka w powietrzu, poczuje się wyzwolony, będzie czytał dalej i gryzł palce, żeby nie krzyknąć z radości, okaże się to

49
prawie nie do wytrzymania, a siedząc na parapecie i czytając dalej, będzie rzucał confetti na ulicę, żeby ludzie zatrzymywali się zdumieni, jak gdyby trafili na karnawał, będzie rzucał jabłka i orzechy, daktyle i figi, jak gdyby to było św. Mikołaja, wychyli się z okna, nie doznając zawrotu głowy, i krzyknie: Słuchajcie tylko, słuchajcie! patrzcie tylko, patrzcie! przeczytałem coś cudownego, mogę to i wam odczytać, chodźcie bliżej wszyscy, to zbyt cudowne!

A ludzie zaczną się zatrzymywać i słuchać uważnie, będzie się ich zbierało coraz więcej, pan Breitner ukloni się dla odmiany, nie będzie musiał już udowadniać kulami, że jest jedynym kaleką, gruba śpiewaczka, która tylko nocą odważa się wyjść z domu i odjeżdża lub zajeżdża taksówkami, schudnie trochę, w jednej chwili straci pięćdziesiąt kilogramów, pojawi się na klatce schodowej, teatralnym krokiem, bez zadyszki, wejdzie na półpiętro, gdzie zacznie koloraturą, głosem odmłodzonym o dwadzieścia lat: cari amici, teneri compagni! i nikt nie powie protekcyjnie, słyszeliśmy to już w lepszym wydaniu Schwarzkopf i Callas, z klatki schodowej znikną też słowa „tłusta kwoka”, ludzie z trzeciego piętra zostaną zrehabilitowani, intryga spełźnie na niczym. Tyle sprawi radość, że w końcu pojawiła się na ziemi wspaniała książka, więc zabieram się do pracy i szukam jej pierwszych stron dla Ivana, robię tajemniczą minę, bo ma to być dla niego niespodzianka. Ale Ivan tłumaczy sobie jeszcze na opak moją tajemniczość i mówi dalej: Masz takie wypieki, co ci jest, czemu śmiejesz się tak głupio? Ja przecież zapytałem tylko, czy mogę dostać jeszcze trochę lodu do whisky.

Kiedy oboje z Ivanem milczymy, ponieważ nie ma o czym mówić, kiedy więc nie rozmawiamy, wcale nie zapa-

50
da milczenie, przeciwnie, spostrzegam wtedy, że otacza nas wiele rzeczy, że wszystko wokół nas żyje, zwraca na siebie

uwagę, nie narzucając się, całe miasto oddycha i wiruje, toteż ani Ivan, ani ja nie odczuwamy niepokoju, gdyż nie jesteśmy oddzieleni i zamknięci w sobie niby monady, nie jesteśmy pozbawieni kontaktu i pochłonięci czymś bolesnym. My również stanowimy możliwą do przyjęcia część świata, dwoje ludzi, którzy leniwie lub spiesznie idą chodnikiem, stąpają po pasach zebry, a chociaż nie mówimy nic, nie porozumiewamy się wprost, Ivan w porę chwyci mnie za rękaw i przytrzyma, żebym nie wpadła pod samochód czy tramwaj. Zawsze podbiegam za nim trochę, ponieważ on jest o tyle wyższy i kiedy robi jeden krok, ja muszę zrobić dwa, ale staram się, ze względu na łączność ze światem, nie zostawać za bardzo w tyle, iść równo z nim, i w ten sposób dochodzimy do Bellarii albo do Mariahilfer Strasse, albo do Schottenring, kiedy mamy coś do załatwienia. W ostatniej minucie spostrzeżlibyśmy, gdyby jedno miało utracić drugie, bo nigdy nie potrafilibyśmy, jak inni, prowokować się wzajemnie, rozchodzić się, trwać w uporze, wyrzekać się siebie czy odtrącać. Myślimy tylko, że przed szóstą musimy być w biurze podróży, że licznik na parkingu mógłby przekroczyć ustalony limit, że wobec tego należałoby teraz biec z powrotem do samochodu, a potem jechać do domu na Ungargasse, gdzie mijają wszelkie możliwe niebezpieczeństwa, w jakich może się znaleźć dwoje ludzi. Mogę nawet zostawić Ivana przy bramie numer 9, nie musi iść aż pod 6, skoro jest taki zmęczony, i przyrzekam, że za godzinę zadzwonię, zbudzę go, chociaż zwymyśla mnie przez telefon, będzie jęczał i kłął, ponieważ nie może spóźnić się na kolację. Dzwonił bowiem Lajos, który zadzwonił też raz do mnie, pytając o Ivana, a ja odpowiedziałam głosem sekretarki, uprzejmie, chłodno, że niestety nie wiem, niech pan

51

będzie łaskaw do niego zadzwonić, a potem muszę zwalczyć pytanie: Gdzie jest Ivan, skoro nie ma go ani w domu, ani u mnie, a szuka go niejaki Lajos? Nie wiem, nic niestety nie wiem, naturalnie widuję go co jakiś czas, przypadkiem szłam dziś z nim przez miasto, przypadkiem wróciłam jego samochodem do III dzielnicy, więc z dawniejszego życia Ivana wywodzi się mężczyzna, który nazywa się Lajos, i zachowuje się jak dobry znajomy, ma nawet mój numer telefonu, do tychczas z życia Ivana znam tylko imiona Beli i Andrasa i matkę, którą nazywa swoją matką, a mówiąc o tych trojgu, zawsze wspomina pośpiesznie, nie wymieniając ulicy, że musi wpaść na Hohe Warte, zdarza się to często, tylko o żonie nic nie słyszę, nigdy ani słowa o matce tych dzieci, których babcią jest przecież matka Ivana, ale wyobrażam sobie matkę Beli i Andrasa, pozostałą w Budapeszcie, II. Bimbó Ot 65, albo w Gódólló, w starej letniskowej willi. Czasem widzę ją oczami wyobraźni martwą, zastrzeloną, wysadzoną w powietrze i rozerwaną przez minę albo po prostu

zmarłą na jakąś chorobę w budapeszteńskim szpitalu, albo pozostałą tam, pracującą, wesołą, z mężczyzną, który nie nazywa się Ivan.

Na długo przedtem, zanim po raz pierwszy usłyszałam, jak woła „gyerekkek!” albo „kuss, gyerekkek!”, Ivan powiedział mi: Chyba to już zrozumiałaś. Nie Kocham nikogo. Dzieci oczywiście tak, ale poza tym nikogo. Przytakuje, chociaż nie wiedziałam o tym, a Ivan uważa za oczywiste, że i ja to uważam za oczywiste. „Jubilate”. Wisząc nad przepaścią, przypominam sobie jednak, jak to powinno się zaczynać: „Exsultate”.

Ale dzisiaj, ponieważ jest to pierwszy ciepły dzień, pojedziemy na Gansehaufel. Ivan ma wolne popołudnie, tylko

52
dla Ivana istnieją wolne popołudnia, wolne godziny, czasem wolny wieczór. Co się dzieje z moim czasem, czy mam wolne i zajęte godziny, czy znam wolność i niewolę, o tym nigdy się nie mówi. Przez krótki wolny czas Ivana leżymy na trawie, na łączce kąpieliska Gansehaufel w słabym słońcu, wzięłam ze sobą kieszonkowe szachy i po godzinie wypełnionej marszczeniem czoła, wymianami, roszadami, atakowaniem królowej, kilkakrotnymi ostrzeżeniami „szach królowi” znów dochodzimy do pata. Ivan chce mnie zaprosić na lody do włoskiej lodziarni, ale nie ma już czasu, wolne popołudnie minęło i musimy pędzić z powrotem do miasta. Lody dostanę następnym razem. Zdążając szybko ku śródmieściu, przez Most Cesarstwa i Praterstern, Ivan nastawia głośno radio w samochodzie, mimo to nie sposób nie słyszeć jego komentarzy do wyczynów innych kierowców, ale kiedy muzyka z radia i szybka jazda, gwałtowne hamowanie i ponowne ruszanie wywołują we mnie uczucie wielkiej przygody, znajome dzielnice i ulice, przez które przejeżdżamy, zmieniają się w moich oczach. Trzymam się mocno uchwytów i tak uczepiona miałabym ochotę śpiewać w samochodzie, gdybym miała głos, albo mówić mu, szybciej, jeszcze szybciej, bez strachu puszczam uchwyty i splatam ręce na karku, spoglądam promiennym wzrokiem na Franz-Josefs-Kai, Kanał Dunajski i Schottenring, bo Ivan z fantazją objeżdża wokół śródmieście, mam nadzieję, że długo jeszcze będziemy jechali Ringiem, w który teraz skręcamy, stajemy, przepychamy się, mamy po prawej Uniwersytet, na który chodziłam, ale nie robi już on takiego jak wówczas przygnębiającego wrażenia, muzyka, która dochodzi z radia, podmywa Burgtheater, Ratusz i Parlament, niech to nigdy nie ustanie, niech trwa jeszcze długo, tyle co film, którego jeszcze nigdy nie wyświetlano, ale w którym widzę teraz cud nad cudami, ponieważ nosi tytuł „Jadąc z Ivanem przez

53
Wiedeń”, ponieważ nosi tytuł „Szczęśliwa, szczęśliwa z Ivanem” i „Szczęśliwa w Wiedniu, Wiedniem szczęśliwa”,

te porywające serie obrazów nie ustają nawet przy ostrym hamowaniu, kiedy przez otwarte okno napływają ciepłe kłęby powietrza ze smrodem benzyny. „Szczęśliwa, szczęśliwa” to znaczy szczęśliwa, musi znaczyć szczęśliwa, bo cały Ring podmalowany jest muzyką, muszę się śmiać, ponieważ jedziemy skokami, ponieważ dzisiaj nie czuję strachu i nie chcę wyskoczyć przy najbliższych światłach, ponieważ chciałabym jeszcze jechać godzinami, nucąc cicho, tak że ja słyszę, ale Ivan nie, bo muzyka jest głośniejsza.

Aupres de ma blonde

Jestem

Jaka jesteś?

Jestem

Jaka?

Jestem szczęśliwa

Qu'il fait bon

Mówisz coś?

Nic nie mówiłam

Fait bon, fait bon

Powiem ci później

Co chcesz później?

Nigdy ci tego nie powiem

Qu'il fait bon

Więc już powiedz

Jest za głośno, nie mogę głośniej

Co chcesz powiedzieć?

Nie mogę tego powiedzieć jeszcze głośniej

Qu'il fait bon dormir

Powiedz już, musisz to dzisiaj powiedzieć

54

Qu'il fait bon, fait bon

Że zmartwychwstałam

Ponieważ przeżyłam zimę

Ponieważ jestem taka szczęśliwa

Ponieważ widzę już Park Miejski

Fait bon, fait bon

Ponieważ odrodził się Ivan

Ponieważ Ivan i ja

Qu'il fait bon dormir!

Ivan pyta mnie w nocy: Dlaczego istnieje tylko ściana płaczu, dlaczego nikt jeszcze nie zbudował ściany radości?

Szczęśliwa, jestem szczęśliwa.

Jeśli Ivan zechce, wybuduję ścianę radości wokół całego Wiednia, gdzie były stare baszty i gdzie jest Ring, a nawet wokół szkaradnego wiedeńskiego Gurtla. Każdego dnia moglibyśmy wtedy chodzić pod te nowe ściany i dzielić się radością i szczęściem, bo to znaczy szczęśliwa, jesteśmy szczęśliwi.

Ivan pyta: Mam zgasić światło?

Nie, jedno niech się pali, proszę cię, jedno zostaw!

Ale kiedyś zgaszę ci wszystkie światła, śpij wreszcie,
bądź szczęśliwa.

Jestem szczęśliwa.

Jeśli nie będziesz szczęśliwa...

To wtedy co?

To nigdy nie będziesz mogła zrobić nic dobrego.

A ja mówię sobie, że czując się szczęśliwa, będę mogła
to zrobić. Ivan cicho wychodzi z pokoju i gasi za sobą
wszystkie światła, słyszę, jak wychodzi, leżę spokojna,
szczęśliwa.

55

Zrywam się i zapalam nocną lampkę, przerażona staję
na środku pokoju z potarganymi włosami, zagryzając usta,
wybiegam z pokoju i zapalam jedno światło po drugim, bo
może Malina jest już w domu, muszę zaraz pomówić
z Maliną. Dlaczego nie ma ściany szczęścia i dlaczego nie
ma ściany radości? Jak nazywa się ściana, pod którą znów
idę w nocy! Malina wyszedł ze swojego pokoju zdziwiony,
przygląda mi się, kiwając głową. Czy to się jeszcze opłaca,
być ze mną? pytam Malinę, a Malina nie odpowiada, prowa-
dzi mnie do łazienki, bierze ściereczkę, moczy w ciepłej
wodzie, wyciera mi twarz, mówi z sympatią: Jak ty wyglą-
dasz? co się znowu stało? Malina rozmazuje mi po twarzy
tusz do rzęs, odpycham go i szukam szmatki z olejkiem,
staję przed lustrem, znikają plamy, czarne ślady, brązowo-
czerwone ślady kremu. Malina przygląda mi się z namysłem,
mówi: Pytasz za dużo i za wcześnie. Jeszcze się nie opłaca,
ale może kiedyś się opłaci.

W śródmieściu, w pobliżu kościoła św. Piotra, widzia-
łam stary sekretarzyk, u antykwariusza, który nie obniża
ceny, ale ja chciałabym go kupić, ponieważ mogłabym wtedy
napisać coś na starym, trwałym pergaminie, jakiego już nie
ma, prawdziwym piórem, jakiego już nie ma, atramentem,
jakiego już się nie znajdzie. Chciałabym napisać inkunabuł
na stojąco, bo dzisiaj mija dwadzieścia lat, odkąd kocham
Ivana, a 31 tego miesiąca minie rok i trzy miesiące, odkąd go
znam, ale potem chcę jeszcze napisać okropną łacińską
liczbę roku, Anno Domini MDXXLI, której nikt nie rozu-
mie. Majuskułą wyrysowałabym czerwonym atramentem
kwiaty złotogłowiu i mogłabym się ukryć w legendzie kobie-
ty, której nigdy nie było.

56

Tajemnice księżniczki von Kagran

Była sobie raz księżniczka von Chagre albo von Chageran,
z rodu, który w czasach późniejszych nazwał się Kagran. Bo
święty Jerzy, który zabił smoka na bagnach, ażeby po śmierci
potwora mógł powstać Klagenfurt, działał również tutaj,
w starym Marchfelddorf, po drugiej stronie Dunaju, przypomi-
na o tym kościół pod jego wezwaniem, niedaleko terenów
powodziowych.

Księżniczka była bardzo młoda i bardzo piękna, miała karego wierzchowca, na którym wyprzedzała wszystkich. Jej walsale namawiali ją i prosili, żeby nie wrywała się naprzód, bo ziemie, które zamieszkiwali nad Dunajem, znajdowały się w ciągłym niebezpieczeństwie, nie zostały jeszcze wytyczone granice, gdzie później były Recja, Markomania, Norikum, Mezja, Dacja, Iliria i Panonia. Nie było też jeszcze Cis- i Translitawii, bo wciąż trwała wędrówka ludów. Pewnego dnia doszło do najazdu węgierskich huzarów z puszy, z rozległej, sięgającej w niezbadane Hungarii. Wdarli się na swoich dzikich azjatyckich koniach, które były równie szybkie jak kary wierzchowiec księżniczki, i wszyscy bardzo się wystraszyli.

Księżniczka utraciła władzę, popadła w różne niewole, bo nie walczyła, ale nie chciała też zostać oddana za żonę staremu królowi Hunów czy staremu królowi Awarów. Trzymano ją w niewoli jako brankę i kazano strzec jej wielu czerwonym i niebieskim rycerzom. Ponieważ księżniczka była prawdziwą księżniczką i wołała sama zadać sobie śmierć niż pozwolić zaprowadzić się do starego króla, przed końcem nocy musiała zdobyć się na odwagę, bo chciano ją przewieźć na zamek króla Hunów albo wręcz króla Awarów. Myślała o ucieczce i miała nadzieję, że jej strażnicy zasną przed brzaskiem, ale nadzieja coraz bardziej topniała. Odebrano jej karego wierzchowca i nie

57

wiedziała, jak się wydostać z wojskowego obozu i wrócić do swojego kraju o niebieskich wzgórzach. Leżała bezsennie w namiocie.

Głęboko w nocy wydawało się jej, że słyszy głos, który nie mówił, lecz śpiewał, który szemrał i usypiał, potem jednak nie śpiewał już obco, ale rozbrzmiewał tylko dla niej, w języku, który ją oczarował i z którego nie rozumiała ani słowa. Mimo to wiedziała, że głos zwraca się tylko do niej i wzywają. Księżniczka nie musiała rozumieć słów. Wstała oczarowana i otworzyła namiot, zobaczyła nieskończone ciemne niebo Azji, a z pierwszej gwiazdy, którą spostrzegła, spadał pył. Głos, który do niej docierał, powiedział jej, że może czegoś zapragnąć, i zapragnęła z całego serca. Nagle wyrósł przed nią, w długim czarnym płaszczu, nieznajomy, który nie zaliczał się do czerwonych ani niebieskich rycerzy, osłaniał swoją twarz nocą, ale chociaż nie mogła go dojrzeć, wiedziała, że to on ją oplakiwał i śpiewał dla niej pełen nadziei nigdy niesłyszczanym głosem, i że przyszedł, aby ją uwolnić. "Trzymał jej karego za uzdę, a ona poruszyła lekko wargami i spytała: Kim jesteś? jak się nazywasz, mój wybawicielu? jak ci mam dziękować? On przyłożył dwa palce do ust, odgadła, że nakazuje jej milczenie, dał jej do zrozumienia, żeby podążyła za nim, i okrył ją swoim czarnym płaszczem, żeby nikt jej nie mógł zobaczyć. Byli czarniejsi od nocy i on poprowadził ją i karosza, który stawiał kopyta cicho i nie rżał, przez obóz, a potem kawałek w step. Księżniczka nadal miała w uszach jego cudowny śpiew i uległa temu głosowi, który

chciała usłyszeć ponownie. Chciała go prosić, żeby pojechał z nią w górę rzeki, ale on nie odpowiedział i oddał jej cugle. Wciąż jeszcze groziło jej największe niebezpieczeństwo i on dał znak, żeby jechała. Wtedy serce jej przestało do niej należeć, nadal nie widziała jego twarzy, ale usłuchała go, ponieważ musiała go usłuchać. Wskoczyła na karosza, spojrzęła na nieznajomego z góry i chciała w swoim i w jego języku powiedzieć mu coś na pożegnanie. Powiedziała to oczami. Lecz on odwrócił się i zniknął w nocy.

Karosz puścił się kłusem w kierunku rzeki, której bliskość zapowiadało mu wilgotne powietrze. Księżniczka zapłakała po raz pierwszy w życiu, a późniejsi uczestnicy wędrówki ludów znaleźli w tych stronach kilka rzecznych pereł, które zanieśli swojemu pierwszemu królowi i które po dziś dzień, wraz z najstarszymi kamieniami szlachetnymi, ozdabiają koronę św. Stefana.

Gdy znalazła się na wolnej ziemi, przez wiele dni i nocy jechała w górę rzeki, aż dotarła w okolice, gdzie rzeka nikała w niezliczonych, biegnących we wszystkie strony odgałęzieniach. Dostała się na wielkie bagnisko, porośnięte kaleką wikliną. Stan wody był jeszcze normalny, krzaki wyginały się i kołysały w nieustannym wietrze równiny, który wiklinie nie pozwalał się podnieść, tak, że pozostawała ułomna. Chwiała się łagodnie jak trawa i księżniczka straciła orientację. Zdawało się, że wszystko zostało wprawione w ruch, fale wiklinowych gałązek, fale traw, równina żyła, ale oprócz księżniczki nie było na niej żywej duszy. Nurty Dunaju, z ulgą, że umknęły przymusowi niewzruszonych brzegów, toczyły się po swojemu, gubiły się w labiryncie kanałów, których sieć przecinała usypane wyspy szerokimi cieśninami, a woda przewalała się przez nie z hukiem. Nasłuchując wśród spienionych prądów rzeki, wirów i odmętów, księżniczka pojęła, że woda podmywa piaszczyste wybrzeże i pochłania kawały brzegu z całymi kępami wikliny. Wyspy tonęły, wyłaniały się nowe, świeżo usypane, które co dzień zmieniały kształt i wielkość, i tak oto równina będzie żyć, zmiennie, aż do czasu powodzi, kiedy to pod spiętrzonymi falami wiklina i wyspy znikną bez śladu. Na niebie ukazała się dymna plama, ale nie było widać niebieskawych pasm wzgórz kraju księżniczki.

Nie wiedziała, gdzie jest, nie znała Derińskich Wzniesień, odnóg Karpat, które były bezimienne, nie widziała Morawy, która uchodzi tu do Dunaju, a tym bardziej nie wiedziała, że kiedyś zostanie przez wodę przeprowadzona granica między dwoma krajami mającymi nazwy. Bo wówczas nie było żadnych krajów i żadnych granic.

Na zwirowej ławicy zsiadła z karosza, który dalej nie mógł już iść, patrzyła, jak fale coraz bardziej mętnieją od mułu, i bała się, bo jest to znak powodzi, nie widziała wyjścia z tej dziwnej krainy, która składała się tylko z wikliny, wiatru i wody, pro-

wadziła wierzchowca powoli dalej, otumaniona królestwem samotności, odcięty od świata, zaklętym królestwem, za którym się znalazła. Zaczęła rozglądać się za miejscem na nocleg, bo słońce, zachodziło i niesamowity stwór, jakim była ta rzeka, spotęgował swoje dźwięki i głosy, chlupotanie, narastający śmiech przy kamieniach nadbrzeżnych, delikatne szeptanie w spokojnym zakolu, syczące wrzenie, nieustanne huczenie na dnie, pod wszystkimi hałasami powierzchni. Stada szarych wron zbliżyły się pod wieczór i kormorany zaczęły obsiadać brzeg, bociany łowiły ryby w wodzie, wszelkiego rodzaju ptactwo błotne krążyło w powietrzu, wydając podniecone, daleko rozbrzmiewające krzyki.

Księżniczce opowiadano w dzieciństwie o tej najsurowszej z krain nad Dunajem, o czarodziejskich wyspach, gdzie można było umrzeć z głodu, ale też doznać wizji i popadać w najwyższe zachwycenie nad szaleństwem zagłady. Księżniczka sądziła, że wyspa porusza się razem z nią, mimo to nie przewalających się z hukiem fal lękała się najbardziej, w niej samej był strach, zdumienie i nieznany przedtem niepokój, który płynął z wikliny. Coś niezwykle groźnego napływało z niej i kładło się ciężko na sercu księżniczki. Dotarła do granicy ludzkiego świata. Po-60

chyliła się nad swoim karosem, który położył się wyczerpany, wydał z siebie żalosne rżenie, bo i on czuł, że nie było już wyjścia, i umierającym wzrokiem błagał księżniczkę o wybaczenie, że nie może już nieść jej przez wodę i ponad wodą. Księżniczka ułożyła się w zagłębieniu obok konia, była w niej trwoga, jakiej nigdy jeszcze nie czuła, krzaki wikliny szeptały coraz natarczywiej, szemrały, śmiały się, wykrzykiwały przeraźliwie i wzdychały z jękiem. Nie ściagała jej już chmara żołnierzy, ale obstąpiła ją chmara obcych istot, krocie liści trzepotały na krzaczastych wiklinowych wierzchołkach, przebywała w okolicy, gdzie rzeka prowadziła do królestwa zmarłych, otworzyła szeroko oczy, gdy podchodziła ku niej olbrzymia kolumna cieni, i na chwilę, aby nie słyszeć już wycia okropnego wiatru, ukryła twarz w dłoniach, lecz zerwała się natychmiast, zaniepokojona odgłosem jakby człapania czy szurania. Nie mogła iść naprzód ani w tył, mogła tylko wybierać między wodą a przemocą wikliny, ale w największej ciemności zapłonęło przed nią światło, a ponieważ wiedziała, że nie mogło to być światło niesione przez człowieka, tylko światło nadprzyrodzone, szła ku niemu w śmiertelnym strachu, ale urzeczona, usidlona.

Nie było to światło, był to kwiat, rozkwitły wśród rozpętanej nocy, najczerwieńszy z czerwonych i niewyrosły z ziemi. Wyciągnęła rękę po kwiat i jej dłoń wraz z kwiatem dotknęła innej dłoni. Wiatr i chichot wikliny umilkły, a w blasku wschodzącego księżyca, który padał biało i dziwnie na uspokajające się wody Dunaju, rozpoznała przed sobą nieznanego w czarnym płaszczu, trzymał jej dłoń i dwa palce drugiej dłoni przyłożył do ust, żeby znów nie pytała, kim jest, ale uśmiechał się do niej

ciemnymi, ciepłymi oczyma. Był czarniejszy niż przedtem czerń wokół niej, osunęła się w jego ramiona i wraz z nim na piasek, on położył jej kwiat na piersi jak zmarłej i okrył płaszczem ją i siebie.

61

Słońce stało już wysoko na niebie, gdy nieznajomy zbudził księżniczkę ze snu przypominającego śmierć. Prawdziwych nieśmiertelnych, żywioły, zmusił do milczenia. Księżniczka i nieznajomy zaczęli rozmawiać, jak gdyby znali się od dawna, a kiedy jedno mówiło, uśmiechało się drugie. Mówili sobie rzeczy jasne i ciemne. Wody opadły i zanim słońce zaszło, księżniczka usłyszała, jak jej karosz wstaje, parska i kłusuje przez zarośla. Przeraziła się do głębi serca i powiedziała: Muszę iść dalej, muszę iść jeszcze w górę rzeki, chodź ze mną, nigdy już mnie nie opuszczaj!

Ale nieznajomy potrząsnął głową i księżniczka zapytała: Musisz wracać do swojego ludu?

Nieznajomy uśmiechnął się: Mój lud jest starszy od wszystkich ludów świata i rozproszył się we wszystkie strony. Więc chodź ze mną! - zawołała księżniczka z bólem i niecierpliwością, ale nieznajomy powiedział: Cierpliwości, miej cierpliwość, bo ty przecież wiesz, ty wiesz. Przez noc księżniczka posiadała dar widzenia przyszłości i dlatego powiedziała przez łzy: Wiem, że jeszcze się zobaczymy.

Gdzie? - spytał z uśmiechem nieznajomy - i kiedy? Bo prawdą jest nieskończona wędrówka.

Księżniczka popatrzyła na zgasły, więdnący kwiat, który leżał na ziemi, i zamykając oczy na progu snu, powiedziała: Pozwól mi zobaczyć!

Powoli zaczęła opowiadać: Będzie to bardziej w górę rzeki, podczas nowej wędrówki ludów będzie to w innym wieku - mam zgadnąć? - będzie to w przeszło dwadzieścia wieków później, ty będziesz mówił jak ludzie: Ukochana...

Co to jest wiek? - spytał nieznajomy.

Księżniczka wzięła garść piasku i szybko przesypała przez palce, powiedziała: Tyle mniej więcej to dwadzieścia wieków, a potem przyjdiesz ty i pocałujesz mnie.

62

W takim razie to będzie niedługo, odparł nieznajomy, mów dalej!

Będzie to w pewnym mieście, a w tym mieście przy pewnej ulicy, ciągnęła księżniczka, będziemy grali w karty, ja będę traciła wzrok, w lustrze będzie niedziela*.

Co to jest miasto i co ulica? - spytał nieznajomy z zakłopotaniem. Księżniczka zdumiała się, odrzekła. Ależ niedługo to zobaczymy, ja znam tylko nazwy, lecz zobaczymy to, kiedy ty wbijesz mi ciernie w serce, będziemy stali pod oknem, pozwól mi skończyć! Będzie to okno pełne kwiatów, po jednym na każdy wiek, ponad dwadzieścia kwiatów, po tym poznamy, że jesteśmy we właściwym miejscu, a wszystkie kwiaty będą takie

jak ten oto kwiat!

Księżniczka wskoczyła na swojego karosza, nie wytrzymała już chmur, bo nieznajomy nakreślił w milczeniu swoją i jej pierwszą śmierć. Nie zaśpiewał jej już nic na pożegnanie, a ona jechała ku swemu krajowi o niebieskich wzgórzach, który wyłaniał się z oddali, w okropnej ciszy, bo on wbił już pierwszy cień w jej serce, i pośród swoich dworzan na zamkowym dziedzińcu, krwawiąc, osunęła się z karosza. Ja przecież wiem, ja wiem!

Nie kupiłam sekretarzyka, ponieważ kosztowałby pięć tysięcy szylingów i pochodzi z klasztoru, to też mi przeszkadza, nie mogłabym jednak na nim pisać, ponieważ nie ma pergaminu ani atramentu, w dodatku panna Jellinek nie byłaby zachwycona, bo przyzwyczaiła się do mojej maszyny.

* Nawiązanie do wiersza Paula Celana „Erinnerung an Frankreich” („Wspomnienie Francji”): „Pomyśl ze mną: niebo Paryża, wielki zimowit jesieni.../ [...] Graliśmy w karty, przegrałem żrenice,/ pożyczylaś mi włosy, przegrałem je, on nas powalił na ziemię [...]” (przeł. R. Krynicki).

63

Kartki z historią księżniczki von Kagan chowam szybko do jednej z teczek, żeby panna Jellinek nie zobaczyła, co napisałam, zresztą ważniejsze jest, żebyśmy w końcu coś „załatwiły”, siadam za jej plecami na trzech schodkach do biblioteki, porządkuję kilka kartek i dyktuję jej:

Wielce Szanowni Panowie.

Nagłówek listu i datę panna Jellinek na pewno już napisała, czeka, mnie nic nie przychodzi do głowy i mówię: Droga panno Jellinek, niech pani napisze, co pani chce, chociaż zmieszana panna Jellinek nie może przecież wiedzieć, co tu znaczy chcieć, więc mówię zmęczona: Niech pani napisze, na przykład, że ze względów zdrowotnych, ach, to już było?... niech pani napisze coś o zobowiązaniach, i to już było za często? Wobec tego po prostu podziękowanie i uprzejme ukłony. Panna Jellinek dziwi się nieraz, ale nie okazuje tego, nie zna żadnych wielce szanownych panów, tylko pana doktora Krawanję, który specjalizuje się w neurologii i poślubi ją w lipcu, dzisiaj mi się z tego zwierzyła, zostałam zaproszona na wesele, pojedzie do Wenecji, ale podczas gdy jej skryte myśli krążą wokół polikliniki i urzędnika mieszkania, wypełnia mi formularze, grzebie w archiwum, w którym panuje niewiarygodny bałagan, odkrywa teraz listy, kilogramy listów, z lat 1962, 1963, 1964, 1965, 1966, widzi, że jej wysiłki, by dojść ze mną do ładu, idą na marne, wysiłki, którym nadaje na zmianę błagalne formuły: „odłożyć”, „wpiąć”, „uporządkować według różnych dziedzin”, chce działać alfabetycznie, chce działać chronologicznie, oddzielić sprawy służbowe od prywatnych, panna Jellinek byłaby zdolna do wszystkiego, ale ja nie potrafię jej wytłumaczyć, że szkoda mi czasu na takie przedsię-

wzięcia, odkąd znam Ivana, że sama muszę dojść ze sobą do ładu i że uporządkowanie tej kupy papieru staje się coraz bardziej obojętne. Raz jeszcze biorę się w garść i dyktuję:

64

Szanowni Panowie,

dziękuję za list z 26 stycznia.

Szanowny Panie Schönthal,

osoba, do której Pan się zwraca, którą - we własnym mniemaniu - Pan zna, którą Pan nawet zaprasza, nie istnieje. Spróbuję, chociaż jest szósta rano i ta pora wydaje mi się odpowiednia dla wyjaśnienia, które winna jestem Panu i tylu innym ludziom, chociaż jest szósta rano i dawno powinna bym spać, ale tak wiele jest spraw, które nigdy już nie dadzą mi zasnąć. Nie zaprosił mnie Pan przecież na święto dzieci czy święto myszy, a imprezy, święta wypływają z pewnością z potrzeby społecznej. Widzi Pan, staram się spojrzeć na sprawę również z Pańskiej strony. Wiem, uzgodniliśmy termin, powinnam była przynajmniej zadzwonić do Pana, ale brak mi słów na opisanie mojej sytuacji, także przyzwyczajenie nie pozwala mi o pewnych rzeczach mówić.

Uprzejma fasada, którą Pan widzi, na którą sama niekiedy się zdaję, ma niestety coraz mniej ze mną wspólnego. Nie uwierzy Pan, że mam złe maniery, że zatem z braku wychowania każę Panu czekać, maniery to niemal jedyne, co mi pozostało, i gdyby kiedyś w programie szkolnym znalazły się „maniery”, to byłby to z pewnością przedmiot, który najbardziej by mi odpowiadał i z którym najlepiej bym sobie radziła. Szanowny Panie Schönthal, już od lat, a trwa to często tygodniami, nie potrafię podejść do drzwi własnego mieszkania lub podnieść słuchawki i zadzwonić do kogoś, jest to dla mnie niemożliwe i nie wiem, jak można mi pomóc, prawdopodobnie już nie można.

Nie potrafię też zupełnie myśleć o rzeczach, które zmuszają mnie do myślenia, o terminach, o pracy, o umówionych spotkaniach, o szóstej rano nie ma nic, co byłoby dla

65

mnie wyraźniejsze niż ogrom mojego nieszczęścia, ponieważ niekończący się ból całkowicie, sprawiedliwie i równomiernie godzi w każdy nerw, o każdej porze. Jestem bardzo zmęczona, mogę Pana tylko zapewnić, że jestem zmęczona...

Podnoszę słuchawkę i słyszę monotony głos: przyjmowanie telegramów, proszę czekać, proszę czekać, proszę czekać, proszę czekać, proszę czekać. Na kartce kreślę tymczasem: Dr Walter Schönthal, Wielandstrasse 10, Norymburga. Przyjazd niestety niemożliwy stop list w drodze.

Przyjmowanie telegramów, proszę czekać, proszę czekać, proszę czekać. Brzęknięcie, młody, żywy głos kobiety pyta rześko: Pani numer, proszę? dziękuję, oddzwonię.

Mamy całą furę zdań o zmęczeniu, Ivan i ja bo on często bywa strasznie zmęczony chociaż jest o tyle młodszy

ode mnie, a i ja bywam bardzo zmęczona, Ivan zbyt długo nie kładł się spać, był z kilkoma znajomymi na winie w Nussdorf, do piątej rano, potem wrócił z nimi do miasta, zjedli zupełną gulaszową, musiało to być w czasie, kiedy napisałam dwusetny list do Lily i jeszcze parę innych, wysłałam przynajmniej telegram, a Ivan dzwoni, w południe po biurze, trudno poznać go po głosie.

Śmiertelnie wyczerpany, śmiertelnie

Ja ledwie żyję

Nie, nie sądzę, miałem właśnie

Położyłam się, ledwie żywa

Raz wreszcie, raz wyśpię się porządnie

66

Pójdę dzisiaj wcześniej spać, a ty

Już zasypiam, ale dziś wieczorem

Więc raz pójdź wcześniej spać

Jak martwa mucha, nie potrafię ci opisać

Jeśli naturalnie jesteś taki zmęczony

Jeszcze przed chwilą byłem okropnie zmęczony, bez życia

Więc dziś wieczorem lepiej nie

Gdybyś naturalnie nie była taka zmęczona

Chyba źle słyszę

No, to słuchaj uważnie

Przecież zasypiasz

Nie teraz naturalnie, jestem naprawdę zmęczony

Musisz odespać zmęczenie

Bramę zostawiłem otwartą

Jestem zmęczona, ale ty chyba jeszcze bardziej

Teraz naturalnie, bo niby kiedy

Chcę cię tu mieć natychmiast!

Rzucam słuchawkę, odrzucam zmęczenie, zbiegam po schodach i pędzę przez ulicę. Pod 9 brama jest uchylona, drzwi pokoju uchylone, i oto Ivan jeszcze raz powtarza wszystkie zdania o zmęczeniu, ja też powtarzam wszystkie, aż jesteśmy zbyt zmęczeni i zbyt wyczerpani, żeby móc się uskarżać na rozmiary wyczerpania, przestajemy rozmawiać i mimo największego zmęczenia nie dajemy sobie zasnąć, a póki nie zadzwoni biuro zleceń z budzeniem, nie przestaję przyglądać się w półmroku Ivanowi, który może spać jeszcze kwadrans, nie przestaję mieć nadziei, żebrać i wierzyć, że usłyszałam zdanie, którego źródłem nie było tylko zmęczone-

67

nie, zdanie, które ubezpiecza mnie w świecie, ale wokół moich oczu coś się zbiera, wydzielina gruczołów jest tak znikoma, nie wystarcza nawet na jedną łzę w kąciku każdego oka. Czyż jedno zdanie wystarczy, aby ubezpieczyć kogoś, kto jest już zgubiony? Musiałoby to być ubezpieczenie nie z tego świata.

Kiedy Ivan przez cały tydzień nie ma czasu, co dopiero dzisiaj dotarło do mojej świadomości, nie mogę już się opa-

nować. Przychodzi to bez powodu, jest bezsensowne, postawiłam przed Ivanem jego szklankę z trzema kostkami lodu, ale ze swoją szklanką natychmiast wstaję i podchodzę do okna, powinna bym wymknąć się z pokoju, może pod pretekstem pójścia do łazienki, po drodze mogłabym udać, że szukam książki w bibliotece, chociaż między książką a łazienką nie ma żadnego związku. Zanim wydostanę się z pokoju, zanim powtórzę sobie, że w domu naprzeciwnie bądź co bądź głuchy Beethoven skomponował „Dziwiątą Symfonię” i jeszcze coś, ale przecież ja nie jestem głucha, mogłabym kiedyś opowiedzieć Ivanowi, co jeszcze prócz „Dziwiątej Symfonii” - ale nie mogę wyjść z pokoju, bo Ivan już zauważył, ponieważ nie potrafię utrzymać ramion w spokoju, ponieważ mała chusteczka nie wystarcza, by wchłonąć łzy, winien tej żywiołowej katastrofie musi być Ivan, nawet jeśli nic nie zrobił, bo po prostu nie można tyle płakać. Ivan bierze mnie za ramiona i prowadzi do stołu, mam usiąść i wypić, a ja, płacząc, chcę wytłumaczyć się z płaczem. Ivan jest bardzo zdziwiony, mówi: Jak to nie powinnaś płakać, płacz, jeśli ci to odpowiada, płacz, ile możesz, i jeszcze trochę więcej, po prostu musisz się wypłakać.

Wypłakuję się, a Ivan wypija drugą whisky, nie zadaje mi pytań, nie śpieszy z pocieszaniem, nie jest zdenerwowa-

68
ny ani zirytowany, czeka, jak czeka się na koniec nawałnicy, słyszy, że łkanie słabnie, jeszcze pięć minut i może zanurzyć ręcznik w wodzie z lodem, kładzie mi go na oczy.

Nie jesteśmy chyba zazdrośni, moja panienko.

Nie, to nie to.

Znów płaczę, ale tylko dlatego, że teraz przynosi to taką ulgę.

Naturalnie, że nie. Nie ma żadnego powodu.

Ale naturalnie jest powód. Był to dla mnie tydzień bez zastrzyków rzeczywistości. Nie chciałabym, żeby Ivan pytał mnie o powód, ale on tego nigdy nie robi, tylko czasem pozwoli mi popłakać.

Wypłacz się! - rozkaże.

Żyję w tym podminowanym świecie półdzikuski, po raz pierwszy uwolniona od sądów i przesądów swojego otoczenia, niezdolna już do żadnego sądu o świecie, tylko do doraźnej odpowiedzi, do płaczu i bóleści, do szczęścia i radości, głodu i pragnienia, bo zbyt długo nie żyłam. Ivan poruszył wreszcie moją fantazję, bogatszą od fantazji wywołanych przez yage, dzięki niemu coś niezwykłego wstąpiło we mnie i odtąd promieniuje, bezustannie opromieniam świat, któremu jest to potrzebne, z tego jednego miejsca, w którym skupia się nie tylko moje życie, lecz i moje pragnienie, by „żyć dobrze”, by znów być użyteczną, bo chciałabym, żeby Ivan mnie potrzebował, jak ja jego potrzebuję, i to na całe życie. Czasem też potrzebuje mnie, bo dzwoni

do drzwi, ja otwieram, on trzyma w ręce gazetę, zagląda na krótko i mówi: Zaraz muszę iść, czy będziesz potrzebowała wozu dziś wieczorem? Ivan poszedł sobie z moimi kluczami do samochodu, a już ta krótka wizyta Ivana porusza rzeczywistość na nowo, każde jego zdanie oddziałuje na mnie, na oceany i konstelacje, żuję w kuchni chleb z kielbasą i wstawiam talerze do zlewu, a Ivan wciąż jeszcze mówi do

69
mnie: „zaraz muszę iść”, wycieram kurz z gramofonu i szciotką do aksamitu przesuwam łagodnie po rozrzuconych w nieładzie płytach, „chcę cię tu mieć natychmiast”, mówi Ivan, jadąc moim wozem na Hohe Warte, bo musi szybko zobaczyć dzieci, Bela zwichnął sobie rękę, „chcę cię tu mieć natychmiast”, powiedział jednak Ivan, a ja muszę umieścić to niebezpieczne zdanie między jedzeniem chleba z kielbasą, otwieraniem listów i odkurzaniem, ponieważ wśród tych codziennych czynności, które nie są już codzienne, w każdej chwili może dojść do ognistego wybuchu. Patrzę przed siebie, nasłuchuję i spisuję listę:

elektryk

rachunek za prąd

szafirowa igła

pasta do zębów

listy do Z.K. i adwokata

sprzątanie

Mogłabym nastawić gramofon, ale słyszę: „chcę cię tu mieć natychmiast!”. Mogłabym poczekać na Malinę, ale wolę położyć się do łóżka, jestem bardzo zmęczona, okropnie zmęczona, śmiertelnie wyczerpana, „chcę cię tu mieć...”, Ivan znów musi zaraz iść, odnosi mi tylko kluczyki, Bela jednak nie zwichnął sobie ręki, jego matka przesadziła, zatrzymuję Ivana w korytarzu, Ivan pyta: Coś ty, czemu śmiesz się tak głupio? Och, nic, tylko jest mi tak idiotycznie dobrze, głupieję od tego. Ale Ivan mówi: Nie mówi się: idiotycznie dobrze, mówi się po prostu: dobrze. Jak czułaś się dawniej, kiedy było ci dobrze? Zawsze tak od tego głupiałaś? Potrzęsam głową, Ivan żartem unosi rękę, żeby mnie uderzyć, wraca strach, mówię zdławionym głosem: Nie, proszę, nie w głowę.

Po godzinie dreszcze mijają i myślę, że powinnam Ivanowi o tym powiedzieć, ale Ivan nie zrozumiałby czegoś

70
tak obłąkańczego, a ponieważ nie mogę mu nic powiedzieć o morderstwie, pozostawiona jestem samej sobie, na zawsze, próbuję tylko wyciąć ten wrzód, wypalić z powodu Ivana, nie mogę utknąć w tej kałuży myśli omorderstwie, z Ivanem powinno by mi się udać usunięcie tych myśli, on uwolni mnie od tej choroby, on powinien mnie wybawić. Ale ponieważ Ivan nie kocha mnie ani nie potrzebuje, dlaczego miałby któregoś dnia pokochać mnie lub potrzebować?

Widzi tylko moją twarz, która się Wygląda, i cieszy się, gdy skłoni mnie do śmiechu, i znów będzie mi tłumaczył, że jesteśmy ubezpieczeni od wszystkiego, jak nasze samochody, od trzęsienia ziemi i huraganów, odkradzieży i nieszczęśliwych wypadków, od pożarów i gradobicia, ale ja jestem ubezpieczona jednym zdaniem i niczym więcej. Świat nie zna dla mnie ubezpieczenia.

Dzisiaj po południu zbieram się i idę na ten odczyt w Instytucie Francuskim, przychodzę naturalnie za późno i muszę stać w tyle przy drzwiach, z daleka pozdrawia mnie Francois, który pracuje w ambasadzie i jakoś tam wymienia nasze kultury, godzi albo wzajemnie zapładnia, sam tego tak dokładnie nie wie, oboje nie wiemy, ponieważ nie jest to nam potrzebne, ale naszym państwom się przydaje, przywołuje mnie, chce wstać, wskazuje na swoje miejsce, ale nie chcę teraz przeszkadzać i przepychać się do Francois, bo starsze panie w kapeluszach i wielu starszych panów, także kilku młodych ludzi, przysłuchuje się, jak w kościele, pomału chwytam jedno czy drugie zdanie i spuszczam oczy, ciągle słyszę coś o „la prostitution universelle”, bardzo pięknie, myślę, tak, bardzo słusznie, mężczyzna z Paryża o ascetycznej, bladej twarzy, głosem chłopca z chóru mówi o 120 dniach Sodomy, już po raz dziesiąty słyszę coś o powszech-

71
nej prostytucji, sala z nabożnie skupionymi, ze swoją powszechną sterylnością, zaczyna się obracać wokół mnie, ale ja chciałabym wreszcie wiedzieć, czy rzecz o powszechnej prostytucji będzie się ciągnęła dalej, i w tym kościele de Sade'a rzucam wyzywające spojrzenie na młodego człowieka, który odwzajemnia się, jak podczas nabożeństwa, bluźnierczym spojrzeniem, i jeszcze przez godzinę patrzemy na siebie konspiracyjnie i skrycie, w kościele z czasów inkwizycji. Zanim zacznę się śmiać, z chusteczką w zębach, i zanim mój zduszony śmiech przejdzie w niepowstrzymany kaszel, wychodzę z sali, budząc tym oburzenie słuchaczy. Muszę natychmiast zadzwonić do Ivana.

Jak było? Całkiem interesująco

Aha, aha, a u ciebie?

Nic szczególnego, było interesująco

Położ się wcześniej spać

Ziewasz przecież, powinnaś spać

Wcale nie ziewam, nie wiem jeszcze

Nie, ale muszę jutro

Naprawdę musisz?

Siedzę sama w domu i wkręcam arkusz w maszynę, wystukuję bezmyślnie: Nadejdzie śmierć.

Panna Jellinek położyła list do podpisu.

Szanowny Panie Schónthal,

dziękuję Panu za list z ubiegłego roku, spostrzegłam ze zdumieniem, że nosi on datę 19 września. Niestety, nie

miałam możliwości odpowiedzieć wcześniej z powodu
71

licznych przeszkód, a i w tym roku nie mogę jeszcze wziąć na siebie żadnych zobowiązań. Z podziękowaniem i serdecznymi pozdrowieniami.

Wkręcam następny arkusz i rzucam pierwszy do kosza.

Szanowny Panie Schónthal,

w panicznym strachu i szalonym pośpiechu piszę dzisiaj ten list do Pana. Ponieważ jest Pan dla mnie kimś obcym, łatwiej mi przychodzi pisać do Pana niż do moich przyjaciół, a ponieważ jest Pan człowiekiem, o czym wnoszę z tak uprzejmych Pana starań...

Wiedeń, dnia...

Nieznajoma

Każdy by powiedział, że Ivan i ja nie jesteśmy szczęśliwi. Albo że jeszcze długo nie będziemy mieli powodu nazywać się szczęśliwymi. Ale każdy nie ma racji. Każdy to nikt. Zapomniałam zapytać Ivana przez telefon o oświadczenie podatkowe, Ivan powiedział wspaniałomyślnie, że wypełni za mnie to oświadczenie na rok przyszły, nie chodzi mi o podatki ani o to, czego te podatki chcą ode mnie za rok następny, chodzi mi tylko o Ivana, kiedy mówi o roku przyszłym, a Ivan mówi mi dzisiaj, iż zapomniał mi przez telefon powiedzieć, że ma dosyć kanapek i że chciałby wreszcie wiedzieć, co ja potrafię ugotować, i oto po jednym wieczorze obiecuję sobie więcej niż po przyszłym roku. Bo jeśli Ivan chce, żebym gotowała, to musi to coś znaczyć, nie będzie już potem mógł uciec mi szybko, jak po drinku, i dzisiejszej nocy rozglądam się w bibliotece wśród moich książek, nie ma między nimi książek kucharskich, muszę natychmiast jakąś kupić, jakie to absurdalne, bo co ja dotych-

73

czas czytałam, na co mi się to teraz przydaje, skoro nie mogę tego użyć dla Ivana. Czytałam „Krytykę czystego rozumu”, w blasku 60 watów przy Beatrixgasse, Locke'a, Leibniza i Hume'a, w mrokach Biblioteki Narodowej przy małych lampkach dawałam się bałamucić wszelkim pojęciom z wszelkich epok, od przedsokratyków po „Byt i niebyt”, Kafkę, Rimbauda i Blake'a czytałam przy 25 watach w paryskim hotelu, Freuda, Adlera i Junga przy 360 watach na opustoszałej berlińskiej ulicy, przy akompaniamencie cichych obrotów szopenowskich etiud, płomienną mowę o wywłaszczeniu własności duchowej studiowałam na plaży pod Genuą, papier był pełen słonych plam i powyginany od słońca, w trzy tygodnie przeczytałam „Komedie ludzką” przy dość wysokiej gorączce, osłabiona antybiotykami, w Klagenfurcie, Prousta czytałam w Monachium do brzasku, aż dekarze wdarli się do pokoiku na mansardzie, czytałam francuskich moralistów i wiedeńskich logików, w opadających pończochach, pod trzydzieści francuskich

papierosów dziennie czytałam wszystko, od „De rerum natura” po „Le culte de la raison”, chwytalam się za wiersze i filozofię, medycynę i psychologię, w zakładzie dla obłąkanych w Steinhof pracowałam nad anamnezami schizofreników i cierpiących na manie depresyjne, w Auditorium Maximum pisałam skrypty przy ledwie 6 stopniach ciepła, a przy 38 stopniach w cieniu wciąż jeszcze robiłam notatki de mundo, de mente, de moto, po myciu głowy czytałam Marksa i Engelsa, a w zupełnym upojeniu W.I. Lenina, ze wzburzeniem i w pośpiechu czytałam gazety, gazety, gazety, czytałam gazety już jako dziecko, przy piecu, przy rozpalaeniu ognia, gazety, czasopisma i kieszonkowce czytałam wszędzie, na wszystkich dworcach, we wszystkich pociągach, w tramwajach, autobusach, samolotach, czytałam wszystko o wszystkim, w czterech językach, fortiter, forti-

74
ter, i rozumiałam wszystko, co miałam do przeczytania, a uwolniona na godzinę od wszystkiego, co przeczytałam, kładę się obok Ivana i mówię: Tę książkę, której jeszcze nie ma, napiszę dla ciebie, jeśli naprawdę chcesz. Ale musisz chcieć naprawdę, chcieć, żebyś to zrobiła, a ja nigdy nie będę żądać, żebyś ją przeczytała.

Ivan mówi: Miejmy nadzieję, że będzie to książka z dobrym zakończeniem.

Miejmy nadzieję.

Pokrajałam mięso na jednakowe kawałki. Usiekałam cebulę, przygotowałam czerwoną paprykę, bo dzisiaj jest gulasz, a przedtem jeszcze jajka w sosie musztardowym, zastanawiam się, czy knedle z morelami potem to nie będzie jednak za dużo, może lepiej tylko owoce, ale gdyby Ivan został na Sylwestra w Wiedniu, to wtedy wypróbuję przepalankę, do czego trzeba uprzyżyć cukier, już nawet moja matka tego nie robiła. Z książek kucharskich odgaduję, co już nie jest, a co jeszcze jest dla mnie dostępne, co mogłoby Ivanowi smakować, tylko za dużo mówi się tam o odstawianiu, strącaniu, mieszaniu, wyciskaniu, o wyższych i niższych temperaturach, o których nie wiem, jak je uzyskać w moim elektrycznym piecyku i czy liczba 200 na wyłączniku duchówki jest przydatna dla mojego przepisu z dzieła „Stara Austria zaprasza do stołu” albo z „Małej kuchni węgierskiej”, staram się więc po prostu zrobić niespodziankę Ivanowi, którego podawane w restauracji po raz setny rostbefy, pieczenie szpikowane czy sztuka mięsa i odwieczne naleśniki doprowadzają do rozpacz. Gotuję mu coś, czego nie ma w jadłospisach, i głowię się, jak zmieszać dawne dobre czasy z ich tłuszczem wieprzowym, słodką i kwaśną śmietaną, i rozsądne nowe czasy, w których jest jogurt, liście

75
sałaty skropione oliwą i cytryną, w których dominują jarzyny zawierające dużo witamin, przyrządzane na surowo,

w których liczą się węglowodany, kalorie i zachowywanie miary, bezkorzenność. Ivan nie domyśla się, że już od rana biegam tu i tam i pytam oburzona, dlaczego teraz nie ma trybulki, gdzie bywa estragon i kiedy bazylia, gdyż zalecają je przepisy. U handlarza warzyw zawsze widzę tylko pietruszkę i szczypiorek, handlarz ryb już od lat nie otrzymuje pstrągów strumieniowych, więc tymi nielicznymi przyprawami, jakie można dostać, posypuję na chybił trafił mięso i jarzyny. Mam nadzieję, że zapach cebuli nie przylgnie do moich dłoni, biegam raz po raz do łazienki, żeby umyć ręce, żeby perfumami wymazać ślady zapachu i poprawić fryzurę. Ivanowi wolno zobaczyć tylko rezultat: że stół jest nakryty i pali się świeca, Malina zdziwiłby się, że potrafię teraz nawet ochłodzić w porę wino, podgrzać talerze, a między nalewaniem a smażeniem grzanek nakładam tusz do rżęs, maluję oczy w Maliny lustrze do golenia, wyskubuję pęsetą brwi i ta zsynchronizowana praca, której nikt nie docenia, jest bardziej męcząca niż wszystkie prace, jakie wykonywałam dawniej. Lecz czeka mnie za to najwyższa nagroda, ponieważ Ivan dzięki temu przyjdzie już o siódmej i zostanie do północy. Pięć godzin Ivana, mogłoby to wystarczyć na parę dni pewności, dla podtrzymania krążenia, dla podniesienia ciśnienia, jako leczenie uzupełniające, jako leczenie profilaktyczne, jako kuracja. Nie byłoby dla mnie rzeczy zbyt uciążliwej, zbyt niedorzecznej, zbyt kłopotliwej, byle chwycić kawałek życia Ivana: kiedy Ivan wspomina przy kolacji, że na Węgrzech często żeglował, chcę natychmiast nauczyć się żeglowania, może już jutro rano, choćby na Starym Dunaju, w Kaiserwasser, żebym od razu mogła się przydać, gdy któregoś dnia Ivan znów wybierze się na żagle. Bo sama nie zdołam przykuć Ivana. Czuwając przy kuchni, jako że przy-

76

gotowałam jedzenie zbyt wcześnie, szukam przyczyny tej niezdolności, której miejsce zajmowało dawniej tak wiele zdolności. Można kogoś przykuć tylko z zastrzeżeniem, małymi odwrotami, taktyką, tym, co Ivan nazywa grą. Wzywa mnie, bym pozostała w grze, bo nie wie, że dla mnie nie ma już żadnej gry, że gra się właśnie skończyła. Myślę o lekcji Ivana, usprawiedliwiając się, czekając, bo Ivan uważa, że powinnam zacząć od tego, by jemu spokojnie kazać czekać, że nie powinnam się usprawiedliwiać. Mówi też: Ja powinienem latać za tobą, postaraj się o to, tobie nie wolno latać za mną, potrzeba ci pilnie korepetycji, kto tego zaniedbał, nie udzielił ci elementarnych lekcji? Ale ponieważ Ivamnie zna uczucia ciekawości, nie chce naprawdę wiedzieć, kto tego zaniedbał, muszę prędko zrobić jakiś manewr i odwrócić jego uwagę, powinien by mi się udać nieokreślony uśmiech, kaprys, zły nastrój, ale przy Ivanie nic mi się nie udaje. Jesteś zbyt przejrzysta, mówi Ivan, w każdej chwili widać, co się w tobie dzieje, graj, zagraj coś przede mną! Ale co mam

przed Ivanem zagrać? Pierwsza próba zrobienia mu wyrzutów, że wczoraj już nie zadzwonił, że zapomniał przynieść mi papierosów, że wciąż jeszcze nie wie, jakie pałę, kończy się grymasem, bo zanim na dźwięk dzwonka dopadnę do drzwi, nie ma już we mnie żadnych wyrzutów, a Ivan od razu odczytuje z mojej twarzy sytuację atmosferyczną: przejaśnienia, pogodnie, napływ ciepła, bezchmurnie, pięć godzin ładnej pogody.

Dlaczego nie powiesz od razu

Że co?

Że chcesz do mnie znów kiedyś przyjść

Ależ!

Nie pozwolę ci tego powiedzieć

77

Widzisz

Bo musisz pozostać w grze

Nie chcę żadnej gry

Ale bez gry to jest niemożliwe

Przez Ivana, który chce gry, poznałam też grupę zdań obelżywych. Pierwsze zdanie obelżywe bardzo mnie przestraszyło, ale teraz stałam się niemal chorobliwie spragniona i czekam na zdania obelżywe, ponieważ to dobry znak, kiedy Ivan zaczyna lżyć.

Małe ścierwo z ciebie, może nie?

Zawsze ze mną postawisz na swoim

Ponieważ to prawda, śmieję się

Nie patrz tak lodowato

Les hommes sont des cochons

Na tyle chyba jeszcze znasz francuski

Les femmes aiment les cochons

Rozmawiam z tobą, jak mi się podoba

Małe ścierwo z ciebie

Robisz ze mną przecież, co ci się podoba

Nie, nie odzwyczaić cię, raczej przyuczyć

Za głupia jesteś, nic nie rozumiesz

Musisz stać się wielkim ścierwem

To byłoby piękne, największym po wszystkie czasy

Tak, chcę tego, naturalnie, czemu nie?

Musisz być zupełnie inna

Z takim talentem, tak, masz go, naturalnie

Jesteś czarownicą, wykorzystaj to wreszcie

Zupełnie cię zepsuli

78

Tak, jesteś czarownicą, nie ma co bać się każdego słowa

Nie zrozumiałaś zasady?

Zdanom obelżywym zaprzecza sam Ivan, bo z moich ust nie padają żadne odpowiedzi, tylko okrzyki albo bardzo często słowa „Ależ, Ivan!”, które teraz nie są już pomyślane tak serio jak na początku.

Cóż Ivan wie o zasadzie, która mnie dotyczy? ale dziwi

mnie jednak, że w słowniku Ivana znajduje się słowo „zasada”.

Malina i ja, mimo całej odmienności, odczuwamy ten sam lęk przed naszymi imionami, tylko Ivan całkowicie godzi się na swoje, a ponieważ własne imię jest dla niego oczywiste, ponieważ identyfikuje się z nim, z przyjemnością wypowiadam je, obracam w myślach, szepczę. Jego imię stało się dla mnie używką, niezbędnym luksusem w moim nędznym życiu, staram się, żeby imię Ivana padało wszędzie w mieście, wypowiadane szeptem i cicho w myślach. Nawet kiedy jestem sama, kiedy sama chodzę po Wiedniu, w wielu miejscach mogę sobie powiedzieć: tędy szłam z Ivanem, tam czekałam na Ivana, „Pod Lipą” byłam z Ivanem na obiedzie, na Kohlmarkt piłam z Ivanem kawę z ekspresu, tutaj Ivan kupuje koszule, tam jest biuro podróży Ivana. Chyba nie będzie musiał zaraz znowu jechać do Paryża czy Monachium! A tam, gdzie nie byłam z Ivanem, mówię sobie: powinnam tu kiedyś przyjść z Ivanem, muszę to Ivanowi pokazać, chciałabym kiedyś wieczorem popatrzeć z Ivanem na miasto z Cobenzl albo z wysokościowca przy Herrengasse. Ivan natychmiast reaguje, zrywa się, kiedy się go woła,

79

Malina zaś ociąga się, i ja się ociągam, kiedy o mnie chodzi. Dlatego Ivan dobrze robi, nie zawsze nazywając mnie po imieniu, lecz nadając mi parę przezwisk, które przyjdą mu akurat do głowy, albo mówiąc „panienko”. Znowu zdradziłyśmy się, panienko, to haniebne, ale niedługo odzwyczaimy się od tego. Glissons. Glissons.

Mogę zrozumieć, że Ivan nie interesuje się Maliną. Zachowuję zresztą środki ostrożności, żeby jeden drugiemu nie wchodził w drogę. Ale nie bardzo rozumiem, dlaczego Malina nigdy nie mówi o Iwanie. Nie wspomina o nim, choćby mimochodem, unika, niezwykle zrecznie, przysłuchiwania się moim rozmowom telefonicznym z Ivanem czy spotkania go na klatce schodowej. Udaje, że wciąż jeszcze nie zna wozu Ivana, chociaż moje auto bardzo często stoi przed albo za wozem Ivana na Miinzgasse, a kiedy rano, żeby Malina nie spóźnił się do Arsenalu, wychodzę z nim z domu, aby raz dwa podrzucić go ten krótki kawałek do Arsenalgasse, powinien by zauważyć, że na samochód Ivana nie patrzę jak na zawalidrogę, lecz witam czule, przesuвам po nim dłonią, nawet jeśli jest mokry lub zakurzony, i stwierdzam z ulgą, że numer pozostał przez noc ten sam, W 99.823. Malina wsiada, ja czekam na zbawcze, drwiące słowo, na zawstydzającą uwagę, na jakąś zmianę w jego twarzy, ale Malina dręczy mnie swoim nienagannym opanowaniem, niezmaconym zaufaniem. Podczas gdy ja czekam w napięciu na wielkie wyzwanie, Malina opowiada mi szczegółowo, jak wygląda jego tydzień, dzisiaj będą zdjęcia filmowe w panteonie, on ma konferencję z referentami broni,

mundurów i orderów, dyrektor wyjechał z odczytem do Londynu i dlatego on musi iść sam na aukcję broni i obrazów, nie chce jednak o niczym decydować, młody

80

Montenuovo dostanie ostateczne zaszeregowanie, w sobotę i niedzielę tego tygodnia Malina ma dyżur. Zapomniałam, że to w tym tygodniu znów jego kolej, i Malina musi spostrzec, że zapomniałam, bo popełniłam błąd, zbyt otwarcie okazałam zaskoczenie, ale on wciąż jeszcze oszukuje się, jak gdyby nie było tu nikogo i niczego, jak gdyby był tylko on i ja. Jak gdybym myślała o nim - jak zawsze.

Rozmowę z panem Miihlbauerem, który pracował dawniej dla „Wiener Tagblatt” i bez skrupułów przeniósł się do politycznej konkurencji, do „Wiener Nachtausgabe”, odkładałam już parę razy, szukałam wybiegów, ale pan Muhlbauer ze swoją wytrwałością, swoim całowaniem rączek przez telefon, dopina jednak celu, każdy myśli z początku, jak ja, że ulega, aby wreszcie się go pozbyć, ale potem przychodzi ten dzień, słowo się rzekło, pan Muhlbauer, który przed laty jeszcze musiał robić notatki, teraz obsługuje magnetofon, pali belwedery i nie odmawia szklaneczki whisky. Choć wszystkie ankiety i ich pytania są jakoś do siebie podobne, temu Miihlbauerowi przypada jednak zasługa dojścia w niedyskrecji wobec mnie do ostatecznych granic.

1. Pytanie:.....?

Odpowiedź: Stosunek do czasu? Nie wiem, czy pana zrozumiałam. Jeśli ma pan na myśli dzisiaj, to wołałabym nie odpowiadać, w każdym razie dzisiaj nie. Jeśli wolno mi pytanie zrozumieć inaczej, stosunek do czasu w ogóle, to nie jestem żadną instancją, nie, chcę powiedzieć, że nie jestem miarodajna, moja opinia nie jest miarodajna, nie mam zresztą żadnej opinii. Wspomniał pan, że żyliśmy w wielkich czasach, a ja nie byłam naturalnie przygotowana na wielkie czasy, któż mógłby coś takiego przeczuć, chodząc jeszcze

81

do przedszkola czy do niższych klas, później naturalnie, w szkole i na uniwersytecie, była mowa o zdumiewająco dużej ilości wielkich czasów, o wielkich wydarzeniach, wielkich ludziach, wielkich ideach...

2. Pytanie:.....?

Odpowiedź: Mój rozwój... Ach, pyta pan o rozwój duchowy. W lecie robiłam długie spacerunki na Gorię i leżałam na trawie. Niech pan wybaczy, to jednak łączy się z rozwojem. Nie, wołałabym nie mówić, gdzie jest Goria, bo jeszcze zostanie sprzedana i zabudowana, jest to dla mnie myśl nie do zniesienia. Wracając do domu, musiałam przejść przez nasyp kolejowy bez szlabanu, było to czasem niebezpieczne, bo nie widziało się nadjeżdżającego pociągu, zasłoniętego krzakami leszczyny i grupą jesionów, obecnie jednak nie trzeba tam przechodzić przez tory, idzie się tunelem.

(Pokasływanie. Osobliwa nerwowość pana Miihlbauera, która mnie denerwuje).

Na temat wielkiego czasu, wielkich czasów przychodzi mi jednak coś na myśl, ale nie powiem panu nic nowego: historia uczy, ale nie ma uczniów.

(Uprzejme potakiwanie pana Miihlbauera).

Kiedy rzeczywiście zaczyna się rozwój, to przyzna pan...

Tak, chciałam studiować prawo, po trzech semestrach przerwałam studia, w pięć lat później zaczęłam jeszcze raz i po jednym semestrze znów przerwałam, nie mogłam zostać sędzią czy prokuratorem, ale adwokatem też nie chciałam być, nie wiedziałabym po prostu, kogo albo co potrafiłabym reprezentować, kogo albo czego bronić. Wszystkich i nikogo, wszystko i nic. Widzi pan, drogi panie Muhlhofer, przepraszam, panie Muhlbauer, co pan, jako że wszyscy przecież podlegamy niezrozumiałemu prawu, zrobiłby na moim miejscu...

82

(Znak pana Miihlbauera. Nowa przeszkoda. Pan Muhlbauer musi zmienić taśmę).

... Dobrze, jak pan sobie życzy, będę wyrażać się bardziej zrozumiale i zaraz przejdę do rzeczy, chciałabym tylko jeszcze powiedzieć, że te ostrzeżenia istnieją, zna je pan, bo sprawiedliwość jest tak dręcząco bliska, a to, co mówię, nie wyklucza wcale, że nie jest ona niczym innym jak pragnieniem nieosiągalnej czystej wielkości, dlatego jednak jest dręcząca i bliska, ale w tej bliskości nazywamy ją niesprawiedliwością. Poza tym jest to dla mnie zawsze męka, ilekroć muszę iść przez Museumstrasse, koło Pałacu Sprawiedliwości, albo znajdę się przypadkiem w pobliżu Parlamentu, choćby na Reichstrasse, gdzie muszę na niego patrzeć, niech pan tylko pomyśli o słowie „pałac” w połączeniu ze sprawiedliwością, to ostrzeżenie, tam nie można nawet głosić bezprawia, a co dopiero prawa. W rozwoju nic przecież nie pozostaje bez następstw, a ten codzienny pożar Pałacu Sprawiedliwości...

(Szept pana Miihlbauera: 1927, 15 lipca 1927!)

Codzienny pożar tak upiornego pałacu z jego olbrzymimi posągami, olbrzymimi rozprawami i obwieszczeniami, które nazywa się wyrokami! To codzienne palenie...

(Pan Muhlbauer zatrzymuje taśmę i pyta, czy może zmazać ostatni kawałek, mówi „zmazać” i już zmazuje).

... Jakie przeżycia wpłynęły... ? Jakie sprawy wywarły na mnie największe wrażenie? Kiedyś przejmowało mnie zgrozą, że urodziłam się akurat w synklinie, nie za wiele z tego rozumiem, ale geotropizm musi być wtedy dla człowieka nieunikniony, wywołuje przecież jedyną w swoim rodzaju zmianę kierunku.

(Konsternacja pana Miihlbauera. Pośpieszne machanie).

83

3. Pytanie:.....?

Odpowiedź: Ja o młodzięży? Nic, naprawdę nic, w każdym razie dotychczas nigdy jeszcze nie zastanawiałam się nad tym, muszę tu bardzo pana prosić o wyrozumiałość, ponieważ większości pytań, jakie mi pan stawia, w ogóle bardzo wielu pytań, jakie kieruje się do mnie, nigdy jeszcze sobie nie zadawałam. Dzisiejsza młodzięż? Ale tu musiałabym zastanowić się również nad dzisiejszą starością i nad ludźmi, którzy nie są już dzisiaj młodzi, ale też nie są jeszcze starzy, to takie trudne, wyobrazić sobie te obszary, te dziedziny, działy młodzięży i starości. Abstrakcja, wie pan, nie jest chyba moją mocną stroną, od razu widzę wtedy takie tłumy, na przykład dzieci na placach zabaw, przyznaję, że tłum dzieci jest dla mnie czymś szczególnie przerażającym, nie potrafię też pojąć, jak dzieci mogą wytrzymać wśród tylu dzieci. Dzieci rozdzielone między dorosłych to jeszcze ujdzie, ale czy był pan już kiedyś w szkole? Żadne dziecko, które nie jest niedorozwinięte albo bezdennie zepsute, ale większość chyba jest taka, nie może pragnąć żyć w gromadzie dzieci, mieć problemy innych dzieci i prócz kilku dziecięcych chorób dzielić coś jeszcze z innymi dziećmi, choćby rozwój. Widok każdego większego zgromadzenia dzieci jest już dlatego alarmujący...

(Pan Miihlbauer macha obiema rękami. Najwyraźniej nie jest to znak aprobaty).

4. Pytanie:.....?

Odpowiedź: Moje ulubione co? Ulubione zajęcie, bardzo słusznie, tak pan powiedział. Nigdy nie jestem zajęta. Zajęcie przeszkadzałoby mi, straciłabym jakąkolwiek orientację, wszelkie rozeznanie, niczym nie mogę się zająć w tym ogólnym zaaferowaniu, na pewno i pan dostrzega to szaleńcze zaaferowanie w świecie, słyszy te piekielne hałasy,

84

które mu towarzyszą. Zabroniłabym wszelkich zajęć, gdybym mogła, ale mogę ich zabronić tylko samej sobie, dla mnie jednak pokusy nie były zbyt duże, nie poczytuję sobie tego za zasługę, są to pokusy najzupełniej dla mnie niepojęte, nie chcę przedstawiać siebie lepszą, niż jestem, znam przecież pokusy, których nie śmiem wypowiedzieć, każdy wystawiony jest na najcięższe pokusy, ulega im i zwalcza je beznadziejnie, proszę, nie w obecności... Wolałabym tego nie mówić. Moje ulubione... jak pan powiedział? Krajobrazy, zwierzęta, rośliny? Ulubione? Książki, muzyka, style architektoniczne, malarstwo? Nie mam ulubionych zwierząt, ulubionych moskitów, ulubionych chrząszczy, ulubionych robaków, mimo najlepszych chęci nie mogę panu powiedzieć, które ptaki, ryby czy drapieżniki wolę, trudno by mi też było wybierać, w szerszym zakresie, między światem organicznym a nieorganicznym.

(Pan Miihlbauer wskazuje zachęcająco na Frances,

która weszła cicho, ziewa, przeciąga się, a potem jednym susem wskakuje na stół. Pan Miihlbauer musi zmienić taśmę. Krótka rozmowa z panem Miihlbauerem, który nie wiedział, że mam w domu koty, mogłaby pani powiedzieć coś ładnego o swoich kotach, mówi pan Miihlbauer z wyrzutem, koty nadałyby całej sprawie osobistego zabarwienia! Patrzę na zegarek i mówię nerwowo, ależ koty to tylko przypadek, nie mogę ich tu w mieście zatrzymać, koty nie wchodzi w rachubę, przynajmniej te koty, a ponieważ teraz i Trollope* wchodzi do pokoju, wściekła wypędzam obydwu. Taśma biegnie).

* Imiona kotów bohaterki nawiązują do Frances Trollope, angielskiej powieściopisarki (1779-1863).

85

4. Pytanie:.....? (Po raz drugi).

Odpowiedź: Książki? Tak, dużo czytam, zawsze dużo czytałam. Nie, nie wiem, czy się rozumiemy. Najchętniej czytam na podłodze, także na łóżku, prawie wszystko na leżąc, nie, nie tyle chodzi przy tym o książki, liczy się przede wszystkim czytanie, czarne na białym, litery, sylaby, wiersze, te nieludzkie utrwalenia, znaki, te ustalenia, to zastygłe w wyraz szaleństwo, które wydobywa się z ludzi. Niech mi pan wierzy, wyraz jest szaleństwem, wypływa z naszego szaleństwa. Liczy się również przewracanie kartek, gonitwa od jednej strony do drugiej, ucieczka, współudział w szaleń - czym, zakrzepłym wylewie, liczy się nikczemność przerzut - ni, ubezpieczenie życia w jednym jedynym zdaniu, ubezpie - czenie wtórne zdań w życiu. Czytanie jest nałogiem, który może zastąpić wszystkie inne nałogi lub czasami zamiast nich intensywniej pomaga wszystkim żyć, jest wyuzdaniem, nieszczęsną manią. Nie, nie zażywam narkotyków, zażywam książki, i ja oczywiście mam swoje upodobania, wiele książek nie znajduje do mnie przystępu, jedne łykam tylko przed południem, inne tylko w nocy, są książki, od których się nie odrywam, chodzę z nimi po mieszkaniu, przenoszę z pokoju do kuchni, czytam na stojąco w korytarzu, nie uży - wam zakładek, przy czytaniu nie poruszam ustami, już wcześniej nauczyłam się bardzo dobrze czytać, nie pamię - tam metody, ale pan powinien się tym kiedyś zainteresować, w naszych szkołach powszechnych na prowincji musiała być znakomita, przynajmniej wówczas, kiedy ja nauczyłam się tam czytania. Tak, mnie też to uderzyło, ale dopiero później, że w innych krajach ludzie nie umieją czytać, w każdym razie nie tak szybko, ale tempo jest ważne, nie tylko koncentracja, proszę pana, ktoś potrafi bez wstrętu przeżuwać proste czy skomplikowane zdanie, powtarzać je oczyma lub zgola usta - mi; zdanie, które składa się tylko z podmiotu i orzeczenia,

86

trzeba przelykać szybko, zdanie z wieloma przydawkami właśnie dlatego trzeba brać w błyskawicznym tempie, niedo-

strzegalnym slalomem źrenic, gdyż inaczej się nie poddaje, a zdanie musi się czytelnikowi „podać”. Nie umiałabym „przedzierać się” przez książkę, graniczyłoby to przecież z zajęciem. Bywają ludzie, powiadam panu, ludzie, w dziedzinie czytania doznaje się najosobliwszych niespodzianek. .. Mam co prawda słabość do analfabetów, nawet tutaj znam kogoś, kto nie czyta, nie chce czytać; przebywanie w stanie niewinności jest bardziej zrozumiałe dla człowieka, który popadł w nałóg czytania, nie powinno się czytać w ogóle albo powinno się umieć czytać naprawdę...

(Pan Miihlbauer przez pomyłkę zmazał taśmę. Przepraszamy ze strony pana Miihlbauera. Wystarczy, jeśli powtórzę tylko parę zdań).

Tak, czytam dużo, ale wstrząsy, zdarzenia o długotrwałym wpływie to jeden rzut oka na stronę, wspomnienie pięciu słów na stronie 21 u dołu po lewej: *Nous allons a l'Esprit**. To słowa na plakacie, nazwiska z tabliczek na domach, tytuły książek, które niesprzedane zostają na wystawie, ogłoszenie w piśmie ilustrowanym, wypatrzone w poczekalni u dentysty, napis na pomniku, na nagrobku, który wpadł mi w oko: „Tutaj spoczywa”. Przy kartkowaniu książki telefonicznej imię: Euzebiusz. Zaraz przejdę do rzeczy... W zeszłym roku przeczytałam na przykład: „nosił mienszykowa”, nie wiem dlaczego, ale od razu byłam całkowicie przekonana, że kimkolwiek był ten człowiek, wyłaniający się z tego zdania, nosi, musi nosić mienszykowa, że ważne było dla mnie dowiedzieć się o tym, że należy to nieodwołalnie do mojego życia. Lecz przechodząc do rzeczy, chciałam powiedzieć, że przez cały dzień i noc nie zdołała-

* Cytat z „*Une saison en enfer*” Artura Rimbauda.

87

bym wyliczyć panu książek, które wywarły na mnie największe wrażenie, ani wyjaśnić, dlaczego, w którym fragmencie i na jak długo. Co mi pozostało w pamięci, zapyta pan, ale nie chodzi przecież o pozostawanie! tylko kilka zdań, kilka wyrażeń budzi się stale w mózgu, odzywa się latami: *Sława nie ma białych skrzydeł. Avec ma main brulee, j'ecris sur la nature du feu. In fuoco Pamor mi mise, in fuoco d'amor mi mise. To the only begetter...*

(Machanie ręką i rumieniec z mojej strony, pan Muhlbauer musi to natychmiast zmazać, to nikogo nie obchodzi, byłam nierozważna, dałam się ponieść, czytelnicy gazet w Wiedniu i tak nie zrozumieliby po włosku, a większość i po francusku, zwłaszcza młodszy, zresztą to nie ma nic do rzeczy. Pan Muhlbauer chce się zastanowić, nie całkiem nadażył, on też nie zna włoskiego i francuskiego, ale był już dwa razy w Ameryce i słowo „begetter” w podróży nie obilo mu się o uszy).

5. Pytanie:.....?

Odpowiedź: Dawniej umiałam tylko litować się nad

sobą, czułam się tutaj upośledzona, jak ktoś wyzuty z dziedzictwa, później nauczyłam się litować nad ludźmi gdzie indziej. Myli się pan, drogi panie Muhlbauer. Jestem w zgodzie z tym miastem i jego znikomym otoczeniem, które znalazły się poza nawiasem historii.

(Niemieły przestrach pana Miihlbauera. Niewzruszona kontynuacja mojej przemowy).

Można by też powiedzieć, że tutaj, jako przykład dla świata, pewne imperium zostało usunięte z historii, ze swoimi praktykami i ozdobionymi wianuszkami idei taktykami, cieszę się bardzo, że tutaj mieszkam, bo z tego miejsca w świecie, gdzie nic już się nie dzieje, patrzy się na świat z dużo większym przerażeniem, bez faryzeizmu, bez zarozu-

88

miałości, gdyż nie ma tu ocalałej wyspy, lecz w każdym miejscu jest zagłada, wszystko jest zagładą, z zagładą dzisiejszych i jutrzejszych imperiów przed oczami.

(Rosnący przestrach pana Miihlbauera, przypomina mi się „Wiener Nachtausgabe”, może pan Muhlbauer boi się już o posadę, muszę myśleć trochę i o panu Miihlbauerze).

Coraz chętniej mówię, jak mawiano dawniej: dom Austria, bo kraj byłby dla mnie za duży, za obszerny, za niewygodny, krajem nazywam tylko mniejsze jednostki. Kiedy patrzę z okna pociągu, myślę: jaki tu piękny kraj. Kiedy nadchodzi lato, chciałabym pojechać gdzieś w kraju, do Salzkammergut albo do Karyntii. Widzi się przecież, co się dzieje z ludźmi, którzy mieszkają w prawdziwych krajach, ile muszą brać na swoje sumienie, nawet jeśli niewiele albo zgoła nic nie mają wspólnego z haniebnymi czynami swoich hałaśliwych, pyszniących się wielkością krajów, nie ciągną zysków z pomnażania potęgi i jej rezerw. Mieszkać w jednym domu razem z innymi to już wystarczający powód do obaw. Ależ, drogi panie Muhlbauer, ja tego wcale nie powiedziałam, w chwili kiedy mówię, nie chodzi przecież o republikę, która dziecku nadaje imię, kto tu powiedział coś przeciwko niepozornej, małej, nieuczzonej, uszkodzonej, ale nieszkodliwej republice? przecież ani pan, ani ja, nie ma powodu do niepokoju, niech pan się uspokoi, ultimatum postawione Serbii jest już od dawna nieaktualne, zmieniło tylko parę śmieci i tak wątpliwego świata i doprowadziło do ruiny, dawno już przeszło się do nieporządków dziennych nowego świata. Że nie ma nic nowego pod słońcem, nie, tego nigdy bym nie powiedziała, jest nowe, jest, niech pan będzie spokojny, tylko, panie Muhlbauer, patrząc stąd, gdzie nic już się nie dzieje, to zresztą dobrze, trzeba przeszłość odcierpieć do końca, nie jest ona pańska ani moja, ale kto o to pyta, trzeba odcierpieć sprawę, inni nie mają na

89

to czasu, w swoich krajach, w których pracują, planują i działają, siedzą w swoich krajach, ci prawdziwi niewspółcześni,

bo są niemi, są niemymi, którzy zawsze rządzą. Zdradzę panu straszną tajemnicę: mowa jest karą. Wszystkie rzeczy muszą w nią wejść i przemiąć w niej wedle swojej winy i jej rozmiarów.

(Oznaki wyczerpania u pana Miihlbauera. Oznaki wyczerpania u mnie).

6. Pytanie:.....?

Odpowiedź: Rola pośrednika? Posłannictwo? Misja duchowa? Czy pan już kiedy w czymś pośredniczył? To niewdzięczna rola, tylko żadnych więcej posłannictw! I nie wiem, czy to wypełnianie misji... Widzieliśmy przecież, co z tego wszędzie wynikało, nie rozumiem pana, ale patrzy pan z wyższego punktu widzenia, a wyższe, jeśli istnieje, jest bardzo wysoko. Prawdopodobnie zbyt boleśnie wysoko, żeby choć przez godzinę, w rozrzedzonym powietrzu, stać się przedmiotem zabiegów, jak więc wraz z innymi zabiegać o wyższe, skoro trzeba się przedtem zdobyć na najniższe poníženie, albo: sprawy ducha, nie wiem, czy zechce pan jeszcze mnie słuchać, pański czas jest przecież ograniczony, pańska szpalta w gazecie również, wymagają ciągłych upokorzeń, trzeba iść w dół, nie w górę czy poza, na ulicę i do innych, są po prostu hańbą, to niemożliwe, to dla mnie niepojęte, jak dochodzi się do tych górnolotnych wyrażen. Po kim można tu spodziewać się posłannictwa, co tu zdziałać misją! Nie sposób sobie tego wyobrazić, mnie to przygnębia do reszty. Może jednak miał pan na myśli administrowanie lub archiwizowanie? Zrobiliśmy już początek, zaczynając od pałaców, zamków i muzeów, nasze Nekropolis zostało zbadane, opatrzone etykietami, opisane w najdrobniejszych szczegółach na emaliowanych tabliczkach. Dawniej nie mie-

90
liśmy nigdy stuprocentowej pewności, który to jest pałac Trautsona, a który Strozziiego, gdzie stoi szpital św. Trójcy i jaką ma za sobą historię, ale teraz dajemy sobie radę bez specjalnej wiedzy, także bez przewodników, a bliskie znajomości, jakich wymagałoby dostanie się do pałacu Palffy'ego albo na Trakt Leopoldyński w Hofburgu, nie są już potrzebne, należało powiększyć administrację.

(Zakłopotany kaszel pana Miihlbauera).

Jestem naturalnie przeciwko wszelkiej administracji, przeciwko tej powszechnej biurokracji, w której władaniu znalazło się wszystko, od ludzi i ich wizerunków, po stonkę ziemniaczaną i jej podobizny, co do tego nie ma pan wątpliwości. Ale tutaj chodzi o coś innego, o obrzędowe administrowanie królestwem zmarłych, nie wiem, z jakiego powodu pan albo ja mielibyśmy być dumni, chcieli ściągać na siebie uwagę świata festiwalami, koncertami, tygodniami muzycznymi, latami ku czci, dniami kultury, świat najlepiej by zrobił, umyślnie odwracając wzrok, żeby nie przestraszyć się tym, co go jeszcze czeka, w najlepszym razie, a im ciszej

tutaj, im tajniej pracują nasi grabarze, w im większym ukryciu odbywa się wszystko, im bardziej niesłyszalnie gra się i dopowiada do końca, tym większa może stałaby się prawdziwa ciekawość, krematorium Wiednia to jego duchowa misja, widzi pan, jednak znaleźliśmy misję, wystarczy się tylko rozgadać na dobre, ale zamilczmy o tym, nasze śmiecie tutaj, w miejscu najbardziej kruchym, zagrzało parę głów do myślenia i spaliło je, żeby zaczęły wywierać wpływ, lecz zadają sobie pytanie, pan pewnie też, czy przypadkiem każdy wpływ nie wywołuje również nowego nieporozumienia... (Zmiana taśmy. Pan Miihlbauer jednym haustem opróżnia swoją szklanke).

91

6. Pytanie:.....? (Po raz drugi. Powtórzenie).

Odpowiedź: Najmilsze było mi zawsze wyrażenie „dom Austria”, bo lepiej mi tłumaczyło, co mnie łączy, niż wszelkie wyrażenia, które mi podsuwano. Musiałam żyć w tym domu w różnych czasach, bo przypominam sobie od razu siebie na uliczkach Pragi i w porcie triesteńskim, śnię po czesku, po słoweńsku, po bośniacku, czułam się zawsze jak u siebie w tym domu i, poza snem w tym wyśnionym domu, nie mając najmniejszej chęci, by jeszcze raz w nim zamieszkać, objąć w posiadanie, rościć sobie prawo, bo przypadły mi kraje koronne, ja abdykowałam, złożyłam najstarszą koronę w kościele Am Hof. Niech pan sobie wyobrazi, że po dwu ostatnich wojnach za każdym razem nowa granica miała przebiegać przez środek wsi Galicien. Galicien, której poza mną nikt nie zna, która dla innych ludzi nic nie znaczy, której nikt nie odwiedza i nie podziwia, trafiała zawsze wprost pod pióro na mapach sztabowych aliantów, ale w obu wypadkach, za każdym razem z innych powodów, pozostała jednak przy tym, co dziś nazywa się Austrią, granica znajduje się ledwie o parę kilometrów od wsi, w górach, a latem 1945 bardzo długo nie zapadała decyzja, zostałam tam ewakuowana, zastanawiałam się, co ze mną będzie w przyszłości, czy zaliczą mnie ze Słoweńcami do Jugosławii, czy z Karyntczykami do Austrii, było mi żal, że nie uważałam na lekcjach słoweńskiego, ponieważ francuski przychodził mi łatwiej, nawet łacinie okazywałam większe zainteresowanie. Galicien pozostałaby naturalnie sobą, pod każdą flagą, i zbyt nie zaprzętałyśmy sobie tym głowy, ponieważ nigdy nie zajmowaliśmy się ekspansjami, w rodzinie mówiło się zawsze: kiedy to się skończy, znów pojedziemy do Lipicy, musimy odwiedzić naszą ciotkę w Brnie, co się tam dzieje z naszymi krewnymi w Czerniowcach, powietrze we Friuli

92

jest lepsze niż tutaj, jak dorośniesz, musisz pojechać do Wiednia i Pragi, jak dorośniesz...

Chcę przez to powiedzieć, że zawsze ze spokojem i apatią uznawaliśmy realia, było nam zupełnie obojętne, którym

krajom przypadły lub jeszcze przypadną te czy inne miejscowości. Mimo to inaczej jechałam do Pragi niż do Paryża, tylko w Wiedniu żyłam za każdym razem swoim życiem, nie realnie, ale i nie w zagubieniu, tylko w Trieście nie czułam się obco, ale staje się to coraz bardziej obojętne. Nie jest to konieczne, ale chciałabym kiedyś, i to szybko, może jeszcze w tym roku, pojechać do Wenecji, której nie poznam nigdy.

7. Pytanie:.....?

Odpowiedź: Myślę, że to nieporozumienie, mogłabym zacząć jeszcze raz i odpowiedzieć panu dokładniej, jeśli ma pan do mnie cierpliwość, a gdyby przy tym wynikło jednak jakieś nieporozumienie, byłoby przynajmniej nowe. Nie możemy jeszcze bardziej powiększać zamieszania, nikt nas przecież nie słucha, gdzie indziej też padają teraz pytania i odpowiedzi, bierze się na cel jeszcze dziwniejsze problemy, każdego dnia przygotowywane na dzień następny, wymyśla się problemy i puszcza je w obieg, nie ma problemów, słyszy się tylko, że o nich mówią, i dlatego mówi się o nich. Ja też słyszałam tylko o problemach, sama nie mam żadnych, moglibyśmy złożyć ręce na kolanach i napić się, czy to nie byłoby fajne, panie Miihlbauer? Ale w nocy i osamotnieniu powstają eratyczne monologi, które pozostają, bo człowiek jest mroczną istotą, jest panem siebie tylko w ciemności, a w dzień powraca do niewoli. Pan jest teraz moim niewolnikiem, mnie zaś uczynił pan swoją niewolnicą, pan, niewolnik swojej gazety, która nie powinna raczej nosić nazwy „Nachtausgabe”, pańska niewolniczo zależna gazeta dla tysięcy niewolników...

93

(Pan Miihlbauer wciska klawisz i wyłącza magnetofon.

Nie słyszałam, żeby powiedział: dziękuję pani za rozmowę. Pan Miihlbauer jest ogromnie zakłopotany, gotów do powtórzenia, już jutro. Gdyby tu była panna Jellinek, wiedziałabym, co powiedzieć: na przeszkodzie stanie mi to czy tamto, będę chora albo wyjadę. Nie będę mogła, mam umówione spotkanie. Pan Miihlbauer stracił całe popołudnie, nie daje tego poznać po sobie, skwaszony pakuje magnetofon i żegna się, mówi: Rączki całuję).

Do Ivana przez telefon:

Och, nic specjalnego, ja tylko

Jaki ty masz zmieniony głos, pewnie spałeś

Nie, jestem tylko zmęczona, całe popołudnie

Jesteś sama, czy tamci

Tak, poszli, też całe popołudnie

Próbowałam całe popołudnie

Straciłam całe popołudnie

Ivan ma w sobie więcej życia niż ja. Kiedy nie jest zmęczony, wszystko w nim tętni ruchem, ale kiedy jest zmęczony, to jest zmęczony dużo bardziej niż ja, i tylko wtedy złości go różnica wieku, wie, że jest zły, chce być zły, dzisiaj musi

być na mnie wyjątkowo zły.
Jak ty się bronisz!
Dlaczego się bronisz?
Trzeba atakować, atakuj mnie!
Pokaż mi dłonie, nie, nie od wewnątrz
94

Nie umiem przecież czytać z ręki
Widać to po skórze dłoni
U kobiet od razu to spostrzegam
Ale tym razem wygrałam, bo z moich dłoni nic nie
wynika, skóra się nie marszczy. Lecz Ivan znów atakuje.
Często widzę to w twojej twarzy
Wtedy wyglądałaś staro
Nieraz wyglądasz naprawdę staro
Dzisiaj wyglądasz dwadzieścia lat młodziej
Więcej śmieję się, mniej czytaj, więcej śpij, mniej myśl
Postarza cię to, co robisz
Postarzają cię szare i brązowe suknie
Podaruj swoje żalobne suknie Czerwonemu Krzyżowi
Kto ci pozwolił na te cmentarne suknie?
Naturalnie jestem zły, mam chęć być zły
Od razu wyglądasz młodziej, wybiję ci z głowy tę starość!
Ivan, który zasnął na krótko, budzi się, ja wracam z rów-
nika, jeszcze poruszona wydarzeniem sprzed milionów lat.
Co ty robisz?
Nic, wymyślam.
Na pewno coś wielkiego!
95

Przeważnie coś wymyślam. Ivan zakrywa dłonią usta,
abym nie zauważyła, że ziewa. Musi zaraz iść. Jest za piętnaście
dwunasta. Dochodzi północ.
Właśnie wymyśliłam, jak mogłabym jeszcze zmienić
świat!
Co? Ty też? Społeczeństwo, stosunki? W tej dziedzinie
musi być dzisiaj ogromna konkurencja.
Naprawdę nie interesuje cię, co wymyślam?
Dzisiaj na pewno nie, będziesz pewnie miała potężne
natchnienie, a wynalazcom nie powinno się przeszkadzać
w pracy.
Tym lepiej, będę więc wymyślać sama, ale pozwól, że
zrobię to dla ciebie.
Nikt Ivana nie ostrzegł przede mną. Nie wie, z kim
przestaje, że zajmuje się zjawiskiem, które potrafi też
mamić, nie chcę Ivana wprowadzać w błąd, ale on nigdy nie
dostrzega mojej dwoistości. Jestem także tworem Maliny.
Ivan beztrąsko trzyma się tego, co widzi, moja cielesność
jest dla niego punktem oparcia, może jedynym, ale mnie ona
przeszkadza, nigdy, kiedy rozmawiamy, nie umiem sobie
wyobrazić, że za godzinę, pod wieczór albo późno w noc bę-
dziemy leżeli na łóżku, bo nagle mogłoby się okazać, że

ściany są ze szkła, że dach został zerwany. Nadzwyczajne opanowanie pozwala mi przedtem siedzieć naprzeciw Ivana i milczeć, palić i rozmawiać. Z żadnego gestu, z żadnego słowa nikt by się nie domyślił, co jest możliwe i że to coś staje się możliwe. W jednej chwili znaczy to: Ivan i ja. W innej chwili: my. Zaraz potem znów: ty i ja. Są to dwie

96

istoty, które niczego wspólnie nie zamierzają, nie pragną koegzystencji, wyrwania się gdzie indziej i w inne życie, zerwania, uzgodnienia panującego języka. Obywamy się też bez tłumacza, ja nie dowiaduję się niczego o Ivanie, on nie dowiaduje się niczego o mnie. Nie uprawiamy wymiany handlowej uczuć, nie działamy z pozycji siły, nie oczekujemy dostaw broni dla podtrzymania i zabezpieczenia własnego ja. Jest to gleba pulchna i żyzna, co pada na mój grunt, to wyrasta pomyślnie, rozkrzewiam się w słowach i rozkrzewiam też Ivana, płodzę nowy ród, z mojego zespolenia z Ivanem przychodzą na świat z woli Boga:

Ptaki ogniste

Lazuryty

Znikające płomienie

Krople nefrytu

Wielce Szanowny Panie Ganz,

pierwsze, co mnie u Pana raziło, to odstawianie małego palca, kiedy był Pan duszą towarzystwa i popisywał się dowcipami, które zebranych przy stole i mnie wydawały się nowe, ale mnie tylko na krótko, bo słyszałam je z Pana ust jeszcze wiele razy, w coraz to innym towarzystwie. Miał Pan taki wesoły sposób bycia. Co ostatnio zaczęło mnie razić i razi nadal, to Pańskie nazwisko. Gdy mam dziś jeszcze raz napisać Pańskie nazwisko, przychodzi mi to z trudem, a kiedy słyszę je od innych, natychmiast dostaję bólu głowy. Na własny użytek, kiedy myślenie o Panu staje się nieuniknione, celowo myślę o Panu jako „panu Genzu” albo „panu Gansie”, nieraz próbowałam już „Ginza”, ale najlepszym wyjściem pozostaje nadal „pan Gonz”, ponieważ wówczas nie oddalam się zbyt od Pańskiego nazwiska, ale gwarowym zabarwieniem mogę je troszeczkę ośmieszyć. Muszę

97

to Panu raz powiedzieć, bo słowo „cały”* pojawia się co dzień, wypowiedane przez innych, nie do uniknięcia i dla mnie, w gazetach i książkach występuje w każdym akapicie. Powinnam była mieć się na baczności z racji Pańskiego nazwiska, z którym nadal wkracza Pan w moje życie i którego używa Pan ponad miarę. Gdyby Pan nazywał się Kopecky albo Wiegele, Ullmann albo Apfelböck - miałabym spokojniejsze życie i mogłabym zapomnieć o Panu na dłużej. Nawet gdyby nazywał się Pan Meier, Maier, Mayer albo Schmidt, Schmid, Schmitt, pozostawałaby mi możliwość, ilekroć padnie to nazwisko, myślenia nie o Panu, lecz

o jednym z moich przyjaciół, który też nazywa się Meier, albo o kilku panach Schmidtach, jakkolwiek różnie się oni piszą. W towarzystwie udawałabym zdziwienie lub zaafierowanie, mogłabym przecież naprawdę pomylić Pana w pospiechu, w ferworze ogólnych i pospolitych rozmów, z innym Meierem czy innym Schmidem. Cóż za idiosynkrazje! - powie Pan. Niedawno, kiedy musiałam niemal lękać się zetknięcia z Panem, wkrótce po narodzinach nowej mody, z metalowymi sukniami, koszulami z łańcuchów, frędzlami z blachy i biżuterią z drutu kolczastego, czułam się uzbrojona na spotkanie, nawet uszu nie miałam odsłoniętych, ponieważ zawiesiłam na płatkach dwa ciężkie pęki kolców utrzymane w najpiękniejszej szarości, które przy każdym ruchu głowy sprawiały ból albo zsuwały się, bo zapomniano mi we wczesnym dzieciństwie przekłuć uszu, które u nas na wsi przekłuwa się bez litości wszystkim małym dziewczynkom, w najwrażliwszym wieku. Czemu tylko ten wiek nazywa się najwrażliwszym, tego nie rozumiem. Byłabym jednak w tej pancерnej sukni nietykalna, tak wyposażona. * W języku niemieckim „ganz” znaczy „cały” [przyp. tłum.].

98

żona, tak broniąc swej skóry, której, daruje Pan, nie będę opisywała, gdyż kiedyś znał ją Pan dobrze...

Wielce Szanowny Panie,

nigdy nie mogłam wymówić Pańskiego imienia. Często robił mi Pan z tego powodu wyrzuty. Myśl o ponownym spotkaniu nie dlatego jednak ma dla mnie coś nieprzyjemnego. Mogłam je sobie wtedy oszczędzić, ponieważ tak się złożyło, że nie zdołałam się przemóc i zrozumiałam, iż ta niezdolność do wypowiedzania pewnych imion i nazwisk, to nadmierne uczulenie na nazwiska, nie wynika z nazwisk, lecz wiąże się z pierwszą, początkową nieufnością wobec osoby, nieusprawiedliwioną z początku, ale zawsze kiedyś usprawiedliwioną. Moją instynktowną nieufność, która tylko tak mogła się wyrazić, Pan oczywiście mylnie sobie tłumaczył. Teraz, kiedy ponowne spotkanie nie jest bynajmniej wykluczone, nie wiem czasami, w jaki sposób dałoby się mu zapobiec, niepokoi mnie już tylko jedna myśl: że mógłby pan bez ceremonii mówić mi ty, owo ty, które mi pan narzucił, wie Pan, w jakich okolicznościach, i na które ja pozwalałam Panu w ciągu pamiętnie obrzydliwego intermezzo ze słabości, żeby Pana nie urazić, żeby nie ukazywać Panu granic, jakie skrycie wyznaczyłam Panu, ba, musiałam wyznaczyć. Może przyjęte jest w takich intermezzach przechodzenie na ty, lecz po ich upływie posługiwanie się takim „ty” nie powinno być dozwolone. Nie wyrzucam Panu przykrych i niewypowiedzianych wspomnień, jakie mi Pan pozostawił. Pańska gruboskórność jednak, Pański całkowity brak wyczucia mojego uwrażliwienia na „ty”, wymuszanie go na mnie i na innych budzą obawę, że w dalszym ciągu nie zdaje Pan sobie

sprawy z owego wymuszania, ponieważ ma je Pan we krwi. Zapewne jeszcze nigdy nie zastanawiał się Pan nad tym „ty”,
99

z którym obchodzi się Pan tak lekkomyślnie, i nie zadawał sobie pytania, dlaczego prędzej wybaczyłabym Panu parę trupów w Pańskiej przeszłości niż stosowanie nieustannej tortury, która polega na mówieniu i myśleniu o mnie - „ty”. Od czasu ostatniego spotkania nie przyszło mi do głowy myśleć o Panu inaczej niż w sposób jak najbardziej poprawny, niż myśleć i mówić per pan, mówić co prawda wtedy tylko, gdy jest to nieodzowne, mówić: pana Ganza znałam kiedyś przelotnie. Żeby Pan zdobył się w końcu na taką uprzejmość, to jedyna prośba, z jaką kiedykolwiek zwrócę się do Pana. Wiedeń, dnia...

Łączę ukłony

Nieznajoma

Wielce Szanowny Panie Prezesie,

Pański list przekazuje mi, w imieniu Pana i w imieniu wszystkich, życzenia z okazji urodzin. Proszę wybaczyć moje zdziwienie. Ten dzień bowiem, jak mi się wydaje, ze względu na moich rodziców, należy do sfery intymnych przeżyć dwojga ludzi, których Pan i tamci nie znają. Ja sama nigdy nie zdobyłam się na śmiałość, żeby wyobrazić sobie moje poczęcie i moje narodziny. Już wymienianie daty urodzenia, która nie dla mnie, ale dla moich rodziców musiała mieć znaczenie, wydawało mi się zawsze niedopuszczalnym naruszeniem tabu i wyjawieniem cudzych bólów czy cudzych radości, które w odczuciu człowieka wrażliwego i myślącego jest niemal karygodne. Powinnam była powiedzieć: człowieka cywilizowanego, gdyż nasze myślenie i wrażliwość są w części, w swojej uszkodzonej części, związane z cywilizacją, z naszym ucywilizowaniem, wskutek którego dawno utraciliśmy lekkomyślnie szansę, by można wymienić nas jednym tchem z najdzikszyimi z dzikich. Pan,
100

uczony dużej miary, wie lepiej ode mnie, jaką godność okazują dzicy, ostatni, niewytępieni, we wszystkim, co dotyczy narodzin, inicjacji, poczęcia i śmierci, a nas nie tylko arogancja urzędów pozbawia resztki wstydu, jeszcze przed opracowywaniem danych i kwestionariuszami działań przecież prekursorski, pokrewny duch, który pewny zwycięstwa powołuje się na to uświadomienie, wyrządzające już największe szkody wśród zdezorientowanych nieletnich. Ludzkość zostanie jeszcze poniżona całkowitą nieletniością, po ostatecznym uwolnieniu się od wszystkich tabu. Pan składa mi gratulacje, a ja muszę przekazać je w myślach niedawno zmarłej kobiecie, niejkiej Józefinie H., która figuruje w mojej metryce jako akuszerka. Jej należałoby wtedy pogratulować zręczności i gładko zakończonego porodu. Co prawda przed laty dowiedziałam się, że ten dzień wypadł

w piątek (wieczorem podobno było już po wszystkim), wiadomość, która wcale mnie nie uszczęśliwiła. Jeśli to tylko możliwe, nie wychodzę w piątek z domu, nigdy w piątek nie wyjeżdżam, jest to ten dzień w tygodniu, który wydaje mi się niebezpieczny. Pewne jest jednak także, że przyszłam na świat w „półczepku”, nie znam medycznej nazwy, nie wiem, dlaczego wśród ludu utrzymuje się wiara, że taka czy owa osobliwość u noworodka musi zwiastować szczęście lub nieszczęście. Ale powiedziałam już, że miałam tylko pół czepka, lepiej pół niż wcale, mówi się, lecz ta połówka nakrycia głowy dała mi dużo do myślenia, byłam zamyślonym dzieckiem, zamyślenie i wielogodzinne siedzenie bez ruchu to były podobno moje najbardziej uderzające cechy. Dzisiaj natomiast zapytuję się, za późno, za późno, cóż moja godna pożałowania matka mogła począć z tą dwuznaczną nowiną, z półgratulacjami za pół czepka. Kto chciałby karmić piersią swoje dziecko, wychowywać z ufnością, kiedy przyszło na świat akurat w półczepku. Co Pan, Szanowny Panie Preze-

101

sie, poczęłyby z połówką prezesury, połówką szacunku, połówką uznania, połówką kapelusza, ba, co sam Pan pocnie z tą połówką listu? Mój list do Pana nie może stać się pełnym listem, także dlatego, że moja wdzięczność za Pańskie życzenia wypływa tylko z połowy serca. Zdarza się jednak, że dostajemy niepożądane listy, a listy, którymi na nie odpowiadamy, też przez nikogo nie są pożądane...

Wiedeń, dnia...

Nieznajoma

Podarte listy leżą w koszu, kunsztownie porozrzucane i przemieszane ze zmiętymi zaproszeniami na wystawę, przyjęcie, odczyt, przemieszane z pustymi pudełkami po papierosach, obsypane popiołem i niedopałkami. Kalkę i papier maszynowy przesunęłam pośpiesznie na właściwe miejsce, żeby panna Jellinek nie zobaczyła, co robiłam od wczesnego rana. Ona jednak wpada tylko na chwilę, musi spotkać się z narzeczonym, z powodu dokumentów na zapowiedzi. Mimo to nie zapomniała kupić dwóch długopisów, ale godziny znów nie są zapisane. Pytam: dlaczego, na miłość boską, pani nie zapisała, wie pani przecież, jaka ja jestem! I szukam w jednej torebce, w drugiej, powinna bym poprosić Malinę o pieniądze, zadzwonić do niego do Arsenału, ale w końcu znalazła się koperta, wetknięta niepostrzeżenie w Dużego Dudena, opatrzona tajnym znakiem Maliny. On nie zapomina o niczym, nigdy nie muszę go o to prosić. We właściwej chwili w kuchni leży koperta dla Liny, na biurku dla panny Jellinek, w starej kasetce u mnie w sypialni znajduje się parę banknotów na fryzjera, a co kilka miesięcy parę większych banknotów na buty, bieliznę i ubranie. Nigdy nie wiem, kiedy będą na to pieniądze, ale gdy płaszcz się zniszczy, Malina zaoszczędził już dla mnie na nowy, jeszcze przed

pierwszym zimnym dniem w roku. Nie wiem, choć nieraz w domu nie ma już pieniędzy, jakim sposobem w tych drogich czasach Malina potrafi zawsze związać koniec z końcem za nas oboje, płaci punktualnie komorne, najczęściej także światło, wodę, telefon i ubezpieczenie samochodu, o które ja powinnam dbać. Tylko raz czy dwa wyłączyli nam telefon, ale to dlatego, że byliśmy w podróży, a wtedy łatwo zapominamy, bo będąc w podróży, nie każemy przysyłać sobie żadnej korespondencji i żadnych rachunków. Mówię z ulgą: znów jakoś poszło, znów nam się udało, żeby tylko teraz nie przyplątała się choroba, żeby nie przytrafiło się nam nic z zębami! Malina nie może mi dużo dawać, ale woli, żebym oszczędzała na życiu, niż skąpiła sobie paru szylingów na rzeczy, które są dla mnie ważniejsze od zapasów i pełnej lodówki. Mam niewielkie kieszonkowe, żeby móc chodzić po Wiedniu, zjeść u „Trześniewskiego” sandwicza i wypić w „Cafe Sacher” małą kawę z mlekiem, żeby po kolacji posłać elegancko kwiaty Antoinette Altenwyl, żeby Franciszce Jordan podarować na urodziny „My Sin”, żeby natrętnym, zagubionym lub wykolejonym ludziom, których nie znam, przeważnie Bułgarom, dawać bilety, pieniądze czy ubranie. Malina kręci głową, ale „nie” pada tylko wtedy, kiedy wnosi z mojego jękania, że „sprawa”, „wypadek”, „problem” przybiera olbrzymie rozmiary, którym nie zdołamy sprostać. Malina podtrzymuje wówczas „nie”, które powstało we mnie samej. Mimo to w ostatniej chwili nie daję za wygraną, mówię: Czy nie moglibyśmy jednak, gdybyśmy na przykład poprosili Attiego Altenwyla albo gdybym powiedziała małej Semmelrock, żeby porozmawiała z Bertoldem Rapatzem, ten ma przecież miliony, albo gdybyś ty zadzwonił do rady Hubalka z ministerstwa! W takich chwilach Malina odpowiada zdecydowanie: nie! Powinnam sfinansować odbudowę szkoły dla dziewcząt w Jerozolimie, powin-

nam wpłacić trzydzieści tysięcy szylingów na komitet uchodźców, jako niewielki datek, powinnam wyrównać szkody, jakie katastrofalna powódź wyrządziła w północnych Niemczech i w Rumunii, uczestniczyć w pomocy dla ofiar trzęsienia ziemi, powinnam wesprzeć finansowo rewolucję w Meksyku, Berlinie Zachodnim i La Paz, ale Martin jeszcze dziś potrzebuje pilnie tysiąca szylingów, to pożyczka tylko do najbliższego pierwszego, a na nim można polegać, Christine Wantschura potrzebuje pilnie pieniędzy na wystawę swojego męża, ale on nie może o tym wiedzieć, Christine spodziewa się dostać je później od matki, ale pokłóciła się z nią znowu, właśnie teraz. Trzej studenci z Frankfurtu nie mogą opłacić wiedeńskiego hotelu, to pilne, jeszcze pilniej Lina potrzebuje następnej raty na telewizor, Malina wyciąga pieniądze i mówi: tak, ale przy

wielkich katastrofach i przedsięwzięciach Malina mówi: nie. Malina nie ma żadnej teorii, we wszystkim decyduje pytanie: „mam, czy nie mam”. Gdyby to od niego zależało, żylibyśmy dostatnio i bez finansowych kłopotów, kłopoty finansowe ja przynoszę do domu, z Bułgarami, Niemcami, Południowymi Amerykanami, z przyjaciółkami, przyjaciółmi, znajomymi, z tymi wszystkimi ludźmi, z sytuacją na świecie i w atmosferze. Nigdy nie słyszałam, i to jest wspólne Malinie i Ivanowi, żeby ludzie zwracali się do Maliny i Ivana, to się po prostu nie zdarza, nie przychodzi im na myśl, widać ja jestem bardziej pociągająca, budzę w ludziach dużo więcej zaufania. Ale Malina mówi: Tylko tobie może to się zdarzyć, głępszej już na świecie nie ma. Ja mówię: To jest pilne.

W „Cafe Landmann” czeka na mnie Bułgar, powiedział Linie, że przyjeżdża prosto z Izraela i musi ze mną porozma-
104

wiać, zgaduję, kto mi przesyła pozdrowienia, komu mogło się przydarzyć nieszczęście, co się stało z Harrym Goldmannem, którego już dawno nie widuję w Wiedniu, mam nadzieję, że nie ma to nic wspólnego z wielką polityką, że nie powstaje żaden komitet, że nie trzeba wpłacić paru milionów, że nie będę musiała wziąć szpadla do ręki, nie mogę patrzeć na szpadle i łopaty od tego dnia w Klagenfurcie, kiedy mnie i Wilnę postawili pod ścianą i chcieli rozstrzelać, nie mogę słuchać strzałów od pewnej wojny, od pewnego karnawału, od pewnego filmu. Mam nadzieję, że to będą pozdrowienia. Okazuje się naturalnie coś zupełnie innego, a ja na szczęście mam jeszcze grypę i gorączkę 37,8, nie mogę więc zerwać się do nowych czynów i wmieszać się w coś. Nie mogę oglądać żadnych miejsc, ale jak powiem, że moje miejsce jest na Ungargasse? mój kraj na Ungargasse, który muszę utrzymywać, umacniać, mój jedyny kraj, który muszę zabezpieczać, którego bronię, o który drzę, o który walczę, gotowa umrzeć, trzymam go moimi śmiertelnymi rękami, otoczona i tutaj, nabierając oddechu przed „Cafe Landmann”, mój kraj, zagrożony zemstą wszystkich krajów. Pan Franz wita mnie już przy drzwiach, rozgląda się z powątpiewaniem po przepelnionej kawiarni, ale ja, odpowiadając krótko na powitanie, mijam go i obchodzę salę, bo nie potrzebuję stolika, jeden pan z Izraela czeka na mnie już pół godziny, to pilne. Jakiś pan trzyma w ręku ostentacyjnie rozpostarty niemiecki tygodnik „Der Spiegel”, zwrócony stroną tytułową ku wchodzącym, ale z moim panem ustaliłam tylko, że jestem blondynką i że będę w niebieskim wiosennym płaszczu, chociaż to nie wiosna, a pogoda zmienia się z dnia na dzień. Pan z tygodnikiem unosi rękę, ale sam nie wstaje, a ponieważ nikt więcej na mnie nie patrzy, on mógłby być tym człowiekiem w potrzebie. Jest nim, mówi szeptem trudno zrozumiałą niemczyzną, pytam o moich

przyjaciół w Tel-Awiiwie, Hajfie, Jerozolimie, ale ten człowiek nie zna żadnych moich przyjaciół, nie jest z Izraela, ale był tam jeszcze parę tygodni temu, ma za sobą długą podróż. Zamawiam u pana Alfreda dużą kawę z mlekiem, nie pytam: Czego pan chce ode mnie, kim pan jest? Skąd pan ma mój adres? Co pana sprowadza do Wiednia? Mężczyzna szepce: Jestem z Bułgarii. Pani nazwisko wzięłem z książki telefonicznej, to była moja ostatnia nadzieja. Stolicą Bułgarii musi być Sofia, ale mężczyzna nie jest z Sofii, pojmuję, że nie każdy Bułgar może mieszkać w Sofii, w związku z Bułgarią nic więcej nie przychodzi mi do głowy, podobno wszyscy tam żyją bardzo długo, dzięki jogurtowi, ale Bułgar nie jest stary i nie jest młody, ma twarz, którą łatwo zapomnieć, trzęsie się bez przerwy, kręci się na krzesła, łapie się za nogi. Wyciąga z teczki gazetowe wycinki, wszystkie z niemieckich dzienników, dużą stroną ze „Spiegla”, kiwa głową, mam to przeczytać, natychmiast, teraz i tutaj, wycinki omawiają pewną chorobę, morbus Buerger, Bułgar pije małą czarną, bez słowa mieszam łyżeczką moją dużą z mlekiem, czytam szybko, co zostało napisane o chorobie Buergera, zapewne niefachowo, ale ten morbus musi być jednak bardzo rzadki i niezwykle, niecierpliwie podnoszę wzrok, nie wiem, dlaczego Bułgarzy interesują się chorobą Buergera. Bułgar odsuwa się z krzesła trochę od stolika, wskazuje na swoje nogi, to on ma morbusa. W głowie wzbiera mi wzburzenie, szalony ból, to nie sen, tym razem Bułgarowi wyszedł cios, co mam począć w „Cafe Landmann” z tym mężczyzną i niesamowitym morbusem, co by teraz zrobił Malina, co zrobiłby Malina? Bułgar jednak zachowuje całkowity spokój i mówi, że lada dzień powinni mu amputować obie nogi, a pieniądze w Wiedniu mu się wyczerpały, musi jechać jeszcze do Itzehoe, gdzie specjalizują się w morbusie. Pałę, milczę i czekam, mam przy sobie

106

dwadzieścia szylingów, minęła piąta, bank jest zamknięty, a tutaj jest morbus. Od sąsiedniego stolika pan profesor Mahler tuż przed wybuchem wściekłości krzyczy: Proszę o rachunek! Pan Franz odkrzykuje radośnie: Już idę! i umyka, a ja biegnę za nim. Muszę zaraz zatelefonować. Pan Franz mówi: Stało się coś, łaskawa pani, wcale mi się łaskawa pani nie podoba, szklankę wody, Peppi, ale presto, dla łaskawej pani! Przy szatni grzebię w torebce, ale nie ma tam notesu z telefonami, szukam w książce telefonicznej numeru mojego biura podróży, pikolak, mały Peppi, przynosi szklankę wody, grzebię w torebce i znajduję pastylkę, której ze zdenerwowania nie mogę rozłamać, wsuwam całą w usta i popijam wodą, pastylka utyka mi w gardle, a mały Peppi krzyczy: Jezus-Maria-Józef, niech łaskawa pani kaszle, może powinienem pana Franza...! Ale znalazłam numer,

dzwonię, czekam i popijam wodę, łączę się z centralą, potem z wewnętrznym, pan Suchy jest jeszcze w biurze. Pan Suchy powtarza pedantycznie przez nos: Z polecenia łaskawej pani przyjdzie pewien cudzoziemiec, bilet I klasy do Itzehoe, to proste, poza tym tysiąc szylingów gotówką, nie ma pośpiechu, załatwimy, z prawdziwą przyjemnością, proszę się nie kłopotać, łaskawa pani, rączki całuję! Stoję chwilę przy szatni i palę, pan Franz, w biegu, z rozwianymi połamami fraka, spogląda uprzejmie, ja odpowiadam uprzejmym machnięciem ręki, muszę zapalić i przecze-kać. Po paru minutach wracam do stolika z morbusem. Proszę Bułgara, żeby poszedł zaraz do mojego biura podró-ży, pociąg odchodzi za trzy godziny, pan Suchy wszystko za-łatwi. Wołam: Proszę o rachunek! Pan profesor Mahler, któremu zmieszana dziękuję ukłonem za to, że mnie poznał, krzyczy głośniej: Proszę o rachunek! Pan Franz przebiega obok nas i odkrzykuje: Już idę! Kładę na stoliku dwadzieścia szylingów i oznajmiam Bułgarowi, że w ten sposób rachunek 107

jest uregulowany. Nie wiem, czego mu życzyć, ale mówię: Szczęśliwej podróży!

Ivan mówi: Znowu dałaś się nabrać.

Ależ Ivan!

Malina mówi: Znów się popisałaś, i jeszcze tysiąc szylin-gów na drogę! A ja: Przecież zwykle nie jesteś taki małost-kowy, muszę ci to dokładniej wytłumaczyć, to jest okropny morbus.

Malina odpowiada wyrozumiale: Nie wątpię w to, pan Suchy już do mnie dzwonił, twój Bułgar rzeczywiście przyszedł. A widzisz! - mówię - jeśli on nie ma morbusa i nie straci obu nóg, to przecież dobrze, ale jeśli go ma, to powinniśmy mu pomóc. Malina mówi: Nic się nie martw, już ja to jakoś załatwię.

Ani godziny dłużej nie wysiedziałybym dzisiaj z trędo-watym w „Cafe Raimund”, od razu chciałam zerwać się i pójść umyć ręce, nie z obawy przed zarażeniem, lecz żeby pozbyć się wiedzy o trądzie, która przeszła na mnie przez uścisk dłoni, w domu chciałam przemyć sobie oczy wodą Burowa, żeby moje oczy uspokoiły się po tym widoku wyżar-tej twarzy. Również przed jedynym lotem w tym roku, do Monachium, i po dwóch dniach z powrotem, bo na dłużej nie mogę ruszyć się z Ungargasse, zamówiłam taksówkę i za późno spostrzegłam, że szofer nie ma nosa, jechaliśmy już, ponieważ powiedziałam lekkomyślnie: Schwechat, lotnisko! i zauważyłam to, dopiero kiedy się odwrócił, żeby zapytać, czy może zapalić, jechałam z beznosym aż do Schwechatu i tam wysiadłam z walizką. Ale w hali dworca rozmyśliłam się i kazałam skreślić lot, odjechałam zaraz z powrotem inną taksówką. Wieczorem Malina zdziwił się, ponieważ byłam w domu, zamiast być w Monachium. Nie mogłam lecieć, to

nie był dobry omen, samolot zresztą nigdy nie doleciał do Monachium, lecz z opóźnieniem i uszkodzeniem podwozia

108
wylądował w Norymberdze. Nie wiem, dlaczego tacy ludzie stają na mojej drodze i dlaczego niektórzy stale czegoś ode mnie chcą. Dzisiaj przyszli dwaj Francuzi, których nazwisk nawet nie dosłyszałam, z polecenia, siedzieli do drugiej w nocy, bez powodu, nie wiem po prostu, dlaczego ludzie przychodzą do domu i godzinami nie odchodzą, a ja nie mogę zatelefonować. Wtedy jestem rada, że Frances i Trollope jeszcze przez jakiś czas u mnie pozostają, są moimi stołownikami, dają mi szansę wyjścia na pół godziny z pokoju, ponieważ muszą dostać kocią odżywkę i posiekane świeże płucka, potem przechadzają się zadowolone, skierowują na siebie rozmowę z obcymi i rozumieją, że ich obecność mi się przydaje.

Najpóźniej za miesiąc czas kotów naturalnie dobiega końca, wrócą na Hohe Warte albo zostaną wywiezione na wieś, Frances będzie rosła za szybko i wkrótce będzie miała małe, należałoby je potem wysterylizować, tego zdania jest również Ivan, z którym rozmawiałam o przyszłości Frances, jest raczej za niż przeciw, a ja nie dałam poznać po sobie, że nie chciałabym patrzeć, jak Frances dorasta, jak dostaje ciecзки, że powinna zostać małą kotką, która nigdy nie będzie miała małych, ponieważ chciałabym, żeby wszystko pozostało, jak jest, żeby Ivan też nie postarzał się o miesiące, w ciągu najbliższych miesięcy. Ale nie mogę też powiedzieć tego Kopecky'emu, który o kotach wie wszystko, ponieważ kiedyś miał ich dwadzieścia pięć naraz i nadal trzyma cztery, który wie wszystko o zachowaniu się małych z Rifu, o różnych gatunkach szczurów i ich fascynujących odrębnościach, ale nie potrafię słuchać, a tym bardziej zapamiętać, co on, bardzo zabawnie, opowiada o wszystkich swoich kotach, o zazdrości syjamskiej kotki, Rose ze Stambułu, o samobójstwie jego ulubienicy, persjanki Aurory, która, on ciągle tego nie może pojąć, rzuciła się z okna. Frances nie jest kotką

109
syjamską ani perską, tylko delikatnie prążkowaną środkowo-europejską kotką podwórzową, rodem z Wiednia, bez rasy, a Trollope, jej brat, urodził się biały z kilkoma czarnymi plamami, to flegmatyk, zadowolony z życia, który nigdy nie miauczy żałośnie jak Frances, kocur mruczący jak się patrzy, który wskakuje mi do łóżka, siada na plecach, kiedy czytam, posuwa się do ramion i razem ze mną patrzy w książki. Bo Frances i Trollope najchętniej czytają ze mną. Kiedy je odpędzam, wdrapują się na bibliotekę i chowają za książkami, nie szcędzą wysiłku, aż parę książek wysunie się i spadnie z trzaskiem na podłogę. Wtedy znowu wiem, gdzie się schowały i wyprawiają swoje brewerie. Najwyższy czas, żeby Bela i Andras odzyskali swoje koty i żeby matka Ivana wyprawi-

ła je na wieś. Panu Kopecky'emu powiedziałam jedynie, że zatrzymuję je tylko na pewien czas, póki moi przyjaciele, jacyś tam, bliżej nieokreśleni przyjaciele, nie wrócą do Wiednia z podróży. Malinę proszę natomiast, żeby zdobył się jeszcze na trochę cierpliwości, on nie ma nic przeciw kotom, ale nie chce w naszym mieszkaniu kotów, które rozrzucają mu papiery, pustoszą biurko i w chwilach, kiedy najmniej się tego spodziewamy, zrzucają książki z biblioteki, są czymś, czego nie potrafi znieść na stałe. Od niedawna w całym mieszkaniu czuje kocią urynę, ja przyzwyczajam się do tego zapachu, ale Lina jest po stronie Maliny, stawia ultimatum: ona albo koty.

Malina mówi: To jeszcze jeden z twoich szczęśliwych pomysłów, do skrzynki z piaskiem nigdy ich nie przyzwyczajaisz, one nie traktują cię poważnie, kup sobie świnki morskie, kanarki albo papugi, nie, papug jednak nie, one są zbyt hałaśliwe! Malina nie ma zrozumienia dla buszujących kotów, które należą do dwojga dzieci, Malina dba o swój spokój, nie podziela zdania, że Frances i Trollope są miłe, zmyślnie i zabawne. Ale kiedy zapomnę nakarmić te miłe HO

koty, Malina o tym pomyśli, zrobi to, jakby robił zawsze, nigdy nie zapomni. Taki właśnie jest Malina i taka niestety jestem ja.

Dzisiaj Lina na serio powraca do tego, że rok temu chciałam przecież przestawić mieszkanie, nie mieszkanie naturalnie, tylko trzy meble, a zanim zdąży mi wyłożyć, że czas już coś zrobić, mówię lekko: Innym razem, zawołamy wtedy dwóch mężczyzn do pomocy! Lina sapie: Mężczyzn! Łaskawa pani, do tego nie potrzeba nam żadnych mężczyzn! Przesunęła już moją sekretkę o pięć centymetrów, więc i ja przykładam ręki, ostatecznie to jest moja sekretka, ale ona ani drgnie, wydaje się cięższa niż tysiąc metrów sześciennych dębiny, proponuję Linie, żeby najpierw ulżyć sekretce, opróżnić szuflady, mamrocze: Nie mogłaby pani przy okazji, przy tej jedynej okazji, doprowadzić szuflad do ładu, nie, nic nie powiedziałam... Spoglądam w skupieniu na kurz z kilku lat. Lina dzisiaj nie sposób dotknąć, kiedy indziej na pewno by powiedziała, że tak czy owak co tydzień tutaj „uładza”. Lina sapie okropnie: Rączki całuję, ale ten grat ma wagę!

Ja: Ależ, Lino, najlepiej zawołać teraz dwóch mężczyzn, postawimy każdemu piwo, damy po dziesięć szylingów i basta. Bo Lina powinna zrozumieć, jak jest dla mnie cenna, jaką wartość ma dla mnie jej siła, że byłabym gotowa wielu mężczyznom postawić wiele piw, bo przecież Malinie i mnie ona jest niezbędna. Oboje z Maliną nie życzymy sobie, żeby nabawiła się u nas raptury albo zawału, nie musi dźwigać żadnych szaf i komód. To nie ja, to Lina jest silniejsza, we dwie taszczy my sekretkę z pokoju do pokoju, chociaż natu-

ralnie przeszło osiemdziesiąt procent ciężaru przypada na Linę. Mimo to jestem dzisiaj zła na Linę, ponieważ Lina nie
111

pozwała mi na nic, ponieważ nie pozwala mi nigdy, a teraz w dodatku jest zazdrosna o mężczyzn, na których chciałam wydać dwadzieścia szylingów, „wyrzucić za okno”, mówi Lina. Znow zrobiłam wszystko nie tak, jak trzeba. Lina i ja jesteśmy w fatalny sposób zależne od siebie, jesteśmy związane, chociaż ona ani sobie, ani mnie nie pozwala na mężczyzn z piwem, chociaż tylko jej wolno głośno mnie krytykować, podczas gdy ja nigdy głośno, ale w duchu też ją krytykuję. Dlatego wyobrażam sobie dzień, w którym żaden człowiek nie będzie już zależny od innego, w którym będę mieszkała całkiem sama, w którym parę niewielkich maszyn zastąpi Linę, wystarczy naciśnięcie guzika, aby dźwignąć i przestawić sekretkę, jak piórko. Nikt już nie będzie innemu stale dziękował, pomagał innym i w duchu gniewał się na nich. Nikt nie będzie odnosił korzyści lub szkody. Ale potem widzę siebie przy elektrycznych maszynach, których kupno Lina odradza mi raz do roku, a dzisiaj znowu doradza. Mówi, że bez elektrycznego młynka do kawy i bez elektrycznej sokowirówki nie można już w dzisiejszych czasach żyć. Ale przecież ja bardzo rzadko piję kawę, a na wyciśnięcie dla Maliny soku z pomarańcz jeszcze mi wystarczy sił. Mam co prawda odkurzacz i lodówkę, ale raz do roku Lina chciałaby zamienić nasze mieszkanie w fabrykę maszyn, mówi z naciskiem: Każdy to już dzisiaj ma, wszyscy państwo! Nadejdzie dzień, w którym ludzie będą mieli czarno-złote oczy, będą widzieli piękno, zostaną uwolnieni od brudu i od wszelkiego ciężaru, będą się unosić w powietrzu, będą zanurzać się pod wodą, zapomną o swoich strapieniach i kłopotach. Nadejdzie dzień, kiedy będą wolni, wszyscy ludzie będą wolni, także od wolności, do której dążyli. Będzie to większa wolność, będzie ponad miarę, będzie na całe życie...

112

W „Cafe Heumarkt” nadal jestem zła na Linę, bo jest ona niebezpieczną powiernicą niektórych moich myśli, słyszy też czasem, jak rozmawiając przez telefon, wypowiadam zdania, które są dla niej czystą herezją i które pozwoliłyby jej zrzucić mnie natychmiast z okna, posłać na gilotynę, zakuć w dyby, spalić na stosie. Lecz nigdy nie udaje mi się dojść, czy ma tylko coś przeciwko temu, że rano chodzę po mieszkaniu rozbita, nie wiem, czy kupić Ata, czy Imi, czy też ma tylko coś przeciwko temu, że nie prowadzę dokładnych rachunków i nie sprawdzam jej mozolnych wyliczeń, czy chodzi raczej o zdania, które wypowiadam, i czy odgaduje te myśli, które dają jej prawo mnie zabić. Nadejdzie dzień, w którym ludzie na nowo odkryją sawanny i stopy, wylegną na nie i skończą ze swoim niewolnictwem, zwierzęta będą w pełnym słońcu podchodziły do ludzi, którzy są

wolni, i będą żyły w zgodzie, olbrzymie żółwie, słonie, bizony, a królowie dżungli i pustyni pogodzą się z człowiekiem wyzwolonym, będą pić z jednego źródła, będą oddychać oczyszczonym powietrzem, nie rozszarpując się nawzajem, będzie to początek, będzie to początek na całe życie,..

Wołam: Proszę o rachunek! Pan Karl w odpowiedzi woła wesoło: Już idę! i znika. Jestem zbyt niesprawiedliwa, zgriatałam papierową serwetkę, na której napisałam parę strzępów zdań, cienki papier rozmięka w kawie, która wylała się na tacę. Chcę zaraz iść do domu, chcę być na Ungargasse, wybaczę Linie, Lina wybaczy mnie. Wyciśnie mi sok z pomarańcz i zaparzy kawę. Nie musi to być całe życie. To jest całe życie.

113

Po południu jestem pewna, że potrafię przejść spokojnie koło numeru 9, w każdym razie po drugiej stronie ulicy. Jestem również pewna, że mogę zatrzymać się na chwilę, ponieważ pani Agnes sprząta u Ivana rano, a potem musi iść do dwóch innych samotnych panów. Na ulicy nie widać też nigdy małżeństwa dozorców z domu Ivana, nie wymienia ono informacji z państwem Breitnerami spod 6, czasem widuję tylko panią Agnes przed moją bramą, pograżoną w poufnych rozmowach z panią Breitner. Przed numerem 9 stoi jednak tym razem wóz Ivana, zaparkowany nie przypadkiem, jak myślę w pierwszej chwili, bo Ivan wychodzi teraz z domu i podchodzi do samochodu, chcę szybko iść dalej, lecz Ivan już mnie dostrzegł swoimi bystrymi oczyma, macha ręką i woła, podbiegam, promieniejąc, co on tu robi, o tej porze, kiedy powinien być w biurze, a potem już nie promienieję, bo na przednim siedzeniu, na którym często już siadywałam, siedzą ciasno jedna przy drugiej dwie małe postacie, które teraz wyciągają szyje. Ivan mówi: To jest Bela, to jest Andras, przywitajcie się! Ale „gyerekek”, jak te dzieci nazywają się razem, nie witają się, nie odpowiadają, ponieważ pytam zmieszana, czy znają niemiecki, zaczynają się śmiać i szepczą między sobą, nie mogę zrozumieć ani słowa, więc to są dzieci Ivana, które zawsze chciałam poznać, o których coś niecoś wiem, choćby że Bela jest starszy i chodzi już do szkoły, rozmawiam speszona z Ivanem i nie wiem już, co zamierzałam zrobić, dokąd chciałam iść, ach tak, do Automagu na drugim końcu Ungargasse, gdyż w moim wozie zmieniają smary i może już skończyli, obiecuję sobie ciągle, że potem, jeśli samochód nie będzie jeszcze gotowy, pojedę może taksówką do XIX dzielnicy odwiedzić przyjaciółkę, chorą przyjaciółkę w dodatku. Ivan mówi: To mi prawie po drodze, możemy cię zabrać, zabierzemy cię! Ivan nie powiedział: Zabiorę cię. Mówi coś

114

do dzieci po węgiersku, obchodzi wóz dokoła, wyciąga je i otwiera tylne drzwi, wpycha Belę i Andrasa na tylne sie-

dzenie. Nie wiem, teraz wolałabym nie, chciałabym pójść do Automagu albo wziąć taksówkę. Jak jednak mam Ivanowi wytłumaczyć, że przyszło to dla mnie zbyt nagle? Mówi: No, wsiadaj! Podczas jazdy pozwalam mówić Ivanowi, oglądam się niekiedy w tył, muszę znaleźć pierwsze zdanie, nie jestem przygotowana. Nie zapytam Beli, do której klasy chodzi, do której szkoły, nie zapytam dzieci, jak się czują, co najchętniej robią, w co się bawią i czy przypadkiem lubią lody. To nie wchodzi w rachubę. Dzieci co parę minut przerywają Ivanowi: Widziałeś? Patrz, dorożka! ty, kominiarz! nie zapomniałeś pantofli gimnastycznych? Patrz, Alfa Romeo! ty, salzburska numeracja! ty, to Amerykanin? Ivan opowiada mi o ciężkim popołudniu, ciężkim w biurze, mimochodem rzuca w tył szybkie, dokładne odpowiedzi, mówi mi o „braku czasu”, o trudnościach, akurat dzisiaj musiał zawieźć dzieci do dentysty. Doktor Heer wyrwał Beli ząb, Andrasowi założył dwie małe plomby. Oglądam się w tył, Bela otwiera usta, przesadnie szeroko, wykrzywia się, Andras chce go naśladować, nie może jednak powstrzymać się od śmiechu, i oto nadarza się okazja, nie pytam, czy bolało, czy pan doktor Heer jest sympatycznym dentystą, lecz też otwieram usta i mówię: Mnie wyrwał ząb mądrości, bo ja mam już zęby mądrości, a wy jeszcze nie! Bela wrzeszczy: Ty, ona kłamie!

Wieczorem mówię do Ivana: Dzieci nie są do ciebie podobne, może Bela trochę, gdyby nie miał tej kasztanowej rozwichrzonej czupryny i jasnych oczu, byłby bardziej podobny! Ivan musiał odgadnąć, że dzieci napędziły mi stracha, bo śmieje się i mówi: Było aż tak źle? ty przecież

"5 zachowałaś się jak należy, nie, nie są do mnie podobne, ale też nie znoszą, kiedy się je nagabuje, kiedy się je wypytuje, właśnie tak, wypytuje, wtedy czują pismo nosem! Proponuję szybko: Jeśli w niedzielę wybieriecie się do kina, to może i ja, o ile wam to nie przeszkadza, poszłabym z wami, mam chęć na kino, w Apollo grają teraz jeden film, „Zycie pustyni”. Ivan mówi: Byliśmy już na nim w zeszłą niedzielę. Nie zostało więc jeszcze wyjaśnione, czy Ivan zabierze mnie innym razem, czy też ten numer z filmem był tylko wykretem, czy jeszcze kiedyś zobaczą dzieci, czy też Ivan chce, żeby jego obydwaj światy, jeśli to już nie są światy, pozostały rozdzielone na zawsze. Zaczynamy partię szachów i nie musimy już rozmawiać, jest to partia złudna, nieporadna, chaotyczna, nic nam się nie udaje, Ivan atakuje, ja się bronię. Atak Ivana zaczyna się, jest to najdłuższa, najbardziej milcząca partia, jaką kiedykolwiek rozegraliśmy. Ivan nie pomaga mi ani razu i nie dogrywamy dzisiaj partii do końca. Ivan wypił więcej whisky niż zwykle, wstaje zmęczony, marmocząc Ivanowe przekleństwa, przechadza się parę kroków tam i z powrotem i jeszcze pije na stojąco, nie ma już och-

ty, to był ciężki dzień, nie było mata, ale pat też nas ominął. Ivan chce zaraz iść do domu i położyć się spać, ja grałam tak nieporadnie, tak nużąco, on grał zupełnie bez koncepcji. Dobranoc!

Malina przyszedł do domu, zastaje mnie jeszcze w bawialni, stoi tam szachownica, szklanek nie wyniosłam jeszcze do kuchni. Malina, który nie może wiedzieć, gdzie siedziałam, ponieważ kołyszę się na bujaku w kącie obok stojącej lampy, z książką w ręku, „Red Star Over China”, pochyla się nad szachownicą, gwizdże cicho i mówi: Przegrałaś z kretesem! Wypraszam sobie, co to znaczy „z kretesem”,

116

a może wcale bym nie przegrała. Ale Malina rozważa i wylicza posunięcia. Skąd może wiedzieć, że grałam czarnymi, bo czarne, wedle jego obliczeń, w końcu by przegrały.

Malina sięga po moją szklankę whisky. Skąd może wiedzieć, że to moja szklanka, nie szklanka, którą, też opróżnioną do połowy, pozostawił Ivan, ale on nigdy nie pije ze szklanki Ivana, nie dotyka niczego, czego krótko przedtem dotykał, używał Ivan, talerza z oliwkami albo solonymi migdałami. Gasi papierosa w mojej popielniczce, nie w tej drugiej, która dziś wieczorem była popielniczką Ivana. Nie dochodzę do żadnego wniosku.

Opuściłam Chiny w miejscu: Oddziały wroga ruszyły spieszonym marszem z południowego wschodu, inne z północy. Lin Piao zwołał natychmiast naradę wojskową.

Ivan i ja: świat zbieżny.

Malina i ja, ponieważ stanowimy jedno: świat rozbieżny. Nigdy Malina nie mógłby mi być mniej potrzebny, coraz gorzej radzi sobie ze mną, ale gdyby nie przyszedł w porę do domu, gdyby nie zastał mnie między wielkim marszem przez Chiny a myśleniem o dzieciach, które nie są podobne do Ivana, popadłabym znowu w złe nawyki, pisałabym listy, setki listów, albo piłabym i niszczyła, myślała niszcząco, niszczyła wszystko i do końca, nie zdołałabym utrzymać mojego zdobytego kraju, straciłabym go i opuściła. Chociaż Malina milczy, jest to lepsze niż milczenie w samotności, pomaga mi potem w stosunkach z Ivanem, kiedy nie mogę pojąć, kiedy nie mogę się opanować, ponieważ Malina zawsze jest pewny i zdecydowany na mnie, więc w najbardziej mrocznych chwilach pozostaje mi świadomość, że Maliny nigdy nie stracę - choćbym zatraciła się sama!

117

Do Maliny mówię „ty” i do Ivana mówię „ty”, ale te obydwa „ty” różnią się intonacją, której nie sposób wymierzyć ani wyważyć. Wobec obu od początku nie używałam formy „pan”, którą poza tym posługuję się zawsze. Ivana rozpoznałam tak błyskawicznie, że nie było czasu, aby zbliżyć się do niego przez rozmowę, stałam się jego własnością, zanim padło choć słowo. O Malinie natomiast rozmyślałam

tyle lat, tak za nim tęskniłam, nasze współzycie pewnego dnia było już tylko potwierdzeniem czegoś, co powinno być istnieć zawsze, a czemu zbyt często przeszkadzali inni ludzie, błędne decyzje i działania. Moje „ty” wobec Maliny jest ściśle i stosowne dla naszych rozmów i naszych sporów. Moje „ty” wobec Ivana jest płynne, może błędnie, ciemnieć, rozjaśniać się, może być szorstkie, łagodne albo trwożliwe, nieograniczona jest skala jego wyrazu, może być też wypowiedziane samo, w dużych odstępach, i po wielekroć głosem syrenim, wciąż kusząc na nowo, ale nie jest to jeszcze ten ton, ten akcent, jaki słyszę w sobie, kiedy nie potrafię przy Ivaniu wykrztusić ani słowa. Przy nim nie, ale w duchu dopełnię któregoś dnia owo „ty”. Będzie to doskonałość. Poza tym do większości ludzi mówię „pan”, jest to dla mnie nieodzowna potrzeba, podyktowana także ostrożnością, ale rozporządzam co najmniej dwojakim „pan”. Jedno „pan” przeznaczone jest dla wszystkich niemal, drugie, niebezpieczne, bogato zinstrumentowane „pan”, którego nie mogłabym nigdy powiedzieć do Maliny i nigdy do Ivana, przeznaczone jest dla mężczyzn, którzy mogliby być w moim życiu, gdyby nie było Ivana. Ze względu na Ivana unikam tego niepokojącego „pan” i zarazem unikam samej siebie. Jest to trudne do opisanego „pan”, czasem rozumiane, dość rzadko, ale jednak rozumiane w swoim napięciu, którego nigdy mieć nie może koleżeńskie „ty”. Bo i ja naturalnie mówię „ty” do najrozmaitszych ludzi, ponieważ chodziłam

118

z nimi do szkoły, ponieważ studiowałam z nimi, ponieważ pracowałam z nimi, ale to nic nie znaczy. Moje „pan” jest przypuszczalnie pokrewne owemu „pan” Fanny Goldmann, która ponoć, jeśli oczywiście wierzyć plotkom, do wszystkich swoich kochanków stale mówiła „pan”. Naturalnie mówiła „pan” również do wszystkich innych mężczyzn, którzy nie mogli zostać jej kochankami, i podobno kochała mężczyznę, do którego mówiła swoje najpiękniejsze „pan”. Kobiety typu Fanny Goldmann, o których stale się mówi, nie mogą na to nic poradzić, ale pewnego dnia po mieście kursuje zdanie: Z księżycy pan spadł? co, to pan nie wie? ona swoje największe miłości, a było ich przecież kilka, rozgrzeszała niezrównanym mówieniem „pan”! Nawet Malina, który nigdy nie mówi o nikim ani dobrze, ani źle, wspomina, że poznał dzisiaj Fanny Goldmann, ona też była zaproszona do Jordanów, i mówi bezwiednie: Nigdy nie słyszałem kobiety tak pięknie mówiącej „pan”. Mnie jednak nie interesuje, co Malina myśli o Fanny Goldmann, nie będzie przecież robił porównań, bo ostatecznie ta kobieta uczyła się mówić, a ja nie uczyłam się oddychać brzuchem, nie potrafię dowolnie modulować słów i robić sztucznych pauz. O czym, jako że niedługo przyjdzie pora na spanie, powinnam, w moim strachu, rozmawiać

z Maliną, od czego zacząć, gdyż poznałam tylko dwoje dzieci, które z kolei Maliny nie interesują. Tego, co się wydarza, co on nazywa moimi historyjkami, nie wolno nigdy omawiać. Nie należy przy Malinie wspominać o wydarzeniach na świecie i w mieście, nie siedzimy przecież przy stole w gospodzie. Mogłabym mówić o wszystkim, co mnie otacza, co mnie okraża. Czy istnieje duchowe wywłaszczenie? Czy wywłaszczony, jeśli wywłaszczenie istnieje, ma prawo do najwyższych trudności w myśleniu? Czy to się jeszcze opłaca?

119

Mogłabym pytać o rzeczy najbardziej niemożliwe. Kto wymyślił pismo? Co to jest pismo? Czy jest własnością? Kto pierwszy domagał się wywłaszczenia? Allons-nous a l'Esprit? Czy należymy do niższej rasy? Czy powinniśmy wmieszać się do polityki, nic już nie robić i być brutalni? Czy jesteśmy przekłeci? Czy idziemy w dół? Malina wstaje, opróżnił moją szklankę. Upojona alkoholem, prześpię moje pytania. Będę w nocy modlić się do zwierząt, porywać się na najświętsze obrazy, chwycić się wszelkich kłamstw, zezwierzęceję we śnie i dam się zabić, jak zwierzę.

Kiedy zasypiam, przez moją głowę przebiegają drgania, błyska się, iskrzy, zaćmiewa, znów coś mi zagraża, jest to poczucie zagłady, i do Ivana, którego tu nie ma, mówię ostro: Malina nigdy, Malina jest inny, ty nie rozumiesz Maliny. Jeszcze nigdy nie zwróciłam się do Ivana z ostrym słowem, głośno nigdy się nie zwrócę. Oczywiście Ivan też nie powiedział nic przeciwko Malinie, o którym nigdy nie myśli, jakże więc miałby mu zazdrościć, że mieszka tu ze mną? Nie wspomina więc o Malinie, jak w rodzinie nie mówi się o więźniu czy umyślowo chorym, z poczucia taktu, a jeśli chwilami mam nieobecny wzrok, to tylko dlatego, że powstaje okropne napięcie na myśl o Malinie, i to dobre, jasne nieporozumienie panuje między nami trojgiem, tak, panuje, rządzi nami. Jesteśmy jedynymi rządzonymi, którzy czują się dobrze, żyjemy w tak bogatym błędzie, że żadne ani razu nie podnosi głosu przeciwko drugiemu i przeciwko panowaniu. Toteż na zewnątrz obezwładniają nas inni ludzie, ponieważ uzurpują sobie prawa, ponieważ pozbawia się ich lub odmawia im praw i ponieważ stale bezprawnie występują przeciw sobie. Ivan powiedziałby: Oni wszyscy nawzajem zatruwają sobie życie. Malina powiedziałby: Oni

120

wszyscy, ze swoimi wynajętymi poglądami, przy tych wysokich czynszach, drogo będą płacić.

Moje wynajęte poglądy są już w zaniku. Coraz łatwiej rozstają się z Ivanem i coraz łatwiej go odnajduję, mogę wypuścić go z moich myśli na całe godziny, żeby we śnie nie musiał bez przerwy rozcierać sobie przegubów rąk i kostek u nóg, nie przykuwam go już wcale, a jeśli, to bardzo luźno.

On już tak często nie marszczy czoła, zmarszczki wygładzają mu się, bo dyktatura moich oczu i moich czułości złagodniała, tylko na bardzo krótko zaczarowuję go i zaklinam, abyśmy mogli rozejść się bez trudu, jedno wychodzi drzwiami, jedno wsiada do swojego samochodu i mruży coś: Jeśli jest za dwadzieścia czwarta, to jeszcze zdążę na tereny targowe, a ty? Ja też jeszcze zdążę, nie, nic specjalnego, jadę jutro z kimś do Burgenlandu, nie, nie na noc, nie wiem jeszcze, co moi przyjaciele... Cichutkie mrużenie, gdyż żadne nie wie o drugim, jak to jest z tymi przyjaciółmi, z terenami targowymi i z Burgenlandem, do którego życia należą te słowa. Przynależałam Ivanowi, że będę nosić tylko te suknie, które upiększają i uszczęśliwiają, przynależałam jeszcze prędko, że będę regularnie jadać i wystrzegać się picia. W szalonym pośpiechu dałam Ivanowi słowo, że będę spała, wyśpię się, zasnę głęboko.

Rozmawiamy co prawda z dziećmi, ale również prędko ponad głowami dzieci, aluzjami, urywaną niemczyzną, przetykaną, jeśli już naprawdę nie da się tego uniknąć, zdaniami angielskimi, lecz to nie SOS skłania nas do posługiwania się angielskimi znakami Morse'a, bo Ivan i dzieci czują się już dobrze. Ale przy dzieciach stają się powściągliwa i zarazem bardziej rozmowna niż z Ivanem, bo widzę w nim wówczas nie tyle Ivana, co ojca Beli i Andrasa, tylko na po-

121
czątku nie potrafiłam w obecności dzieci wymówić jego imienia, aż zauważyłam, że one same mówią mu po imieniu, ale Andras, kiedy zaczyna płakać, woła jeszcze czasem: Tato! musi to być słowo z dawnych czasów. W ostatniej chwili Ivan postanowił zabrać mnie do Schönbrunnu, ponieważ naturalnie Andras, który od razu przyłgnał do mnie, spytał: Ona z nami nie jedzie? Niech jedzie! Przed klatką z małpami obaj garną się do mnie, Andras czepia się mojej ręki, ostrożnie przyciągam go coraz mocniej do siebie, nie wiedziałam, że dziecięce ciała są cieplejsze i przyjemniejsze w dotyku niż ciało dorosłego, Bela też przytuliła się zazdrośnie, tylko ze względu na Andrasa, obaj robią to z natarczywością, której mi wciąż mało, jak gdyby długo brakowało im kogoś, do kogo mogliby przytulić się i na kim uwiesić, Ivan pomaga nam rozdać orzechy i banany, ponieważ my uczeni siebie nawzajem śmiejemy się i orzechy rzucane przez Belę nie dochodzą celu. Opowiadam z zapałem o pawianie i szympankach, nie jestem przygotowana na lekcję w zoo, musiałabym poczytać „Życie zwierząt” Brehma, przy węzach zawodzę kompletnie, nie wiem, czy ta żmija tam w środku zjada białe myszy, o co dopytuje się Bela, czy też chrząszcze i liście, jak przypuszcza Ivan, którego boli już głowa, wołam: Idź naprzód! Bo Bela i Andras chcą jeszcze zobaczyć jaszczurki i salamandry, a ponieważ Ivan nie słucha, wymyślam niewiarygodne zwyczaje i historie z życia gadów, nie mając

kłopotu z żadną odpowiedzią, wiem, z jakich krajów pochodzą, kiedy wstają, kiedy kładą się spać, co jedzą, co myślą, czy dożywają stu albo tysiąca lat. Żeby tylko Ivan nie był taki niecierpliwy, z powodu bólu głowy, z powodu niewyspania, bo musimy jeszcze pójść do niedźwiedzi, karmimy foki, a przed wielką ptaszarnią wymyślam wszystko o sępach i orłach, na ptaki śpiewające nie ma już czasu. Muszę powiedzieć, że u Hubnera Ivan postawi wszystkim lody, ale

122
tylko jeśli pójdziemy czym prędzej, bo w przeciwnym razie z lodów nic nie będzie, mówię: Ivan będzie na nas bardzo zły! Ale tylko lody skutkują. Proszę, Ivan, czy nie mógłbyś nam zafundować lodów, jestem pewna, że obiecałeś dzieciom (ponad głowami dzieci: Please, do me the favour. I promised them some icecream), ty weź najlepiej podwójną kawę z mlekiem. Ivan zamawia markotnie, musi być zmęczony, podczas gdy dzieci i ja trącamy się nogami pod stołem, potem kopujemy się coraz gwałtowniej, Bela śmieje się histerycznie: Jakie ona ma buty, jakie głupie buty! Bela dostaje za to ode mnie lekkiego kopniaka, natomiast Ivan wybuchu gniewem: Bela, bądź grzeczny, bo pojedziemy zaraz do domu! Ale i tak musimy jechać zaraz do domu, czy dzieci są grzeczne, czy nie, Ivan ciska je na tylne siedzenie, ja na chwilę zostaję w tyle i kupuję dwa baloniki, a tymczasem Ivan wypatruje mnie zupełnie gdzie indziej, nie mam drobnych, jakaś kobieta pomaga mi rozmienić pięćdziesięcioszylingowy banknot, mówi z żalną uprzejmością: To chyba pani dzieci, jakie pani ma miłe dzieci! A ja odpowiadam desperacko: Dziękuję, dzięki serdeczne, to było bardzo miłe z pani strony! Milcząc, wsiałam do samochodu i każdemu z miłych dzieci wciskam w rękę drucik z balonikiem. W czasie jazdy Ivan mówi: You are just crazy, it was not necessary! Odwracam się i mówię: Ta wasza dzisiejsza paplanina! Jesteście niezdolni! Bela i Andras pokładają się ze śmiechu: My paplamy, ple, ple, ple, my paplamy! Kiedy dzieci tak rozrabiają, Ivan zaczyna śpiewać, Bela i Andras już nie paplają, śpiewają z nim razem fałszywie i czysto, głośno i cienko.

Debrecenbe kene menni

pulykakakast kene venni

123

vigyazz kocsis lyukas a kas

kiugrik a pulykakakas

Ponieważ wciąż jeszcze nie znam piosenki, a poza tym nie umiem śpiewać, wdycham sobie: eljen!

Ivan zostawia nas pod numerem 9, musi przywieźć z biura jakieś akta, a ja gram z dziećmi w karty, Andras, który zawsze jest mi życzliwy, doradza mi, podczas gdy Bela mówi drwiąco: Ty nie umiesz grać, jesteś idiotą, przepraszam, idiotką! Gramy w cztery bajki, ale Bela stroi fochy,

bo bajki są dla niego za głupie, on już wyrósł z bajek, to coś dla Andrasa i dla mnie. Gramy w cztery zwierzęta i cztery kwiaty, cztery auta i cztery samoloty, zwyciężamy i przegrywamy, ja przegrywam najczęściej, czasem mimowolnie, czasem dobrowolnie, dopomagając szczęściu Beli i Andrasa. Przy czterech miastach Andras nie ma już ochoty, nie zna się na miastach, ja mu podpowiadam, szepcemy, zasłaniając usta dłonią, ja mówię „Hongkong”, Andras nie rozumie, Bela z furią rzuca karty na stół, jak jeden pan na ważnej, wielkiej konferencji, który pęka ze złości, ponieważ inni zachowują się nie na poziomie, Andras domaga się czterech bajek, jakiś czas trwają targi, aż ja proponuję: Zagrajmy jednak w Czarnego Piotrusia. Pewnie już tysiąc razy grali w Czarnego Piotrusia, ale znów są zelektryzowani, Bela ta-suje, ja przekładam, rozdajemy karty, wyciągamy i odkładamy. Na koniec ja mam Czarnego Piotrusia, wchodzi Ivan, Bela i Andras skręcają się ze śmiechu i wrzeszczą ze wszystkich sił: Czarny Piotruś, Czarny Piotruś! Musimy teraz zagrać jeszcze raz z Ivanem, ostatni pozostajemy na placu Bela i ja, niestety, Bela wyciąga ode mnie Czarnego Piotrusia i rzuca karty, krzyczy ochryplym głosem: Ivan, ona jest 124

wstrętny szachraj! Wymieniamy spojrzenia ponad głowami dzieci. Ivan miota gromy, a Bela twierdzi, że nic nie powiedział. Ivan proponuje na pojednanie stary koniak, Bela prosi nawet, żeby wolno mu było go przynieść, biegnie dwa razy, przynosi jeszcze szklanki, oboje z Ivanem siedzimy i milczymy, założywszy nogę na nogę, dzieci ostrożnie i cicho grają przy stole w cztery kwiaty, a ja nic sobie nie wyobrażam. Ale potem jednak wyobrażam sobie coś, mianowicie, że wzrok Ivana pada na przemian to na dzieci, to na mnie, z namysłem, z pytaniem, przeważnie z sympatią.

Czy tak ma być wiecznie? czy tak powinno być? czy trzeba czekać całe życie?

Jesteśmy umówieni na Tuchlauben, we włoskiej lodziarni. Ivan mówi, żeby dzieci nic nie zmiarkowały: Halo! jak się masz? Ja też udaję przed dziećmi, jak gdybym nie widziała Ivana od tygodni. Nie mamy dużo czasu, Ivan, nie pytając, zamawia cztery porcje mieszanych, bo Bela musi iść na tę nieszczęsną lekcję gimnastyki, która za każdym razem jest problemem dla matki Ivana i bardzo często dla Ivana, a nawet dla Beli, ponieważ mały nie lubi gimnastyki. Ivan krytykuje nasze szkoły i ich programy nauczania, przede wszystkim z powodu tych wariackich lekcji gimnastyki, które odbywają się gdzie indziej i zawsze po południu. Ci ludzie wyobrażają sobie chyba, że każdy ma do dyspozycji parę samochodów i parę nianiek! Nigdy poza tym nie słyszę, żeby Ivan mówił coś o stosunkach w Wiedniu, nie porównuje, nic nie opowiada, roztrząsanie, jak jest po tej, a jak po tamtej stronie, wydaje mu się chyba zbędne i jałowe. Tylko przez tę

lekcję gimnastyki stracił cierpliwość, powiedział „u was”, i to do mnie, jakby lekcja gimnastyki była kwintesencją świata, do którego należę i który trzeba odrzucić, ale może w bu-
125

dzącym się lęku ponosi mnie fantazja, nie wiem, jak to jest z lekcjami gimnastyki po tamtej stronie, na Węgrzech. Ivan zapłacił, wychodzimy z dziećmi na ulicę do samochodu, Andras macha ręką na pożegnanie, Bela natomiast pyta: Ona z nami nie jedzie? dlaczego nie może z nami jechać? Potem wszyscy trzej zniknęli w Tuchlauben, skręcili za róg, w stronę Hoher Markt, zasłonięci jakimś dyplomatycznym wozem. Patrę jeszcze i patrę, kiedy po nich nie ma już ani śladu, idę powoli przez Petersplatz do Graben, w innym kierunku, miałam kupić pończochy, mogłabym kupić sobie pulower, właśnie dzisiaj powinnam kupić sobie coś ładnego, bo oni zniknęli, Ivan naturalnie nie mógł przy dzieciach powiedzieć, czy zadzwoni do mnie.

Słyszę, jak Bela mówi: Niech ona jedzie z nami!
Na Graben kupiłam sobie nową suknię, domową suknię, która jest długa, na popołudnie, na parę szczególnych wieczorów w domu, wiem, dla kogo, podoba mi się, ponieważ jest miękka i długa i tłumaczy długie pozostawanie w domu, już dzisiaj. Nie chciałabym jednak, żeby przy przymierzaniu był tutaj Ivan, a tym bardziej Malina, ponieważ Maliny nie ma, mogę często patrzeć w lustro, w korytarzu przed długim lustrem muszę okręcać się wiele razy, o mile, o sąźnie, niebotycznie, bajecznie odległa od mężczyzn. Przez godzinę mogę żyć poza czasem i przestrzenią, z głęboką satysfakcją, pogrążona w czarodziejskim świecie, gdzie zapach mydła, szczypanie wody kolońskiej, szelest białizny, zanurzanie puszki w słoikach, pełne namysłu pociągnięcie ołówka do brwi są jedyną rzeczywistością. Powstaje kompozycja, trzeba stworzyć kobietę dla domowej sukni. W całkowitej tajemnicy projektuje się kobietę na nowo, dochodzi się potem do czegoś pierwotnego, co nie emanuje na
126

nikogo. Trzeba dwadzieścia razy szcztokować włosy, natrzeć stopy i polakierować paznokcie u nóg, trzeba zgolić włosy na łydkach i pod pachami, raz po raz odkręca się prysznic, w łazience unoszą się kłęby pudru do ciała, patrzy się w lustro, zawsze jest niedziela, zadaje się lustru pytanie, pod ścianą, mogłaby już być niedziela.

Kiedyś wszystkie kobiety będą miały złote oczy, będą nosiły złote pantofle i złote suknie, a ona czesała swoje złote włosy, szarpnęła się, nie! - a jej złote włosy powiewały na wietrze, kiedy na swoim karoszu pędziła w górę Dunaju i przybyła do Recji...

Nadejdzie dzień, w którym kobiety będą miały czerwono-złoteoczy, czerwonozłote włosy, a poezja ich płci zostanie stworzona na nowo...

Weszłam w lustro, zniknęłam w lustrze, zająrzałam
w przyszłość, byłam w zgodzie ze sobą i znów jestem w nie-
zgodzie. Mrugam, przebudzona, w lustro, obwodząc ołów-
kiem brzeg powieki. Mogę tego poniechać. Przez chwilę
byłam nieśmiertelna i ja, właśnie ja, istniałam nie dla Ivana
i żyłam nie w Ivanie, to było bez znaczenia. Woda spływa
z wanny. Zamykam szuflady, chowam kredki, słoiki, flako-
ny, rozpylacze do toaletki, żeby Malina się nie denerwował.
Suknię domową wieszam w ściiennej szafie, nie jest na
dzisiaj. Muszę odetchnąć świeżym powietrzem i przed snem
wyjść na ulicę. Z pewnych względów skręcam na Heumarkt,
zagrożona bliskością Parku Miejskiego, jego cieni i ciem-

127
nych postaci, nakładam drogi przez Linke-Bahn-Gasse,
przyśpieszając kroku, ponieważ ten kawałek przejmuje mnie
zgrozą, ale tylko do Beatrixgasse, bo na niej czuję się już
bezpieczna, a z Beatrixgasse idę przez Ungargasse do Renn-
weg, żeby nie wiedzieć, czy Ivan jest w domu, czy nie.
W drodze powrotnej kieruję się tymi samymi względami,
w ten sposób nie zobaczę ani numeru 9, ani pouczającej
Miinzgasse. Niech Ivan korzysta z wolności, niech ma swo-
bodę ruchów, także o tej godzinie. Biorę po parę stopni
naraz, pędzę na górę, ponieważ, jak się zdaje, jakiś telefon
brzęczy cicho, może to nasz telefon, rzeczywiście dzwoni
w krótkich odstępach, wyważam drzwi, nie zamykam za
sobą, bo telefon dzwięczy przeraźliwie, znajduje się w stanie
alarmowym. Chwytam słuchawkę i mówię zdyszana i zasko-
czona:

Wracam właśnie, byłam na spacerze
Sama naturalnie, bo z kim, tylko parę kroków.
Że jesteś w domu, skąd mogłam
Widać przeoczyłam twój wóz
Bo szłam od Rennweg
Chyba zapomniałam spojrzeć w twoje okna
Wolę chodzić od Rennweg
Nie mam odwagi zapuszczać się na Heumarkt
Ale że ty jesteś już w domu
Przez ten Park Miejski, tam nigdy nie wiadomo
Gdzie ja miałam oczy
Na Miinzgasse, mój też tam stoi
Najlepiej ja zadzwonię do ciebie, jutro więc zadzwonię

128
Przychodzi pojednanie, przychodzi senność i ustępuje
niecierpliwość, nie byłam bezpieczna, ale jestem znów
w bezpiecznym miejscu, nie przemykając więcej koło nocne-
go Parku Miejskiego, pod ścianami domów, nie nakładając
drogi w ciemności, lecz już troszeczkę w domu, już trzyma-
jąc się burty Ungargasse, już ocalona, z głową w moim kraju
przy Ungargasse, tylko po szyję w wodzie. Już przy pierw-
szym gulgotaniu słów i zdań, już przy zasiadaniu do pracy,

przy zaczynaniu.

Nadejdzie dzień, w którym ludzie będą mieli czerwono-
złote oczy i gwiazdne głosy, w którym ich ręce staną się zdolne
do miłości, a poezja ich płci zostanie stworzona na nowo...

Już przy skreślaniu, przy przeglądaniu, przy odrzucaniu.

...a ich ręce staną się zdolne do dobra, będą oni sięgać po
najwyższe ze wszystkich dóbr swoimi niewinnymi rękami, bo
nie powinni wiecznie, bo ludzie nie powinni wiecznie, nie będą
musieli wiecznie czekać...

Już przy rozumieniu, przy wybieganiu naprzód.

Słyszę klucz w drzwiach, Malina 7.2, ^.^2. do mnie
pytająco.

Nie przeszkadzasz, przysiądź się do mnie, chcesz her-
baty, chcesz szklanek mleka, chcesz czegoś?

Malina chce sam przynieść sobie szklanek mleka
z kuchni, kłania się lekko, ironicznie, z jakiegoś powodu
uśmiecha się, patrząc na mnie. Musi jeszcze powiedzieć coś
i zirytować mnie: Jeśli dobrze widzę, nous irons mieux, la
montagne est passee.

129

Proszę, tylko bez pruskich zdań, oszczędź mi tego, nie
powinieneś mi teraz przeszkadzać, ostatecznie każdy ma
prawo, żeby mu kiedyś było trochę lepiej!

Wypytyuję Ivana, czy kiedyś już zastanawiał się nad tym,
co myślał dawniej i co myśli dzisiaj o miłości. Ivan pali, strze-
puje popiół na podłogę, w milczeniu szuka swoich butów,
znalazł oba i zwraca się ku mnie, trudno mu znaleźć słowa.

Czy to coś, nad czym człowiek się zastanawia, po co
mam sobie nad tym łamać głowę, potrzeba ci słów? chcesz
zastawić na mnie pułapkę, panienko?

Tak i nie.

Ale jeśli ty nie... I nigdy nic nie odczuwasz, ani pogar-
dy, ani odrazy? ale gdybym i ja niczego nie czuła? pytam nie-
cierpliwie i chciałabym zarzucić Ivanowi ręce na szyję, żeby
nie był tak daleko ode mnie, ani o metr, kiedy pytam po raz
pierwszy.

Ależ nie, jaka tam pogarda? po co ty wszystko kompli-
kujesz? Przychodzę i to chyba wystarczy. Rany, jakie ty za-
dajesz niemożliwe pytania!

Odpowiadam triumfująco: Tylko to chciałam wiedzieć,
czy to są niemożliwe pytania. Więcej wcale nie chciałam
wiedzieć.

Ivan jest ubrany i nie ma już dużo czasu, mówi: Jaka ty
czasem jesteś śmieszna.

Nie, to nie ja, odpowiadam szybko, tylko inni, dawniej
podsunęli mi takie niedorzeczne myśli, ja nigdy tak nie my-
ślałam, nigdy bym nie wpadła na pogardę, na odrazę, jest
we mnie ktoś inny, kto nigdy się nie zgodził i kto nigdy nie
daje zmusić się do odpowiedzi na wymuszone pytania.

Nie powinnaś powiedzieć: jakaś inna w tobie?

130

Nie, inny, nie ma tu żadnej pomyłki. Inny. Kiedy mówię, że inny, to musisz mi wierzyć. Moja panienko, jesteście bardzo kobiece, stwierdziłem to już w pierwszej chwili, możesz mi jeszcze dzisiaj wierzyć. Kiedy jesteś taki niecierpliwy i nie masz cierpliwości, żeby mi raz pozwolić coś powiedzieć. Dzisiaj jestem bardzo niecierpliwy, nie mam dla ciebie całej mojej cierpliwości! Wystarczy odrobina cierpliwości, żebyśmy znaleźli wyjście. Kiedy ty mnie tak niecierpliwisz! Obawiam się, że w końcu to moja cierpliwość jest winna twojej niecierpliwości... (Koniec zdań o cierpliwości i niecierpliwości. Jest to bardzo mała grupa zdań). Nadejdzie dzień, w którym runą nasze domy, samochody staną się bezużytecznym żelastwem, będziemy wolni od samolotów i rakiet, wyrzekniemy się odkrycia radu i rozbicia atomu, świeży wiatr nadciągnie z niebieskich wzgórz i wypełni nam piersi, będziemy oddychali, będzie to całe życie. Na pustyniach wyschnie woda, będziemy mogli znów ruszyć na pustynie i patrzeć na objawienie, sawanny i wody w swojej czystości będą nas zapraszały, diamenty pozostaną w skałę i będą świeciły nam wszystkim, z mrocznego lasu naszych myśli wejdziemy w las dziewiczy, przestaniemy myśleć i cierpieć, będzie to wybawienie.

131

Wielce Szanowny Panie Prezesie, przesyła mi Pan, w imieniu Akademii, życzenia z okazji moich urodzin. Pozwoli Pan, że powiem, jak przerażona byłam właśnie dzisiaj. Co prawda nie wątpię w Pański takt, gdyż miałam zaszczyt przed kilku laty na otwarciu... gdyż miałam zaszczyt poznać Pana. Ale robi Pan aluzję do dnia, może nawet do określonej godziny i nieodwołalnej chwili, która musiała dotyczyć najbardziej prywatnych spraw mojej matki, a także, jak przypuszczamy, dla przyzwoitości, spraw mojego ojca. Mnie samej naturalnie o tym dniu nie powiedziano nic szczególnego, miałam tylko obowiązek zapamiętać datę, muszę wypisywać ją na każdej kartce meldunkowej w każdym mieście, w każdym kraju, nawet jeśli odwiedzam go tylko przelotnie. Od dawna jednak nie odwiedzam już żadnych krajów...

Droga Lily, z pewnością słyszałaś tymczasem, co przydarzyło się mi i mojej głowie. Mówię „tymczasem”, chociaż minęło już wiele lat. Wówczas prosiłam Cię, żebyś do mnie przyszła, żebyś mi pomogła, nie po raz pierwszy, po raz drugi, ale i za pierwszym razem nie przyszłaś. Prawdopodobnie znane Ci jest, co sądzę o chrześcijańskiej miłości bliźniego. Ale wyra-

zam się niezręcznie, chcę tylko powiedzieć, że i chrześcijańska miłość bliźniego nie wyklucza możliwości, iż przed kimś, jak przede mną, pozostaje zamknięta, mogę sobie jednak bez trudu wyobrazić, że postępuje się ze względu na nią, i ty powinnaś być ze względu na nią postąpić. Wolałabym co prawda, żebyś zrobiła to po prostu ze względu na mnie. W ostateczności nie wymaga to żadnego porozumienia, a taka ostateczność przecież nastąpiła. Droga Lily, znam Twoją wielkoduszność. Twoje być może ekstrawaganckie

132
zachowanie w tak wielu sytuacjach, zawsze je podziwiałam. Minęło jednak siedem lat i nawet Twój rozum nie wystarczył, żeby oszukać Twoje serce. Jeśli człowiek ma dużo serca i rozumu, ale nie dosyć, rozczarowanie sobą musi być dla niego bardziej przykre niż dla bliźniego, który się nim rozczarował. Byłam gotowa poprzeć pana G. Uzgodniliśmy, że powiemy, iż byliśmy odmiennego zdania co do słuchania muzyki, głośności, naturalnie także wyboru utworów, ponieważ moja wrażliwość na hałasy w ostatnim czasie spotęgowała się chorobliwie, iż przez dzień i noc nie mogliśmy dojść do porozumienia co do jej przydatności we wszystkich sprawach, wówczas także z moim zmysłem czasu zaczęło się dziać bardzo źle, podziały czasu wydawały mi się chorobliwe, ale byłam gotowa przyznać, że mój stosunek do czasu, a raczej brak tego stosunku, przybrał chorobliwe rozmiary. Uzgodniliśmy też, że w razie potrzeby stwierdzimy, iż jesteśmy odmiennego zdania co do trzymania kotów i psów, byłam gotowa powiedzieć, że nie potrafię przebywać w jednym mieszkaniu ze zwierzętami, przede wszystkim z kotami, i z nim równocześnie, a on chciał powiedzieć, że nie potrafi leżeć w jednym łóżku z psem albo z moją matką i ze mną. W każdym razie zawarliśmy bardzo wyraźną, harmonijną umowę. Znasz moje uprzedzenia, z racji mojego wychowania, mojego pochodzenia, ale także hierarchii wartości, wychodziłam z określonych założeń. Łatwo było mnie leczyć, ponieważ przywykłam do określonych tonów, gestów, pewnych czułości w obejściu, i wystarczyłaby sama brutalność, z jaką naruszono mój świat, który był także Twoim, aby pozbawić mnie rozumu. Na koniec, ze względu na moje pochodzenie, nie sposób już było, że tak powiem, w ogóle mnie leczyć. Nie można mną handlować. Nie przemawiają do mnie obce, przynoszące mi szkodę obyczaje. Nawet ambasador Syjamu, który chciał mnie nakłonić do

133
zdjęcia pantofli, ale Ty przecież znasz tę starą historię... Nie zdejmuję pantofli. Nie ujawniam moich uprzedzeń. Mam je. Wolę sama się rozebrać, zdjąć wszystko, prócz pantofli. Jeśli mój obyczaj miałby kiedyś naprawdę tego wymagać, to zasada by brzmiała: rzuć wszystko, co masz, w ogień, prócz butów.

Wiedeń, dnia...

Droga Lily,

zapewne już wiesz, wbrew Twojemu niesłusznemu przekonaniu, bo złe wieści rozchodzą się szybko. Ty sama nigdy w to nie wierzyłaś. Mimo to jednak nie przysłałaś. Znów są moje urodziny. Wybacz, to są Twoje urodziny...

Droga Lily,

dzisiaj jest ze mną już tak źle, że nie chciałabym Cię widzieć nigdy więcej. Nie jest to życzenie, które wypływa z dawnego bądź najnowszego rozdrażnienia. W pierwszych latach pisałam jeszcze wiele udręczonych, oskarżających, pełnych wyrzutów listów, które jednak wszystkie, mimo tego wielkiego wyrzutu, świadczyłyby bardziej o mojej sympatii niż błahe listy, jakie wymieniałyśmy kiedyś, zaopatrzone w najczulsze pozdrowienia, obejmując się w listach, życząc sobie wszystkiego najlepszego. Mojego życzenia nie poprzedziło także zastanowienie, nie zastanawiam się już od dawna, ale spostrzegam, że coś we mnie zwalnia Cię, nie zabiega już o Twoje względy, w ogóle już Cię nie szuka.

Wprawdzie pan G. czy pan W., a choćby i pan A. mogliby próbować, drogą zniesławienia, rozdzielić nas, ale jak można zostać rozdzielonym przez trzeciego lub trzecią? Łatwo by-

134
łoby przypisać winę jednemu czy drugiemu, ale wina, jeśli istnieje, o czym nawet nie wiem, jest zbyt mało ważna, w każdym wypadku. Gdzie nikt nie życzy sobie rozstania, tam nie może do niego dojść, więc mogło to być tylko Twoje głębokie życzenie, dla którego każdy powód był dobry. Dla mnie nigdy nie było powodu i dlatego nie może go być dzisiaj. Ty tylko zanikłaś we mnie, odeszłaś w czas, w którym kiedyś byliśmy razem, i tam znajduje się Twój młodzieńczy wizerunek, któremu nie zdołają wyrządzić szkody późniejsze zdarzenia i moje myśli o nich. Nie da się już go zepsuć. Stoi w moim mauzoleum, obok obrazów wymyślonych postaci, to ożywających, to znów umierających figur.

Wiedeń, dnia...

Nieznamoma

Kiedy Ivan zostawia u mnie łobuzów, nicponi, złoczyńców, potępieńców, te gyerekek, ponieważ musi jeszcze gdzieś pojechać, na chwilę tylko pojechać, a ja o to prosiłam, w mieszkaniu powstaje bałagan, o jakim Linie się nie śniło. Najpierw obaj obracają w proch i pył, prawie nie jedząc, babkę marmurkową Liny, a ja usuwam zewsząd noże, widelce, nożyczki i zapalki. Nie wiedziałam, że moje mieszkanie jest aż tak pełne niebezpiecznych przedmiotów, drzwi zostawiłam uchylone dla Ivana, ale Andras wymknął się już na klatkę schodową. Wzięłam na siebie straszną odpowiedzialność, widzę niebezpieczeństwa w każdej sekundzie, nieprzewidziane, zaskakujące, bo gdyby tylko jednemu z dzieci Ivana przydarzyło się cokolwiek, nie mogłabym

już nigdy pokazać mu się na oczy, ale jest ich dwoje naraz, są szybsze, bardziej pomysłowe, bardziej przytomne niż ja. Andras na szczęście nie wybiegł na ulicę, lecz popędził na górę, dzwoni jak na alarm do drzwi śpiewaczki, która nie

135

może wstać i otworzyć, ponieważ leży dwustukilogramowym ciężarem na łóżku, wsunę jej później karteczkę pod drzwi, z przeprosinami, bo śpiewaczka na pewno się zdenerwowała, przy swoim otłuszczonym sercu. Przywlekam Andrasa do mieszkania, ale drzwi tymczasem zatrzasnęły się, a ja nie mam klucza. Dobijam się do drzwi. Ivan otwiera, Ivan przyszedł! we dwójkę łatwiej sobie poradzić z tymi dwoma, Bela bez sprzeciwu, na jedno słowo Ivana, zbiera największe okruchy babki, ale Andras odkrył teraz gramofon, złapał już rączkę z nową szafirową igłą i drapie po płycie. Szczęśliwa mówię do Ivana: Zostaw go, nic nie szkodzi, to tylko koncert D-dur, to moja wina! Tylko świecznik, do którego Andras chce się teraz dobrać, odstawiam prędko na wysoką szafkę. Biegnę do kuchni i przynoszę z lodówki butelki coca-coli. Ivan, mógłbyś otworzyć butelki, nie, tam przecież leży otwieracz! Z otwieraczem zniknął jednak Bela, mamy zgadnąć, gdzie jest otwieracz, bawimy się i zgadujemy: zimno, ciepło, zimniej, gorąco, bardzo gorąco! otwieracz leży pod bujakiem. Dzieci nie chcą dzisiaj pić coca-coli. Bela wylewa swoją szklankę do wazonu z różami od pana Kopecy'ego, a resztę do herbaty Ivana. Mówię: Ależ, dzieci, nie moglibyście posiedzieć chwilę spokojnie, muszę porozmawiać z Ivanem, tylko chwilę, Boże mój, dajcie spokój! Rozmawiam z Ivanem, który mówi, że jednak nie pojedzie teraz z dziećmi do Tyrolu, lecz, wcześniej, niż myślał, nad Mondsee, ponieważ jego matka nie chce już jechać do Tyrolu. Nie mam czasu na odpowiedź, bo Andras musiał wyruszyć na wyprawę do kuchni, łapię go na kuchennym balkonie, na który zaczyna się wdrapywać, nie daję po sobie poznać zdenerwowania i ściągam go w dół, mówię: Chodź, proszę cię, do środka, mam jeszcze dla ciebie czekoladę! Ivan spokojnie ciągnie dalej: Wczoraj nie mogłem cię złapać, powiedziałbym ci wcześniej! Ivan wybiera się więc nad Mondsee,

136

nie ma mowy o Mondsee i o mnie, mówię szybko: Dobrze się składa, ja muszę pojechać do Altenwylów nad Wolfgangsee, dwa razy już odmawiałam, a teraz prawie obiecałam, powinnam jechać, bo jeszcze się obrażą. Ivan mówi: Zrób to koniecznie, musisz wyrwać się z Wiednia, nie rozumiem, dlaczego stale odmawiasz, miałabyś przecież czas. Eljen! Bela i Andras znaleźli teraz w korytarzu buty Maliny i moje, włożyli je na małe stopy, idą chwiejnym krokiem, Andras przewraca się z wrzaskiem, ja podnoszę go i biorę na kolana. Ivan wyciąga Belę z butów Maliny, mordujemy się z dziećmi i rozglądamy się za czekoladą, która też zniknęła,

to byłby ratunek, Andras kurczowo ściska resztkę w dłoni i wysmarowuje mi bluzkę. Więc oni wybierają się nad Mondsee, a ja powiedziałam, że pojedę do Altenwylów. Siedmiomilowe buty! - krzyczy Bela - przejdę w nich cały kraj, jak daleko dojdę? do Buxtehude? Ależ, Ivan, zostaw mu te buty, jeśli już koniecznie chce chodzić w siedmiomilowych, please, do call later, I have to speak to you, list z zaproszeniem do Wenecji, list z odpowiedzią, telegram z opłaconą odpowiedzią, nic jeszcze nie wysłałam, to nie takie ważne, Wenecja nie jest ważna, możemy przecież później... Ivan poszedł z Belą do łazienki, tupie i chce najpierw zejść z moich kolan, potem nagle całuje mnie w nos, ja całuję w nos Andrasa, pocieramy się nosami, chciałabym, żeby to nigdy nie ustało, żeby Andrasowi się nie sprzykrzyło, jak mnie nie przykrzy się pocieranie nosami, chciałabym, żeby nie było Mondsee ani Wolfgangsee, ale słowo się rzekło, Andras przytula się do mnie coraz mocniej, a ja trzymam go mocno, musi należeć do mnie, dzieci będą należeć do mnie. Wchodzi Ivan i stawia parę krzesel na swoim miejscu, mówi: Koniec już, nie mamy czasu, musimy iść, znowu narozrabialiście, że strach! Ivan musi jeszcze kupić dzieciom gumową łożdź, zanim zamkną sklepy. Stoję z całą trójką przy

137

drzwiach, Ivan trzyma Andrasa za rękę, Bela popędził już schodami w dół. Do widzenia, panienko! Do widzenia, złoczyńcy! Fil call you later. Do widzenia!

Wynoszę talerzyki i szklanki do kuchni, chodzę tam i z powrotem i nie wiem, co jeszcze mogłabym zrobić, zbieram parę okruszyn z dywanu, Lina przejedzie po nim jutro odkurzaczem. Nie chciałabym więcej Ivana bez dzieci, powiem coś Ivanowi, kiedy zadzwoni, albo powiem to przed wyjazdem, kiedyś muszę przecież coś powiedzieć. Ale lepiej mu nie powiem. Napiszę do niego z St. Wolfgang, nabiorę dystansu, namyślę się przez dziesięć dni, potem napiszę, ani słowa za wiele. Znajdę odpowiednie słowa, zapomnę o czarnej magii słów, napiszę z całą prostotą do Ivana, jak chłopskie dziewczyny u nas na wsi do swoich ukochanych, jak królowe, bez wstydu, do swoich wybranych. Napiszę prośbę o łaskę, jak skazańcy, którzy nie mają nadziei na ułaskawienie.

Dawno nie ruszałam się z Wiednia, także w ciągu zeszłego lata, ponieważ Ivan musiał zostać w mieście. Twierdziłam, że najpiękniejsze jest lato w Wiedniu i że nie ma nic głupszego niż równocześnie z wszystkimi innymi jechać na wieś, nie znoszę urlopów, Wolfgangsee mi obrzydło, ponieważ cały Wiedeń przebywa wtedy nad Wolfgangsee, i kiedy Malina pojechał do Karyntii, zostałam sama w mieszkaniu, żeby móc parę razy pojechać z Ivanem nad Stary Dunaj i popływać. Lecz tego lata Stary Dunaj nie ma już żadnego uroku, najpiękniej musi być nad Mondsee, nie w wymarłym

Wiedniu, przez który przeciągają turyści. Czas niemal stanął w miejscu. Ivan odwiezie mnie rano na dworzec, bo oni wyjeżdżają samochodem dopiero koło południa. Panna

138
Jellinek wpadnie późnym popołudniem, chcemy jeszcze coś załatwić.

Wielce Szanowny Panie Hartleben,
dziękuję Panu za list z 31 maja!

Panna Jellinek czeka, a ja palę, powinna wykreć ten arkusz i rzucić do kosza. Nie mogę odpowiedzieć na list z 31 maja, liczby 31 nie wolno w ogóle używać i profanować. Co sobie wyobraża ten pan z Monachium? jak może zwracać mi uwagę na 31 maja? co go obchodzi mój 31 maja! Wychożę prędko z pokoju, panna Jellinek nie powinna zauważyć, że zaczynam płakać, powinna poskładać papiery, nie powinna temu panu w ogóle dawać odpowiedzi. Wszystkie odpowiedzi mają czas, czas do końca lata, w łazience znów przychodzi mi na myśl, że ja, w panicznym strachu, w szalonym pośpiechu, ale sama, napiszę dziś jeszcze decydujący, błagalny list. Panna Jellinek powinna podliczyć godziny, ja teraz nie mam czasu, życzymy sobie nawzajem pięknej pogody. Telefon dzwoni, panna Jellinek powinna już iść. Jeszcze raz: pięknej pogody! pięknego urlopu! piękne pozdrowienia, choć się nie znamy, dla pana doktora Krawanji! Telefon dzwięczy przeraźliwie.

Wcale się nie jąkam, zdaje ci się

Mówiłem ci przecież przedwczoraj

To musi być nieporozumienie, chciałam powiedzieć

Okropnie mi przykro, to ostatni wieczór

Nie, przecież ja ci powiedziałam, że niestety dzisiaj

Nie chcę, żebyś robiła zawsze to, co ja chcę

Wcale nie robię, tym razem na przykład to zupełnie niemożliwe

139

Na pewno tak powiedziałem, tylko ty

Przecież to ja nie mam dzisiaj czasu

Jutro rano na pewno cię odwiozę

Strasznie mi się śpieszy, do jutra, o ósmej!

Dziwny traf. Oboje nie mamy dzisiaj czasu dla siebie,

ostatniego wieczoru zawsze jest tyle do zrobienia. Ja miałabym czas, moje walizki są już spakowane. Malina poszedł

zjeść coś na mieście, ze względu na mnie. Wróci późno do

domu, też ze względu na mnie. Gdybym tylko wiedziała,

gdzie jest Malina. Ale nie chcę go widzieć, dzisiaj nie mogę,

muszę pomyśleć o dziwnym trafie. Pewnego dnia będziemy

mieli coraz mniej czasu, pewnego dnia wszystko odsunie się

w przeszłość, wczoraj, przedwczoraj, przed rokiem, przed

dwoma laty. Prócz wczoraj będzie też jutro, jutro, którego

nie chcę, a wczoraj... Och, to „wczoraj”, przypomina mi się,

jak spotkałam Ivana i że od pierwszej chwili i przez cały

czas... i jestem przerażona, bo nigdy nie chciałam myśleć, jak było na początku, nigdy, jak było przed miesiącem, nigdy, jak było w czasach, kiedy jeszcze nie znałam dzieci, jak było w czasach Frances i Trollope, jak potem układało się z dziećmi i jak byliśmy w czwórce na Praterze, jak śmiałam się, z przytulonym do mnie Andrasem, w kolejce grozy, nawet z trupiej czaszki. Nigdy więcej nie chciałam wiedzieć, jaki był początek, nigdy więcej nie zatrzymałam się przed kwiaciarnią na Landstrasse Hauptstrasse, nie zobaczyłam nazwy i nie spytałam o nazwę. Ale pewnego dnia będę chciała to wiedzieć i od tego dnia będę zostawać w tyle i wracać we „wczoraj”. Ale jeszcze nie jest jutro. Zanim wyłoni się wczoraj i jutro, muszę skłonić je w sobie do milczenia. Jest dzisiaj. Jestem tutaj i dzisiaj.

140

Zadzwoił Ivan, że nie może jednak odwiedzić mnie na Westbahnhof, bo w ostatniej chwili stanęło coś na przeszkodzie. Trudno, przyśle mi widokówkę, ja jednak nie mogę dłużej słuchać, bo muszę szybko zatelefonować po taksówkę. Malina wyszedł już z domu, a Lina jeszcze nie przyszła. Ale Lina nadchodzi, zastaje mnie z walizkami na klatce schodowej, znosimy walizki na dół, głównie znosi Lina, przy taksówce obejmuje mnie: Żeby mi tylko łaskawa pani wróciła zdrowa, bo pan doktor nie będzie zadowolony! Biegam tu i tam po Westbahnhofie, potem pędzę za tragarzem, który zawozi moje walizki na koniec trzeciego peronu, musimy zawrócić, ponieważ właściwy wagon stoi teraz na piątym peronie, a do Salzburga odchodzą o tej porze dwa pociągi. Na piątym peronie pociąg jest jeszcze dłuższy niż na trzecim, musimy brnąć po żwirze do ostatniego wagonu. Tragarz domaga się teraz zapłaty, uważa, że to skandal i typowa sprawa, ale potem pomaga mi jednak, ponieważ dałam mu dziesięć szylingów więcej, ale skandal pozostaje skandalem. Wolałabym, żeby nie dał się przekupić dziesięcioma szylingami. Wtedy musiałabym wrócić, wtedy za godzinę byłabym w domu. Pociąg rusza, ostatkiem sił udaje mi się jeszcze zatrzasać drzwiami, które otwierają się raptownie i chcą mnie pociągnąć za sobą. Siedzę na walizkach, póki nie przyjdzie konduktor i nie zaprowadzi mnie do przedziału. Pociąg nie chce się wykoleić przed Attnang-Puchheim, zatrzymuje się krótko w Linzu, nigdy nie byłam w Linzu, zawsze przejeżdżałam, Linz nad Dunajem, nie chcę oddalać się od brzegów Dunaju.

141

... nie widziała już wyjścia z tej dziwnej krainy, która składała się tylko z wikliny, wiatru i wody... krzaki wikliny szepotały coraz natarczywiej, śmiały się, wykrzykiwały i jęczały... aby nic już nie słyszeć, ukryła twarz w dłoniach... Nie mogła iść naprzód ani w tył, mogła tylko wybierać między wodą a przemocą wikliny.

Antoinette Altenwyl stoi na dworcu w Salzburgu i żegna się z paroma osobami, które pociągiem po drugiej stronie wracają do Monachium. Zawsze czułam wstręt do tego dworca, absurdalnych wyczekiwań i odpraw, ale tym razem nie muszę przechodzić przez żadną odprawę, bo zostaję, nie jadę za granicę. Czekać jednak muszę, aż Antoinette wyściska się i wycaluje ze wszystkimi, potem macha za odjeżdżającym pociągiem, jak gdyby żegnała całe tłumy, życzliwie, a i o mnie naturalnie nie zapomniła. Atti szalenie się cieszy z mojego przyjazdu, wybiera się niedługo na regaty, co? nie wiem o tym? Antoinette ciągle zapomina, czym interesują się inni, więc Atti chce jutro przed południem popłynąć ze mną do St. Gilgen, bo w tych pierwszych regatach nie weźmie naturalnie udziału. Przysłuchuję się Antoinette niepewnie. Nie rozumiem, dlaczego Atti na mnie czeka, Antoinette chyba też nie, wymyśliła to ze szczerzej serdeczności. Malina cię pozdrawia, mówię sucho.

Dziękuję, czemu nie przyjechaliście razem, nie, coś takiego, oni jeszcze pracują! co tam słychać u naszego drogiego bałamuta?

Że ona widzi w Malinie bałamuta, jest dla mnie takim zaskoczeniem, iż zaczynam się śmiać: Ależ, Antoinette, mylisz go chyba z Alexem Fleisserem albo z Fritzem! Ach, jesteś teraz z Alexem? Mówię uprzejmie: Chyba oszalałaś. Ale wciąż jeszcze wyobrażam sobie, jak Malina, sam jeden

142
w wiedeńskim mieszkaniu, radziłby sobie w roli bałamuta. Antoinette jeździ teraz jaguarem, w rachubę wchodzi tylko wozy angielskie, i szybko, i pewnie, odkrytym przez siebie objazdem, wydostaje się z Salzburga. Dziwi się, że przyjechałam zdrowa i cała, ciągle słyszy się o mnie takie śmieszne historie, nigdzie się nie zjawiam, w każdym razie nigdy w porę i nigdy na miejsce, w którym mnie oczekują.

Opowiadam szczegółowo, kiedy po raz pierwszy byłam w St. Wolfgang (opuszczając rzecz najważniejszą, popołudnie w hotelowym pokoju) i że przez cały czas padało, i że była to podróż bez sensu. Chociaż nie pamiętam już, jak było naprawdę, mówię o deszczu, żeby Antoinette mogła mi teraz jako rekompensatę zaoferować bezdeszczowe, słoneczne Salzkammergut. Wówczas bardzo rzadko udawało mi się spotkać na godzinę z Eleonorą, ponieważ miała służbę kuchenną w „Grand Hotelu”, Antoinette przerywa mi poirytowana: Nie, co ty wygadujesz, Lore, jak to? w jakiej kuchni? W „Grand Hotelu”, przecież już go nie ma, zbankrutował, ale mieszkało się tam całkiem nieźle! A ja prędko grzebię Eleonorę, rezygnując z uświadomienia Antoinette i zranienia siebie. Nie powinnam była więcej tu przyjeżdżać. U Altenwylów jest już pięć osób na herbacie, dwie mają jeszcze dojeść na kolację, a ja nie śmiem już powiedzieć: Ale przecież obiecywaliście mi, że nikogo nie będzie, że będzie

cisza i spokój, tylko my sami! Więc jutro przyjdą Wantschurowie, którzy wynajęli dom na lato, a na weekend przyjedzie siostra Attiego, która uparła się, żeby przywieźć ze sobą Baby, która, słyszysz mnie? to niewiarygodna historia, złapała sobie w Niemczech tego Rottwitza, urodzona hochsztaplerka, poza tym nie bardzo urodzona, podobno miała u nich succes fou, Niemcy na wszystko dadzą się

143
nabrać, naprawdę wierzą, że Baby jest spokrewniona z Kinsky'ni i z nimi, Altenwylami, zdumiewająca bezczelność. Antoinette już się nie otrząśnie ze zdumienia. Wymykam się od stołu, włóczę się po miasteczku i nad brzegiem, a ponieważ już tutaj jestem, składam wizyty. Ludzie zmieniają się osobliwie w tych stronach. Wantschurowie tłumaczą się, że wynajęli dom nad Wolfgangsee, nie robiłam im z tego zarzutu, ja też tu przyjechałam. Christine bezustannie biega po domu w starym fartuchu, żeby pod spodem nie było widać sukni od Saint-Laurenta. To czysty przypadek, ona wołałaby jakąś zabita deskami dziurę w Styrii. Ale przyjechali właśnie tutaj, chociaż wcale im nie zależy na festiwalu. Christine przyciska dłonie do skroni, wszystko działa jej tu na nerwy. Posadziła w ogrodzie sałatę i zioła, do wszystkich potraw dodaje swoje zioła, żyją tutaj tak skromnie, niewyobrażalnie skromnie, Xandl gotuje dzisiaj po prostu ryż na mleku, Christine ma wolny wieczór. Znow trzyma dłonie przy skroniach, palcami przeczesuje włosy. Nigdy praktycznie nie chodzą popływać, wszędzie człowiek natyka się na znajomych, i w ten sposób jestem już we wszystko wprowadzona. Potem Christine pyta: Co? u Altenwylów? No cóż, kwestia gustu, Antoinette jest czarującą osobą, ale ten Atti, jak ty to wytrzymujesz, nie bywamy u siebie, myślę, że on zwyczajnie zazdrości Xandlowi. Mówię zdziwiona: Ale dlaczego? Christine odpowiada nieprzychylnie: Atti też kiedyś malował czy rysował, bo ja wiem, no cóż, on po prostu nie znosi, że ktoś coś naprawdę potrafi, jak Xandl, wszyscy oni są tacy, ci dyletanci, nie zależy mi wcale na takich stosunkach, Attiego praktycznie nie znam, Antoinette widuję czasem w miasteczku i w Salzburgu u fryzjera, nie, w Wiedniu nigdy, w gruncie rzeczy oni są tacy

144
strasznie konserwatywni, lepiej od takich trzymać się z daleka, a i Antoinette, choć ma tyle wdzięku, o sztuce nowoczesnej, proszę, zielonego pojęcia, i że ona wyszła za Attiego Altenwyla, zmień już temat, Xandl, mówię, co myślę, jestem, jaka jestem, ty mnie dzisiaj doprowadzasz po prostu do szału, słyszysz! a dzieciom tak złoję skórę, jeśli mi jeszcze raz przyjdzie które do kuchni, proszę, odważ się kiedyś powiedzieć do Attiego panie doktorze Altenwyl, chciałabym to zobaczyć, minę, jaką by wtedy zrobił, on po prostu uważa, że to niemożliwe, ten republikanin z przekonania, podmalo-

wany na czerwono, i choćby na jego wizytówce sto razy było napisane dr Artur Altenwyl, cieszy go to tylko dlatego, że mimo wszystko każdy jeszcze wie, kim on jest. Tacy są oni wszyscy!

W sąsiednim domu u Mandłów, którzy z roku na rok coraz bardziej się amerykańniają, w livingroomie przesiaduje młody człowiek, Cathy Mandl szepce mi, że jest on outstanding, jeśli dobrze zrozumiałam, jako pisarz i, jeśli zrozumiałam nazwisko, nazywa się albo Markt albo Marek, jeszcze nic jego nie czytałam i nie słyszałam o nim, widać został dopiero co odkryty albo czeka na odkrycie przez Cathy. Po pierwszych dziesięciu minutach z nieukrywaną poządlwością pyta o Altenwylów, a ja odpowiadam skapo, czasem wcale. Co właściwie robi hrabia Altenwyl? - pyta młody geniusz, rzuca pytanie za pytaniem, jak długo znam już hrabiego Altenwyla, czy naprawdę jestem z nim zaprzyjaźniona i czy to prawda, że hrabia Altenwyl... Nie, nie mam pojęcia, nigdy go jeszcze nie pytałam, co robi. Ja? Może dwa tygodnie. Żeglować? Może. Tak, myślę, że mają dwie albo trzy łodzie, nie wiem. To możliwe. Czego chce ten pan Markt lub Marek? Zaproszenia do Altenwylów? A może

145
chce tylko ciągle wymieniać to nazwisko? Cathy Mandl wygląda grubawo i miło, czerwona jak rak, ponieważ nie opala się na brązowo, mówi przez nos z wiedeńska po amerykańsku i z amerykańska po wiedeńsku. Jest wielką żeglarką w rodzinie, jedynym poważnym danger dla Altenwyla, jeśli wyłączy się Leibla jako professional. Pan Mandl mówi mało i łagodnie, woli patrzeć. Mówi: Nie ma pani pojęcia, ile energii tkwi w mojej żonie, jeśli nie wybiera się na jezioro, to codziennie przekopuje nasz ogród i przewraca dom do góry nogami, jedni ludzie żyją, inni przyglądają się im, ja należę do tych, co się przyglądają. Pani też?

Sama nie wiem. Dostaję wódkę z sokiem pomarańczowym. Kiedy to piłam ten napój po raz pierwszy? Patrę w szklanekę, jak gdyby stała w niej druga, i znów mi się przypomina, robi mi się gorąco, miałabym chęć upuścić szklanekę albo wylać, ponieważ piłam raz wódkę z sokiem pomarańczowym wysoko w pewnym domu, w moją najgorszą noc, ktoś chciał mnie wyrzucić przez okno, i nie słyszę już, co Cathy Mandl mówi o International Yacht Racing Union, do której oczywiście należy, wypijam szklanekę, ze względu na łagodnego pana Mandla, on przecież wie, jakimi fanatykami punktualności są Altenwylowie, i wracam spacerem o zmierzchu, słyszę szумы i szepty w pobliżu jeziora, komary i ćmy brzęczą mi wokół twarzy, szukam drogi powrotnej, bliska omdlenia, i myślę, że muszę wyglądać spokojnie, wyglądać dobrze, być w nastroju, nikt nie ma prawa zobaczyć mnie tam ze spopielałą twarzą, muszę ją pozostawić na dworze w nocy, tutaj na drodze, wolno mi ją mieć tylko

w pokoju, kiedy będę sama, i wchodzę do oświetlonego domu i mówię, promieniejąc: Dobry wieczór, Anni! Stara Józefina kuśtyka korytarzem, a ja promienieję i śmieję się:
146

Dobry wieczór, Józefino! Ani Antoinette, ani całe St. Wolfgang nie zamordują mnie, nic nie przyprawi mnie o drzenie, nic nie przeszkodzi mi we wspomnianiu. U siebie w pokoju, gdzie mogłabym wyglądać, jak wyglądam, nie załamuję się jednak, bo na umywalce, koło miednicy ze starego fajansu, od razu spostrzegam list. Myję najpierw ręce, ostrożnie wylewam wodę do wiadra i odsuwam dzbanek, a potem siadam na łóżku i trzymam w ręku list od Ivana, wysłany jeszcze przed moim wyjazdem, więc nie zapomniał o tym, nie zgubił adresu, całuję list wiele razy i zastanawiam się, czy mam ostrożnie odkleić brzeg koperty, czy też rozciąć ją nożyczkami lub nożem do owoców, patrzę na znaczek, jest na nim kobieta w stroju ludowym, a to co znowu? Nie chciałabym zaraz czytać listu, wolałabym najpierw posłuchać muzyki, potem leżeć długo, nie zasypiając, z listem w dłoni, czytać moje nazwisko, wypisane ręką Ivana, wsunąć list pod poduszkę, potem jednak wyciągnąć i ostrożnie otworzyć w nocy. Pukanie, Anni wsuwa głowę: Proszę na wieczerzę, łaskawa pani, państwo są już w izbie. Nazywają to tutaj izbą, a ponieważ muszę prędko uczesać się, poprawić makijaż i jeszcze raz skwitować uśmiechem Altenwylowską izbę, pozostaje mi niewiele czasu. Po głuchym uderzeniu gongu, zanim zgaszę światło, rozrywam kopertę. Nie widzę nagłówka, na kartce jest tylko jeden, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem, osiem wierszy - dokładnie osiem wierszy - a pod spodem czytam: Ivan.

Zbiegam do izby i mogę teraz powiedzieć: Powietrze jest tutaj wspaniałe, byłam na spacerze i zajrzałam tu i ówdzie, do paru przyjaciół, ale przede wszystkim powietrze, wieś, po wielkim mieście! Antoinette swoim pewnym, ostrym głosem wymienia parę nazwisk, rozmieszcza gości. Najpierw jest po prostu bulion z wątrobianymi knedelkami. Zasadą Antoinette, zwłaszcza w St. Wolfgang, jest trzyma-
147

nie się starej wiedeńskiej kuchni. Na jej stole nie ma prawa pojawić się nic niepewnego i modnego, nic francuskiego, hiszpańskiego czy włoskiego, człowiek nie zostanie zaskoczony zbyt miękkim ugotowanym spaghetti, jak u Wantschurów, albo opadłym, smętym sabayonem, jak u Mandlów. Prawdopodobnie Antoinette winna jest to nazwisku Altenwylów, żeby nazwy i potrawy pozostały niesfałszowane, i wie, że większość jej gości i krewnych zdaje sobie sprawę z tej zasady. Nawet gdyby kuchnia wiedeńska skończyła się bezpowrotnie, u Altenwylów, póki żyją, będzie się jadało prażone śliwki, ziemniaki po cesarsku i pieczeń huzarską, nie będzie bieżącej wody ani centralnego ogrzewania, płótno

ręczników będzie tkane ręcznie, a w domu będzie się prowadziło konwersację, której nie należy mylić z „rozmowami”, „dyskusjami”, „wymianą zdań”, a która stanowi zaniżającą odmianę nic nieznaczącego monologizowania, wpływającego dobrze na trawienie i samopoczucie wszystkich. Czego Antoinette nie jest świadoma, to faktu, że jej zmysł artystyczny w tych dziedzinach rozwinął się raczej dzięki Altenwyłowskiemu duchowi, niż dzięki jej własnym, trochę bałamutnym wiadomościom i przypadkowym nabytkom z zakresu sztuki nowoczesnej. Pół stołu musi dzisiaj rozmawiać po francusku, ze względu na dalekich krewnych Attiego, wuja Beaumonta i jego córkę Marie. Kiedy francuski bierze górę, Antoinette niespodziewanie zwraca się z prośbą: Atti, bądź tak dobry, jest przeciąg, tak, czuję to, ciągnie ze dworu! Atti wstaje dwa razy i poprawia zasłony, mocuje się z zamkami okien. Wszystko to dzisiaj partactwo, ech, ci nasi rzemieślnicy! Mais les artisans chez nous, je Vous en pris, c'est partout la meme chose! Mes chers amis, Vous avez vu, comment on a detruit Salzburg, meme Vienne! Mais chez nous a Paris, c'est absolument le meme, je Vous assure! Więc Antoinette, podziwiam cię, czego ty
148

dzisiaj nie wytrzaśniesz! Tak, bez tej Antoinette, która jednak niejedno znosi! Nie, sprowadziliśmy bardzo zwyczajny serwis z Włoch, z Vietri, to jest tam na dole, nie dojeżdżając do Salerno! A mnie przypomina się duży, wspaniały talerz z Vietri, szarzielony, malowany w liście, spalony i przepadły, mój pierwszy talerz na owoce, dlaczego dzisiaj musiała się pojawić nie tylko wódka z sokiem pomarańczowym, lecz także ceramika z Vietri? Vous etes sure qu'il ne s'agit pas de Fayence? Jezu, woła Antoinette, wuj Gontran całkiem zbił mnie z tropu, proszę, pomóżcie mi, bo nie zrozumiałam jeszcze, czy fajans pochodzi od Faenza, czy po prostu jest tym samym, człowiek uczy się całe życie. Bassano di Grappa? Il faut y aller une fois, Vous prenez la route, c'etait donc, tu te rappelles, Marie? Non, mówi ta Marie froidement, a stary Beaumont spogląda z wahaniem na córkę i szukając pomocy na mnie, ale Antoinette, ze względu na chłodną Marię, szybko kieruje rozmowę na Salzburg i grzebiąc w rzymskiej pieczeni, szepce do mnie: Nie, to nie jest taka pieczeń rzymska jak zwykle. Do reszty zwraca się głośno: A propos, byliście wszyscy na „Czarodziejskim flecie”? i co teraz macie do powiedzenia? Anni, proszę powiedzieć Józefinie, że dzisiaj sprawiła mi wielki zawód, ona już wie, dlaczego, nie trzeba jej tego tłumaczyć. Co powiecie na Karajana? dla mnie ten człowiek zawsze był zagadką! Atti wygląda fale między zbyt suchą rzymską pieczenią „Requiem” Verdiego, którym dyrygował Karajan*, nie znajdując aprobaty Antoinette, a „Czarodziejskim fletem”, wystawionym przez znanego niemieckiego reżysera, które-

go nazwisko Antoinette dobrze pamięta, ale dwukrotnie
* Herbert von Karajan (1908-1989): wybitny austriacki dyrygent.
Sławę zyskał po przedstawieniu „Czarodziejskiego fletu” Mozarta
w operze w Berlinie w 1939 roku. Popierany przez nazistów.

149

zbita z tropu źle wymawia, nie inaczej niż Lina, która jakże często złośliwie myli Zoschkego z Boschkem. Ale Antoinette jest już znów przy Karajanie, a Atti mówi: Proszę was, dla Antoinette każdy mężczyzna jest zupełną zagadką, i to czyni ją tak pięknie oderwaną od życia i uroczą dla mężczyzn. Antoinette śmieje się swoim nabytym przez małżeństwo, niezrównanym Altenwylowskim śmiechem, bo jeśli Fanny Goldmann wciąż jeszcze jest najpiękniejszą kobietą Wiednia i najpiękniej mówi „pan”, to Antoinette przypadłaby nagroda za najpiękniejszy śmiech. Ach, to jest cały Atti! mój drogi, sam nie wiesz, jak bardzo masz rację, co jednak najgorsze, mówi z kokieteryą, która odnosi się teraz do jej talerzyka z budyniem z grysiku, Antoinette nabiera pełną łyżeczkę i trzyma ją wdzięcznie wygiętą dłonią w połowie drogi od talerzyka do ust (och, ta Józefina jest jednak nieoceniona, właśnie tak powinno się przyrządzać budyń, ale będę się strzec, żeby jej tego nie powiedzieć) - co jednak najgorsze, Atti, to, że ty wciąż jeszcze jesteś dla mnie największą zagadką, proszę, nie zaprzeczaj! Czerwieni się wzruszając, bo czerwieni się wciąż jeszcze, kiedy przyjdzie jej na myśl coś, czego przedtem jeszcze nigdy nie mówiła. Je Vous adore, mon cheri, szepce czule i tak głośno, że wszyscy to słyszą. Bo jeśli mężczyzna stanowi dla nas ciągle największą zagadkę, po dziesięciu latach, proszę bardzo, niech będzie po dwunastu, nie będziemy ukrywali naszych publicznych tajemnic, to wygrało się los na loterii, nie mam racji? U faut absolument que je Vous le dise ce soir! Spogląda, oczekując poklasku, także na mnie, a potem rzuca Anni stalowe spojrzenie, ponieważ niewiele brakowało, by Anni sięgnęła po mój talerz z niewłaściwej strony, ale już w następnej chwili potrafi popatrzyć z miłością na Attiego. Odrzuca w tył głowę, podpięte włosy niemal przypadkowo opadają jej na ramiona, lekko utrefione i złotobrazowe, jest syta i zadowolona. Stary

150

Beaumont zaczyna bezlitośnie opowiadać o dawnych czasach, wtedy to jeszcze były prawdziwe letniska, rodzice Attiego wyjeżdżali z Wiednia ze skrzyniami pełnymi naczyń, srebra i bielizny, ze służbą i dziećmi. Antoinette rozgląda się z westchnieniem, trzepocze powiekami, bo zanosi się na to, że cała historia zostanie opowiedziana po raz setny, każdego lata bywali u nich naturalnie Hofmannsthal i Strauss, Max Reinhardt i Kassner, powinniśmy dzisiaj wszyscy zobaczyć wreszcie rzadki album Kassnerowski Fertscha Mansfelda, a warownia Castiglione, une merveille sans comparaison, inoubliable, il etait un peu louche, oui, ale Reinhardt, toute

autre chose, prawdziwy pan, il aimait les cygnes, naturalnie kochał łabędzie! Qui etait ce type-la? - pyta chłodno Marie. Antoinette wzrusza ramionami, lecz Atti uprzejmie przychodzi staremu panu z pomocą, proszę, wuju Gontranie, opowiedzieć tę przezabawną historię o twojej górskiej wycieczce, wiecie, to było w czasach, kiedy narodził się ten alpinizm, naprawdę można umrzeć ze śmiechu, wiesz, Antoinette, że wuj Gontran był jednym z pierwszych narciarzy, którzy na Arlbergu nauczyli się tej arlberskiej techniki, że były to czasy krystianii i telemarku? i że był też jednym z pierwszych, którzy wymyślili dietę słonecznikową i kąpiele słoneczne, wtedy to było niesłychanie śmiało opalać się nago, proszę, opowiedz! Dzieci, umieram, oznajmia Antoinette, cieszę się, że mogę się objadać, ile zechcę, nie bacząc na linię. Patrzy ostro na Attiego, odkłada serwetkę, wstaje i przechodzimy wszyscy z małej izby do dużej obok, czekamy na kawę, a Antoinette ponownie nie dopuszcza, by stary Beaumont poczęstował nas Arlbergiem i kuracją Kneippa, opalaniem się nago lub jakąś inną przygodą z początku wieku. Niedawno mówię do Karajana, ale nie wiadomo przecież, czy ten człowiek kogoś słucha, stale jest w transie, proszę cię, Atti, nie musisz mnie tak zaklinać wzrokiem, już 151

milczę. Ale co powiecie na histerię Christine? Zwracając się do mnie: Możesz mi powiedzieć, co właściwie w tę kobietę wstąpiło, patrzy na mnie, jakby kij połknęła, ja zawsze kłaniam się uprzejmie, ale ta kluska najchętniej oblałaby mnie smołą i siarką, ten Wantschura ze swoim rzeźbieniem, naturalnie wykończy ją nerwowo, jak przedtem Lisel, to u niego notoryczne, potem jego muzy są do niczego, bo muszą ciągle wystawać w atelier, a do tego prowadzenie domu, ja to rozumiem, ale trzeba przecież mieć spokojną głowę, kiedy się z takim człowiekiem pokazuje publicznie, on jest piekielnie zdolny, Atti kupił jego pierwsze rzeczy, pokaże wam, to najlepsze, co Xandl w ogóle zrobił!

Upłynie jeszcze godzina i będę mogła położyć się do łóżka, nakryć się grubą chłopską kołdrą puchową, bo wieczorem w Salzkammergut zawsze jest chłodno, na dworze będzie coś brzęczeć, ale i w pokoju coś zabrzączy, wstanę z łóżka, będę chodzić wokoło, szukać brzęczącego, bzykającego owada, nie znajdę go, a potem na mojej lampie cicho będzie grzała się óma, mogłabym ją zabić, ale właśnie ona nic mi nie zawiniła i dlatego nie mogę tego zrobić, musiałaby wydawać dźwięki, wywoływać dręczący hałas, żeby obudzić we mnie mordercze instynkty. Z walizki wyjmę parę kryminałów, muszę jeszcze poczytać. Ale po kilku stronach spostrzegę, że znam już tę książkę. „Morderstwo nie jest sztuką”. Na pianinie leżą rozrzucone nuty Antoinette, dwa tomy „Śpiewu i muzyki”, otwieram je w różnych miejscach i wystukuję cicho parę taktów, które grałam w dzieciństwie.

„Drżysz, Bizancjum”... „Powstań, książę Ferrary”... „Śmierć i dziewczyna”, marsz z „Córki pułku”... „Pieśń o szampa-
nie”. ... „Ostatnia róża tego lata”. Śpiewam cicho, ale fałszy-
152

wie i obok: „drżysz, Bizancjum!” Potem jeszcze ciszej
i czysto: „wino, które pije się oczyma”...

Zaraz po śniadaniu, przy którym siedzimy tylko we
dwoje z Attim, wyjeżdżamy jego motorówką. Atti zawiesił
sobie chronometr na szyi, mnie wręczył drąg z hakiem,
w krytycznym momencie chcę mu go podać i drąg wypada
mi z rąk. Ach, ty gapo, masz się nim odpychać, uderzymy
o pomost, więc odpychaj łódź! Atti nigdy nie krzyczy, ale
w każdej łodzi musi krzyżeć, już to samo mogłoby mi
obrzydzić łodzi. Zaczynamy odpływać tyłem, Atti obraca
łódź, a ja myślę o wszystkich latach w motorówkach na je-
ziorach i morzach, spoglądam znów na ówczesne okolice,
więc to jest to zapomniane jezioro, tutaj to było! Atti, któ-
remu chcę wytłumaczyć, jakie to dla mnie cudowne mknąć
tak po wodzie, w ogóle nie słucha, chciałby tylko zdążyć na
miejsce przed startem. Krążymy, kołyszając się, w pobliżu
St. Gilgen. Upływa jeszcze dziesięć minut po pierwszym
strzale, potem następuje wreszcie drugi strzał, i teraz co mi-
nutę zabiera się kule. Widzisz, zabierają ostatnią! Nic
wprawdzie nie widzę, ale słyszę strzał startowy. Zostajemy
w tyle za żaglówkami, które nabierają rozpędu, rzuca mi się
w oczy jedynie to, że jedna przed nami idzie teraz halsem,
nierównym, objaśnia Atti, a potem płyniemy bardzo wolno,
żeby nie przeszkadzać regatom, Atti, kręcąc głową, przyglą-
da się manewrom tych żalonych żeglarzy. Ivan podobno
bardzo dobrze żegluje, pojedziemy razem pożeglować,
w przyszłym roku, może na Morze Śródziemne, bo Ivan nie
ceni zbyt wysoko naszych małych jezior. Atti podnieca się:
Ojej, co on wyprawia, idzie za blisko, a ten za szeroko, a ja
wskazuję na jednego, który nabiera szybkości, podczas gdy
reszta stoi niemal bez ruchu. Złapał własny szkwał! Co
153

takiego? I Atti tłumaczy bardzo dobrze, ale ja widzę moje
zapomniane jezioro z tymi zabawkami na wodzie, chciała-
bym tu żeglować z Ivanem, ale z dala od innych, choćby mi
skórę zdierało z rąk i choćbym stale musiała czołgać się pod
bomem. Atti dopływa do pierwszej boi, którą wszyscy muszą
wyminać, jest całkiem skonsternowany. Tu powinno się iść
bardzo blisko, drugi stracił już co najmniej pięćdziesiąt
metrów, żeglarz w jednoosobowej łodzi trwoni wiatr, a po-
tem dowiaduję się jeszcze, że jest wiatr prawdziwy i pozor-
ny, to mi się bardzo podoba, patrzę na Attiego z podziwem
i powtarzam lekcję: W żeglowaniu liczy się wiatr pozorny.
Moje zainteresowanie nastraja Attiego łagodnie, patrz,
jak śmiesznie siedzi ten facet w łodzi, powinien bardziej się
odchylić, no, nareszcie, teraz pójdzie! Więcej, jeszcze

więcej! Jak to spokojnie wygląda, mówię, ale Atti, znów poriryrowany, mówi, że to nie jest spokój, facet myśli tylko o wietrze i o swojej łodzi, a ja spoglądam w niebo, staram się, nie zważając na żeglowanie, przypomnieć sobie, co to jest wiatr termiczny, jak to jest z termiką, i zmieniam spojrzenie, jezioro nie jest już jeziorem, lśniącym lub ołowianym, lecz ciemniejsze linie coś znaczą, teraz dwie łodzie przechylają się na zawietrzną, ponieważ wiatr znów osłabł, próbują ustawić żagle. Podpływamy kawałek do nich, nieopodal najbliższej boi, robi się chłodno. Atti powiada, że zaraz „odstrzelą” regaty, bo nie opłaca się, rzeczywiście, nie opłaca się, Atti już wie, dlaczego nie bierze udziału w tych regatach. Płyniemy do domu, podskakujemy na wzburzonej wodzie, ale nagle Atti wyłącza silnik, bo z naprzeciwka zbliża się Leibl, który też zjawiał się w St. Gilgen, a ja mówię do Attiego: A to co za wielki parowiec? Atti krzyczy: To nie jest żaden parowiec, tylko...

Obaj mężczyźni zaczynają machać rękami. Serwus, Altenwyl! Serwus, Leibl! Nasze łodzie stoją blisko siebie,
154

mężczyźni rozmawiają podnieceni, Leibl jeszcze nie wyprowadził swoich łodzi, Atti zaprasza go, żeby jutro przyszedł na obiad. Jeszcze jeden, myślę, więc to jest zwycięski przysadzisty pan Leibl, który wygrywa wszystkie regaty na swoim katamaranie, macham ręką z szacunkiem, gdyż nie mogę krzyczeć jak Atti, i co chwila patrzę w lusterko wsteczne. Bo dziś wieczorem ten Leibl na pewno będzie opowiadał w całym St. Gilgen, że widział Attiego bez Antoinette, z jakąś blondynką. Zwycięski pan Leibl nie może wiedzieć, że Antoinette koniecznie musi być dzisiaj u fryzjera, że w ogóle jest jej zupełnie obojętne, z kim Atti pędzi po jeziorze, bo przez trzy miesiące Atti myśli tylko o jeziorze i żaglówkach, jak Antoinette w cztery oczy każdego z bólem zapewnia, tylko o tym przeklętym jeziorze, o niczym więcej. Późnym wieczorem musimy jeszcze raz ruszyć na jezioro, z szybkością trzydziestu lub czterdziestu węzłów, ponieważ Atti umówił się z majstrem od żagli, noc jest chłodna, Antoinette pozbyła się nas, musi być na premierze „Jedermann”. Stale słyszę muzykę: „I w marzeniach wybiegam w szczęścia pełne dale...”, jestem w Wenecji, myślę o Wiedniu, patrzę na wodę i patrzę w wodę, w mroczne historie, przez które przechodzę. Czy Ivan i ja jesteśmy mroczną historią? Nie, on nie, tylko ja jestem mroczną historią. Słysząc tylko silnik, pięknie jest na jeziorze, wstaję i trzymam się futryny okna, na drugim brzegu widzę już nikły łańcuch świateł, zagubiony i niewyspany, a włosy powiewają mi na wie
trze.

155

...a prócz niej nie było żywej duszy i straciła orientację...
zdawało się, jak gdyby wszystko zostało wprawione w ruch, fale

wiklinowych gałązek, nurty toczyły się po swojemu... był w niej nieznany nigdy spokój i kładł się ciężko na sercu... Gdyby nie było wiatru w plecy, płakałabym gorzko, w połowie drogi do St. Gilgen, ale silnik zacina się, milknie, Atti rzuca kotwicę, całe kotwiczne żelastwo, krzyczy coś do mnie, a ja słucham, tego się nauczyłam, że na łodzi trzeba słuchać. Tylko jednemu wolno mówić. Atti nie może znaleźć kanistra z zapasową benzyną, a ja myślę, co też ze mną będzie, cała noc w łodzi, przy tym zimnie? nikt nas przecież nie zobaczy, jesteśmy jeszcze daleko od brzegu. Ale potem znajdujemy jednak kanister i lejek. Atti wchodzi na dziób, a ja trzymam latarnię. Nie jestem już pewna, czy naprawdę chciałabym jeszcze dotrzeć do brzegu. Silnik jednak zaskakuje, wciągamy kotwicę, płyniemy w milczeniu do domu, bo Atti też wie, że musielibyśmy spędzić całą noc na wodzie. Antoinette nic nie mówimy, przemycamy pozdrowienia stamtąd, wymyślane pozdrowienia, zapomniałam nazwiska tych ludzi. Zapominam coraz więcej. Przy kolacji też nie mogę sobie przypomnieć, co miałam lub chciałam przekazać Ernie Zanetti, która była z Antoinette na premierze, próbuje szczęścia z pozdrowieniami od pana Kopecky'ego z Wiednia. Erna jest zdziwiona: od Kopecky'ego? Przepraszam, musiałam się pomylić, ktoś z Wiednia prosił, żeby ją pozdrowić, może Martin Ranner. To się może zdarzyć, zdarza się, mówi Erna pobłaźliwie. Zastanawiam się nad tym przez cały wieczór. Nie powinno było się to zdarzyć, może to było coś ważniejszego, nie pozdrowienia, może miałam Ernę o coś prosić, nie był to plan Salzburga ani mapa jezior i Salzkammergut, nie było to pytanie o fryzjera czy drogerię. Boże

156
mój, co ja powinnam Ernie powiedzieć albo o co zapytać! Nic od niej nie chcę, ale powinnam o coś ją zapytać. Pijemy kawę w dużej izbie, a ja tymczasem nadal patrzę na Ernę z poczuciem winy, ponieważ nigdy sobie tego nie przypominę. Nie przypominam sobie już nic w związku z ludźmi, którzy mnie otaczają, zapominam, zapominam już nazwiska, pozdrowienia, pytania, wiadomości, plotki. Niepotrzebne mi Wolfgangsee, niepotrzebny mi wypoczynek, duszę się, kiedy przychodzi wieczór i toczy się konwersacja, te stany nie wracają naprawdę, tylko z lekka zaznaczone, duszę się ze strachu, boję się straty, mam jeszcze coś do stracenia, mam wszystko do stracenia, tylko to jest ważne, wiem, jak się nazywa, i nie potrafię wysiadywać tu u Altenwylów, z innymi ludźmi. Przyjemnie jest jeść śniadanie w łóżku, zdrowo spacerować nad jeziorem, dobrze i niepotrzebnie chodzić do St. Wolfgang po gazety i papierosy. Ale wiedzieć, że każdego z tych dni będzie mi kiedyś okropnie brakowało, że będę krzyczała ze zgrozy, ponieważ tak spędzam te dni, podczas gdy nad Mondsee jest życie... Nigdy się tego nie da naprawić.

O północy wracam do dużej izby i biorę sobie z biblioteki Attiego „ABC żeglarza”, „Od dziobu do rufy”, „Nawietrzna i zawietrzna”. Dosyć straszne tytuły, do Attiego też nie pasują. Chwytam jeszcze jedną książkę, „Wiązanie węzłów, splatanie, takielowanie”, to chyba coś dla mnie, „książka nie wymaga żadnego przygotowania... napisana jest z tą samą systematyczną jasnością... w sposób łatwo zrozumiały uczy sporządzania węzłów ozdobnych od węzła Hohenzollernów po różę topową”. Czytam łatwo zrozumiały podręcznik dla początkujących. Wzięłam już tabletkę na sen. Co ze mnie będzie, jeśli dopiero teraz zacznę? kiedy

157

mogę wyjechać i jak? mogłabym tu jeszcze szybko nauczyć się żeglowania, ale nie chcę. Chcę wyjechać, nie wierzę, żeby mi jeszcze coś było potrzebne, żebym musiała na całe życie nauczyć się, co to znaczy trym, trymunek, trymowanie.

Jeszcze nigdy przy czytaniu oczy mi się nie zamknęły, nie zamkną się i tym razem. Muszę wracać do domu.

O piątej rano zakradam się cichaczem do dużej izby, do telefonu. Nie wiem, jak Antoinette zapłaci za telegram, gdyż nie może dowiedzieć się o tym telegramie. Przyjmowanie telegramów, proszę czekać, proszę czekać, proszę czekać, proszę czekać... Czekam, palę i czekam. Brzęknięcie na linii, młody, rześki kobiecy głos pyta: nazwisko abonenta, numer? Szepczę bojaźliwie nazwisko Altenwylów i ich numer, telefonistka zaraz oddzwoni, po pierwszym dzwonku podnoszę słuchawkę i szepczę, żeby nikt w domu nie usłyszał: Dr Malina, Ungargasse 6, Wiedeń III. Tekst: proszę pilnie telegram stop nagła konieczność powrotu do Wiednia stop przyjadę jutro wieczorem stop pozdrowienia...

Telegram od Maliny przychodzi przed południem, Antoinette nie ma czasu i dziwi się przelotnie, jadę do Salzburga z Christine, która chce dokładnie wiedzieć, jak było u Altenwylów. Podobno Antoinette wpadła w zupełną histerię, Atti to miły, rozsądny człowiek, ale ta kobieta doprowadza go do szaleństwa. Ejże, mówię, nic takiego nie zauważyłam, nigdy bym na to nie wpadła! Christine mówi: Jeśli naturalnie wolisz przestawać z takimi ludźmi, my byśmy cię oczywiście zaprosili, u nas miałybyś prawdziwy spokój, żyjemy tak niezwykle skromnie. Wyglądam zmęczona z sa-

158

mochodu i nie znajduję odpowiedzi. Mówię: Wiesz, znam Altenwylów od bardzo dawna, ale nie, to nie dlatego, bardzo ich lubię, nie, naprawdę nie są męczący, dlaczego mieliby być męczący?

Jestem zbyt zmęczona, wciąż bliska płaczu podczas tej jazdy, kiedyś jednak musi ukazać się ten Salzburg, już tylko piętnaście kilometrów, już tylko pięć kilometrów. Stoimy na dworcu. Christine przypomina sobie, że musi jeszcze spotkać się z kimś, a przedtem zrobić zakupy; mówię: Idź już,

proszę, na miłość boską, zaraz zamykają sklepy! Zostaje wreszcie sama, znajduję mój wagon, ta osoba stale sobie przeczy, ja też sobie przeczę. Dlaczego nigdy dotąd nie zauważyłam, że prawie nikogo nie mogę już znieść? Od kiedy tak jest? Co się ze mną stało? Jadę oszołomiona przez Linz i Attnang-Puchheim, z książką, która kołysze mi się w ręku, „Ecce homo”. Mam nadzieję, że Malina czeka na peronie, ale nikt nie czeka, muszę zatelefonować, ale nie lubię telefonować z dworców, budek telefonicznych czy urzędów pocztowych. Zwłaszcza z budek. Musiałam być kiedyś w więzieniu, nie mogę dzwonić z budki, bo przypomina mi celę, ani z kawiarni, ani z mieszkań przyjaciół, muszę być w domu, kiedy telefonuję, i żeby nikogo nie było w pobliżu, najwyżej Malina, ponieważ on nie słucha. Ale to coś zupełnie innego. Telefonuję, pocąc się w przypiływie klaustrofobii, z budki na Westbahnhofie. Nic mi się tu nie może stać, chyba tracę zmysły, w budce nie może mi się to stać.

Halo, to ja, piękne dzięki

Kiedy mógłbym dopiero o szóstej być na Westbahn

159

Proszę cię, przyjeźdź, błagam, wyjdź wcześniej

Wiesz, że nie mogę, mógłbym

Proszę, wobec tego nie przejmuj się, jakoś dam sobie radę

Nie, proszę cię, coś się stało, masz taki zmieniony głos

To nic, nie przejmuj się, mówię ci przecież

Po co tak komplikujesz sprawę, weź taksówkę

Więc zobaczymy się wieczorem, będziesz

Tak, będę wieczorem, zobaczymy się na pewno

Zapomniałam, że Malina ma dyżur, i biorę taksówkę.

Komu się dzisiaj chce oglądać ten przeklęty automobil, w którym zamordowano arcyksięcia Franciszka Ferdynanda w Sarajewie, i ten zakrwawiony mundur? Muszę zajrzeć do książek Maliny: samochód osobowy marki Graef & Stift, numer rejestracyjny A III-I 18, nadwozie: podwójny faeton, wiercenie 115 mm, suw 140 mm, 28/32 koni mechanicznych, silnik nr 287. Tylne ścianie uszkodzona odłamkami pierwszego (bombowego) zamachu, na prawej ścianie wozu widoczny przestrzał pocisku, który spowodował śmierć księżnej, obok szyby ochronnej po lewej umieszczony proporzec arcyksięcia znajdujący się tam 28 czerwca 1914 roku...

Z katalogiem Muzeum Wojska idę przez wszystkie pokoje, mieszkanie wygląda, jakby od miesięcy nikt w nim nie mieszkał, bo kiedy Malina jest sam, nigdzie nie wkrada się nieporządek. Kiedy Lina częściej bywa rano sama, wszystko, co wskazuje na mnie, znika w szufladach i szafach, kurz nie osiada, dopiero moja obecność sprowadzi kurz i brud na nowo, rozrzucone książki, kartki leżące w nieładzie. Jeszcze

160

nic nie leży w nieładzie. Przed wyjazdem zostawiłam Anni

kopertę, na pocztę, która mogłaby przyjść do St. Wolfgang, będzie to widokówka, więc żadna specjalna niespodzianka, mimo to muszę mieć tę widokówkę, żeby położyć ją tutaj na półce, obok listów i kart z Paryża i Monachium, na wierzchu z listem z Wiednia, który przyszedł do St. Wolfgang. Brak mi jeszcze Mondsee. Siadam przy telefonie, czekam i palę, nakręcam numer Ivana, telefon u niego dzwoni, Ivan jeszcze całymi dniami nie będzie mógł odpowiedzieć, a ja mogłabym całymi dniami chodzić po wymarłym, rozgrzanym Wiedniu albo wysiadywać tutaj, jestem nieobecna duchem, mój duch jest nieobecny, co to jest nieobecność ducha? gdzie jest duch, kiedy jest nieobecny? jest to nieobecność ducha wewnątrz i na zewnątrz, wszędzie tutaj duch jest nieobecny, mogę usiąść, gdzie chcę, mogę dotykać mebli, mogłabym się cieszyć, ponieważ uciekłam i znów żyję w nieobecności ducha. Wróciłam do mojego kraju, który też jest nieobecny, do mojego wspaniałego kraju, w którym mogę się ułożyć.

Dzwoni telefon, powinien to być Malina, ale jest to Ivan.

Dlaczego wróciłaś, próbowałam tam
Zdecydowałam się nagle, musiałam, ja właśnie
Stało się coś, przecież my, oni cię pozdrawiają
Ja też miałam wspaniałą pogodę, było bardzo
Zawsze coś wymyślisz, ale jeśli ty już koniecznie
Szkoda, ale muszę, niestety
Muszę kończyć, musimy zaraz
Wysłałeś mi kartkę, jeszcze nie, wobec tego
Napiszę do ciebie na Ungargasse, na pewno
Takie ważne to nie jest, jeśli możesz, to

161

Mogę, naturalnie, uważaj na siebie, nie rób mi żadnych
Nie, na pewno nie, muszę już kończyć!

Malina wszedł do pokoju. Trzyma mnie w ramionach.
Ja mogę znów trzymać go w ramionach. Czepiam się go,
przywieram mocniej do niego. Mało tam nie oszalałam, nie,
nie tylko nad jeziorem, także w budce, mało nie oszalałam!
Malina trzyma mnie, póki się nie uspokoję, uspokołam się,
a wtedy pyta: Co tam czytasz? Mówię: Interesuję się, zaczy-
na mnie to interesować. Malina mówi: Sama przecież w to
nie wierzysz! Ja mówię: Jeszcze mi nie wierzysz i masz rację,
ale pewnego dnia mogłabym zacząć interesować się tobą,
wszystkim, co robisz, myślisz i czujesz!

Malina uśmiecha się szczególnie: Sama przecież w to
nie wierzysz.

Zaczyna się najdłuższe lato. Wszystkie ulice opustosza-
ły. W głębokim odurzeniu mogę iść przez tę pustynię,
wielkie wrota przy rampie Albrechta i na Josefsplatz będą
zamknięte, nie mogę sobie przypomnieć, czego tu kiedyś
szukałam, obrazów, gazet, książek? Chodzę bez celu po

mieście, bo przy chodzeniu daje się to odczuć, odczuwam to najwyraźniej, z pewnym wstrząsem, na Moście Cesarstwa, nad Kanałem Dunajskim, do którego wrzuciłam kiedyś pierścionek. Jestem zaślubiona, musiało dojść do zaślubin. Nie będę więcej czekała na karty znad Mondsee, zwiększę moją cierpliwość, skoro pozostaję tak połączona z Ivanem, nie mogę się tego pozbyć, bo stało się to, wbrew wszelkiemu rozsądkowi, z moim ciałem, które w ciągłym, łagodnym, bolesnym ukrzyżowaniu dąży już tylko ku niemu. Tak będzie

162
przez całe życie. Na Praterze dozorca parkowy mówi usłudźnie: Nie może pani tu dłużej zostać, w nocy tu tyle hołoty, niech pani idzie do domu!

Najlepiej pójdę do domu, o trzeciej nad ranem stoję oparta o bramę przy Ungargasse 9, z lwimi łbami po obu stronach, a potem jeszcze chwilę przed bramą przy Ungargasse 6, spoglądając w kierunku numeru 9, w męce, mając przed oczyma moją drogę przez mękę, którą znów przemierzyłam dobrowolnie, od jego domu do mojego domu. Nasze okna są ciemne.

Wiedeń milczy.

Rozdział drugi

Ten trzeci

Malina powinien pytać o wszystko. Ja jednak odpowiadam niepytana: Miejszem tym razem nie jest Wiedeń. Jest to miejsce, które nazywa się Wszędzie i Nigdzie. Czas to nie jest dzisiaj. Czasu w ogóle nie ma, bo mogłoby to być wczoraj, dawno temu, może być znowu, być ciągle, tego czy owego nie było nigdy. Dla jednostek tego czasu, w który wskazują inne czasy, nie ma żadnej miary, w ogóle nie ma miary dla pozaczasów, w które wdziera się to, czego nigdy nie było w czasie.

Malina powinien wiedzieć wszystko. Ale ja postanawiam: Są to sny dzisiejszej nocy.

Otwiera się wielkie okno, większe od wszystkich okien, jakie widziałam, ale nie na podwórzu naszego domu przy Ungargasse, tylko na mroczną ławicę chmur. Pod chmurami mogłoby znajdować się jezioro. Budzi się we mnie po-

165
dejrzenie, które by to mogło być jezioro. Ale teraz nie jest już zamarznęte, nie jest to już noc świąteczna, a sentymentalne chóry męskie, które stały kiedyś na lodzie pośrodku jeziora, zniknęły. Jezioro, którego nie sposób dojrzeć, okalają liczne cmentarze. Nie ma na nich krzyży, ale nad każdym grobem kłębią się gęste i ciemne chmury; grobów, tablic z napisami prawie nie widać. Mój ojciec stoi przy mnie i zdejmuje dłoń z mojego ramienia, bo podszedł do nas grabarz. Mój ojciec patrzy rozkazująco na starego człowieka, grabarz lękliwie, po tym spojrzeniu mojego ojca, zwraca się ku mnie. Chce mówić, długo jednak porusza tylko war-

gami bez słowa, słyszę dopiero jego ostatnie zdanie:

To jest cmentarz pomordowanych córek.

Płaczę gorzko, bo nie powinien był mi tego mówić.

Izba jest duża i ciemna, nie, to jest sala, o brudnych ścianach, mogłoby to być na zamku Hohenstaufów w Apulii.

Bo nie ma okien ani drzwi. Mój ojciec zamknął mnie, chcę go zapytać, co ze mną robi, ale znów brak mi odwagi, żeby go zapytać, rozglądam się jeszcze raz, bo muszą być jakieś drzwi, jedne jedyne, którymi mogłabym wydostać się na powietrze, ale pojmuję, że nic tu nie ma, żadnego otworu, nie ma żadnych otworów, bo do wszystkich przyczepiono czarne gumowe węże, przyklejono wszędzie do murów, jak olbrzymie pijawki, które chcą wyssać coś ze ścian. Czemu wcześniej nie zauważyłam tych węży, bo musiały tu być przecież od samego początku! Byłam jak ślepa w półmroku i po omacku posuwałam się wzdłuż ścian, aby ojca nie stracić z oczu, aby razem z nim znaleźć drzwi, ale oto znajduję go i mówię: Drzwi, pokaż mi drzwi. Ojciec odejmuje spokojnie pierwszego węża od ściany, widzę okrągłą dziurę, przez którą wpływa coś do środka, pochylam się, ojciec idzie
166

dalej, odejmuje jednego węża po drugim, i zanim zdążę krzyknąć, wdycham już gaz, coraz więcej gazu. Jestem w komorze gazowej, to właśnie ona, największa komora gazowa świata, jestem w niej sama. W gazie nie stawia się oporu. Mój ojciec zniknął, wiedział, gdzie są drzwi, i nie pokazał mi, umieram, a ze mną umiera pragnienie, by zobaczyć go jeszcze raz i powiedzieć mu to jedno. Ojczy, mówię do niego, choć go tu już nie ma, ja bym cię nie zdradziła, nie powiedziałabym nikomu. Tutaj nie stawia się oporu.

Kiedy to się zaczyna, świat pogrążył się już w chaosie i wiem, że jestem obłąkana. Elementy świata istnieją jeszcze, ale w tak okropnym zestawieniu, jakiego nikt dotąd nie widział. Samochody kręcą się w kółko, ociekając farbami, pojawiają się ludzie, szyderczo uśmiechnięte maski, a kiedy zbliżają się ku mnie, padają, są to straszdyła ze słomy, wiązki drutu, tekturowe figury, idę dalej w tym świecie, który nie jest światem, z zaciśniętymi pięściami, z wyciągniętymi rękami, żeby odpierać przedmioty, maszyny, które najeżdżają na mnie i rozpierzchają się, a kiedy ze strachu nie mogę już dalej, zamykam oczy, lecz farby, błyszczące, jaskrawe, szalone, plamią mnie, moją twarz, moje gołe nogi, otwieram oczy, żeby zorientować się w sytuacji, bo chcę się stąd wydostać, potem ulatuję w górę, bo nabrzmiały mi palce u rąk i nóg, zamieniły się w lekkie błękitne balony i unoszą mnie na nieosiągalną wysokość, gdzie jest jeszcze gorzej, potem pękają wszystkie, a ja spadam, padam i wstaję, palce u nóg mi szerniały, nie mogę już dalej iść.

Sire!

Mój ojciec wyłania się z ulewy farb, mówi drwiąco: Idź

dalej, idź tylko dalej! A ja zasłaniam ręką usta, z których wy-
167

padły wszystkie zęby, leżą przede mną jak przeszkoda nie
do przebycia, dwa półkola marmurowych bloków.

Nie mogę nic powiedzieć, ponieważ muszę uciekać od
ojca, przez marmurową ścianę, ale w innym języku mówię:

Ne! Ne! Iw wielu językach: No! No! Non! Non! Niet!

Niet! No! Nem! Nie! Bo i w naszym języku mogę powie-
dzieć tylko „nie”, nie znajduję już żadnego innego słowa.

Jakiś toczący się kształt, może diabelskie koło, które wytrzą-
sa ekskrementy z gondol, podjeżdża ku mnie, a ja mówię:

Ne! Nem! Ale ojciec, chcąc mnie zmusić, żebym przestała
wołać swoje „nie”, wsadza mi palce w oczy, krótkie, mocne,
ostre palce, zostałam oślepią, lecz muszę iść dalej. Nie
sposób tego wytrzymać. Uśmiecham się więc, ponieważ
ojciec sięga po mój język i chce mi go wyrwać, żeby nikt tutaj
nie słyszał mojego „nie”, chociaż nikt mnie nie słyszy, zanim
jednak wyrwie mi język, dzieje się coś strasznego, ogromna
niebieska plama wpada mi w usta, żebym nie mogła wydać
już żadnego dźwięku. Mój błękit, mój wspaniały błękit, po
którym spacerują pawie, mój błękit dalekich stron, mój błę-
kitny traf na horyzoncie! Błękit sięga głębiej we mnie, do
gardła, ojciec spieszy teraz z pomocą i wyrzywa mi serce
i trzewia, ale mogę jeszcze iść, dochodzę do pierwszego
grząskiego lodu, zanim dojdę do wiecznych lodów, i roz-
brzmiewa we mnie wołanie: Czyż nie ma już człowieka, nie
ma tu już człowieka, na tym całym świecie, nie ma człowie-
ka, i to między braćmi, czyż jednostka nie jest nic warta, i to
między braćmi! Wszystko, co pozostało ze mnie, sztywnie-
je w lodzie, jest bryłą, a ja patrzę w górę, gdzie tamci, inni,
mieszkają w ciepłym świecie, a Wielki Zygfryd woła mnie,
z początku cicho, potem jednak głośno, niecierpliwie
słucham jego głosu: Czego szukasz, jakiej książki szukasz?
A ja jestem pozbawiona głosu. Czego chce Wielki Zygfryd?
168

Woła z góry coraz wyraźniej: Co to będzie za książka, co to
będzie ta twoja książka?

Nagle na szczycie bieguna, z którego nie ma powrotu,
udaje mi się krzyknąć: Książka o piekle. Książka o piekle!

Lód załamuje się, ja zsuwam się z bieguna we wnętrze
Ziemi. Wiją się cienkie żółte płomienie, loki ogniście zwisa-
ją mi do stóp, wypluwam ogień, połykam ogień.

Proszę mnie uwolnić! Proszę mnie uwolnić od tej chwi-
li! Mówię głosem z czasów szkolnych, lecz myślę z wyostrzo-
ną świadomością, zdaję sobie sprawę, w jak poważnej jestem
sytuacji, i opadam na dymiące dno, myśląc dalej, leżę na
dnie i myślę, że powinnam wołać, i to na cały głos, ludzi,
którzy mogą mnie uratować. Przywołuję moją matkę, moją
siostrę Eleonorę, skrupulatnie przestrzegając kolejności,
więc najpierw moją matkę, i to pierwszym pieszczotliwym

imieniem z dzieciństwa, potem moją siostrę, potem...
(Budząc się, uświadamiam sobie, że nie przywoływałam mojego ojca). Zbieram wszystkie siły, odkąd z lodu wstąpiłam w ogień i w ogniu ginę, z roztopiającą się czaszką, zbieram siły, by wołać w hierarchicznej kolejności, bo kolejność jest bronią przeciw czarom.

Jest to koniec świata, katastrofalne zapadanie w nicość, świat, w którym dostałam obłądu, skończył się, łapię się za głowę, jak tylekroć, ogarnia mnie przerażenie, bo na ogolonej głowie mam metalowe płytki, i rozglądam się zdumiona. Dokoła mnie siedzi kilku lekarzy w białych fartuchach, którzy wyglądają miło. Mówią zgodnie, że jestem uratowana, płytki można mi już zdjąć, włosy mi odrosną. Poddali mnie wstrząsom elektrycznym. Pytam: Czy muszę zaraz płacić? bo mój ojciec nie zapłaci. Panowie nadal są mili, nie ma pośpiechu. Najważniejsze, że jest pani uratowana. Spadam jeszcze raz, budzę się ponownie, ale przecież jeszcze nigdy nie spadłam z łóżka, nie ma żadnych lekarzy,

169

włosy mi odrosły. Malina podnosi mnie i kładzie z powrotem na łóżku.

Malina: Leż spokojnie. To nic nie jest. Ale powiedz mi wreszcie: kto jest twoim ojcem?

Ja: (płacząc gorzko) Naprawdę tu jestem. I ty jesteś naprawdę!

Malina: Boże, dlaczego mówisz ciągle „mój ojciec“?

Ja: Dobrze, że mi przypomniałeś. Pozwól mi jednak zastanowić się trochę. Przykryj mnie. Kto mógłby być moim ojcem? Ty na przykład wiesz, kto jest twoim?

Malina: Dajmy spokój.

Ja: Powiedzmy, że go sobie jakoś wyobrażam. A ty nic sobie nie wyobrażasz?

Malina: Chcesz się wykręcić, zrobić unik?

Ja: Być może. Chciałabym i ciebie choć raz wywieść w pole. Powiedz mi jedno. Jak na to wpadłeś, że mój ojciec nie jest moim ojcem?

Malina: Kto jest twoim ojcem?

Ja: Nie wiem, nie wiem, naprawdę. Ty jesteś mądrzejszy, ty zawsze wiesz wszystko, chora jestem od twojej wszechwiedzy. Czy i ty nie jesteś chory z tego powodu? Ach nie, ty nigdy. Rozetrzyj mi stopy, o tak, dziękuję, zdętwiały mi.

Malina: Kto to jest!

Ja: Nigdy nie powiem. Nie mogłabym przecież, bo nie wiem.

Malina: Wiesz. Przysięgnij, że nie wiesz.

Ja: Nigdy nie przysięgam.

Malina: Więc ja ci powiem, słyszysz, ja ci powiem, kto to jest.

Ja: Nie. Nie. Nigdy. Nigdy mi tego nie mów. Przynies mi lodu, zimny, mokry ręcznik na głowę.

Malina: (odchodząc) Ty mi to powiesz, bądź pewna.

W środku nocy telefon kwili cicho, budzi mnie mewimi krzykami, potem dochodzi prychanie dysz boeingów. Dzwoni ktoś z Ameryki, a ja mówię z ulgą: Halo. Jest ciemno, słyszę dokoła szelesty, znajduję się na jeziorze, którego lód zaczyna topnieć, było to bardzo mocno zamrożone jezioro, a ja wiszę teraz ze sznurem telefonu w wodzie, tylko na tym kablu, który łączy mnie z drugą półkulą. Halo! Wiem już, że to dzwoni mój ojciec. Jezioro być może niebawem zupełnie odtaje, lecz ja tu jestem na wyspie, która leży daleko od brzegu, odcięta, nie ma już także żadnego statku. Chciałabym krzyknąć w telefon: Eleonora! - zawołać moją siostrę, ale na drugim końcu może być tylko mój ojciec, marznę tak bardzo i czekam z telefonem, zanurzając się, wynurzając, mam jednak połączenie, dobrze słyszę Amerykę, w wodzie można jeszcze telefonować przez wodę. Mówię szybko, gulgocząc, i łykając wodę: Kiedy przyjedziesz, jestem tutaj, tak, tutaj, wiesz przecież, jakie to okropne, nie ma już żadnej łączności, jestem odcięta, jestem sama, nie, nie ma także żadnego statku! I gdy czekam na odpowiedź, widzę, jak sponiewniała słoneczna wyspa, krzaki oleandrów wywróciły się, na wulkanie osiadły kryształki lodu, on też zamarznął, nie ma już dawnego klimatu. Ojciec śmieje się w telefon. Mówię: Jestem odcięta, przyjeźdź, kiedy przyjedziesz? On śmieje się i śmieje, śmieje się jak w teatrze, tam musiał nauczyć się tego straszego śmiechu: Cha! cha! cha! Ciągłe: Cha! cha! cha! Nikt już tak się nie śmieje, mówię, nikt się tak nie śmieje, przestań. Ojciec nie przestaje jednak głupio się śmiać. Mogę do ciebie zadzwonić? - pytam, byle tylko przerwać to przed-

171

stawienie. Cha! cha! cha! cha! Wyspa tonie, widać to z każdego kontynentu, a śmiech tymczasem rozbrzmiewa dalej. Mój ojciec poszedł do teatru. Bóg jest przedstawieniem. Mój ojciec przypadkiem raz jeszcze przyszedł do domu. Matka ma w ręce trzy kwiaty, są to kwiaty za moje życie, nie są czerwone, niebieskie, ani białe, lecz są przeznaczone za mnie, matka rzuca pierwszy kwiat ojcu pod nogi, zanim zdoła on zbliżyć się do nas. Wiem, że robi słusznie, musi mu je rzucić, ale teraz wiem również, że ona wie wszystko, kazirodztwo, to było kazirodztwo, ale chciałabym jednak poprosić ją o pozostałe kwiaty, w śmiertelnym strachu patrzę na ojca, który chcąc zemścić się także na matce, wrywa jej pozostałe kwiaty z ręki, depce je, tratuje wszystkie trzy kwiaty, jak często tratował w napadach wściekłości, depce i tratuje, jakby chodziło o rozdeptanie trzech pluskiew, tyle jeszcze obchodzi go moje życie. Nie mogę już patrzeć na ojca, tulę się do matki i zaczynam krzyczeć, tak, to było to,

to było to, to było kazirodztwo. Ale potem spostrzegam, że matka nie odzywa się i nie rusza, a w moim głosie od początku nie ma ani odrobiny dźwięku, krzyczę, ale nikt mnie nie słyszy, nie słysząc, mam tylko otwarte usta, on zabrał mi i głos, nie mogę wypowiedzieć słowa, które chcę mu wykrzyczeć, i w tym wyężeniu, przy tych suchych, otwartych ustach, powraca tamto, wiem, że dostaję obłądu, i żeby nie dostać obłądu, pluję mojemu ojcu w twarz, tylko nie mam już w ustach śliny, ani odrobina nie dosięga go z moich ust. Mój ojciec jest nietykalny. Jest nieporuszony. Matka zamiatła rozdeptane kwiaty, garść śmiecia, w milczeniu, żeby utrzymać dom w czystości. Gdzie, w tej godzinie, jest moja siostra? Nie widziałam mojej siostry w całym domu.

172

Mój ojciec zabiera mi klucze, przez okno wyrzuca na ulicę moje sukienki, które ja jednak oddaję zaraz na Czerwony Krzyż, otrzepawszy z kurzu, bo muszę jeszcze wrócić do domu, widziałam, jak wchodzili jego kompani, pierwszy tłucze talerze i szkło, ale ojciec kazał odstawić parę szklanek na bok, a gdy drżąca stoję w drzwiach i zbliżam się do niego, bierze pierwszą i rzuca we mnie, potem drugą mi pod nogi, rzuca i rzuca wszystkie szklanki, celuje bardzo dokładnie, tylko parę odłamków mnie trafia, ale krew spływa cienkimi strużkami z czoła, sączy się z ucha, pojawia się na brodzie, sukienka nasiąka krwią, ponieważ parę drobniutkich kawałków szkła przedostało się przez materiał, z kolan kapie spokojniej, ale ja chcę, muszę mu coś powiedzieć. On mówi: Czekać tylko, czekać i patrz! Nic już nie rozumiem, ale wiem, że mam powody do strachu, a potem okazuje się, że obawa nie była jeszcze najgorsza, bo ojciec poleca zniszczyć moje półki z książkami, tak, mówi: „zniszczyć”, chcę zasłonić książki sobą, ale tamci podchodzą z szyderczym uśmiechem, rzucam się im do nóg i mówię: Tylko moje książki zostawcie w spokoju, tylko te książki, ze mną róbcie, co chcecie, róbcie, co chcesz, wyrzuć mnie przez okno, spróbuj jeszcze raz, jak wtedy! Ale ojciec udaje, jakby nic nie wiedział o tej próbie, wtedy, i zaczyna brać po pięć, sześć książek naraz, jak stertę cegieł, i wrzuca je bez ładu i składu do starej szafy. Kompani o nieczułych, zdrętwiałych palcach odsuwają półki, wszystko się wali, przelatuje koło mnie maska pośmiertna Kleista i portret Hölderlina, pod którym wypisano: Ciebie, Ziemi, kocham, gdyż smucisz się wraz ze mną! łapię tylko te portrety, dokoła wirują tomiki Balzaka, „Eneida” ma pojętą okładkę, kompani dają kopniaka Lukrecjuszowi i Horacemu, ale któryś, nie wiedząc, co robi, zaczyna to i owo układać porządnie w kącie, ojciec trąca go pod żebro (gdzie ja widziałam już tego człowieka, zniszczył mi książkę

173

przy Beatrixgasse), mówi do niego po przyjacielsku: Co, to by ci pewnie dogadzało, z nią też, co? I oto mój ojciec mruga

do mnie, wiem, co ma na myśli, bo tamten uśmiecha się zmieszany i mówi, że chciałby, a przede mną udaje, jak gdyby oszczędzał moje książki, ale ja z nienawiścią wrywam mu z ręki książki francuskie, bo dał mi je Malina, i mówię:

Nie dostanie mnie pan! A do ojca mówię: Zawsze nami wszystkimi handlowałeś! Ale mój ojciec wrzeszczy: Co, teraz nagle nie chcesz, ja ci pokażę, ja ci pokażę!

Kompani wychodzą, każdy dostał napiwek, wymachują wielkimi chustkami, wołają: Niech żyją książki, a do sąsiadów i wszystkich, którzy wystają ciekawie przed domem, mówią: Odwaliliśmy kawał roboty. Spadły mi jeszcze Heideggerowskie „Holzwege”*, także „Ecce homo”, oszomiona i zakrwawiona siedzę w kucki pośród książek, to się musiało stać, bo co wieczór gładziłam je przed zaśnięciem, najpiękniejsze książki podarował mi Malina, tego mój ojciec nigdy mi nie wybaczy, wszystkie są już nie do czytania, to się musiało stać, nie ma już porządku, nigdy nie będę wiedziała, gdzie stał Kurnberger, a gdzie Lafcadio Hearn. Kładę się między książkami, znowu je gładzę, jedną po drugiej, z początku było ich tylko trzy, potem piętnaście, potem już ponad sto, a ja w pidżamie pobiegłam do pierwszego regału. Dobranoc panom, dobranoc, panie Wolter, dobranoc, książę, życzę dobrego odpoczynku, moi nieznanie poeci, pięknych snów, panie Pirandello, moje uszanowanie, panie Proust. Chaire, Tucydides! Panowie po raz pierwszy mówią mi dzisiaj dobranoc, staram się trzymać od nich z daleka, żeby nie poplamić ich krwią. Dobranoc, mówi do mnie Józef K.

* „Drogi lasu”, przeł. J. Gierasimiuk, R. Marszałek, J. Mizera, J. Sidorek, K. Wolicki.

174

Mój ojciec chce rozejść się z matką, wraca krytym wozem z Dzikiego Zachodu i siedzi na miejscu woźnicy, trzaskając z bicia, obok niego siedzi mała Melania, która chodziła ze mną do szkoły, już dorosła. Moja matka nie chciałaby, żebyśmy się zaprzyjaźniły, ale Melania nie przestaje tulić się do mnie, swoim dużym, falującym biustem, który podoba się mojemu ojcu, a mnie odstrasza, ona dokazuje, śmieje się, ma kasztanowe warkocze, to znów długie jasne włosy, przymila się do mnie, żebym jej coś odstała, a matka odsuwa się coraz bardziej w głąb wozu, bez słowa. Pozwalam obcałowywać się Melanii, ale stale podsuwam jej tylko jeden policzek, pomagam matce przy wysiadaniu i już coś podejrzewam, bo wszyscy jesteśmy zaproszeni, mamy nowe stroje, nawet mój ojciec przebrał się i ogolił po długiej podróży, wchodzimy uroczyście na salę balową z „Wojny i pokoju”.

Malina: Wstań, ruszaj się, przejdź się ze mną, oddychaj głęboko, głęboko.

Ja: Nie mogę, proszę, wybaczyć mi, spać też nie będę

mogła, jeśli to tak dalej pójdzie.

Malina: Dlaczego wciąż myślisz o „Wojnie i pokoju”?

Ja: Bo tak to się nazywa, bo jedno następuje po drugim, może nie?

Malina: Nie musisz wierzyć we wszystko, lepiej pomyśl sama.

Ja: Ja?

Malina: Nie ma wojny i pokoju.

Ja: Więc jak to się nazywa?

Malina: Wojna.

Ja: Jakże mam znaleźć pokój. Chcę pokoju.

175

Malina: Jest wojna. Możesz mieć tylko tę krótką przerwę, nic więcej.

Ja: Pokój!

Malina: W tobie nie ma pokoju, w tobie też nie.

Ja: Nie mów tego, dzisiaj nie. Jesteś okropny.

Malina: Jest wojna. I ty jesteś wojną. Ty sama.

Ja: Ja nie.

Malina: Wszyscy jesteśmy nią, ty też.

Ja: Więc ja już nie chcę żyć, bo nie chcę wojny, więc uspij mnie, potem postaraj się, żeby przyszedł koniec. Chcę, żeby wojna się skończyła. Nie chcę więcej nienawidzić, nie chcę, nie chcę...

Malina: Oddychaj głębiej, chodź. To nie takie trudne, widzisz, to nietrudne, trzymam cię przecież, podejdź do okna, oddychaj spokojniej i głębiej, zrób przerwę, nic teraz nie mów.

Mój ojciec tańczy z Melanią, jest to sala balowa z „Wojny i pokoju”. Melania nosi pierścionek, подарowany mi przez ojca, który jednak nadal utrzymuje wszystkich w przekonaniu, że zostawi mi w spadku cenny klejnot, po swojej śmierci. Moja matka siedzi wyprostowana i milcząca przy mnie, obok nas są dwa puste krzesła, także dwa puste przy naszym stole, ponieważ ci dwoje nie przestają tańczyć. Matka już nie rozmawia ze mną. Nikt nie prosi mnie do tańca. Wchodzi Malina, a włoska śpiewaczka śpiewa: Alfin tu giungi, alfin tu giungi! I ja zrywam się i obejmuję Malinę, proszę go żarliwie, żeby ze mną zatańczył, uśmiecham się z ulgą do matki. Malina ujmuję moją dłoń, stoimy przytuleni na skraju parkietu, żeby ojciec nas zobaczył, i choć jestem pewna, że oboje nie umiemy tańczyć, spróbujemy, musi nam się udać, przynajmniej na niby, nadal stoimy w miejscu,

176

jakby całkiem pochłonięci patrzeniem na siebie, tylko z tańcem nie ma to nic wspólnego. Ciągłe mówię do Maliny cicho „dziękuję”: dziękuję, żeś przyszedł, nigdy ci tego nie zapomnę, och, dziękuję, dziękuję. Teraz i Melania chciała by tańczyć z Maliną, z nim naturalnie także, przez chwilę jestem w strachu, ale już słyszę, jak Malina odpowiada spo-

kojnie i chłodno: Niestety, to niemożliwe, my już wychodimy. Malina pomścił mnie. Przy wychodzeniu upadają mi na ziemię długie białe rękawiczki, Malina je podnosi, na każdym stopniu upadają mi na ziemię i Malina je podnosi. Mówię: Dziękuję, dziękuję za wszystko! Niech sobie upadają, mówi Malina, ja ci wszystko podniosę.

Mój ojciec idzie plażą na pustyni, na którą mnie zwabił, ożenił się, pisze na piasku imię tej kobiety, która nie jest moją matką, nie od razu to spostrzegam, dopiero po pierwszej literze. Słońce świeci okrutnie na te litery, leżą one jak cienie na piasku, w zagłębieniu, i moją jedyną nadzieją jest, że napis zostanie rychło zasypany przez wiatr, jeszcze przed nadejściem wieczoru, ale Boże mój, Boże, ojciec wraca z dużą, złotą, wysadzaną drogimi kamieniami laską Uniwersytetu Wiedeńskiego, na którą przysięgałam: spondeo, spondeo, wedle najlepszej wiedzy i sumienia, wbrew mojej wiedzy nigdy, w żadnych okolicznościach. Tą szacowną laską, która nie należy do niego, rzeczywiście ośmiela się to zrobić, laską, na której położyłam palec, aby złożyć moją jedyną i prawdziwą przysięgę, na której płonie jeszcze moja przysięga, znów wypisuje w znieruchomiałym piasku to imię, tym razem udaje mi się przeczytać, MELANIE i jeszcze raz MELANIE, w zapadającym zmierzchu myślę: NIE, NIGDY, nigdy nie miał prawa tego zrobić. Ojciec stanął nad wodą i opiera się zadowolony na złotej lasce, muszę ruszyć

177
do natarcia, chociaż wiem, że jestem słabsza, ale mogłabym go zaskoczyć, od tyłu wskakuję mu na plecy, żeby go przewrócić, chcę go tylko powalić, ze względu na laskę z Wiednia, nie chciałabym nawet zrobić mu krzywdy, bo tą laską nie mogę go uderzyć, ponieważ przysięgałam, stoję z uniesioną laską, ojciec, leżąc na piasku, pieni się z wściekłości, przeklina mnie, ponieważ sądzi, że chcę na nim złamać tę laskę, zabić go, ale ja trzymam ją tylko uniesioną w niebo i obwieszczam aż po horyzont, przez morze, aż po Dunaj: Przynoszę to z powrotem ze świętej wojny. I z garścią piasku, która jest moją wiedzą, idę po wodzie, a mój ojciec nie może za mną podążyć.

W wielkiej operze mojego ojca mam objąć główną rolę, jest to rzekomo życzenie dyrektora, który już to zapowiedział, ponieważ wtedy publiczność będzie walić tłumnie, mówi dyrektor, a dziennikarze mówią to samo. Czekają z notesami w rękę, mam się wypowiedzieć na temat mojego ojca, a także na temat roli, której nie znam. Dyrektor osobiście wciska mnie w kostium, a ponieważ został uszyty na kogoś innego, własnoręcznie upina go szpilkami, które kalczą mi skórę; taki jest niezręczny. Do dziennikarzy mówię: Ja nic nie wiem, proszę zwrócić się do mojego ojca, ja przecież nic nie wiem, to nie jest rola dla mnie, chodzi tylko o to, żeby zwabić tłumy publiczności. Ale dziennikarze za-

pisują coś zupełnie innego, a ja nie mam już czasu, żeby krzyknąć i podrzeć im kartki, bo jest to ostatnia minuta przed występem, zrozpaczona i rozkrzyczana biegnę przez cały gmach opery. Nigdzie nie ma libretta, a ja nie znam choćby dwóch wejść, to nie jest moja rola. Muzyka jest mi dobrze znana, och, znam tę muzykę, ale nie znam słów, nie umiem tej roli, nigdy nie będę umiała, i jeszcze bardziej

178
zrozpaczona pytam asystenta dyrektora, jak brzmi pierwsza fraza pierwszego duetu, który muszę zaśpiewać z jakimś młodym człowiekiem. On i wszyscy inni uśmiechają się zagadkowo, wiedzą coś, czego ja nie wiem, cóż oni wszyscy wiedzą? Budzi się we mnie podejrzenie, ale kurtyna idzie w górę, a w dole jest ta olbrzymia ciżba, te tłumy, zaczynam śpiewać na chybił trafił, z rozpaczą, śpiewam „Któż mi pomoże, któż mi pomoże!” i wiem, że nie może tego być w tekście, ale spostrzegam też, że muzyka zagłusza moje rozpaczliwe słowa. Na scenie jest dużo ludzi, którzy częściowo milczą wtajemniczeni, częściowo śpiewają przytłumionym głosem, kiedy przychodzi kolej na ich wejście, młody człowiek śpiewa pewnie i głośno, czasem naradza się ze mną pośpiesznie i skrycie, pojmuję, że w duecie i tak słychać tylko jego głos, ponieważ mój ojciec tylko dla niego napisał tekst, a dla mnie naturalnie nic, bo brak mi przygotowania i mam się tylko pokazać. Mam śpiewać tylko po to, żeby wpływały pieniądze, i nie wypadam z roli, która nie jest moją rolą, lecz śpiewam ze wszystkich sił, żeby mój ojciec nic mi nie mógł zrobić. „Któż mi pomoże!” Potem zapominam roli, zapominam też, że brak mi przygotowania, a na koniec, chociaż opadła już kurtyna i można zrobić obrachunek, śpiewam naprawdę, ale coś z innej opery, i słyszę w pustym teatrze, jak mój głos rozbrzmiewa, biorąc najwyższe i najniższe tony, „Tak oto pomrzemy, tak oto pomrzemy...” Młody człowiek markuje, nie zna tej roli, ale ja śpiewam dalej. „Martwe jest wszystko. Wszystko martwe!” Młody człowiek odchodzi, jestem na scenie sama, wyłączają światła i zostawiają mnie samą, w śmiesznym kostiumie upiętym szpilkami. „Nie patrzcie, przyjaciele, nie patrzcie!” I z tą wielką, rozbrzmiewającą skargą spadam, zostawiam tę wyspę i tę operę, śpiewając ciągle „Tak oto pomrzemy, aby nierozłączni...”, spadam do pomieszczenia dla orkiestry,

179
gdzie orkiestry już nie ma. Uratowałam przedstawienie, ale sama leżę ze skrzywionym karkiem wśród opuszczonych pulpity i krzesel.

Mój ojciec bije Melanię, potem, ponieważ jakiś duży pies zaczyna czekać ostrzegawczo, bije tego psa, który pokornie daje się tłuc. Tak dawałyśmy się tłuc obie z matką, wiem, że pies to moja matka, wcielenie pokory. Pytam ojca, dlaczego bije również Melanię, a on mówi, że wyprasza

sobie takie pytania, ona jest dla niego niczym, samo moje pytanie o nią to bezczelność, powtarza ciągle, że Melania jest dla niego niczym, on potrzebuje jej tylko na parę tygodni, dla odmiany, powinnam to zrozumieć. Myślę, że pies nie ma pojęcia, iż wystarczyłoby lekko ugryźć mojego ojca w nogę, żeby skończyło się bicie, ale pies skamle cicho i nie gryzie. Potem ojciec zaspokojony rozmawia ze mną, bicie przyniosło mu ulgę, ale ja nadal jestem przygnębiona, próbuję mu wytłumaczyć, jaka byłam chora przez niego, raz musi dowiedzieć się przecież, w ilu byłam szpitalach, trzymam w ręku rachunki za leczenie, bo uważam, że powinniśmy się nimi podzielić. Mój ojciec jest w doskonałym humorze, tylko nie widzi związku ani z biciem, ani ze swoim postępowaniem i moim pragnieniem powiedzenia mu wreszcie wszystkiego, nie przynosi to pożytku ani nie ma sensu, ale atmosfera między nami nie jest napięta, raczej swobodna i wesoła, bo on chce teraz jednak zaciągnąć zasłonę i spać ze mną, tak żeby nie widziała nas Melania, która jeszcze leży tam, jęcząc, ale, jak zwykle, nic nie rozumiała. Kładę się z żalną nadzieją, zaraz jednak wstaję z powrotem, nie mogę tego zrobić, mówię mu, że wcale mi na tym nie zależy, słyszę swój głos: Nie przywiązuję do tego żadnego znaczenia, nigdy nie przywazywałam do tego żadnego

180
znaczenia, nie ma to żadnego znaczenia! Mój ojciec nie jest zagniewany, bo i on nie przywazyuje do tego żadnego znaczenia, wygłasza jeden ze swoich monologów, w którym przypomina mi, iż powiedziałam kiedyś, że jest to zawsze jedno i to samo. Mówi: Jedno i to samo, więc żadnych wykrętów, nie wymiguj się, jazda z jednym i tym samym, kiedy to jest jedno i to samo! Ale coś nam przeszkadza, bo zawsze coś nam przeszkadzało, to nie ma sensu, nie mogę mu wytłumaczyć, że wiąże się to tylko z przeszkadzaniem i nigdy nie jest jednym i tym samym, tylko z nim, bo dla mnie nie ma to żadnego znaczenia. To Melania stęka i przeszkadza, mój ojciec wychodzi na ambonę i wygłasza niedzielne kazanie, o jednym i tym samym, a wszyscy słuchają go spokojnie i nabożnie, jak kraj długi i szeroki, jest najlepszym niedzielnym kaznodzieją. Na zakończenie przeklina zawsze coś lub kogoś, żeby jego kazanie nabrało mocy, o, właśnie, dzisiaj przeklina moją matkę i mnie, przeklina swoją i moją płć, a ja idę do kropielnicy katolików i zwilżam sobie czoło, w imię Ojca, wychodzę, zanim kazanie dobiegnie końca. Mój ojciec poszedł ze mną popływać w królestwie tysiąca atoli. Zanurzamy się w morze, opływają mnie ławice najwspanialszych ryb, chciałabym podążyć z nimi, ale ojciec jest już za mną, widzę go to obok siebie, to pod sobą, to nad sobą, muszę spróbować dotrzeć do raf, bo moja matka schowała się w koralowej rafie i wpatruje się we mnie z milczącym wyrzutem, bo wie, co się ze mną stało. Zanurzam się

głębiej i krzyczę pod wodą: Nie! I: Już nie chcę! już nie mogę! Wiem, że to ważne, by krzyczeć pod wodą, ponieważ w ten sposób odpędza się rekiny, więc krzyk powinien odpędzić również ojca, który chce mnie napaść, rozszarpać albo znów ze mną spać, dopaść mnie przed rafą, żeby matka
181

to widziała. Krzyczę: Nienawidzę cię, nienawidzę cię, nienawidzę cię bardziej od mojego życia, przysięgłam sobie, że cię zabiję! Znajduję miejsce u matki, w jej rozgałęzionym, tysiącczłonowym, rozrastającym się, głębinowym odrętwieniu, czepiam się bojaźliwie jej rozgałęzienia, czepiam się jej, ale ojciec sięga po mnie, znów sięga po mnie, więc to nie ja, lecz on krzyczał, to był jego głos, nie mój: Przysięgłem sobie, że cię zabiję! Ale ja krzyknęłam: Nienawidzę cię bardziej od mojego życia!

Maliny nie ma, poprawiam poduszkę, znajduję szklanę z wodą mineralną, jest to guessinger, wypijam, śmiertelnie spragniona, tę szklanę wody. Dlaczego to powiedziałam, dlaczego? Bardziej od mojego życia. Mam dobre życie, coraz lepsze dzięki Malinie. Jest pochmurny ranek, ale robi się już jaśniej. Co ja tu wygaduję, dlaczego Malina teraz śpi? Właśnie teraz? Powinien mi wytłumaczyć moje słowa. Nie czuję nienawiści do mojego życia, jakże więc mogę nienawidzić bardziej od mojego życia. Nie mogę. Tylko w nocy nie mam oparcia. Wstaję ostrożnie, żeby nie naruszyć mojego dobrego życia, stawiam wodę na herbatę, muszę napić się herbaty, w kuchni, marznąc mimo długiej nocnej koszuli, robię sobie tę herbatę, która jest mi potrzebna, bo kiedy już do niczego nie mogę się wziąć, parzenie herbaty jest jednak jakimś zajęciem. Kiedy gotuje się woda na herbatę, nie jestem w żadnym atolu, podgrzewam dzbanek, odmierzam łyżeczką Earl Greya, zalewam, mogę jeszcze pić herbatę, mogę jeszcze skierować gotującą wodę do dzbanka. Nie chciałabym budzić Maliny, ale nie kładę się do siódmej rano, budzę go i przygotowuję mu śniadanie. Malina też nie jest w najlepszej formie, może późno wrócił do domu, jego jajko ugotowało się za bardzo na twardo, ale nic nie mówi,
182

mamrocze słowa przeproszenia, mleko skwaśniało, ale dlaczego już po dwóch dniach? było przecież w lodówce, Malina podnosi wzrok, bo w herbacie robią się małe białe grudki, wylewam jego filiżankę, będzie musiał wypić dziś herbatę bez mleka. Wszystko skwaśniało. Wybacz mi, mówię. Co się stało? - pyta Malina. Idź już, proszę cię, idź, szykuj się, bo się spóźnisz, z samego rana nie mogę rozmawiać.

Mam na sobie syberyjski płaszcz żydowski, jak wszyscy inni. Zima w pełni, spada na nas coraz więcej śniegu, pod jego ciężarem walą się moje regały z książkami, śnieg grzebie je powoli, a my wszyscy czekamy na wywiezienie, wilgotnie-

ją fotografie, które stoją na regale, są to zdjęcia wszystkich ludzi, których kochałam, ocieram śnieg, otrząsam fotografie, ale śnieg pada nadal, palce mi już kostnieją, nie dam rady, śnieg pogrzebie fotografie. Ogarnia mnie rozpacz, ponieważ ojciec przygląda się moim ostatnim próbom, bo on nie jest jednym z nas, nie chce, żeby dostrzegł mój wysiłek i odgadł, kto jest na tych fotografiach. Mój ojciec, który też chciałby włożyć płaszcz, choć jest na to za gruby, zapomina o zdjęciach, naradza się z kimś, zdejmuje płaszcz, żeby poszukać lepszego, ale wtedy nie ma już na szczęście żadnych płaszczy. Widzi, że odjeżdżam z innymi, chciałabym jeszcze raz porozmawiać z nim, uświadomić mu wreszcie, że nie jest jednym z nas, że nie ma prawa, mówię: Nie mam już czasu; nie mam dość czasu. Po prostu nie ma już na to czasu. Kilka osób z otoczenia obwinia mnie, że nie jestem solidarna, „solidarna”, osobliwe słowo! jest mi obojętne. Mam złożyć jakiś podpis, ale składa go mój ojciec, on zawsze jest „solidarny”, nie wiem jednak nawet, co to znaczy. Rzuciłam mu szybko: Bądź zdrow, nie mam już czasu, nie jestem solidarna. Muszę

183

kogoś poszukać! Nie wiem jeszcze dokładnie, kogo muszę poszukać, jest to ktoś z Pecs, szukam go wśród tych wszystkich ludzi, w tym okropnym chaosie. Mija resztkę czasu, jaka mi pozostała, boję się już, że wywieziono go przede mną, chociaż tylko z nim mogę o tym powiedzieć, z nim jedynie i to do siódmego pokolenia, za które nie mogę ręczyć, gdyż po mnie nic już nie przyjdzie. Przeszukawszy wiele baraków, znajduję go w najdalszym pokoju, czeka tam na mnie zmęczony, koło niego w pustym pokoju stoi bukiet złoto-głowi, a on leży na podłodze, w swoim najczarniejszym z czarnych gwiazdnych płaszczu, w którym widziałam go przed paru tysiącami lat. Podnosi się zaspany, postarzał się o parę lat i wielkie jest jego zmęczenie. Mówi swoim pierwszym głosem: Ach, nareszcie, przyszedłeś nareszcie! A ja padam, śmieję się, płaczę, całuję go, jesteś więc, jak to dobrze, że jesteś, ach, nareszcie, nareszcie! Jest tu też dziecko, widzę tylko jedno, choć wydaje mi się, że powinno być dwoje, dziecko leży w kącie. W drugim kącie leży kobieta, łagodna i wyrozumiała, która jest matką jego dziecka, nie ma nic przeciwko temu, że my tu przed wywiezieniem kładziemy się razem. Raptem rozlega się wołanie: Wstawać! Wstajemy wszyscy, wybiegamy, mały jest już na ciężarówce, musimy się pośpieszyć, żebyśmy i my zdążyli się załadować, muszę jeszcze tylko znaleźć dla nas osłaniające parasole, znajduję wszystkie, dla niego, dla łagodnej kobiety, dla dziecka, także dla mnie, ale mój parasol nie należy do mnie, ktoś zostawił go kiedyś w Wiedniu, jestem skonsternowana, gdyż zawsze chciałam go oddać, tylko teraz nie mamy już na to czasu. Jest to bezużyteczny spadochron. Już za późno, muszę wziąć ten parasol, żeby przejechać przez Węgry, bo

odnalazłam moją pierwszą miłość, pada deszcz, wali z łoskotem w nas wszystkich, przede wszystkim w dziecko, które jest takie pogodne i opanowane. Znowu się zaczyna,
184

oddycham za szybko, może z powodu dziecka, ale mój ukochany mówi: Bądź spokojna, bądź spokojna jak my! Zaraz wszędzie księżyc. Tylko że ja wciąż jestem w śmiertelnym strachu, ponieważ znów się zaczyna, ponieważ dostaję obłędu, on mówi: Bądź spokojna, pomyśl o Parku Miejskim, pomyśl o liściu, pomyśl o ogrodzie w Wiedniu, o naszym drzewie, kwitnie różanecznik. Uspokajam się natychmiast, bo oboje nas spotkało to samo, widzę, jak wskazuje na swoją głowę, wiem, co zrobili z jego głową. Ciężarówka musi przejechać przez rzekę, jest to Dunaj, potem jednak jest to inna rzeka, staram się zachować spokój, bo tutaj, na łąkach nad-dunajskich, spotkaliśmy się po raz pierwszy, mówię, że to już nadchodzi, ale potem otwieram usta, bez krzyku, bo właśnie nie nadchodzi. On mówi do mnie, tylko znów mi tego nie zapomnij, brzmi to: Facile! A ja rozumiem to źle, krzyczę bez głosu, brzmi to: Facit! W rzece, w głębokiej rzece. Czy mogę z panią chwilę porozmawiać, pyta jakiś pan, muszę pani przekazać wiadomość. Komu, komu ma pan przekazać wiadomość? On mówi: Tylko księżniczce von Kagan. Ja na to: Niech pan nie wymawia tego nazwiska, nigdy. Niech pan mi nic nie mówi! Ale on pokazuje mi zasuszony liść i wtedy wiem, że mówił prawdę. Moje życie dobiegło końca, bo on w czasie transportu utonął w rzece, on był moim życiem. Kochałam go bardziej od mojego życia. Malina trzyma mnie w ramionach, to on mówi: Uspokój się! Muszę się uspokoić. Ale chodzę z nim tam i z powrotem po mieszkaniu, on by chciał, żebym się położyła, ale już nie mogę kłaść się na zbyt miękkim łóżku. Kładę się na podłodze, natychmiast wstaję z powrotem, ponieważ leżałam tak na innej podłodze, pod syberyjskim płaszczem, który był ciepły, i chodzę z nim, mówiąc, rozmawiając, opuszczając
185

słowa, wpuszczając słowa, chodzę z nim tam i z powrotem. Zrozpaczona kładę mu głowę na ramieniu, tu, w tym ramieniu Malina ma chyba złamany obojczyk z kawałkiem platyny, po wypadku samochodowym, opowiadał mi o tym kiedyś, i spostrzegam, że robi mi się zimno, znów zaczynam drżeć, ukazuje się księżyc, widać go z naszego okna, widzisz księżyc? Widzę inny księżyc i gwiazdny świat, ale to nie o innym księżycu chcę mówić, muszę tylko gadać, bez przerwy gadać, żeby się uratować, żeby nie robić tego Malinie, moja głowa, moja głowa, dostaję obłędu, ale Malina nie powinien o tym wiedzieć. Mimo to Malina wie, proszę go, biegając tam i powrotem po mieszkaniu, czepiając się kurczowo, kładąc się, znów wstając, rozpinając koszulę, znów kładąc się, bo tracę rozum, to jest silniejsze ode mnie, tracę

rozum, odchodzę od zmysłów, dostaję obłądu, ale Malina mówi jeszcze raz: Uspokój się, połóż się. Kładę się i myślę o Ivanie, oddycham nieco bardziej regularnie, Malina masuje mi dłonie i stopy, okolice serca, ale przecież ja dostaję obłądu, tylko o jedno cię proszę, proszę cię tylko o jedno... Ale Malina mówi: Po co prosić, nie trzeba prosić. Ja jednak mówię, znów moim dzisiejszym głosem: Proszę cię, Ivan nie może nigdy o tym usłyszeć, nie może nigdy się dowiedzieć (i oszołomiona zdaje sobie przecież sprawę, że Malina nic nie wie o Ivanie, po co teraz gadać o Ivanie?) - Ivan nie może nigdy, przyrzeknij mi, i póki jeszcze mogę gadać, to gadam, to ważne, że gadam, wiesz, gadam, byle gadać, i proszę cię, mów ze mną, Ivan nie może nigdy, przenigdy dowiedzieć się o tym, proszę cię, opowiedz mi coś, mów, gdzie byłeś na kolacji, z kim, mów do mnie, o nowej płycie, przyniosłeś ją, „To pachnie dawny...”, mów ze mną, to obojętne, o czym mówimy, o czymkolwiek, mówmy, mówmy, mówmy, wtedy nie będziemy już na Syberii, ani w rzece, ani na łąkach, na naddunajskich łąkach, wtedy będziemy znów

186

przy Ungargasse, ty moja ziemi obiecana, mój węgierski kraju, mów ze mną, pozapalaj wszędzie światło, nie myśl o naszym rachunku za prąd, wszędzie musi palić się światło, włącz wszystkie kontakty, daj mi wody, zapal światło, zapal wszystkie światła! Zapal również świecznik. Malina zapala światło, Malina przynosi wodę, ustępuje szaleństwo, wzrasta oszołomienie, czy powiedziałam coś do Maliny, wymieniłam imię Ivana? Czy powiedziałam „świecznik”? Wiesz, mówię mniej wzburzona, nie musisz tego brać zbyt poważnie, Ivan żyje i żył kiedyś dawniej, dziwne, nie? Przede wszystkim nie przejmuj się tym, tylko ja dzisiaj przejmuję się wszystkim, dlatego jestem bardzo zmęczona, ale światło niech się pali. Ivan jeszcze żyje, będzie do mnie dzwonił. Kiedy zadzwoni, powiedz mu - Malina znów chodzi za mną tam i z powrotem, ponieważ nie mogę uleżeć spokojnie, nie wie, co ma powiedzieć Ivanowi, słyszę, jak telefon dzwoni. Powiedz mu, powiedz mu, proszę, powiedz mu! Nic mu nie mów. Najlepiej: że nie ma mnie w domu. Mój ojciec musi umyć nam nogi, jak wszyscy nasi apostołscy cesarze swoim biednym, jednego dnia w roku. Oboje z Ivanem moczymy już nogi, woda pieni się czarno i nabiega brudem, dawno nie myliśmy nóg. Sami lepiej sobie je umyjemy, bo mój ojciec nie przestrzega już tego szacownego obowiązku. Jestem rada, że nasze nogi są teraz czyste, że pachną czystością, wycieram nogi Ivanowi, potem sobie, siedzimy na moim łóżku i z radością patrzymy na siebie. Ale oto wchodzi ktoś, za późno, drzwi otwierają się raptownie, jest to mój ojciec. Wskazuję na Ivana, mówię: To on! Nie wiem, czy dostanę za to karę śmierci, czy też pójdę tylko do obozu. Mój ojciec patrzy na brudną wodę, z której wyjmu-

ję moje białe, ładnie pachnące nogi, i z dumą zwracam jego
187

uwagę na czyste nogi Ivana. Mój ojciec nie powinien spostrzec, mimo wszystko, choć znów nie spełnił swojego obowiązku, że jestem rada, iż zmyłam wszystko po długiej drodze. Była to zbyt długa droga od niego do Ivana, więc nogi mi się zabrudziły. Obok gra radio: pa-pam, pa-pam. Mój ojciec wrzeszczy: Wyłączyć radio! To nie jest radio, dobrze wiesz, mówię zdecydowanie, bo nigdy nie miałam radia. Mój ojciec wrzeszczy znowu: Masz nogi całe ubabrane, powiedziałem o tym wszystkim. Żebyś wiedziała. Ubabrane, ubabrane! Mówię z uśmiechem: Moje nogi są czyste, mam nadzieję, że wszyscy mają takie czyste nogi.

Co to za muzyka, dość tej muzyki! Mój ojciec szaleje jak jeszcze nigdy. I powiedz natychmiast, jakiego dnia Kolumb dopłynął do Ameryki? Ile jest podstawowych barw? Ile odcieni? Trzy podstawowe barwy. Oswald oblicza je na pięćset. Wszystkie moje odpowiedzi są szybkie i trafne, ale bardzo ciche, nic na to nie poradzę, jeśli mój ojciec ich nie słyszy. Znów krzyczy, a za każdym razem, gdy podnosi głos, odpada kawałek tynku ze ściany albo wyskakuje kawałek drewna z parkietu. Jakże on może pytać, skoro nie chce wcale słuchać odpowiedzi.

Za oknem jest ciemno, nie mogę go otworzyć i przyciskam twarz do szyby, nic prawie nie widać. Powoli przychodzi mi na myśl, że mroczna kałuża mogłaby być jeziorem, i słyszę, jak pijacy wyśpiewują chorał na lodzie. Wiem, że za mną wszedł mój ojciec, przysiągł, że mnie zabije, staję prędko między długą ciężką zasłoną a oknem, żeby nie zaskoczył mnie przy wyglądaniu z okna, ale wiem już, czego nie powinnam wiedzieć: na brzegu jeziora leży cmentarz pomordowanych córek.

188

Na małym statku mój ojciec zaczyna kręcić swój wielki film. Jest reżyserem i wszystko odbywa się wedle jego woli. Ja znów spuściłam z tonu, bo mój ojciec chciałby nakręcić ze mną parę sekwencji, zapewnia, że nikt mnie nie pozna, ma najlepszego charakteryzatora. Mój ojciec występuje pod przybranym nazwiskiem, nikt nie wie jakim, można było je oglądać nieraz, wypisane pismem świetlnym nad kinami połowy świata. Siedzę i czekam, nie jestem jeszcze ubrana ani umalowana, głowę mam w papilotach, tylko ręcznik narzucony na ramiona, ale odkrywam nagle, że mój ojciec wykorzystuje sytuację i po kryjomu już kręci, zrywam się oburzona, nie znajduję nic, żeby się okryć, mimo to podbiegam do niego i do operatora i mówię: Przestań, przestań natychmiast! Mówię, że trzeba natychmiast zniszczyć tę taśmę, to nie ma nic wspólnego z filmem. To jest sprzeczne z umową, trzeba usunąć tę taśmę. Mój ojciec odpowiada, że tego właśnie chce, będzie to najciekawszy fragment w ca-

łym filmie, kręci dalej. Z przerażeniem słyszę brzęczenie kamery i raz jeszcze domagam się, żeby przestał i oddał mi ten kawałek filmu, ale on spokojnie filmuje dalej i znów mówi „nie”. Denerwuję się coraz bardziej i wołam, że zostawiam mu tylko sekundę na zastanowienie, nie boję się szantażu, sama sobie poradzę, skoro nikt mi nie może poradzić. Ponieważ on znów nie reaguje, a sekunda minęła, patrzę na kominy statku i aparaty, których pełno na pokładzie, potykam się o kable i szukam, szukam, bo jakże mam przeszkodzić temu, co on robi, wpadam z powrotem do garderoby, której drzwi wyjęto z zawiasów, żebym nie mogła się zamknąć, mój ojciec śmieje się, ale w tym momencie dostrzegam miseczkę z mydlinami, która stoi przygotowana do manikiuru przed lustrem, i błyskawicznie wpadam na pomysł, biorę miseczkę i polewam ługiem aparaty i rury statku, wszystko zaczyna parować, mój ojciec stoi jak ska-

189
mieniały, a ja mówię mu, że przecież go ostrzegałam, nie będę mu więcej ulegać, zmieniłam się, odtąd na każdym, jak na nim, będę od razu brać odwet za to, co zrobi wbrew umowie. Cały statek paruje coraz bardziej, nic nie będzie z filmu, trzeba w pośpiechu przerwać prace, wszyscy stoją wystraszeni i dyskutują, mówią jednak, że i tak nie lubili reżysera, cieszą się, że ten film nie dojdzie do skutku. Po drabinach sznurowych schodzimy ze statku, kołysząc się, odpływamy małymi łodziami ratunkowymi i dostajemy się na większy statek. Kiedy już siedzę wyczerpana na ławce dużego statku i obserwuję prace ratunkowe przy małym, pojawiają się obrzmiałe ludzkie ciała, są wprawdzie żywe, mają jednak oparzeliny, musimy się ścieścić, wszyscy mają zostać wzięci na ten statek, bo nieopodal naszego tonącego statku eksplodował drugi, który też należał do mojego ojca, z mnóstwem pasażerów, było tam wielu rannych. Ogarnia mnie bezpodstawny strach, że moja miseczka z mydlinami wywołała także eksplozję na drugim statku, liczę się już z tym, że kiedy dotrzemy na ląd, zostanę oskarżona o morderstwo. Przyplływa do nas coraz więcej ciał, które wyławiają, również martwych. Potem jednak słyszę z ulgą, że drugi statek zatonał z zupełnie innych przyczyn. Ja nie mam z tym nic wspólnego, było to zaniedbanie ze strony mojego ojca.

Mój ojciec chce mnie zabrać z Wiednia do innego kraju, namawia mnie, żebym wyjechała, wszyscy przyjaciele mają na mnie zły wpływ, ale ja orientuję się już, że nie chce świadków, nie chce, żebym mogła z kimkolwiek rozmawiać i żeby to wyszło na jaw. Bo przecież mogłoby wyjść na jaw. Nie stawiam już oporu, pytam tylko, czy wolno mi napisać listy do domu, on mówi: jeszcze zobaczymy, nie byłoby to dla mnie korzystne. Wyjechaliśmy do obcego kraju, mam

190
nawet prawo wychodzić na ulicę, ale nie znam nikogo i nie

rozumiem języka. Mieszkamy bardzo wysoko, aż mi się kręci w głowie, dom nie może być taki wysoki, nigdy nie mieszkałam tak wysoko i cały dzień leżę na łóżku, profilaktycznie, jestem uwięziona i nie uwięziona, mój ojciec bardzo rzadko do mnie zagłada, przeważnie przysyła kobietę z obwiązaną twarzą, widzę tylko jej oczy, ona coś wie. Przynosi mi jedzenie i herbatę, niebawem nie mogę już wstać, ponieważ wszystko kręci się wokół mnie już po pierwszym kroku. Przypominają mi się inne wypadki, muszę więc wstać, bo jedzenie albo herbata są pewnie zatrute, dochodzę jakoś do łazienki i wyrzucam jedzenie i herbatę do klozetu, ani kobieta, ani mój ojciec nie zauważyli tego, trują mnie, to straszne, muszę napisać list, powstają same początki listów, które ukrywam w torebce, w szufladzie, pod zagłówkiem, ale muszę napisać i wynieść list z domu. Wzdrygam się i wypuszczam z ręki długopis, bo w drzwiach stoi mój ojciec, dawno to odgadł, szuka wszystkich listów, wyjmuję jeden z kosza na papiery i krzyczy: Odezwij się! Co to ma znaczyć! Odezwij się, powiedziałem! Krzyczy godzinami i nie przestaje, nie dopuszcza mnie do słowa, ja płaczę coraz głośniej, jemu lepiej się krzyczy, kiedy płaczę, nie mogę mu powiedzieć, że już nic nie jem, że wyrzucam jedzenie, że wszystko przejrzałam, wydaję mu jeszcze zmięty list, który leży pod zagłówkiem, i szlocham. Odezwij się! Mówię mu oczyma: Tęsknię za domem, chcę wrócić do domu! Mój ojciec mówi drwiąco: Tęsknisz! Ładna mi tęsknota! Te listy nie zostaną wysłane, te twoje szanowne listy do twoich szanownych przyjaciół.

Wychudłam tak, że została ze mnie skóra i kości, nie mogę utrzymać się na nogach, ale potem jakoś się udaje,
191

znoszę moje walizki ze strychu, po cichu, w środku nocy, mój ojciec śpi mocno, słyszę, jak chrapie, charczy i sapie. Mimo wysokości wychyliłam się i spojrzałam w dół, po drugiej stronie ulicy stoi samochód Maliny. Malina, który nie dostał żadnego listu, musiał domyślić się, przysłał mi swój samochód. Pakuję najpotrzebniejsze rzeczy do walizek, a właściwie te tylko, które są pod ręką, musi to odbyć się cicho i w największym pośpiechu, musi to być dzisiaj w nocy, bo inaczej nigdy więcej mi się to nie uda. Chwiejnym krokiem schodzę z walizkami na ulicę, co parę kroków muszę je odstawiać i czekać, aż na nowo zaczerpnę tchu i odzyskam siły, potem siedzę w samochodzie, walizki wsunęłam na tylne siedzenie, kluczyk tkwi na swoim miejscu, ruszam, jadę zygzakami pustą nocną ulicą, wiem mniej więcej, gdzie musi być ulica wylotowa w stronę Wiednia, znam kierunek, ale nie mogę jechać i zatrzymuję się, nic z tego. Powinnam była dotrzeć przynajmniej do poczty, zaadresować natychmiast do Maliny, żeby przyjechał po mnie, ale nic z tego. Muszę zawrócić, robi się już jasno,

samochód wymyka się spod mojej kontroli, zsuwa się z powrotem na miejsce, na którym stał, stoi tam odwrócony, chciałabym jeszcze raz włączyć gaz i uderzyć wozem w mur, zabić się, ponieważ Malina nie przyjdzie, jest dzień, leżę z głową na kierownicy. Ktoś ciągnie mnie za włosy, to mój ojciec. Kobieta, której chustka zsuwa się z twarzy, wyciąga mnie z samochodu i odprowadza do domu. Zobaczyłam jej twarz, ona prędko zasłania się chustką, a ja wybucham płaczem, bo ją rozpoznałam. Oboje zabijają mnie.

Mój ojciec wprowadził mnie do wysokiego domu, na górze jest nawet ogród, pozwala mi sadzić tam kwiaty i drzewka, dla rozrywki, dowcipkuje z licznych choinek,
192

które hoduję, są to choinki z Bożych Narodzeń mojego dzieciństwa, ale póki dowcipkuje, jakoś się układa, pojawiają się srebrne kulki, wszystko kwitnie fioletowo i żółto, tylko nie są to właściwe kwiaty. Sadzę i siebie również w wielu doniczkach, stale wyrastają kwiaty o przewrotnych, niepożądanych kolorach, nie jestem zadowolona, a ojciec mówi: Ty chyba uważasz się za księżniczkę, no nie! Za kogo ty się właściwie uważasz, za coś lepszego, no nie! To ci przejdzie, ja ci to wybiję z głowy, a to i to - wskazuje na moje rośliny - też niedługo się skończy, co to za oszukańcza rozrywka, ta zielenina! Trzymam w ręku węża do polewania, mogłabym puścić mu w twarz pełny strumień wody, żeby przestał mnie obrażać, bo sam przydzielił mi ogród, ale upuszczam węża, kryję twarz w dłoniach, niech mi powie, co mam robić, woda leje się na ziemię, nie chcę już podlewać roślin, zakręcam kran i wchodzę do domu. Przyszli goście mojego ojca, muszę się uwijać, wnosić i wnosić mnóstwo talerzy i tac ze szklankami, potem siedzieć z nimi, przysłuchiwać się, nie wiem nawet, o czym rozmawiają, muszę też czasem odpowiadać, ale gdy szukam odpowiedzi, czuję na sobie ostre spojrzenie, jąkam się, nic mi nie wychodzi. Ojciec uśmiecha się i jest czarujący dla wszystkich, klepie mnie po ramieniu, mówi: Ona chce państwu dać do zrozumienia, że u mnie wolno jej tylko pracować w ogrodzie, przyjrzyjcie się, moi państwo, tej spracowanej ogrodnicy, pokaż ręce, moje dziecko, pokaż swoje białe, śliczne łapki! Wszyscy śmieją się, ja też zmuszam się do śmiechu, mój ojciec śmieje się najgłośniej, pije bardzo dużo, a jeszcze więcej, kiedy tamci sobie poszli. Muszę mu jeszcze raz pokazać ręce, on je obraca, wykręca, zrywam się, uwalniam od niego, ponieważ jest pijany i chwieje się przy wstawaniu, wybiegam i chcę zatrzaskać drzwi, ukryć się w ogrodzie, ale ojciec idzie za mną, ma straszny wzrok, twarz mu spurpurowiała z wściekłości,
193

zapędza mnie do balustrady, nie jest to już ten bardzo wysoki dom, szarpie mnie, mocujemy się ze sobą, on chce mnie wyrzucić przez balustradę, obsuwamy się oboje, ja rzucam

się w drugą stronę, muszę dobiec do muru, skoczyć na sąsiedni dach albo wrócić jednak do domu, zaczynam tracić rozum, nie wiem, jak się wymknąć, a mój ojciec, który być może też boi się balustrady, nie chce już przepychać się ze mną przy balustradzie, podnosi doniczkę, rzuca we mnie, doniczka rozbija się o ścianę poza mną, mój ojciec bierze jeszcze jedną, ziemia pryska mi w twarz, glina pęka i roztrąska się, oczy mam pełne ziemi, mój ojciec nie może być taki, mój ojciec nie ma prawa być taki. Dzwonek do bramy, na moje szczęście, więc ktoś został zaalarmowany, znowu dzwonek, może wrócił któryś z gości. Ktoś idzie, szepcą, przestań! Ojciec mówi drwiąco: Ktoś idzie po ciebie, tak jest, naturalnie po ciebie, ale ty zostaniesz, słyszysz! Ponieważ dzwonenie nie ustaje, ponieważ musi to być ocalenie, ponieważ, mając twarz umazaną ziemią, nic nie widzę i staram się po omacku trafić do drzwi, ojciec zaczyna wyrzucać przez balustradę pozostałe doniczki, żeby ludzie odeszli zamiast mnie ratować. Mimo to musiałam się wymknąć, bo raptem stoję na ulicy przy bramie, w ciemności przede mną Malina, mówię szeptem, on jeszcze nie rozumie, szepcą, nie przychodź teraz, nie dzisiaj, a Malina, którego jeszcze nigdy nie widziałam bladego i przerażonego, pyta przerażony, stało się coś, co się dzieje? Proszę cię, idź, muszę go uspokoić, wyszeptuję. Słyszę syrenę policyjną, policjanci wyskakują już z radiowozu, mówię w panicznym strachu, pomóż mi teraz, musimy się ich pozbyć, musimy. Malina rozmawia z policjantami i tłumaczy, że odbywa się tu uroczystość rodzinna, stąd tyle swawoli i nadmiar dobrego humoru. Mnie odsunął w mrok. Policja rzeczywiście odjeżdża, Malina wraca, mówi stanowczo, zrozumiałem wszystko, 194

on to rzucił z góry, o mały włos mnie nie trafił, pójdiesz teraz ze mną albo więcej się nie zobaczymy, trzeba z tym wreszcie skończyć. Ale ja odpowiadam szeptem, nie mogę z tobą pójść, pozwól mi jeszcze tylko raz spróbować, chcę go uspokoić, on to zrobił, ponieważ ty zadzwoniłaś, muszę zaraz wracać. Proszę cię, nie dzwoń więcej! Zrozum, zobaczymy się jeszcze, mówi Malina, ale dopiero, jak to się skończy, bo on chciał mnie zabić. Oponuję cicho, nie, nie, on ma tylko mnie, zaczynam płakać, bo Malina poszedł sobie, nie wiem już, co robić, muszę zatrzeć ślady, zbieram skorupy z ulicy, kwiaty i ziemię zgarniam rękami do rynsztoka, dziś w nocy straciłam Malinę, Malina o mały włos nie zginął dziś w nocy, my oboje, Malina i ja, ale to jest silniejsze ode mnie i mojej miłości do Maliny, będę zaprzeczać dalej. W domu pali się światło, mój ojciec zasnął na podłodze, pośród zniszczenia, wszystko jest zdewastowane, zniszczone, kładę się obok ojca, nie bacząc na zniszczenie, bo tu jest moje miejsce, obok niego, który śpi osłabły, smutny i stary. I chociaż patrzenie na niego budzi we mnie wstręt,

muszę patrzeć, muszę wiedzieć, jakie niebezpieczeństwo jest jeszcze wypisane w jego twarzy, muszę wiedzieć, skąd bierze się zło, i ogarnia mnie strach, ale inny niż zwykle, bo zło jest w twarzy, której nie znam, podpełzam do obcego mężczyzny, który ma ręce uwalane ziemią. Jak ja tu się dostałam, jak znalazłam się w jego mocy, w czyjej mocy? Jestem wyczerpana i rodzi się we mnie podejrzenie, ale jest to podejrzenie zbyt poważne, tłumię je natychmiast, to nie może być obcy mężczyzna, to nie może być daremne i nigdy nie mogło być oszustwem. To nie może być prawdą. Malina otwiera butelkę wody mineralnej, ale podsuwa mi także dużą szklanę z odrobiną whisky, nalega, żebym

195
wypiła. Nie lubię pić whisky w środku nocy, ale ponieważ Malina ma taką zatroskaną minę, uciska palcami mój przegub, przypuszczam, że nie jest ze mną dobrze. Szuka mojego pulsu, milczy i nie wygląda na zadowolonego.

Malina: Wciąż nie masz mi nic do powiedzenia?

Ja: Trochę mi się w głowie rozjaśnia, zaczynam dostrzegać w tym pewną logikę, ale w szczegółach nic nie rozumiem. To i owo jest jakoś prawdziwe, choćby to, że czekałam na ciebie, że kiedyś zbiegłam po schodach, by cię zatrzymać, także ta historia z policją jest niemal zgodna z prawdą, tylko nie tyś im powiedział, żeby sobie poszli, bo to nieporozumienie, lecz ja sama im to powiedziałam, odesłałam ich. A może? We śnie strach był większy. Czy ty byś kiedykolwiek sprowadził policję? Bo ja nie. Tym razem też jej nie sprowadziłam, zrobili to sąsiedzi, ja zatarłam ślady, zeznawałam fałszywie, tak przecież wypada, nieprawda?

Malina: Czemu go kryłaś?

Ja: Powiedziałam, że to uroczystość rodzinna, burzliwa, zwyczajna uroczystość. Na dole stali Aleksander Fleisser i młody Bardos, zanim się rozeszli, każdy w swoją stronę, Aleksandra o mało co nie trafił pewien przedmiot, nie powiem ci jaki, był wystarczająco duży, żeby człowieka zabić. Zrzucone zostały również butelki, naturalnie żadnych doniczek. Powiedziałam, że przez pomyłkę. Przyznajmy, nie zdarza się to często, nie we wszystkich rodzinach, nie codziennie, nie wszędzie, ale może się zdarzyć, podczas uroczystości, wyobrażasz sobie, w jakich ludzie bywają humorach.

196

Malina: Nie mówię o ludziach, wiesz o tym. I nie pytam o humory.

Ja: Nie czuje się też strachu, kiedy się wie, że to mogłoby się zdarzyć naprawdę, jest zupełnie inaczej, strach przychodzi później, w innej postaci, przycho-

dzi dziś w nocy. Ach tak, ty chcesz dowiedzieć się czegoś innego. Nazajutrz poszłam do Aleksandra, młodego Bardosa, którego prawie nie znałam, też mogłoby trafić, ale on odszedł już jakieś sto metrów. Powiedziałam Aleksandrowi, że jestem do tego stopnia, w pewnym stopniu, jestem w tak wielkim stopniu zdeprimowana, wprost oniemiała, ale mówiłam bardzo dużo, bo Aleksander pomyślał już swoje, i czułam, że wniesie skargę, ale do tego nie wolno było dopuścić, zrozum! Powiedziałam też, że myślało „się”, iż ulica jest pusta, kto mógł przypuścić, że i młody Bardos o tak późnej porze stoi tam na dole, może go „się” widziało, nawet na pewno, ale to wiedziałam tylko ja, dlatego zaczęłam mówić o ciężkich czasach, tylko z min Aleksandra wyczytałam, że nie jest skłonny usprawiedliwić tego rodzaju wypadków ciężkimi czasami, więc do ciężkich czasów wymyśliłam jeszcze ciężką chorobę, i tak wymyślałam coraz to nowe przyczyny. Aleksander nie był przekonany. Moim zamiarem jednak nie było przekonać, lecz w danej chwili zapobiec najgorszemu.

Malina: Dlaczego to zrobiłaś?

Ja: Nie wiem. Zrobiłam. Wtedy wydawało mi się to właściwe. Później nic się już nie pamięta. Ani jednej przyczyny, gdyż wszystkie stały się wątpliwe.

Malina: Jak byś zeznawała?

197

Ja: Wcale bym nie zeznawała. Najwyżej jednym słowem, które mogłam jeszcze wypowiedzieć - ale już wtedy nie wiedziałam, co oznacza - unicestwiłabym wszystkie pytania. (Daję Malinie znak palcami, w języku głuchoniemych). Czy w ten sposób nie wybrnęłabym z opresji? Albo powołując się na pokrewieństwo. Łatwo ci się śmiać, tobie nic się nie przydarzyło, ty nie stałeś przed bramą.

Malina: Ja się śmieję? To ty się śmiejesz. Powinnaś spać, nie ma sensu rozmawiać z tobą, póki ukrywasz prawdę.

Ja: Dałam policjantom pieniądze, nie wszyscy są przekupni, ale ci byli, to prawda. Ucieszyli się, że mogą wracać do komisariatu albo do łóżek.

Malina: Co mnie obchodzą te historie. Śni ci się przecież.

Ja: Śni mi się, ale zapewniam cię, że zaczynam pojmować. Wtedy też zaczęłam przekreślać wszystko, co czytałam. Jeśli gdzieś było napisane „letnia moda” ja czytałam „letni mord”. To tylko jeden przykład. Mogłabym ci wymienić setki. Wierzysz w to?

Malina: Naturalnie, ale wierzę również w parę rzeczy, w które ty ciągle nie chcesz uwierzyć.

Ja: Mianowicie...

Malina: Zapominasz, że mam jutro całodzienny dyżur.

Proszę cię, wstań w porę. Jestem śmiertelnie zmęczony. Byłbym ci również wdzięczny, gdyby jajko na śniadanie nie było ani za miękkie, ani za twarde.

Dobranoc.

Nadeszły nowe mordy zimowe, można je już obejrzyć w najważniejszych domach mordu. Mój ojciec jest pierwszym couturierem w mieście. Wzbraniam się, ale mam prezentować modele ślubne. W tym roku i tak są tylko białe

198
mordy, bardzo mało czarnych, białe w pałacu lodowym, przy pięćdziesięciostopniowym mrozie, odbywają się tam na żywo zaślubiny dla publiczności i przed publicznością, w lodowych welonach i z lodowymi kwiatami. Nowożeńcy muszą być nadzy. Pałac lodowy stoi w miejscu, gdzie było dawne towarzystwo łyżwiarskie i gdzie latem odbywają się walki zapaśnicze, ale mój ojciec wynajął całą posesję, mam poślubić młodego Bardosa, zamówiono orkiestrę, która też boi się śmiertelnie grać przy tej temperaturze, lecz mój ojciec każe ubezpieczyć wdowy.

Są one jeszcze żonami muzyków.

Mój ojciec wrócił z carskiej Rosji, pobyt nie wyszedł mu na dobre. Nie oglądał Ermitażu, lecz studiował tortury, przywiózł ze sobą carycę Melanię. Muszę wyjść z Bardosem na lód, w wytwornym, kunsztownym pawilonie lodowym, oklaskiwana przez cały Wiedeń i cały świat, bo przedstawienie jest transmitowane za pośrednictwem satelitów, ma to być w dniu, w którym Amerykanie albo Rosjanie, albo też wszyscy razem lecą na Księżyc. Mojemu ojcu zależy tylko na tym, żeby wiedeńska rewia na lodzie pozwoliła zapomnieć całemu światu o księżycach i wielkich mocarstwach. Pędzi w wybitym futrem powozie wokół pierwszej i trzeciej dzielnicy, daje się raz jeszcze podziwiać z młodą carycą u boku, zanim rozpocznie się wielki spektakl.

Najpierw przez głośniki zwraca się uwagę wszystkich na pomysłowe detale pałacu lodowego, na okna z cieniutkimi płytami lodu, przejrzystymi jak najpiękniejsze szkło, zamiast szyb. Setki lodowych kandelabrow oświetlają wnętrze, a w zdumienie wprawia urządzenie, kanapy, taborety, kredensy z najbardziej kruchymi serwisami, szklankami i kompletami do herbaty, wszystko wykonane z lodu i w żywych

199
kolorach, pomalowane jak porcelana z Augartenu. W kominku leży drewno z lodu, które, polane naftą, zdaje się płonąć, a na wielkie łóżce z baldachimem można popatrzeć przez koronkowe zasłony z lodu. Caryca, która nazywa mojego ojca swoim „niedźwiedziem”, przekomarza się z nim, twierdzi, że mieszkanie w tym pałacu musi być przyjemnością, ale na spanie jest jednak trochę za zimno. Ojciec pochyla się do mnie i mówi najbardziej frywolnym tonem:

Jestem przekonany, że ty nie zmarzniesz, dzieląc dzisiaj to łoże ze swoim panem Bardosem, powinien przecież zadbać, żeby płomień miłości między wami nie zgasł ani na chwilę! Rzucam się ojcu do nóg, proszę nie o moje życie, lecz o łaskę dla młodego Bardosa, którego prawie nie znam, który mnie prawie nie zna i patrzy nierozumnie, tracąc rozum pod wpływem mrozu. Nie pojmuję, dlaczego i Bardos ma być złożony w ofierze na tej ludowej zabawie. Mój ojciec tłumaczy carycy, że również mój współwinowajca musi rozebrać się i będzie tak długo polewany wodą z Dunaju i Newy, aż oboje staniemy się lodowatymi posągami. Ale to przecież straszne, odpowiada z afektacją Melania, mój wielki niedźwiedziu, ty na pewno każesz wcześniej zabić tych nieszczęśników. Nie, moja mała niedźwiedzico, mówi na to mój ojciec, bo wówczas oboje zatraciliby naturalność ruchów, która wedle zasad piękna jest niezbędna, każę ich polewać żywcem, inaczej nie mógłbym się bawić ich śmiertelnym strachem! Jesteś okrutny, mówi Melania, ale mój ojciec obiecuje jej ekstazę, wie, jak okrucieństwo i rozkosz są sobie bliskie. Kiedy ktoś jest otulony w futro, patrzy z przyjemnością, zapowiada i wyraża nadzieję, że Melania i w okrucieństwie prześcignie kiedyś wszystkie kobiety. Ludzie z ulicy i z wiedeńskiego towarzystwa wiwatują. Takie widoki nie zdarzają się co dzień!

200

Stoimy przed pałacem przy pięćdziesięciostopniowym mrozie, obnażeni, musimy przybierać nakazane pozy, wśród publiczności niektórzy wzdychają, lecz każdy myśli, że Bardos, chociaż niewinny, jest współwinny, ponieważ zaczynają polewać nas strumieniami lodowatej wody. Słyszę jeszcze własny jęk i rzucone przez siebie przekleństwo, ostatnia rzecz, jaką dostrzegam, to triumfujący uśmiech mojego ojca, jego zadowolone westchnienie to ostatnia rzecz, jaką słyszę. Nie mogę już prosić o życie Bardosa. Zamieniam się w lód.

Moja matka i moja siostra wysłały do mnie międzynarodowego parlamentarzystę, chcą się dowiedzieć, czy „po” tym wypadku byłabym skłonna utrzymywać nadal stosunki z moim ojcem. Mówię pośrednikowi: Za nic w świecie! Mężczyzna, zapewne mój stary przyjaciel, jest tym skonsternowany i twierdzi, że to jednak szkoda. Uważa moje stanowisko za zbyt surowe. Idę potem od matki i siostry, które stoją niemo i bezradnie, do sąsiedniego pokoju, żeby samej porozmawiać o tym z ojcem. Chociaż myślę nieugięcie, nieugięcie osądzam, całe moje ciało stało się nieugięte, nie mogę oprzeć się wrażeniu, że będę musiała spełnić swoją powinność, znów będę z nim spała, zaciskając zęby, nieporuszona. Niech jednak wie, że zrobię to tylko ze względu na innych i żeby nie wywoływać międzynarodowej sensacji. Mój ojciec jest bardzo przygnębiony, napomyka, że czuje się chory, że nie sprostą już wszystkiemu, a ja znów nie mogę

doprowadzić do rozmowy, on ucieka w chorobę, której wcale nie ma, byle nie rozmyślać o Melanii i o mnie. Zaczyna mi świtać, że zasłania się wszystkim, co możliwe, bo żyje teraz z moją siostrą. Nic już nie mogę zrobić dla Eleonory, ona przysłała mi kartkę: Módl się za mnie, wstaw się za mną!

201

Siedzę na łóżku, jest mi za ciepło i za zimno, sięgam po książkę, którą przed zaśnięciem położyłam na podłodze, „Rozmowa z Ziemią”, zapomniałam, przy którym rozdziale zamknęłam, szukam bez planu w spisie treści, w suplementach, w objaśnieniu terminów fachowych i wyrazów obcych, siłach i procesach podziemnego początku, dynamice wewnętrznej. Malina zabiera mi książkę z ręki i odkłada.

Malina: Dlaczego pojawia się twoja siostra, kim jest twoja siostra?

Ja: Eleonora? Nie wiem, nie mam siostry, która nazywa się Eleonora. Ale przecież każdy z nas ma siostrę, nieprawdaż? Wybacz. Jak mogłam! Ale chcesz dowiedzieć się czegoś o mojej prawdziwej siostrze. W dzieciństwie byłyśmy naturalnie zawsze razem, potem jakiś czas w Wiedniu, w niedzielne przedpołudnia chodziłyśmy na koncerty do towarzystwa muzycznego, niekiedy umawiałyśmy się z tymi samymi mężczyznami, ona też umiała czytać, raz napisała trzy żałosne stronice, które całkiem do niej nie pasowały, jak nie pasuje do nas wiele rzeczy, a ja nie wzięłam tego poważnie. Zaniedbałam coś. Co zrobiła moja siostra? Mam nadzieję, że wkrótce potem wyszła za mąż.

Malina: Nie powinnaś tak mówić o swojej siostrze, męczysz się tylko, żeby ją ukryć. A Eleonora?

Ja: Powinnaś była wziąć to poważnie, ale byłam wtedy jeszcze taka młoda.

Malina: Eleonora?

Ja: Jest dużo starsza od mojej siostry, musiała żyć w innym czasie, nawet w innym stuleciu, znam jej podobizny, ale nie przypominam sobie, nie przypo-

202

minam... Ona też czytała, śniło mi się kiedyś, że czyta mi coś, głosem zza grobu. Vivere ardendo e non sentire ii małe. Skąd to jest?

Malina: Co się z nią stało?

Ja: Umarła na obczyźnie.

Mój ojciec więzi moją siostrę, nie wyjawia swoich zamiarów, domaga się ode mnie pierścionka dla niej, bo siostra ma nosić ten pierścionek, ściąga mi pierścionek z palca i mówi: To chyba wystarczy, to chyba powinno wystarczyć! dobre jesteście, jedna warta drugiej, obie mnie jeszcze popamiętacie. „Zdetronizował” Melanię, czasem mówi, że ją „odprawił”, przejrzał ją, jej ambicje i żądzę błysz-

czenia dzięki niemu. Tyrady, w których usiłuje mi wytłumaczyć jej żądę, są jednak osobliwe, pojawia się słowo „śnieg”, ona chce z nim jechać przez mój śnieg, także przez nasz wspólny śnieg z Prealp, pytam go, czy dostał już moje listy, ale okazuje się, że utknęły w śniegu. Jeszcze raz proszę go o parę rzeczy, które będą mi potrzebne do końca, o dwie filiżanki do kawy z Augartenu, ponieważ chcę jeszcze napić się kawy, inaczej nie mogłabym spełnić swojej powinności, filiżanki do kawy bowiem zniknęły, to jest najbardziej przykre, będę musiała powiedzieć siostrze, żeby mi oddała przynajmniej te filiżanki. Ojciec spuścił małą lawinę, żebym się przestraszyła i nie wypowiadała więcej tego życzenia, filiżanki są pod śniegiem. Chciał mnie tylko zmylić, puszcza w ruch drugą lawinę, pomału rozumiem śnieg, bo śnieg ma mnie pogrzebać, żeby nikt już mnie nie znalazł. Biegając ku drzewom, gdzie jest ratunek i oparcie, próbuję krzyknąć tchórzliwie, że nic już nie chcę, niech o tym zapomni, w ogóle nic już nie chcę, powstaje niebezpieczeństwo obsunięcia się lawin, trzeba wymachiwać rękami, trzeba płynąć przez

203
śnieg, żeby utrzymać się na wierzchu, trzeba dryfować po śniegu. Ale mój ojciec wchodzi na półkę śniegową i spuszcza trzecią lawinę, która zwała całe nasze lasy, najstarsze, najmocniejsze drzewa, spada z niesamowitą siłą, nie mogę już spełnić mojej powinności, zgadzam się, że walka się skończyła, ojciec mówi ratownikom, że postawi im piwo, niech idą do domu, przed najbliższą wiosną nic się nie da zrobić. Zasypała mnie lawina mojego ojca.

Na lekko ośnieżonym stoku za naszym domem po raz pierwszy jeżdżę na nartach. Muszę starać się nabrać takiego rozpędu, żeby nie utknąć na miejscach bezśnieżnych i, sunąc w dół, nie zatrzymać się na wypisanym w śniegu zdaniu. To zdanie mogłoby pochodzić z dawniejszych czasów, wypisane niezgrabnym dziecięcym pismem, w śniegu pozostałym z mojej młodości. Przychodzi mi na myśl, że zostało zaczerpnięte z brązowego zeszytu szkolnego, na którego pierwszej stronie napisałam w noc noworoczną: Kto musi żyć ciąglem „dlaczego”, zniesie prawie każde „jak”. Ale w zdaniu mówi się również, że nadal mam trudności z moim ojcem i że nie mogę liczyć na to, by uwolnić się teraz od tego nieszczęścia. Starsza kobieta, wróżka, uczy jazdy na nartach mnie i stojącą z boku grupę, do której się nie przyłączam. Zwraca uwagę, żeby każdy zatrzymał się tam, gdzie kończy się stok. Tam gdzie ja się zatrzymuję, skrajnie wyczerpana, leży list, dotyczy on 26 stycznia i ma coś wspólnego z dzieckiem, list jest złożony w sposób bardzo skomplikowany i kilkakrotnie opieczętowany, jeszcze przez jakiś czas nie wolno go otworzyć - cały jest pokryty skorupą lodu - bo zawiera przepowiednię. Ruszam w drogę przez wielki las, odpinam narty i zostawiam kijki, idę dalej pieszo, w kierunku miasta,

do domów moich wiedeńskich przyjaciół. Ze wszystkich ta-
204

bliczek na domach zniknęły nazwiska mężczyzn. Ostatkiem sił próbuję zadzwonić do Lily, dzwonię, choć ona nigdy nie przyszła, wciąż przybita jej nieprzyjściem, ale udaję spokój i już w drzwiach opowiadam jej, że moja matka i Eleonora przyjechały dzisiaj, aby mnie umieścić w dobrym zakładzie, nie potrzebuję schronienia i muszę zaraz dostać się na lotnisko, nagle jednak nie wiem, czy mam jechać do Schwechat, czy do Aspern, nie mogę być równocześnie na obu lotniskach, nie wiem już nawet, czy moja matka i moja siostra rzeczywiście przylatują samolotami, czy latają dzisiaj samoloty, czy matka i siostra w ogóle mogą przyjechać i czy zostały zawiadomione. Zawiadomiona została przecież tylko Lily. Nie wypowiadam tego zdania, chciałabym krzyknąć: Zawiadomiona byłaś przecież tylko ty! i co zrobiłaś, nic nie zrobiłaś, tylko wszystko popsowała!

Jako że wszyscy mężczyźni zniknęli z Wiednia, muszę mieszkać u młodej dziewczyny, w pokoju, który nie jest większy od mojego pokoju dzieciennego, stoi w nim także moje pierwsze duże łóżko. Nagle zakochuję się w dziewczynie, obejmuję ją, podczas gdy pani Breitner, moja dozorczyńca z Ungargasse (albo baronowa z Beatrixgasse), leży obok, gruba i ciężka, dostrzega już, że obejmujemy się nawzajem, chociaż jesteśmy przykryte moją niebieską kołdrą. Nie oburza się, ale mówi, że nigdy by jej to nie przyszło do głowy, zna mnie przecież i znała dobrze mojego ojca, tylko do dziś nie wiedziała, że mój ojciec wyjechał do Ameryki. Pani Breitner uważa się, bo uważała mnie za „świętą”, powtarza kilkakrotnie: „coś w rodzaju świętej”, i żeby mi nie wymówiła, staram się jej wytłumaczyć, że to przecież zrozumiałe i naturalne, po tym wielkim nieszczęściu z moim ojcem nie mogę inaczej. Przyglądam się dziewczynie dokładniej, nigdy
205

jej nie spotkałam, jest bardzo delikatna i bardzo młoda, opowiada mi o promenadzie nad Worthersee, jestem pod dużym wrażeniem, ponieważ opowiada o Worthersee, ale nie śmiem mówić jej ty, bo wtedy odkryłaby, kim jestem. Nigdy nie powinna się o tym dowiedzieć. Zaczyna się muzyka, łagodna i cicha, na zmianę próbujemy zaśpiewać parę słów pod tę muzykę, baronowa też próbuje, jest moją dozorczynią, panią Breitner, mylimy się ciągle, ja śpiewam: „Mej niechęci wyraz daję”, dziewczyna śpiewa: „Nie widziacie, przyjaciele?” Pani Breitner natomiast śpiewa: „Strzeżcie się! Strzeżcie się! Wnet nastąpi nocy kres!”.

W drodze do mojego ojca spotykam grupę studentów, którzy też chcą go odwiedzić, mogę im wskazać drogę, ale nie chciałabym dojść do drzwi jednocześnie z nimi. Czekam, oparta o ścianę, a tymczasem studenci dzwonią. Otwiera Melania, jest w długiej domowej sukni, znów ma biust za

duży i dostępny oczom wszystkich, wita studentów wylewnie i udaje, że każdego pamięta, widywała ich na wszystkich wykładach, i mówi, promieniejąc, że dziś jest jeszcze panną Melanią, ale już niedługo, bo chce być panią Melanią.

Nigdy, myślę. Potem spostrzega mnie, popsułam jej występ, witamy się oziębło, podajemy sobie ręce, ale tylko tak, że dłonie stykają się płasko i żadna nie ściska dłoni drugiej. Idzie naprzód korytarzem, jest to już nowe mieszkanie, i nie ulega wątpliwości, że Melania jest w ciąży. W mieszkaniu stoi moja Lina ze spuszczoną głową, nie spodziewała się, że przyjdę, bo w tym mieszkaniu nazywają ją Ritą, żeby nic już nie przypominało o mnie. Mieszkanie jest ogromne, składa się jednak tylko z jednego bardzo wąskiego i jednego olbrzymiego pokoju, ten podział wywodzi się z pomysłów architektonicznych mojego ojca, znam jego pomysły, nie sposób

206
puścić ich w niepamięć. Wśród mebli widzę moją niebieską sofę z Beatrixgasse, a że ojciec zajęty jest urzędowaniem, zagaduję go, w dużym pokoju. Ojciec, któremu przedkładam propozycje dotyczące niebieskiej sofy i paru innych rzeczy, nie słucha, chodzi z calówką to tu, to tam, mierzy ściany, okna i drzwi, bo znów zamierza coś wielkiego. Pytam go, czy mam wyjaśnić mu teraz ustnie, czy później na piśmie, jakiego życzę sobie porządku, i co by wolał. On nie przerywa zajęć, pozostaje obojętny i mówi tylko: Zajęty, jestem zajęty! Zanim wyjdę z mieszkania, oglądam to i owo, wysoko na ścianie widzę śmieszoną pierzastą dekorację, dużo małych wypchanych ptaków stoi w niszy, która jest czerwono oświetlona, a ja mówię do siebie, jakie to bez smaku, bez smaku jak zawsze. Smak zawsze nas dzielił. Jego obojętność, jego niegustowność, oba te słowa mieszają mi się w jedno, odprowadza mnie Lina, która pozwala nazywać się Ritą, mówię, to bez smaku, w niczym nie ma tu ani odrobiny smaku, jest tu obojętnie, z moim ojcem zawsze będzie tak samo. Lina z zakłopotaniem kiwa głową, ukradkiem podaje mi rękę, chciałabym teraz mieć odwagę, chciałabym i muszę głośno trzasnąć drzwiami, jak mój ojciec zawsze traskał wszystkimi drzwiami, żeby i on dowiedział się wreszcie, co to znaczy zatrzaskać przed kimś drzwiami. Lecz drzwi zamykają się lekko, wciąż nie potrafię nimi trzasnąć. Przed domem opieram się o ścianę, nie powinienam była przychodzić do tego domu, do Melanii nigdy, mój ojciec kazał już otoczyć dom, nie mogę wrócić i nie mogę odejść, ale mogłabym jeszcze przejść przez płot, gdzie są bardzo gęste zarośla, i w śmiertelnym strachu podbiegam do płotu i wdrapuję się na górę, to jest ratunek, to byłby ratunek, ale na górze zaplątuję się, jest to drut kolczasty, są to kolce, pod napięciem stu tysięcy wolt, otrzymuję sto tysięcy elektrycznych uderzeń, mój ojciec naładował druty prądem,

we wszystkich włóknach mojego ciała szaleje mnóstwo wolt. Przez szaleństwo mojego ojca spłonęłam i umarłam. Otwiera się okno, na zewnątrz ciągnie się mroczna, chmurna kraina, a w niej jezioro, które zmniejsza się coraz bardziej. Wokół jeziora leży cmentarz, można dokładnie rozpoznać groby, ziemia otwiera się na grobach i na chwilę wstają zmarłe córki z rozwianymi włosami, nie sposób dojrzeć ich twarzy, włosy opadają im do pasa, prawa dłoń każdej kobiety jest uniesiona w górę i widoczna w białym świetle, wszystkie rozczapierzają woskowe dłonie, nie ma pierścionków, nie ma palca serdecznego u każdej dłoni. Mój ojciec każe jezioru wystąpić z brzegów, żeby nic nie wyszło na jaw, żeby niczego nie było widać, żeby kobiety na grobach utonęły, żeby utonęły groby, mój ojciec mówi: To jest przedstawienie pod tytułem „Kiedy budzimy się, umarli”. Kiedy się budzę, wiem, że od wielu już lat nie byłam w teatrze. Przedstawienie? Nie pamiętam żadnego przedstawienia, nie wyobrażam sobie żadnego przedstawienia, ale to musiało być przedstawienie.

Malina: Zawsze wyobrażałaś sobie za wiele.

Ja: Ale wtedy nie mogłam sobie nic wyobrazić. Albo mówimy o wyobrażaniu sobie i wyobrażeniach i nie myślimy o tym samym.

Malina: Prześledźmy sprawę. Dlaczego nie masz pierścionka? Nosилаś kiedyś pierścionek? Nigdy przecież nie nosisz pierścionka. Powiedziałaś mi, że dla ciebie jest rzeczą niemożliwą nosić coś na palcu, mieć coś na szyi, wokół przegubu czy choćby kostki.

208

Na początku kupił mi mały pierścionek, chciałam zostawić go w pudełeczku, ale on pytał mnie codziennie, jak mi się podoba pierścionek, i stale przypominał, że dostałam ten pierścionek od niego, całymi latami bez przerwy mówił o tym pierścionku, jak gdybym mogła żyć pierścionkiem, a jeśli nie mówiłam o nim dobrowolnie każdego dnia, pytał, gdzie masz mój pierścionek, dziecko? A ja, dziecko, mówiłam, na miłość boską, przecież nie zgubiłam pierścionka, nie, już wiem, zostawiłam go w łazience, zaraz przyniosę i włożę na palec albo położę obok na komódce, niedaleko łóżka, mogę zasnąć tylko z twoim pierścionkiem w pobliżu. Były z tym pierścionkiem okropne korowody, on wszystkim opowiadał, że podarował mi pierścionek, i ludzie myśleli w końcu, że ponadto podarował mi życie albo przynajmniej miesięczną pensję, albo dom z ogrodem i powietrze do oddychania, nie mogłam już nosić tego przeklętego pierścionka, a gdy pierścionek miał już stracić moc obowiązującą, chętnie rzuciłabym mu go w twarz, również dlatego, że

wcale mi go nie podarował dobrowolnie, to ja nalegałam, żeby dał mi coś na potwierdzenie, ponieważ nigdy nie dał mi znaku, ponieważ chciałam znaku, i w końcu dostałam pierścionek, o którym ciągle była mowa. Nie można jednak rzucić komuś pierścionka w twarz, prędeż pod nogi, od biedy, lecz łatwiej to powiedzieć, niż zrobić, bo kiedy ktoś siedzi albo chodzi tam i z powrotem, niepodobna rzucić mu coś tak małego pod nogi i osiągnąć w ten sposób, co się chce. Toteż poszłam najpierw do łazienki i chciałam wrzucić pierścionek do muszli klozetowej, ale potem wydało mi się to za proste, za

209
praktyczne i za właściwe, chciałam przeżyć dramat, teraz i ja chciałam nadać pierścionkowi znaczenie, pojechałam samochodem do Klosterneuburg, kilka godzin stałam tam na dunajskim moście w pierwszym zimowym wietrze, potem wyjęłam pudełeczko z kieszeni płaszcza i pierścionek z pudełeczka, bo nie nosiłam go już od paru tygodni, było to 19 września. W zimne popołudnie, kiedy było jeszcze jasno, rzuciłam go do Dunaju.

Malina: To przecież niczego nie wyjaśnia. W Dunaju pełno jest pierścionków, każdego dnia na dunajskich mostach między Klosterneuburg a Fischamend w zimnym zimowym wietrze albo w gorącym letnim wietrze ktoś ściąga pierścionek z palca i rzuca do rzeki.

Ja: Ja nie ściągnęłam pierścionka z palca.

Malina: Nie o to chodzi, nie chcę słuchać tej twojej historii, stale się jakoś wykręcasz.

Ja: Najdziwniejsze było, że wiedziałam przez cały czas, iż krążył wokół mnie, myśląc o morderstwie, nie wiedziałam tylko, w jaki sposób chce mnie zgładzić. Możliwe było wszystko. Ale on mógł obmyślić sobie tylko jedną możliwość i właśnie tej jednej nie potrafiłam odgadnąć. Nie wiedziałam, że takie rzeczy zdarzają się jeszcze dzisiaj i tutaj.

Malina: Może nie wiedziałaś, ale zgodziłaś się.

Ja: Przysięgam ci, że nie zgodziłam się, nie można się przecież zgodzić, chce się odejść, uciec. Co ty mi chcesz wmówić? nigdy się nie zgodziłam!

Malina: Nie przysięgaj. Nie zapominaj, że nigdy nie przysięgasz.

Ja: Naturalnie wiedziałam, że chce mnie ugodzić w najbardziej czułe miejsce, bo wtedy nie musiałby

210
już nic robić, wystarczyłoby mu czekać, odczekać, aż ja sama, ja sama z sobą...

Malina: Przestań płakać.

Ja: Wcale nie płaczę, ty mi to chcesz wmówić, ty jeszcze doprowadzisz mnie do płaczu. Było jednak zupełnie inaczej. Potem rozejrzałam się w swoim otoczeniu i dalej, poza nim, zauważyłam, że wszyscy czekają, nie robią nic więcej, nie robią nic szczególnego, wciskają innym w rękę środkki nasenne, brzytwę, starają się, żeby człowiek nierozważnie poszedł na spacer skalną drogą, żeby w pędzącym pociągu po pijanemu otworzył drzwi albo żeby po prostu zjawiła się jakaś choroba. Kiedy czeka się wystarczająco długo, przychodzi załamanie, przychodzi powolny lub szybki koniec. Niektórzy przeżyją to, ale tylko przeżyją, nic więcej.

Malina: Do jakiego stopnia jednak trzeba się zgodzić?

Ja: Za bardzo cierpiałam, nic już nie wiem, nic nie przyznaję, skąd mam wiedzieć, wiem za mało, nienawidzę mojego ojca, nienawidzę go, Bóg jeden wie, jak bardzo, nie wiem, dlaczego tak jest.

Malina: Kogo zrobiłaś swoim bożyszczem?

Ja: Nikogo. Nic z tego nie będzie, nie posunę się dalej, nic mi się nie ukazuje, słyszę tylko stale, ciszej lub głośniejsz, głos towarzyszący obrazom, który mówi: kazirodztwo. Niepodobna się tu pomylić, wiem, co to znaczy.

Malina: Nie, nie, tego właśnie nie wiesz. Kiedy się przetrwało, fakt przetrwania stoi na przeszkodzie zrozumieniu, nie wiesz nawet, jakie były twoje dawniejsze życia i czym jest twoje życie dzisiaj, mylisz swoje życia.

Ja: Mam tylko jedno życie.

Malina: Pozostaw je mnie.

211

Jest to przed Morzem Czarnym, a wiem, że Dunaj musi ujść do Morza Czarnego. Ja tak samo ujdę. Cały czas szłam bez przeszkód brzegiem, ale przed deltą widzę, do połowy pokryte wodą, tłuste ciało, nie mogę go jednak wyminąć i dojść w bród na środek rzeki, ponieważ rzeka jest tu za głęboka, za szeroka i pełna wirów. Mój ojciec ukrył się przed ujściem w wodzie, jest olbrzymim krokodylem o zmęczonych, przymkniętych oczach, nie przepuści mnie. Nie ma już krokodyli nad Nilem. Ostatniego przeniesiono nad Dunaj. Mój ojciec czasem unosi nieco powieki, wydaje się, jak gdyby leżał gnuśnie, jak gdyby na nic nie czekał, ale czeka oczywiście na mnie, wiedział, że chcę wracać do domu, że jest to dla mnie ocalenie. Krokodyl czasem otwiera łakomie wielką paszczę, wiszą w niej strzępy, strzępy ciał innych kobiet, a mnie przypominają się imiona wszystkich kobiet, które rozszarpał, na wodzie unosi się stara krew, ale świeża także; nie wiem, jak bardzo głodny jest dzisiaj mój ojciec. Nagle spostrzegam, że obok niego leży mały krokodyl, a więc znalazł sobie odpowiedniego krokodyla. Mały

krokodyl błyska jednak oczami i nie jest gnuśny, podpływa do mnie i chce, z fałszywą życzliwością, ucałować mnie w oba policzki. Zanim zdąży mnie pocałować, krzyczę: Jesteś krokodylem! Wracaj do swojego krokodyla, należyście przecież do siebie, oboje jesteście krokodylami! Bo od razu poznałam Melanię, która znów obłudnie przymyka powieki i nie błyska już swoimi ludzkimi oczami. Mój ojciec odkrzykuje: Powiedz to jeszcze raz! Ale ja nie mówię tego jeszcze raz, chociaż powinnam, ponieważ on tak każe. Mam do wyboru tylko dwie możliwości, albo zostanę rozszarpana przez niego, albo wejdę do rzeki, tam, gdzie jest najgłębsza. Nie doszedłszy do Morza Czarnego, zniknęłam w paszczy mojego ojca. Do Morza Czarnego uszły jednak trzy ostatnie krople mojej krwi.

212

Mój ojciec wchodzi do pokoju, gwizdże i śpiewa, staje w spodniach od pidżamy, nienawidzę go, nie mogę na niego patrzeć, krzątam się przy mojej walizce. Proszę cię, włóż coś na siebie, mówię, włóż coś innego! Bo chodzi w pidżamie, którą podarowałam mu na urodziny, chodzi w niej umyślnie, chciałabym zedrzeć z niego tę pidżamę, ale raptem przychodzi mi coś na myśl i mówię od niechcienia: Ach, to tylko ty! Zaczynam tańczyć, solo tańczę walca, mój ojciec przygląda mi się trochę zaskoczony, bo na łóżku leży jego mały krokodyl, ubrany w aksamit i jedwab, a on zaczyna sporządzać testament dla aksamitu i jedwabiu, spisuje go na dużym arkuszu i mówi: Ty nic nie dostaniesz, słyszysz, bo ty przecież tańczysz! Rzeczywiście tańczę, pa-pam pa-pam, tańczę przez wszystkie pokoje i zaczynam kręcić się w kółko na dywanie, którego on nie może wyciągnąć mi spod nóg, jest to dywan z „Wojny i pokoju”. Mój ojciec przywołuje moją Linę: Proszę wyciągnąć jej dywan spod nóg! Ale Lina ma wychodne, a ja śmieję się, tańczę i wołam nagle: Ivan! To nasza muzyka, to jest walc dla Ivana, teraz i zawsze, to jest ratunek, bo mój ojciec nigdy nie słyszy imienia Ivana, nigdy nie widział mnie tańczącej, nie wie już, co robić, nie można wyciągnąć mi dywanu spod nóg, nie można mnie zatrzymać przy szybkich obrotach w tym wirującym tańcu. Wołam Ivana. Ale on nie musi przychodzić, nie musi brać mnie w ramiona, bo głosem, jakiego jeszcze nikt nie miał, gwiezdny głosem, syderalnym głosem stwarzam imię Ivana i jego wszechobecność.

Mój ojciec traci panowanie nad sobą, krzyczy oburzony: Niech ta wariatka wreszcie przestanie albo zniknie, niech natychmiast zniknie, bo inaczej zbudzi się mój mały krokodyl! Tańcząc, zbliżam się do krokodyla, odbieram skradzioną mi koszulę z Syberii i moje listy na Węgry, z sennej niebezpiecznej paszczy wyciągam mu to, co do mnie należy,

213

chciałabym też odzyskać klucz, mam już ochotę roześmiać

się, zdjąć go z krokodylego zęba i tańczyć dalej, ale mój ojciec zabiera mi klucz. Zabiera mi, prócz wszystkiego innego, również klucz, jest to jedyny klucz! Braknie mi głosu, nie mogę już zawołać: Ivan, pomóż mi, on chce mnie zabić! Na największym zębie krokodyla wisi jeszcze jeden mój list, nie syberyjski, nie węgierski, widzę z przerażeniem, do kogo skierowany jest ten list, bo udaje mi się odczytać początek: Mój ukochany ojczy, serce mi złamałeś. Bach-bach złamałeś pa-pa-pam moje złamane mój ojciec bach-bach-baaach pa-pa-pam Ivan, chcę Ivana, myślę o Ivaniu, kocham Ivana, mój ukochany ojczy. Mój ojciec mówi: Zabierz stąd tę babę!

Moje dziecko, które ma teraz chyba cztery albo pięć lat, przychodzi do mnie, od razu je poznaje, bo jest do mnie podobne. Patrzymy w lustro i upewniamy się. Mały mówi mi cicho, że mój ojciec się żeni, z tą masażystką, która jest bardzo piękna, ale natrętna. Z tego powodu on nie chciałby zostawać dłużej u mojego ojca. Jesteśmy w dużym mieszkaniu u obcych, słyszę, jak w jednym z pokoi mój ojciec rozmawia z kilkoma osobami, to dobra okazja, postanawiam, zupełnie nagle, wziąć dziecko do siebie, choć przy mnie też na pewno niechętnie zostanie, gdyż moje życie jest takie nieuporządkowane, nie mam jeszcze mieszkania, bo muszę najpierw opuścić przytułek dla bezdomnych, muszę opłacić pogotowie i ekipę ratowniczą, a nie mam pieniędzy, przytulam jednak dziecko mocno do siebie i przyrzekam, że zrobię wszystko. Mały chyba się zgadza, zapewniamy się nawzajem, że musimy zostać razem, wiem, że odtąd będę walczyć o dziecko, gdyż mój ojciec nie ma żadnego prawa do naszego dziecka, sama już siebie nie rozumiem, bo on przecież

214

nie ma żadnego prawa, biorę dziecko za rękę i chcę z nim zaraz wyjść, ale po drodze są inne pokoje. Moje dziecko nie ma jeszcze imienia, czuję, że jest bezimienne jak dzieci nienarodzone, muszę prędko nadać mu imię i moje nazwisko, proponuję mu szeptem: Animus. Dziecko wolałoby nie mieć imienia, ale rozumie to. W każdym pokoju rozgrywiają się jak najgorsze sceny, zasłaniam dziecku oczy, bo w pokoju fortepianowym zobaczyłam mojego ojca. Leży pod fortepianem z młodą kobietą, mogłaby to być ta masażystka, mój ojciec rozpiął jej bluzkę i zdejmuje jej biustonosz, boję się, że mimo to dziecko widziało tę scenę. Przeciskamy się między gośćmi, którzy piją szampana, do następnego pokoju, mój ojciec musi być kompletnie pijany, jakże inaczej mógłby tak zapomnieć o dziecku. W innym pokoju, w którym szukamy schronienia, leży, również na podłodze, kobieta, która wszystkim grozi rewolwerem, domyślam się, że jest to niebezpieczne święto, święto rewolwerowe, staram się godzić na dziwaczne pomysły kobiety, ona celuje w plafon, potem przez drzwi w mojego ojca, nie wiem, czy

robi to serio, czy żartem, ona mogłaby być tą masażystką, bo nagle pyta ordynarnie, czego ja tu szukam i kim jest ten mały bękart, a ja pytam, podczas gdy ona mierzy we mnie z rewolweru, czy nie jest odwrotnie i to raczej ona nie ma tutaj czego szukać, ona jednak odpowiada ostro pytaniem: Co to za bękart w drogę mi włązi? W śmiertelnym strachu nie wiem, czy przyciągnąć dziecko do siebie, czy je odesłać, chcę zawołać: Uciekaj, uciekaj! uciekaj stąd! Bo kobieta nie bawi się już rewolwerem, chce nas oboje usunąć z drogi, jest 26 stycznia, przyciągam dziecko do siebie, żebyśmy umarli razem, kobieta zastanawia się chwilę, potem mierzy dokładnie i zabija dziecko. Mnie już nie musi trafić. Mój ojciec pozwolił jej tylko na jeden strzał. Padam na moje dziecko, a tymczasem dzwonią noworoczne dzwony i wszyscy trąca-

215
ją się kieliszkami szampana, wiele kieliszków wylewają, szampan spływa po mnie, od nocy noworocznej, i nie pochowałam swojego dziecka w obecności mojego ojca. Wkroczyłam w epokę wypadków, sąsiedzi dopytują się niekiedy, czy coś się stało. Wpadłam do małego grobu, rozbiłam sobie głowę i wykręciłam rękę, do następnego upadku wszystko trzeba wyleczyć, muszę ten czas spędzić w grobowcu, boję się już następnego upadku, ale wiem, gdyż jest to przepowiednia, że upadnę trzy razy, zanim znów wstanę.

Mój ojciec wtrącił mnie do więzienia, nie jestem zbyt zaskoczona, bo wiem przecież, jakie ma stosunki. Z początku łudzę się, że będą mnie dobrze traktowali i przynajmniej pozwolą mi pisać. Bądź co bądź mam tutaj czas i jestem bezpieczna od jego prześladowań. Mogłabym ukończyć książkę, którą znalazłam, już przedtem, po drodze do więzienia, w tym policyjnym samochodzie zobaczyłam w kołującym niebieskim świetle parę zdań, wiszących między drzewami, płynących w wodach ściekowych, wciśniętych mnóstwem samochodowych opon w zbyt gorący asfalt. Zapamiętałam wszystkie zdania, pozostały mi też w głowie inne, z dawniejszych czasów. Prowadzą mnie długimi korytarzami, chcą wypróbować, do której celi pasuję, ale potem okazuje się, że nie przyznają mi żadnych przywilejów. Ciągają się długie pertraktacje między różnymi władzami. Kryje się za tym mój ojciec, za jego sprawą zniknęła część akt, znika coraz więcej tych, które przemawiają na moją korzyść, a w końcu okazuje się, że pisanie jest mi zabronione. Dostaję teraz wpraw-

216
dzie pojedynczą celę, jak sobie tego skrycie życzyłam, wsuwają mi tam blaszaną miskę z wodą, a chociaż w celi jest za brudno i za ciemno, myślę tylko o książce, proszę o papier, walę w drzwi, o papier, ponieważ muszę coś napisać. Łatwo mi to przyjdzie w celi, nie żałuję, że jestem tu uwięziona, godzę się z tym od razu, tylko ciągle zagaduję ludzi,

którzy przechodzą na zewnątrz i nie rozumieją mnie, sądzą, że protestuję i bronię się przed więzieniem, podczas gdy ja chcę powiedzieć, że więzienie mi nie przeszkadza, ale chciałabym dostać parę arkuszy papieru i coś do pisania. Strażnik otwiera gwałtownie drzwi i mówi: Nic z tego nie będzie, nie wolno pani pisać do ojca! Zatrzaszkuje drzwi i uderza mnie nimi w głowę, chociaż ja krzyczę już: Wcale nie do mojego ojca, przysięgam, nie do mojego ojca! Mój ojciec zadbał o poinformowanie wymiaru sprawiedliwości, że jestem niebezpieczna, ponieważ znów chcę pisać do niego. Tylko że to nieprawda, ja chcę jedynie napisać zdanie o przyczynie. Jestem zdruzgotana i z tego też powodu wylewam wodę z blaszanej miski, bo wołę umrzeć z pragnienia, ponieważ to nieprawda, a gdy umieram i umieram z pragnienia, cisną się wokół mnie zdania, jest ich coraz więcej, jedne są tylko widoczne, inne tylko słyszalne jak przy Glorიაstrasse, po pierwszym zastrzyku morfiny. Skulona w kącie, bez wody, wiem, że moje zdania nie opuszczają mnie i że mam do nich prawo. Mój ojciec zagląda przez judasza, widać tylko jego ponure oczy, chciałby podpatrzeć i odebrać mi moje zdania, ale dręczona pragnieniem, po ostatnich halucynacjach, zdaję sobie jeszcze sprawę, że widzi mnie, jak umieram bez słów, ukryłam słowa w zdaniu o przyczynie, które jest na zawsze bezpieczne przed moim ojcem i utajone, tak bardzo wstrzymuję oddech. Język zwisa mi z ust, on jednak nie potrafi odczytać z niego ani słowa. Przeszukują mnie, ponieważ straciłam przytomność, chcą mi zwilżyć usta, zmoczyć język, 217

żeby znaleźć na nim te zdania, żeby je skonfiskować, ale potem znajdują obok mnie tylko trzy kamienie i nie wiedzą, skąd się wzięły i co oznaczają. Są to trzy twarde, błyszczące kamienie, zesłane mi przez najwyższą instancję, na którą nawet mój ojciec nie ma wpływu, i ja jedna wiem, jaką nowinę przynosi każdy kamień. Pierwszy, czerwony kamień, który spadł do celi z nieba, w którym nieustannie drgają młode błyskawice, mówi: Dziwiąć się żyć. Drugi, niebieski kamień, w którym drgają wszystkie błękity, mówi: Pisać w zdziwieniu. A ja trzymam już w dłoni trzeci, biały, promieniujący kamień, którego spadania nikt, nawet mój ojciec, nie zdołał powstrzymać, ale wtedy w celi robi się tak ciemno, że nowina trzeciego kamienia nie zostaje wyjawiona. Kamienia już nie widać. Ostatnią nowinę poznam już po uwolnieniu.

Mój ojciec ma teraz twarz mojej matki. Jest to ogromna, wyblakła, stara twarz, z jego krokodylimi oczyma, usta natomiast przypominają usta starej kobiety, nie wiem, czy to jest ona, czy on, ale muszę porozmawiać z moim ojcem, prawdopodobnie po raz ostatni. Sire! On z początku nie odpowiada, potem chwyta za telefon, potem dyktuje komuś, w przerwach mówi, że to dla mnie za wcześnie, że nie mam

jeszcze prawa żyć, a ja mówię, wciąż z trudem i wysiłkiem: Ale to dla mnie obojętne, musisz wiedzieć, że to, o czym ty myślisz, stało się dla mnie obojętne. Znow pojawiają się ludzie, profesor Kuhn i docent Morokutti wpychają się między mnie a mojego ojca, pan Kuhn zachowuje się uniżenie, a ja mówię ostro: Czy nie mogliby panowie na dziesięć minut zostawić mnie samej z moim ojcem? Zjawili się również wszyscy moi przyjaciele, mieszkańcy Wiednia stoją w oczekiwaniu, ale cicho na skraju ulicy, kilka grup

218

Niemców zadziera głowy, niecierpliwie, dla nich wszystko u nas odbywa się zawsze zbyt wolno. Mówię stanowczo: musi to być możliwe, jeden jedyny raz, przez dziesięć minut porozmawiać z własną matką o czymś ważnym. Mój ojciec zdziwiony podnosi wzrok, lecz nadal nie rozumie. Czasem braknie mi głosu: Mimo to pozwoliłam sobie żyć. Czasem głos mi wraca i wszyscy go słyszą: Żyję, będę żyła, korzystam z prawa do mojego życia.

Mój ojciec podpisuje dokument, który na pewno znow dotyczy ubezwłasnowolnienia mnie, lecz inni zaczynają brać moją osobę pod uwagę. On z ociężałym, obleśnym sapaniem zasiada do jedzenia, wiem, że mnie znow nic nie dadzą zjeść, i widzę go w całym jego bezgranicznym egoizmie, widzę talerz z bulionem, potem podają mu talerz z panierowanym sznyclem i salaterkę z naszym jabłecznym kompotem, nie panuję już nad sobą, spostrzegam wielkie szklane popielniczki i przyciski ze wszystkich biurek, wszystko to stoi przede mną, bo przyszłam nieuzbrojona, biorę pierwszy ciężki przedmiot i rzucaam prosto w talerz z zupą, moja matka zaskoczona wyciera sobie twarz serwetką, biorę następny ciężki przedmiot i celuję w talerz ze sznyclem, talerz tłucze się, a sznycel ląduje na twarzy ojca, on zrywa się, odpycha ludzi, którzy wcisnęli się między nas, i zanim zdążyłam rzucić trzeci przedmiot, podchodzi do mnie. Teraz gotów jest mnie wysłuchać. Ja jestem już bardzo spokojna, nie boję się już i mówię mu: Chciałam tylko pokazać, że potrafię to samo, co i ty. Powinieneś o tym wiedzieć, nic więcej. Choć nie rzuciłam po raz trzeci, po twarzy mojego ojca spływa lepka ciecz kompotu. Nagle on nie ma mi już nic do powiedzenia.

219

Zbudziłam się. Pada deszcz. Malina stoi przy otwartym oknie.

Malina: Można było udusić się u ciebie. Za dużo paliłaś, przykryłem cię, powietrze dobrze ci zrobi. Ile z tego wszystkiego zrozumiałaś?

Ja: Prawie wszystko. Raz wydawało mi się, że nic już nie rozumiem, moja matka zupełnie zbiła mnie z tropu. Dlaczego mój ojciec jest również moją matką?

Malina: Właśnie, dlaczego? Jeśli ktoś jest dla drugiego wszystkim, to może być wieloma osobami w jednej.

Ja: Chcesz przez to powiedzieć, że ktoś był kiedyś dla mnie wszystkim? Jakże się mylisz! To jest przecież najbardziej przykre.

Malina: Tak. Ale ty będziesz działać, będziesz musiała coś zrobić, będziesz musiała unicestwić wszystkie osoby w jednej.

Ja: Sama zostałam unicestwiona.

Malina: Tak. To też prawda.

Ja: Jak łatwo jest o tym mówić, już dużo łatwiej. Ale jak ciężko jest z tym żyć.

Malina: Nie trzeba o tym mówić, tylko po prostu z tym żyć. Tym razem mój ojciec też ma twarz mojej matki, nigdy nie wiem dokładnie, kiedy jest moim ojcem, a kiedy moją matką, potem wzbiera we mnie podejrzenie i wiem, że nie jest żadnym z dwojga, lecz kimś trzecim, i tak oto wśród innych ludzi, w najwyższym wzburzeniu, oczekuję na nasze spotkanie. On jest szefem przedsiębiorstwa albo rządu,

220

reżyserem w teatrze, ma filie i prawa filialne, stale wydaje rozkazy, rozmawia z kilku telefonów i dlatego nie mogę dojść do głosu, poza chwilą, w której zapala cygaro. Mówię: Ojcie, tym razem będziesz ze mną rozmawiał i odpowiesz na moje pytania! Ojciec macha ręką znudzony, zna to już, moje przychodzenie i zadawanie pytań, znów telefonuje. Podchodzę do matki, która ma na sobie spodnie ojca, i mówię: Jeszcze dzisiaj porozmawiasz ze mną i udzielisz mi odpowiedzi! Ale moja matka, która ma również czoło mojego ojca i tak samo jak on marszczy je w dwie bruzdy nad znużonymi sennymi oczyma, mruczy coś o „później” i „braku czasu”. Ojciec nosi teraz jej spódnice, a ja mówię po raz trzeci: Myślę, że niedługo będę wiedziała, kim jesteś, i jeszcze dzisiejszej nocy, zanim noc minie, sama ci to powiem. Lecz mężczyzna z niezmaconym spokojem siada przy stole i daje mi do zrozumienia, żebym sobie poszła, ale przy drzwiach, które otwierają przede mną, odwracam się i powoli idę z powrotem. Idę, zbierając wszystkie siły i stoję przed dużym stołem w sali sądowej, podczas gdy mężczyzna po drugiej stronie stołu pod krzyżem zaczyna kroić sznycel. Nic jeszcze nie mówię, daję mu jednak odczuć moją odrazę, kiedy zanurza widelec w kompocie i uśmiecha się do mnie jowialnie, tak samo do publiczności, która nagle musi opuścić salę, on popija czerwone wino, obok znów leży cygaro, a ja wciąż jeszcze nic nie mówię, ale dla niego jest przecież jasne, co znaczy moje milczenie, bo teraz przychodzi decydujący moment. Biorę pierwszą ciężką popielniczkę z marmuru, ważę ją w dłoni i unoszę wysoko, mężczyzna je spokojnie dalej, ja celuję i trafiam w talerz. Mężczyźnie wylatuje widelec z ręki, sznycel spada na podłogę, on trzyma

jeszcze nóż i podnosi go, ale równocześnie ja podnoszę następny przedmiot, bo on nadal nie odpowiada, i mierzę dokładnie w salaterkę z kompotem, on serwetką ociera sobie

221

kompot z twarzy. Teraz wie, że nic już do niego nie czuję i że mogłabym go zabić. Rzucam trzeci raz, celuję i celuję, celuję dokładnie, przedmiot sunie płasko po stole, tak że wszystko spada, chleb, szklanka wina, stłuczki i cygaro. Mój ojciec zasłania twarz serwetką, nie ma mi już nic do powiedzenia.

No i?

No i?

Sama ocieram mu twarz, nie z litości, lecz żeby go lepiej widzieć. Mówię: Będę żyć!

No i?

Ludzie się rozeszli, spotkał ich zawód. Jestem z moim ojcem sama na świecie, stoimy tak daleko od siebie, że w przestworzach niesie się wołanie:

No i!

Mój ojciec zdejmuje najpierw suknie mojej matki, stoi tak daleko ode mnie, że nie wiem, jaki kostium ma pod spodem, stale zmienia kostiumy, nosi pokryty krwią biały fartuch rzeźnicki, przed rzeźnią o brzasku, nosi czerwony płaszcz katowski i wstępuje po stopniach, nosi srebro i czerń, czarne wysokie buty przy naładowanym elektrycznością drucie kolczastym, przy rampie załadowniczej, na wieży strażniczej, nosi swoje kostiumy do szpicrut, karabinów, pistoletów, z których strzela się w tył głowy, nosi te kostiumy w najciemniejszej nocy, są one poplamione krwią i przerażające.

No i?

Mój ojciec, który nie ma głosu mojego ojca, pyta z daleka:

No i?

A ja mówię w dal, ponieważ coraz bardziej i bardziej oddalamy się od siebie:

Wiem, kim jesteś.

Wszystko zrozumiałam.

222

Malina trzyma mnie, siedzi na brzegu łóżka i przez chwilę oboje nic nie mówimy. Puls nie bije mi szybciej ani wolniej, paroksyzm nie nadchodzi, nie jest mi zimno, nie oblewa mnie pot, Malina trzyma mnie i trzyma, nie odrywamy się od siebie, bo udzielił mi się jego spokój. Potem uwalniam się od niego, sama poprawiam zagłówki, kładę moje dłonie na dłoniach Maliny, tylko patrzeć na niego nie mogę, spoglądam na nasze dłonie, które zaciskają się coraz mocniej, nie mogę spojrzeć na niego.

Ja: To nie jest mój ojciec. To jest mój morderca.

Malina nie odpowiada.

Ja: To jest mój morderca.

Malina: Wiem.

Ja nie odpowiadam.

Malina: Dlaczego mówiłaś ciągle: mój ojciec?

Ja: Naprawdę tak mówiłam? Jak mogłam tak mówić?

Nie chciałam tego powiedzieć, ale można przecież opowiadać tylko o tym, co się widzi, i ja opowiedziałam ci dokładnie, jak mi się to ukazywało.

Chciałam mu jeszcze powiedzieć, co dawno pojęłam - że tutaj nie umiera się zwyczajnie, tutaj zostaje się zamordowanym. Toteż rozumiem, dlaczego on mógł wejść w moje życie. Ktoś musiał to zrobić.

Zrobił to on.

Malina: Więc nigdy więcej nie powiesz: wojna i pokój.

Ja: Nigdy więcej.

Zawsze jest wojna.

Zawsze trwa przemoc.

Zawsze trwa walka.

Jest to nieustająca wojna.

223

Rozdział trzeci

O rzeczach ostatecznych

Największym strachem przejmuję mnie chyba w tej chwili los naszych pocztowców. Malina wie, że oprócz robotników drogowych mam szczególną słabość do pocztowców, i to z kilku powodów. Podczas gdy moja skłonność do robotników drogowych powinna mnie zawstydząć, choć nigdy nie dopuściłam się czegoś niestosownego, ponieważ zawsze kończyło się na uprzejmym pozdrowieniu albo przelotnym obejrzeniu się z samochodu za grupą opalonych, pocących się w słońcu, obnażonych do pasa mężczyzn, którzy sypali żwir, rozpryskiwali smołę albo zajadali podwieczorki. W każdym razie nigdy nie odważyłam się zatrzymać, nawet Maliny, który wie przecież o mojej niezbyt wytłumaczalnej słabości i uważa ją za zrozumiałą, nie prosiłam ani razu o pomoc w nawiązaniu rozmowy z jakimś robotnikiem drogowym.

Moja sympatia do listonoszy jest jednak wolna od wszelkiej nagannej domieszki nieczystych myśli. Nawet po latach

225
nie poznaję ich twarzy, bo podpisuję prędko przy drzwiach kartkę, którą mi podają, często jeszcze tym staromodnym ołówkiem chemicznym, jaki noszą ze sobą. Dziękuję też serdecznie za ekspresy i telegramy, które mi doręczają, i nie skąpię napiwków. Ale nie mogę podziękować im, jak bym chciała, za listy, których mi nie przynoszą. Mimo to moja serdeczność, moja egzaltacja przy drzwiach dotyczy również niedoręczonej, zagubionej lub pomyłonej poczty. W każdym razie już bardzo wcześnie poznałam niezwykłość doręczania listów i roznoszenia paczek. Również skrzynka na listy w sieni domu, jedna z szeregu skrzynek, zaprojektowanych przez najbardziej nowoczesnych projektantów dla wybiega-

jącego w przewidywaniach daleko w przyszłość przemysłu skrzynek na listy, wyprodukowanych zapewne dla drapaczy chmur, jakich jeszcze w Wiedniu nie mamy, kontrastujących rażąco z marmurową Niobe z przełomu wieków i obszernym uroczystym hallem, nie pozwala mi nigdy myśleć obojętnie o ludziach, którzy wypełniają moją skrzynkę doniesieniami o śmierci, kartami pocztowymi, na których polecają się galerie i instytuty, prospektami reklamowymi biur podróży, które zapraszają do Stambułu, na Wyspy Kanaryjskie i do Maroka. Rozsądny pan Sedlcek lub młody pan Fuchs wrzucają nawet listy polecane, żebym nie musiała biegać na pocztę przy Rasumofskygasse, a przekazy pieniężne, które sprawiają, że robi mi się lekko lub smutno na sercu, przychodzą tak wczesnym rankiem, że jestem zawsze, boso i w szlafroku, gotowa do złożenia podpisu listonoszowi. Natomiast wieczorne telegramy, jeśli posłaniec przynosi je jeszcze przed ósmą wieczór, zastają mnie także już rozebraną albo jeszcze nieubraną. Kiedy idę do drzwi z okiem zaczerwienionym jeszcze od zapuszczonych kropli, z głową obwiązaną ręcznikiem, ze względu na świeżo umyte włosy, które jeszcze nie wyschły, cała w strachu, że może to Ivan

226
przychodzi za wcześnie, okazuje się, że to tylko nowy albo stary przyjaciel z wieczornym telegramem. Ile zawdzięczam tym ludziom, którzy, niczym torbacze, noszą przy sobie najwspanialsze radosne nowiny lub straszne hiobowe wieści, pedałuując na rowerach, terkocząc na motocyklach z Haimarktu, wspinając się po schodach, uginając się pod ciężarem i dzwoniąc do drzwi, w wielkiej niepewności, czy droga się opłacała, czy adresat jest w domu, czy da tylko jednego szylinga, czy cztery, jaką - w ogóle wartość ma dla niego nowina - ile zatem my wszyscy zawdzięczamy tym ludziom, to należy jeszcze powiedzieć.

Dzisiaj wreszcie padło zdanie, nie z ust pana Sedlacka ani młodego Fuchsa, lecz listonosza, którego chyba nie znam, który jeszcze nigdy nie pojawił się z życzeniami między Bożym Narodzeniem a Nowym Rokiem, który ma więc niewiele powodów, by być dla mnie uprzejmym. Dzisiejszy listonosz mówi: Pani to na pewno dostaje same miłe listy, a ja się tyle nadźwigam! Odpowiedziałam: Tak, musi się pan nadźwigać, ale najpierw sprawdzimy, czy naprawdę przynosi pan miłe listy, niestety, po tych listach nieraz mi ciężko, a panu ciężko z nimi. Jeśli ten listonosz nie jest filozofem, to na pewno filutem, bo bawi go, że na dwa zwykłe listy kładzie od razu cztery koperty z czarną obwódką. Może spodziewa się, że zawiadomienie o śmierci ucieszy mnie, ale to jedno nie przychodzi, nigdy go tam nie ma, nie potrzebuję sprawdzać, nie czytając, wrzucam cztery koperty do kosza. Wyczułabym, gdyby tam było zawiadomienie, o które chodzi, a ten listonosz-pochlebca chyba mnie przejrzał, wtajemni-

czeni bywają tylko między ludźmi, których prawie się nie zna, między nieregularnymi listonoszami, jak ten. Nie chciałabym go więcej widywać. Zapytam pana Sedlacka, po co
227

nam na dłużej pomocniczy listonosz, który prawie nie zna naszych domów, który mnie prawie nie zna i robi uwagi. W jednym liście znajduje się upomnienie, w drugim pisze ktoś, że przyjeżdża jutro o 8.20 na Sudbahnhof, pismo nie wydaje mi się znajome, podpis jest nieczytelny. Muszę spytać Malinę.

W pewne dni w roku listonosze widzą, jak bledniemy i jak oblewamy się rumieńcem, może właśnie dlatego nie zapraszamy ich, żeby weszli, usiedli, napili się kawy. Zbyt są wtajemniczeni w sprawy, które są straszne, które oni jednak nieustraszenie noszą po ulicach, więc odprawia się ich w drzwiach, z napiwkami, bez napiwku. Ich los jest jednak najbardziej niezasłużony. Traktowanie ich, na jakie nawet pozwalam sobie ja, jest głupie, wyniosłe, krzywdzące. Nawet gdy przychodzą widokówki od Ivana, nie częstuję pana Sedlacka szampanem. Co prawda oboje z Maliną nie trzymamy w domu butelek szampana, ale dla pana Sedlacka powinna bym mieć jedną w pogotowiu, bo on widzi, jak blednę i oblewam się rumieńcem, domyśla się czegoś, musi coś wiedzieć.

Że listonoszem można zostać z powołania, że nieporozumieniem jest wybieranie lub traktowanie roznoszenia poczty jak pierwszego lepszego zawodu, tego dowiódł słynny listonosz Kranewitzer z Klagenfurtu, któremu co prawda wytoczono proces i którego, niedocenionego zupełnie, zmalretowanego przez społeczeństwo i sąd człowieka, skazano za sprzeniewierzenie i nadużycie urzędu na kilka lat więzienia. Sprawozdania z procesu Kranewitzera czytałam
228

ważniej niż relacje z najbardziej sensacyjnych procesów o morderstwo w ciągu tych wszystkich lat, a człowieka, który wówczas tylko mnie zdumiał, darzę dzisiaj najgłębszą sympatią. Od pewnego dnia, nie umiejąc później podać przyczyn, Otto Kranewitzer przestał roznosić pocztę i tygodniami, miesiącami gromadził ją w zajmowanym samotnie starym trzypokojowym mieszkaniu, aż pod sufit, sprzedał prawie wszystkie meble, aby zrobić miejsce dla rosnącej góry korespondencji. Nie otwierał listów ani paczek, nie przywłaszczał sobie papierów wartościowych ani czeków, nie kradł banknotów wysyłanych synom przez matki, niczego podobnego nie można mu było dowiedzieć. Po prostu nagle poczuł, że nie może już roznosić poczty, wrażliwy, delikatny, wysoki mężczyzna, który pojął całą doniosłość swojego przedsięwzięcia, i właśnie dlatego drobny funkcjonariusz Kranewitzer musiał sromotnie opuścić Poczta Austriacką, chlubiąc się tym, że zatrudnia tylko godnych zaufania, su-

miennych i wytrwałych listonoszy. W każdym jednak zawodzie musi znaleźć się przynajmniej jeden człowiek, który żyje w głębokim zwątpieniu i popada w konflikt. Właśnie roznośnienie listów mogłoby wymagać utajonego strachu, sejsmograficznego wychwytywania wstrząsów, które przypisuje się zwykle wyższym i najwyższym zawodom, jak gdyby poczta nie miała prawa do kryzysu, do kłopotów z myśleniem, wolą i egzystencją, do skrupulatnej i wzniosłej rezygnacji, przysługującej wszystkim innym, którzy lepiej opłacani i zasiadający na katedrach mogą rozmyślać o dowodach na istnienie Boga, medytować nad ontos on, aleteją czy choćby powstaniem Ziemi i powstaniem wszechświata! Nieznanego, źle opłacanego Otto Kranewitzera pomówiono jednak tylko o nikczemność i zaniedbywanie obowiązków. Nie zauważono, że popadł w medytację, że ogarnęło go zdziwienie, które jest przecież początkiem wszelkiego filozofowania i w ogó-

229

le człowieczeństwa, a w sprawach, które wytrąciły go z równowagi, niepodobna było odmówić mu kompetencji, bo któż bardziej niż on, który przez trzydzieści lat roznosił pocztę w Klagenfurcie, potrafiłby dojrzeć problem poczty, jej problematyczność.

Doskonale znał nasze ulice, od razu wiedział, które listy, które druki, które paczki były właściwie ofrankowane. Również drobne i najdrobniejsze różnice w adresowaniu: „przewiel” lub nazwisko bez „pan” czy „pani”, „prof. dr dr”, mówiły mu więcej o postawach, konfliktach pokoleń, społecznych sygnałach alarmowych, niż nam powiedzą kiedykolwiek studia naszych socjologów i psychiatrów. Przy fałszywym lub niepełnym podaniu nadawcy w jednej chwili wszystko było dla niego jasne, oczywiście z łatwością odróżniał list rodzinny od listu handlowego, listy niemal przyjacielskie od całkiem intymnych, i ten wybitny listonosz, który całe ryzyko swojego zawodu wziął jak krzyż na swoje barki za wszystkich innych, musiał w swoim mieszkaniu, przed rosnącą górą korespondencji, przeżywać chwile grozy, cierpieć męki sumienia, dla innych ludzi, dla których list jest po prostu listem, a druk drukiem, wręcz niepojęte. Kto natomiast, jak ja, spróbuje zgromadzić własną korespondencję z kilku lat i zasiądzie przed nią (a byłby przy tym nadal stroniczy, jako że jest to tylko własna korespondencja, która nie daje pełnej możliwości widzenia szerszych kontekstów), pojmie chyba, że kryzys pocztowy, nawet jeśli wystąpił tylko w jednym niewielkim mieście i trwał kilka tygodni, góruje swoim poziomem moralnym nad początkiem dozwolonego, jawnego, powszechnego kryzysu, jaki często wywołuje się lekkomyślnie, i że prawo do myślenia, które staje się zjawiskiem coraz rzadszym, należy przyznać nie tylko uprzywile-

230

jowanej warstwie i jej wątpliwym przedstawicielom, z urzę-

du oddającym się refleksji, lecz także niejakiemu Otto Kranewitzerowi.

Od czasu sprawy Kranewitzera niedostrzegalnie dużo się we mnie zmieniło. Muszę to wytłumaczyć Malinie, już tłumaczę.

Ja: Od tej pory wiem, czym jest tajemnica pocztowa. Dzisiaj potrafię to już sobie wyobrazić. Po sprawie Kranewitzera spaliłam moją korespondencję z wielu lat, zaczęłam potem pisać zupełnie inne listy, przeważnie późną nocą, do ósmej rano. O te listy, z których żadnego nie wysłałam, właśnie mi chodzi. W ciągu tych czterech, pięciu lat napisałam chyba z dziesięć tysięcy listów, tylko dla siebie, w których było wszystko. Nie otwieram też wielu listów, staram się ćwiczyć w przestrzeganiu tajemnicy pocztowej, wzniesć się na wyżyny tej idei Kranewitzera, pojąć niedozwolone, które mogłoby polegać na przeczytaniu listu. Ale ciągle jeszcze zdarzają mi się nawroty, ponieważ nagle jednak otwieram jakiś i czytam, potem nawet zostawiam go byle gdzie, tak że ty, na przykład, mógłbyś go przeczytać, kiedy jestem w kuchni. Z tak niewielką troskliwością strzegę listów. Więc nie jest to kryzys poczty i pisania, do którego niezupełnie dorosłam. Bierze we mnie górę ciekawość, co jakiś czas zrywam paczkę, zwłaszcza w okresie Bożego Narodzenia, i zawstydzona wypakowuję chustkę na

231

szyję, świecę z pszczelego wosku, posrebrzaną szczotkę do włosów od mojej siostry, nowy kalendarz od Aleksandra. Wciąż jeszcze taka jestem niekonsekwentna, chociaż sprawa Kranewitzera mogłaby była wpłynąć na moją poprawę.

Malina: Dlaczego tak ci zależy na tajemnicy pocztowej?

Ja: Nie ze względu na tego Otto Kranewitzera. Ze względu na mnie. I na ciebie. A na Uniwersytecie Wiedeńskim przysięgałam na laskę. Była to moja jedyna przysięga. Żadnemu człowiekowi, żadnemu przedstawicielowi religii czy orientacji politycznej nie potrafiłam nigdy przysięgać. Już jako dziecko, nie mogąc inaczej się bronić, natychmiast ciężko chorowałam, zapadałam na prawdziwą chorobę z wysoką gorączką, tak że nie można było wysłać mnie na przysięgę. Wszystkim ludziom z jedną tylko przysięgą jest trudniej. Kilka przysięg na pewno można złamać, ale jednej nie.

Ponieważ Malina zna mnie i jest przyzwyczajony do mojego przeskakiwania z tematu na temat, wierzy mi, że mimo to pragnę we wszystkim posunąć się dużo dalej, niż daję poznać po sobie w naszej codziennej, ograniczonej sytuacji,

że chciałabym więc także wysledzić w końcu tajemnicę pocztową i że będę jej strzegła.

Wszyscy wiedeńscy listonosze mają być dzisiaj w nocy poddani torturom, chodzi o ustalenie, czy dorośli do tajemnicy pocztowej. Kilku natomiast ma zostać tylko poddanych badaniom na żylaki, płaskostopie i inne deformacje fizycz-

232
ne. Możliwe, że od jutra do roznoszenia poczty skieruje się wojsko, ponieważ listonosze, zamęczeni, okaleczeni, udręczeni, skatowani lub, po wstrzyknięciu surowicy do wykrywania prawdy, załamani, niczego już nie będą mogli roznosić. Obmyślam sobie płomienną mowę, list, tak, płomienny list do ministra poczty, aby wzięto w obronę moich i wszystkich innych listonoszy. List, który być może został już przechwycony i spalony przez żołnierzy, płomienie strawią lub okopcą słowa, i nie jest wykluczone, że po korytarzach ministerstwa pędzą woźni już tylko z kawałkiem zwęglonego papieru, aby doręczyć go ministrowi poczty.

Ja: Rozumiesz, moje płomienne listy, moje płomienne apele, moje płomienne pragnienie, cały ogień, który przeniosłam na papier, moją poparzoną ręką - boję się, że to wszystko mogłoby się zamienić w zwęglony kawałek papieru. Wszystek papier na świecie zostaje przecież w końcu zwęglony lub rozmiękczony przez wodę, bo oni zalewają ogień wodą.

Malina: Starożytni mawiali o kimś, kto był głupi, że nie ma serca. W sercu upatrywali siedzibę inteligencji. Nie powinnaś we wszystko wkładać serca, rozplamić wszystkich swoich słów i listów.

Ja: Ilu ludzi jednak ma głowy, nic więcej, tylko głowy? i ani odrobiny serca. Powiem ci, co się teraz stanie: jutro Wiedeń, przy użyciu wszystkich sił i z pomocą wojska, zostanie przeniesiony nad Dunaj. Oni chcą mieć Wiedeń nad Dunajem. Jeszcze jedno miasto, przez które przepływa rzeka. To byłoby okropne. Proszę cię, zadzwoń zaraz do dyrektora Matreiera, zadzwoń do ministra!

233

Ale Wiedeń nie ma już dużo czasu, obsuwa się, domy usypiają, ludzie coraz wcześniej gaszą światła, nikt już nie czuwa, całe dzielnice ogarnia apatia, ludzie już się nie schodzą i nie rozchodzą, miasto zmierza ku zagładzie, ale nocą powstają jeszcze samotne rozważania i eratyczne monologi. A czasem moje ostatnie dialogi z Maliną. Jestem sama w domu, Malina każe długo na siebie czekać, siedzę z „Szachami dla początkujących” nad szachownicą i rozgrywam partię. Nikt nie siedzi naprzeciw mnie, stale zmieniam miejsce, Malina nie będzie mógł powiedzieć, że tym razem przegrywam, bo w końcu wygrywam i przegrywam jednocześnie. Malina jednak przychodzi do

domu i widzi tylko jedną szklanę, nie patrzy na szachownicę, ta partia go nie interesuje.

Malina mówi to, czego oczekiwałam: Wiedeń płonie!

Zawsze pragnęłam mieć młodszego brata, a raczej młodszego mężczyznę, Malina powinien by to zrozumieć, siostrę ma ostatecznie każdy, ale nie każdy ma braci. Wyglądałam tych braci już w dzieciństwie, z tego powodu wieczorem kładłam na oknie nie jedną, lecz dwie kostki cukru, bo dwie kostki cukru są dla brata. Każdy starszy mężczyzna przeraża mnie, nawet jeśli jest starszy tylko o jeden dzień, i nie przemogłabym się nigdy, wolałabym zadać sobie śmierć niż powierzyć się jemu. Sama twarz nic jeszcze nie mówi. Muszę znać daty, muszę wiedzieć, że jest o pięć dni młodszy, w przeciwnym razie trapią mnie wątpliwości, że mogłoby istnieć między nami jakieś pokrewieństwo, że ściągnę na siebie największe przekleństwo, bo w ten sposób

234

jeszcze raz mogłoby mi się coś przytrafić, a ja muszę trzymać się jak najdalej od piekła, w którym już raz musiałam być. Ale nie przypominam sobie.

Ja: Muszę mieć możliwość poddania się dobrowolnie, ty jesteś przecież trochę młodszy ode mnie i spotkałam cię dopiero później. Wcześniej czy późno to nie było takie ważne, ale ta różnica jest ważna. (Obecnie nie chcę wcale mówić, żeby Malina niczego się nie dowiedział, bo jeśli Ivan chce wybić mi starość z głowy, to i ja chciałabym dla niego zatrzymać czas, żeby Ivan nigdy mi się nie postarzał). Ty jesteś troszeczkę młodszy ode mnie, daje ci to olbrzymią władzę, wykorzystaj ją, ja się poddam, czasami to potrafię. Nie wynika to z rozsądnego zastanowienia się. Poprzedził je wstręt lub sympatia, nie mogę już tego zmienić, boję się.

Malina: Może jestem starszy od ciebie.

Ja: Na pewno nie, wiem o tym. Przyszedłeś po mnie, nie mogłeś być przede mną, w ogóle można sobie ciebie pomyśleć dopiero po mnie.

Do ostatnich dni czerwca nie mam specjalnego zaufania, ale często stwierdzałam, że szczególnie lubię osoby, które urodziły się w lecie. Spostrzeżenia tego rodzaju Malina zbywa pogardliwie, bo już prędzej mogłabym zwrócić się do niego z pytaniami o astrologię, na której zupełnie się nie znam. Pani Senta Novak, która cieszy się wielkim wzięciem w sferach aktorskich, ale udziela także konsultacji przemysłowcom i politykom, wpisała kiedyś w koła i kwadraty moje

235

aspekty i wszelkie możliwe tendencje, pokazała mi mój horoskop, który wydał się jej niezwykle osobliwy, muszę sama na własne oczy zobaczyć, jak ostro się zarysowuje, powiedziała, że na pierwszy rzut oka można z niego wyczytać

niesamowite napięcie, jest to właściwie obraz nie jednego człowieka, lecz dwojga ludzi, którzy krańcowo się różnią, musi to być dla mnie ustawiczne rozrywanie na dwoje, przy tych aspektach, jeśli dokładnie podałam dane. Spytałam uprzejmie: Jestem więc rozdarta, są we mnie dwie osoby, czy tak? Gdyby je rozdzielić, powiedziała pani Novak, dałoby się z tym żyć, ale tak, jak jest, to nie bardzo, także męskość i kobiecość, rozum i uczucie, produktywność i samozniszczenie objawiają się w osobliwy sposób. Musiałam pomylić się w danych, bo od razu poczuła do mnie sympatię, jestem taką naturalną kobietą, ona lubi ludzi naturalnych. Malina odnosi się do wszystkiego z jednakową powagą, zabobony i pseudonauki nie są jego zdaniem śmieszniejsze niż sama nauka, bo każde stulecie ujawnia, ile było w nim zabobonu i pseudonaukowości i z ilu wyników trzeba rezygnować, żeby posunąć się dalej. Że Malina do wszystkiego odnosi się beznamiętnie, do ludzi i do spraw, to charakteryzuje go najlepiej, dlatego też jest jednym z niewielu, którzy nie będąc samowystarczalni, nie mają ani przyjaciół, ani wrogów. Taką samą postawę zajmuje i wobec mnie, czasem wyczekującą, czasem uważną, pozwala mi robić, co zechcę, mówi, że ludzi rozumie się tylko wtedy, gdy nie próbuje się ich przeniknąć, gdy niczego się od nich nie żąda i nie daje się sprowokować, wszystko i tak okaże się samo. Ta równowaga umysłu, ta obojętność, która w nim jest, doprowadzi mnie jeszcze do rozpacz, ponieważ ja reaguję żywo we

236

wszystkich sytuacjach, ulegam wszelkim emocjom i ponoszę straty, które Malina obojętnie przyjmuje do wiadomości. Niektórzy sądzą, że Malina i ja jesteśmy małżeństwem. Nigdy nie przyszło nam do głowy, że moglibyśmy nim być, że taka możliwość istnieje, a nawet że inni mogliby o nas coś takiego pomyśleć. Bardzo długo nie zdawaliśmy sobie sprawy, że i my, jak inni, występujemy wszędzie jako mężczyzna i kobieta. Było to dla nas prawdziwe odkrycie, ale nie wiedzieliśmy, co z nim począć. Śmiałyśmy się bardzo. Wczesnym rankiem, kiedy kręcę się zmęczona i z roz-targnieniem szykuję śniadanie, Malina potrafi na przykład zainteresować się dzieckiem, które mieszka w oficynie na-przeciwko nas i już od roku wykrzykuje tylko dwa słowa: Halo! halo! hola! hola! Chciałam już kiedyś pójść tam, wtrącić się i porozmawiać z matką dziecka, ponieważ ona najwidoczniej nie zamienia z nim ani słowa i dzieje się tutaj coś, co budzi mój niepokój o przyszłość, ponieważ także to codzienne „halo” i „hola” jest męczącym obciążeniem dla mojego słuchu, gorszym od hałasu odkurzacza Liny, szumu wody, szczekania talerzy. Ale Malina musi słyszeć w tym coś innego i nie uważa, żeby należało zaraz powiadamiać lekarzy czy opiekę społeczną, przysłuchuje się temu wołającemu dziecku, jak gdyby tutaj narodziła się tylko istota innego ro-

dzaju, która nie wydaje mu się dziwniejsza od istot, które dysponują setką, tysiącem lub wieloma tysiącami słów. Myślę, że wszelkie zmiany i odmiany pozostawiają Malinę obojętnym, ponieważ nie widzi nigdzie czegoś dobrego lub złego, a tym bardziej lepszego. Dla niego świat jest najwyraźniej taki, jaki jest, jakim go zastał. A jednak czasem ogarnia mnie przed nim lęk, ponieważ w jego spojrzeniu na człowieka kryje się ogromna, niezwykła wiedza, której nigdzie

237
i w żadnym okresie życia niepodobna zdobyć i której nie można przekazać innym. Jego słuchanie obraża mnie głęboko, gdyż wydaje się, że we wszystkim, co się mówi, słyszy on niewypowiedziane, a także to, co wypowiada się zbyt często. Często przesadnie fantazjuję i Malina zwraca mi uwagę na wiele urojeń, mimo to nie umiem wyobrazić sobie dokładnie i dostatecznie niezwykle jego wzroku i słuchu. Podejrzewam, że on nie przenika ludzi, nie demaskuje, bo to byłoby bardzo zwykłe i tanie, a ponadto nieczne wobec tych ludzi. Malina ogarnia ich wzrokiem, a to jest coś zupełnie innego, ludzie nie maleją od tego, lecz rosną, stają się bardziej niesamowici, i moja fantazja, z której on się podśmiewa, jest prawdopodobnie bardzo niską odmianą jego potężnej wyobraźni, w której on wszystko rozwija, wyróżnia, dopełnia i doskonali. Toteż nie mówię już Malinie o trzech mordercach, a tym bardziej nie chcę mówić o czwartym, o którym nie potrzebuję mu niczego opowiadać, bo mam swój własny sposób wyrażania się i bardzo nikłe zdolności do opisywania. Malina nie chce słuchać żadnych opisów i wrażeń z jakichś tam kolacji, które jadłam z mordercami. Poszedłby na całego i nie poprzestał na impresji czy tym mglistym niepokojem, lecz pokazałby mi prawdziwego mordercę i drogą konfrontacji doprowadził mnie do opamiętania.

Ponieważ zwieszam głowę, Ivan mówi: Ty nie masz nic, dla czego musiałabyś żyć!

Ma rację, bo czy ktoś chce czegoś ode mnie, czy ktoś mnie potrzebuje? Ale Malina powinien mi pomóc w znalezieniu powodu, dla którego żyję, gdyż nie mam starego ojca, którym musiałabym się opiekować, nie mam dzieci, które ciągle czegoś potrzebują, jak dzieci Ivana, ciepła, płaszczy zimowych, syropu na kaszel, pantofli gimnastycznych. Także

238
prawo zachowania energii nie ma do mnie zastosowania. Jestem pierwszym wcieleniem całkowitego marnotrawstwa, ekstatycznym i niezdolnym do rozsądnego korzystania ze świata, mogę pojawić się na balu maskowym, ale mogę i nie przyjść, jak ktoś, kogo zatrzymały jakieś przeszkody, lub kto zapomniał postarać się o maskę, przez niedbalstwo nie potrafi znaleźć swojego kostiumu i dlatego pewnego dnia nie zostaje już więcej zaproszony. Kiedy stoję przed znanymi mi jeszcze drzwiami mieszkania w Wiedniu, ponieważ być

może jestem umówiona, w ostatniej chwili przychodzi mi do głowy, że mogłam pomylić drzwi albo dzień i godzinę, zawracam i jadę z powrotem na Ungargasse, zbyt prędko znużona, zbyt uwikłana w wątpliwości.

Malina pyta: Nigdy nie pomyślałaś, ile trudu zadawali sobie z tobą często inni? Przytakuję z wdzięcznością. O tak, nadali mi nawet właściwości, nie żalowali i tego trudu, zapatrzyli mnie w historii, poza tym jednak także w trochę pieniędzy, żebym nie musiała chodzić nago, żebym mogła zjadać resztki, żeby mi się jakoś dalej żyło i nie zwracało uwagi, jak się żyje. Zbyt prędko znużona mogę usiąść w „Cafe Museum” i przejrzeć gazety i czasopisma. Znów budzi się we mnie nadzieja, jestem ożywiona, podniecona, bo mamy teraz dwa razy w tygodniu bezpośredni lot do Kanady, Quantas zapewnia wygodną podróż do Australii, polowania na grubego zwierza staniały, kawę Doro ze słonecznych płaskowyży Ameryki Środkowej powinniśmy mieć już i w Wiedniu, ogłasza się Kenia, Henkell Rosee pozwala na flirt z nowym światem, dla wind Hitachi nie ma za wysokich domów, ukazały się męskie książki, które zachwycają również kobiety. Żeby świat nie stał się dla państwa za ciasny, od tego jest PRESTIGE, powiew dali i morza.

239

Wszyscy mówią o liście zastawnym. U nas najlepsze zabezpieczenie, oświadcza jakiś bank hipoteczny, w tych butach znajdziecie daleko, TARRACOS, żebyście nie musieli nigdy lakierować żaluzji Flexalum, my lakierujemy je dwukrotnie, komputer RUF nigdy nie jest sam! A potem Antyle, le bon voyage. Dlatego EXQUISIT Boscha to jeden z najlepszych na świecie automatów do zmywania. Przychodzi chwila prawdy, kiedy klienci zadadzą pytania naszemu fachowcowi, kiedy technika postępowania, kalkulacja, oprocentowanie, maszyny do pakowania, terminy dostaw zostaną poddane pod dyskusję, VIVIOPTAL dla zapominalskich. Weźmiesz rano... i cały dzień należy do ciebie! Potrzebuję więc tylko Vivioptalu.

Chciałam zwyciężyć pod pewnym znakiem, ale ponieważ nie jestem potrzebna, ponieważ mi to powiedziano, zostałam zwyciężona przez Ivana i te gyerekek, z którymi jednak może znów wolno mi będzie pójść do kina, w Burgkino grają teraz „Micky Mouse” Walta Disneya. Kto miał zwyciężyć, jeśli nie oni. Ale może to nie sam Ivan, może zwyciężyło mnie coś więcej, musi to być chyba coś większego, gdyż wszystko popycha nas ku przeznaczeniu. Czasem zastanawiam się jeszcze, co mogłabym zrobić dla Ivana, bo nie ma rzeczy, jakiej bym dla niego nie zrobiła, ale Ivan nie żąda, żebym rzuciła się z okna, żebym dla niego skoczyła do Dunaju, żebym wpadła pod samochód, może ratując Belę i Andrasa, on ma tak mało czasu i nie ma żadnych potrzeb. Nie chce też, żebym zamiast pani Agnes sprzątała jego dwa

pokoje, prała i prasowała jego bieliznę, chce tylko wpadać na chwilę, dostać swoją szklanę whisky z trzema kostkami lodu i pytać, co słyhać, pozwoli, bym i ja zapytała, co słyhać u niego i na Hohe Warte. Przy Karntnering jest 240

ciagle to samo, duzo pracy, ale nic szczególnego. Na partie szachów jest za mało czasu, nie robie już zadnych postępów w szachach, poniewaz grywamy coraz rzadziej. Nie wiem, od kiedy grywamy rzadziej, właściwie w ogóle już nie gramy, grupy zdań do gry w szachy leżą odłogiem, kilka innych grup zdań też ponosi straty. Nie może tak być, żeby zdania, do których dochodziliśmy tak powoli, równie powoli nas opuściły. Ale powstaje nowa grupa zdań.

Niestety, z czasem u mnie krucho

Naturalnie, jeśli nie możesz znaleźć czasu

Tylko dzisiaj mam szczególnie mało czasu

Oczywiście, jeśli nie masz teraz czasu

Kiedy znów będę miał więcej czasu

Z czasem na pewno, to tylko teraz

Jak będziesz kiedyś miał czas, moglibyśmy

Właśnie w tym czasie, kiedy znów to zagrają

Musisz z czasem trochę mniej

Gdybym tylko we właściwym czasie

Co za czasy, nie wolno ci za późno

Jeszcze nigdy nie miałam tak mało czasu, to jest niestety

Jak znów będziesz miał więcej czasu, to może

Później na pewno będę miał więcej czasu!

Co dzień oboje z Maliną, czasem nawet podochoceni, medytujemy nad tym, jakie okropności mogłyby się jeszcze wydarzyć dzisiejszej nocy w Wiedniu. Bo jeśli człowiek dał się skusić na przeczytanie gazety, jeśli w dobrej wierze przyjął parę wiadomości, to wyobraźnia zaczyna pracować na wysokich obrotach (nie jest to wyrażenie moje ani

241

Maliny, ale to Malina przywiózł je, ubawiony, jako znalezi-sko z podróży do Niemiec, bo takie słowa jak „wysokie obroty" można znaleźć tylko w takich czynnych, niespokojnych krajach). Ale nie mogę nigdy wytrwać w abstynencji od gazet, chociaż coraz dłuższe są okresy, w których nie czytam już żadnej albo tylko z rupieciarni, gdzie obok naszych walizek leży paczka starych czasopism i gazet, wyciągam jedną i speszona patrzę na datę 3 lipca 1958. Co za bezczelność! również owego dnia, który dawno minął, zasypywali nas niepotrzebnie wiadomościami, komentarzami do wiadomości, powiadamiali nas o trzęsieniach ziemi, katastrofach lotniczych, skandalach w polityce wewnętrznej, potknięciach w polityce zagranicznej. Kiedy dzisiaj spoglądam na wydanie z 3 lipca 1958 roku, próbując uwierzyć w tę datę, a także w dzień, który być może istniał naprawdę, w którym nic nie zanotowałam w kalendarzu, żadnych skrótowych znaków

typu „g. 15 R! g. 17 zadzwonić do B., wieczorem Góssner, odczyt K". - wszystko to są zapiski z 4, nie z 3 lipca, pod którą to datą kartka pozostała pusta. Może to dzień bez zagadek, na pewno jeszcze bez bólów głowy, bez stanów lękowych, bez nieznosnych wspomnień, z niewieloma dopiero, powstałymi w różnych czasach, może jednak po prostu dzień, w którym Lina urządziła wielkie letnie sprzątanie i który ja, wypędzona z domu, przesiedziałam w kawiarniach, czytając gazetę z 3 lipca, a dzisiaj czytam ją na nowo. W ten sposób dopiero dzień staje się zagadką, jest to dzień pusty lub spustoszony, dzień, w którym postarzałam się, w którym nie broniłam się i pozwoliłam, żeby coś się stało. Znajduję jeszcze magazyn ilustrowany z 3 lipca, a na regałach Maliny lipcowy numer czasopisma poświęconego kulturze i polityce i zaczynam czytać na wrywki, bo chciałabym dowiedzieć się czegoś o tym dniu. Zapowiadano książki, których nigdy nie widziałam. „Co począć z tą masą

242

pieniędzy?" To jeden z najbardziej niezrozumiałych tytułów; nawet Malina nie potrafi mi go wytłumaczyć. Co to za pieniądze i kto ma z nimi coś począć? To dobry początek, takie tytuły potrafią przyprawić mnie o wibrację, o drżenie. „Jak przygotowuje się zamach stanu?" Rzecz napisana z dużą znajomością rzeczy i suchym, niekiedy sarkastycznym dowcipem. .. Rady dla czytelników, którzy chcą myśleć politycznie, którzy chcą uświadomienia... Czy to nam potrzebne, Malino? Biorę długopis i zaczynam wypełniać ankietę. Jestem wystarczająco, dobrze, bardzo dobrze, nieprzeciętnie poinformowana. Długopis najpierw brudzi, potem przestaje pisać, potem pisze cienko. W małych kratkach stawiam krzyżyki. Czy mąż nigdy nie daje ci prezentów, czy też daje rzadko, bez okazji lub tylko na urodziny i rocznicę ślubu? Muszę być bardzo ostrożna, wszystko zależy od tego, czy myślę o Malinie, czy o Iwanie, i stawiam dalej krzyżyki dla obu, dla Ivana na przykład nigdy, dla Maliny bez okazji, ale na tym też nie można polegać. Czy ubierasz się po to, żeby dobrze wyglądać w oczach innych, czy żeby podobać się JEMU? Czy chodzisz do fryzjera regularnie, co tydzień, raz na miesiąc, czy tylko w wypadku najwyższej potrzeby? O jakiej potrzebie tu mowa? O jakim zamachu stanu? Włosy zwisają mi nad zamachem stanu i są w największej potrzebie, ponieważ nie wiem, czy mam je obciąć, czy nie. Ivan twierdzi, że powinnam je zapuścić. Malina uważa, że trzeba je obciąć. Z westchnieniem liczę krzyżyki. Na koniec Ivan ma 26 punktów, Malina też 26 punktów, chociaż dla każdego musiałam stawiać krzyżyki w zupełnie innych kratkach. Dodaję jeszcze raz. Wychodzi ponownie po 26 punktów dla każdego. „Mam 17 lat i wydaje mi się, że nie potrafię kochać. Przez parę dni interesuję się jednym mężczyzną, a zaraz potem innym. Czy jestem potworem? Mój

obecny przyjaciel ma 19 lat i jest zrozpaczony, bo chce się ze
243

mną ożenić". Niebieska Błyskawica zderzyła się z Czerwoną Błyskawicą, 107 zabitych i 80 rannych.

Ale to już lata temu, oto wszystko powtarza się znowu, zderzenia samochodów, kilka zbrodni, zapowiedzi spotkań na szczycie, przewidywania pogody. Nikt już dzisiaj nie wie, dlaczego trzeba było kiedyś o tym pisać. Panteen Spray, który wówczas reklamowano, używam dopiero od paru lat, nie polecono mi go w ów dawno miniony dzień 3 lipca ani tym bardziej dzisiaj.

Wieczorem mówię do Maliny: Pozostał z tych czasów tylko płyn do włosów i do tego chyba sprowadza się wszystko, bo nadal nie wiem, co począć z tą masą pieniędzy i jak przygotowuje się zamach stanu, w każdym razie wyrzuca się za dużo pieniędzy. Doszli teraz do tego. Kiedy skończy mi się puszka z płynem, tym razem nie kupię już nowej. Masz 26 punktów, więcej nie możesz wymagać, więcej po prostu nie mogę ci dać. Zrób z nimi, co zechcesz. Przypominasz sobie, jak Niebieska Błyskawica zderzyła się z Czerwoną Błyskawicą? Dziękuję! Tak sobie pomyślałam, więc tak wygląda twoje współczucie dla ofiar katastrof, nie jesteś lepszy ode mnie. Prawdopodobnie jednak jest to niesamowite oszustwo.

Ponieważ Malina nie zrozumiał ani słowa, ja kołyszę się w bujaku, a on, przyniósłszy nam coś do picia, rozsiada się wygodnie, zaczynam opowiadać:

Jest to niesamowite oszustwo, pracowałam kiedyś w agencji informacyjnej, widziałam oszustwo z bliska, powstawanie biuletynu, zestawianie na chybił trafił zdań wypływających z dalekopisów. Pewnego dnia, ponieważ ktoś zachorował, miałam przejść na służbę nocną. O jedenastej wieczorem przyjechał po mnie duży czarny samochód,

244

kierowca nałożył trochę drogi w III dzielnicy i w pobliżu Reisnerstrasse dosiadł się młody człowiek, niejaki Pittermann, zostaliśmy zawiezieni na Seidengasse, gdzie wszystkie biura były ciemne i opuszczone. Także w nocnych redakcjach gazet, które mieściły się w tym samym domu, bardzo rzadko ktoś się pokazywał. Po deskach, jako że podłoga w korytarzach była zerwana, nocny portier zaprowadził nas do najdalszych pokoi, na piętrze, zapomniałam, na którym, nie przypominam sobie, niczego sobie nie przypominam... Każdej nocy byliśmy we czworo, ja parzyłam kawę, czasem kazaliśmy przynosić sobie lody o północy, nocny portier znał źródło lodów. Mężczyźni czytali arkusze wypływane przez dalekopisy, wycinali, naklejali i zestawiali. Nie szeptaliśmy właściwie, ale mówić głośno w nocy, kiedy wszystko w mieście śpi, jest prawie niemożliwością, czasem wybuchał śmiech między mężczyznami, ale ja piłam

moją kawę cicho i paliłam, oni rzucali mi wiadomości na mały stolik z maszyną do pisania, wiadomości wybrane przez przypadkowy kaprys, a ja przepisywałam je na czysto. Ponieważ nie umiałam z niczego śmiać się z innymi, w pełni poznałam wówczas to, co nazajutrz budzi ludzi jako wiadomość. Na koniec mężczyźni dołączali zawsze krótki akapit, który dotyczył meczu baseballowego lub walki bokserskiej po tamtej stronie Atlantyku.

Malina: Jak wtedy żyłaś?

Ja: Koło trzeciej nad ranem twarz coraz bardziej mi szarzała, powoli opadałam z sił, garbiłam się, od tamtej pory jestem zgarbiona, utraciłam bardzo ważny rytm, już go się potem nie odzyskuje. Piłam jeszcze jedną kawę, znów jedną, coraz częściej ręka

245

zaczynała mi drżeć przy pisaniu, a później pismo zupełnie mi się popsuło.

Malina: Toteż jestem chyba jednym, który jeszcze potrafi je odczytać.

Ja: Druga część nocy nie ma z pierwszą nic wspólnego, są to dwie różne noce umieszczone w jednej, pierwszą noc musisz sobie wyobrazić na wesoło, rzuca się jeszcze dowcipy, palce szybko uderzają w klawisze, wszyscy są jeszcze w ruchu, dwaj mali szczupli Euroazjaci wydają się bystrzejsi i swobodniejsi od niezgrabnego pana Pittermanna, który porusza się ociężale i głośno. Ważny jest ruch, bo można by sobie wyobrazić, że gdzie indziej tej nocy pije się jeszcze i krzyczy, albo że ze znużenia minionym dniem i z odrazy do nadchodzącego możliwe są jeszcze miłosne uściski, albo że tańczy się do upadłego. Nad pierwszą nocą góruje jeszcze dzień ze swoimi wybrykami. Dopiero drugiej nocy rzuca ci się w oczy, że jest noc, wszyscy ucichli, co jakiś czas ktoś wstaje, żeby się przeciągnąć, żeby ukradkiem zaaplikować sobie inny ruch, choć przyjechaliśmy przecież do agencji wyspani. Koło piątej rano było okropnie, każdy pochylony pod ciężarem, szłam umyć ręce i wycierałam sobie palce starym, brudnym ręcznikiem. Budynek przy Seidengasse miał w sobie niesamowitą atmosferę miejsca zbrodni. Słyszałam kroki, ale to nie były kroki, dalekopisy milkły, terkotały na nowo, pędziłam z powrotem do naszego dużego pokoju, w którym czuło się już wyziewy, nawet przez dym papierosowy. Był to początek niewyspania. O siódmej rano rozchodziliśmy się niemal bez pożegnania, ja wsiałam z młodym Pittermannem do czarnego samochodu, bez słowa

246

wyglądaliśmy przez okno. Kobiety niosły świeże

mleko i świeże bułeczki, mężczyźni szli pewnym krokiem, z aktówką pod pachą, postawionym kołnierzem i małym, porannym obłoczkiem wokół ust. My w limuzynie mieliśmy brudne paznokcie i gorzkie, brązowe wargi, młody człowiek wysiadał w pobliżu Reisnerstrasse, a ja na Beatrixgasse. Trzymając się poręczy, dochodziłam do drzwi mieszkania i bałam się, że w przedpokoju spotkam baronową, która o tej porze wychodziła z domu, do opieki społecznej, i nie pochwałała moich tajemniczych powrotów o tej godzinie. Potem długo nie mogłam zasnąć, leżałam na łóżku ubrana, cuchnąca, koło południa zrzucałam ubranie i rzeczywiście zasypiałam, ale nie był to dobry sen, ponieważ odgłosy dnia stale go przerywały. Biuletyn już krążył, wiadomości już działały, ja nigdy ich nie czytałam. Przez dwa lata byłam pozbawiona wiadomości.

Malina: "Więc nie żyłaś. Kiedy spróbowałaś żyć, na co czekałaś?"

Ja: Wielce szanowny Malino, musiałam mieć parę godzin dla siebie i jeden wolny dzień w tygodniu na błahe przedsięwzięcia. Ale nie wiem, jak żyje się w pierwszej części swojego życia, musi być ona podobna do pierwszej części nocy, z wesołymi chwilami, tylko trudno mi je wyłowić, gdyż wtedy nabrałam rozumu, i to musiało zająć resztę mojego czasu.

Bałam się dużego czarnego samochodu, który podsuwał mi myśli o tajemniczych jazdach, szpiegostwie, zgubnych intrygach, po Wiedniu stale krążyły wówczas pogłoski, że

247
odbywają się tu ciemne machinacje, że uprawia się handel żywym towarem, że znikają z miasta, owinięci w dywany, ludzie i dokumenty, że każdy, nawet o tym nie wiedząc, działa dla którejś ze stron. Żadna strona nie dawała się poznać. Każdy, kto pracował, był, nie wiedząc o tym, prostytutką, gdzie ja to już słyszałam? dlaczego śmiałam się z tego?

Był to początek powszechnego sprostytuowania.

Malina: Kiedyś opowiadałaś mi to zupełnie inaczej. Po studiach znalazłaś pracę w biurze, wiązałaś koniec z końcem, ale z trudem i dlatego przeszłaś później na nocną zmianę, bo tam zarabiano się trochę więcej niż na dziennej.

Ja: Ja nie opowiadam, nie będę opowiadać, nie mogę, to coś więcej niż zaburzenie pamięci. Powiedz mi lepiej, co robiłaś dzisiaj w swoim Arsenale?

Malina: Nic specjalnego. To, co zawsze, a potem przyszli jacyś ludzie z filmu, potrzebna im jest bitwa z Turkami. Kurt Swoboda szuka wzorów, na zamówienie. Poza tym zgodziliśmy się jeszcze na inny film,

który Niemcy chcą kręcić w Panteonie.

Ja: Chętnie bym kiedyś popatrzyła, jak filmują. Albo postatystowała. Może taka odmiana naprowadziła-by mnie na inne myśli?

Malina: To bardzo nudne, trwa całymi godzinami, człowiek potyka się o kable, wszyscy stoją beczynn timer i najczęściej nic się w ogóle nie dzieje. W niedzielę mam dyżur. Mówię o tym tylko po to, żebyś się przygotowała.

Ja: Możemy więc pójść na kolację, ale ja nie jestem jeszcze gotowa. Pozwól, że gdzieś zatelefonuję, to potrwa tylko chwilę. Chwileczkę, dobrze?

248

Jest to zaburzenie pamięci, załamuję się na każdym wspomnieniu. Na ruinach nie było wtedy żadnej nadziei, wmawiało się ją tylko sobie nawzajem, próbowało się ją wzbudzić opisami czasu, który nazwano pierwszym okresem po wojnie. O drugim nigdy się nie słyszało. I to było oszustwem. Ja też uwierzyłam niemal, że kiedy futryny okien i drzwi zostaną z powrotem wstawione, kiedy znikną rumowiska, od razu zmieni się coś na lepsze, będzie można znów mieszkać, mieszkać nadal. Ale sam fakt, że całymi latami chciałam coś powiedzieć o mieszkaniu i mieszkaniu nadal, jakie to było dla mnie niesamowite, choć nikt nie miał ochoty mnie słuchać, jest chyba dość pouczający. Nigdy nie przyszłoby mi na myśl, że trzeba najpierw wszystko zrabować, ukraść, przehandlować, aby o trzy ulice dalej móc znów sprzedać i kupić. Przy parku Ressela znajdował się podobno największy czarny rynek, trzeba było omijać go z daleka, już późnym popołudniem, przez Karlsplatz, z powodu licznych niebezpieczeństw. Pewnego dnia rzekomo nie będzie już żadnego czarnego rynku. Ale ja nie jestem o tym przekonana. Powstał powszechny czarny rynek i kiedy kupuję papierosy albo przynoszę jajka, wiem, ale dopiero dzisiaj, że pochodzą z czarnego rynku. Rynek w ogóle jest czarny, taki czarny nie mógł być wtedy, ponieważ brakowało mu powszechnej gęstości. Później, gdy wystawy zapełniły się na nowo i wszystko piętrzyło się, konserwy, skrzynki, kartony, nie mogłam już nic kupić. Ledwie weszłam do jednego z wielkich domów towarowych przy Mariahilfer Strasse, choćby do Gerngrossa, robiło mi się niedobrze, Christine poradziła mi wtedy, żebym nie chodziła do małych, drogiej sklepów, Lina była za Herzmanskym, nie tak bardzo za Gerngrosssem, próbowałam więc, ale nic z tego nie wychodziło, na raz mogę oglądać tylko jedną rzecz, nie więcej. Od tysięcy materiałów, tysięcy konserw, kielbas, butów i guzi-

249

ków, od tego całego nagromadzenia towarów robi mi się czarno przed oczami. W wielkiej liczbie wszystko jest zagrożone, mnogość musi pozostać czymś abstrakcyjnym, musi

być teoretyczną formułą, czymś operatywnym, musi mieć czystość matematyki, tylko matematyka nadaje piękno miliardom, natomiast miliard jabłek jest niejadalny, tona kawy mówi już o niezliczonych przestępstwach, miliard ludzi to coś niewyobrażalnie zepsutego, żalosego, obrzydliwego, uwikłanego w czarny rynek, potrzebującego codziennie miliardów chlebów, ziemniaków i porcji ryżu. Kiedy już od dawna było pod dostatkiem jedzenia, długo nie mogłam porządnie jeść, a i teraz mogę jeść tylko wtedy, gdy je ze mną ktoś inny, a sama jem, gdy mam pod ręką, tylko jabłka i kawałek chleba, gdy zostanie plasterek kiełbasy. Musi to być jakaś resztką.

Malina: Nie dostaniemy dzisiaj wieczór już nic do jedzenia, jeśli nie przestaniesz o tym mówić. Mógłbym pojechać z tobą na Cobenzl, wstań, ubierz się, bo będzie za późno.

Ja: Proszę cię, nie jedźmy tam na górę. Nie chcę mieć miasta u stóp, po co od razu całe miasto u stóp, kiedy chcemy po prostu zjeść. Przejdźmy się parę kroków, „Pod Starego Halerza”.

Zaczął się to już wtedy, w Paryżu, po pierwszej ucieczce z Wiednia, lewą nogą ledwo mogłam stąpać, bolała mnie, a bólowi towarzyszył jęk, och, Boże, o Boże. W naszym ciele często występują najpierw te niebezpieczne, brzemienne w skutki nagłe przemiany, które każą człowiekowi wypowiedać pewne słowa, bo ja przedtem tylko na kilku seminariach

250
filozoficznych zawarłam pojęciową znajomość z Bogiem, tak jak z bytem, nicością, istotą, istnieniem, Brahłą.

W Paryżu przeważnie nie miałam pieniędzy, ale zawsze, kiedy pieniądze się kończyły, musiałam zrobić z nimi coś specjalnego, dzisiaj zresztą też, nie wolno ich po prostu wydać, na zakończenie muszę mieć pomysł, jak je wydać, bo kiedy przyjdzie mi coś do głowy, to wiem przez chwilę, że wraz z innymi zaludniam świat i jestem częścią stale przyrastającej znacznie, lekko ubywającej ludności i że świat, przepełniony potrzebującą ludnością, nigdy nie syta, zawsze żyjącą w nędzy ludnością, obraca się w kosmosie, i kiedy ja, z pustką w kieszeni i pomysłem w głowie, utrzymuję się na nim dzięki sile ciężkości, wiem, co należy zrobić.

Wtedy, w pobliżu Rue Monge, po drodze do Place de la Contrescarpe, w małym bistro, które było otwarte całą noc, kupiłam dwie butelki czerwonego wina, a potem jeszcze butelkę białego. Pomyślałam, że może ktoś nie lubi czerwonego wina, ostatecznie nie można nikogo skazywać na czerwone. Mężczyźni spali albo udawali, że śpią, a ja podkrađłam się do nich i postawiłam butelki, na tyle blisko, żeby pomyłka była wykluczona. Musieli zrozumieć, że wino prawnie do nich należy. Innej nocy, kiedy znów zrobiłam to samo, jeden z kloszardów obudził się i powiedział coś o Bogu,

„que dieu Vous...”, a później w Anglii usłyszałam coś takiego jak „... bless you”. Zapomniałam naturalnie, w jakiej sytuacji. Przypuszczam, że ranni mówią tak czasem do rannych* i potem żyją gdzieś dalej, jak i ja gdzieś dalej żyję, okryta wszelkimi możliwymi ranami.

* Nieprzetłumaczalna gra słów - „bless” znaczy w języku angielskim „błogosławić”, a „blessieren” w języku niemieckim: „ranić” [przyp. tłum.].
251

Jeden z owych mężczyzn w Paryżu, ale nie wiem, czy to on obudził się tamtej nocy, nazywał się Marcel, tylko jego imię pozostało mi w pamięci, hasło obok innych haseł, jak Rue Monge, jak dwie lub trzy nazwy hoteli i numer pokoju 26. O Marcelu jednak wiem, że już nie żyje i że umarł w sposób niezwykły...

Malina przerywa mi, broni mnie, ale sądzę, iż to jego pragnienie obrony doprowadzi do tego, że nigdy nie dokończę opowiadania. To Malina nie pozwala mi opowiadać.

Ja: Sądziś, że w moim życiu nic już się nie zmieni?

Malina: O czym ty właściwie myślisz? O Marcelu czy wciąż tylko o jednym, czy o wszystkim, co dało ci się we znaki?

Ja: Dało się we znaki! Od kiedy posługujesz się frazesami jak wszyscy inni?

Malina: Dotychczas zawsze zupełnie dobrze rozumiałaś, z frazesami czy bez.

Ja: Daj mi dzisiejszą gazetę. Popsuleś mi całą historię, będziesz jeszcze żałować, że nie dowiedziałeś się o bardzo dziwnym końcu Marcela, bo poza mną nikt już nie mógłby ci tego dzisiaj opowiedzieć. Inni żyją gdzie indziej albo gdzie indziej umarli. Marcel został pewnie całkiem zapomniany.

Malina podał mi gazetę, którą czasem przynosi z muzeum. Przerzucam pierwsze strony i patrzę na horoskop. „Przy trochę większej odwadze możesz pokonać wyłaniające się trudności. Ostrożność w ruchu ulicznym. Wysypiaj się”. W horoskopie Maliny jest coś o sprawach sercowych,
252

które przyjmują burzliwy obrót, ale to prawdopodobnie go nie zainteresuje. Poza tym powinien oszczędzać swoje oskrzela. Nigdy o tym nie pomyślałam, że Malina mógłby mieć oskrzela.

Ja: Co porabiają twoje oskrzela? Czy ty w ogóle masz oskrzela?

Malina: Jak to? Dlaczego miałbym nie mieć? Każdy człowiek ma oskrzela. Od kiedy troszczysz się o moje zdrowie?

Ja: Pytam tylko. Jak tam dzisiaj było, bardzo burzliwie?

Malina: Gdzie? Przecież chyba nie w Arsenale. Nic o tym nie wiem. Odkładałem akta.

Ja: Ani trochę burzliwie? Może jednak, kiedy dobrze

się zastanowisz, było troszeczkę burzliwie.

Malina: Dlaczego patrzysz tak podejrzliwie? Nie wierzysz mi? To po prostu śmieszne, i czemu stale wpatrujesz się przed siebie, co ty widzisz? Nie ma tu żadnego pająka ani tarantuli, tę plamę sama zrobiłaś parę dni temu przy nalewaniu kawy. Co ty widzisz? Widzę, że na stole czegoś brakuje. Tylko czego? Tutaj bardzo często coś leżało. Tutaj prawie zawsze leżało opróżnione do połowy pudełko papierosów Ivana, który stale umyślnie go zapominał, żeby w razie czego natychmiast znaleźć u mnie papierosa. Widzę, że już od dłuższego czasu nie zapomniał tutaj żadnego pudełka.

253

Ja: Nigdy nie zastanawiałeś się, że można by mieszkać gdzieś indziej? Wśród zieleni. Na przykład w Hietzingu będzie niedługo wolne bardzo piękne mieszkanie. Christine wie o tym od przyjaciół, których przyjaciele wyprowadzają się stamtąd. Miałbyś więcej miejsca na swoje książki. Tutaj przecież w ogóle nie ma już miejsca, wszystkie regały uginają się przez tę twoją manię, nie mam nic przeciwko twojej manii, ale to jest maniakalne. I twierdziłeś też, że ciągle czujesz koci smród po Frances i Trollopem w korytarzu. Lina mówi, że już nic nie czuje, ale to jest właśnie twoja wrażliwość, jesteś okropnie wrażliwy.

Malina: Nic z tego nie rozumiem. Dlaczego nagle mamy przeprowadzić się do Hietzingu? Żadne z nas nie chciało nigdy mieszkać w Hietzingu, na Hohe Warte czy w Dóblingu.

Ja: Proszę cię, tylko nie Hohe Warte! Powiedziałam o Hietzingu. Zdawało mi się, że nigdy nie miałeś nic przeciwko Hietzingowi!

Malina: Jedno warte drugiego i w ogóle nie wchodzi w rachubę. Tylko nie zaczynaj płakać.

Ja: Nie powiedziałam ani słowa o Hohe Warte i nie wyobrażaj sobie, że zaczynam płakać. Mam katar.

Muszę się wysypiać. Zostaniemy oczywiście na Ungargasse. Nic innego nie wchodzi w rachubę.

Na co miałabym dzisiaj chęć? Pozwól mi się zastanowić! Nie chcę nigdzie wychodzić, nie chciałabym też czytać ani słuchać muzyki. Sądzę, że zadowolę się tobą. Zabawię cię jednak, bo uderzyło mnie, że jeszcze nigdy nie rozmawialiśmy o mężczyznach, że ty nigdy nie pytasz o mężczyzn. Ale

254

niezbyt mądrze ukryłaś swoją starą książkę. Czytałam ją dzisiaj, nie jest to dobra książka, opisujesz na przykład mężczyznę, siebie samego zapewne, przed zaśnięciem, ale modelem w tym wypadku mogłabym być najwyżej ja. Mężczyźni zawsze od razu zapadają w sen. Ale dalej: dlaczego męż-

czyżni nie wydają ci się tak niezwykle interesujący jak mnie?
Malina mówi: Może wyobrażam sobie wszystkich mężczyzn na podobieństwo samego siebie?

Odpowiadam: To najbardziej opaczne wyobrażenie, jakie mogłeś sobie wyrobić. Już prędzej kobieta mogłaby sobie wyobrazić, że jest taka jak wszystkie inne, i to z bardziej przekonujących powodów. Wiąże się to bowiem znów z mężczyznami.

Malina unosi ręce w geście udanego oburzenia. Proszę cię, tylko nie opowiadaj mi żadnych historii, najwyżej parę fragmentów, o ile są wystarczająco zabawne. Powiedz, co da się powiedzieć bez popełniania niedyskrecji.

Malina powinien mnie przecież znać!

Ciągnę dalej: Mężczyźni są bowiem różni od siebie i właściwie w każdym z nich należałoby się dopatrywać nieuleczalnego przypadku klinicznego, to, co jest w podręcznikach i książkach fachowych, nie wystarczy wcale, by wytłumaczyć i zrozumieć podstawowe cechy choćby jednego mężczyzny. Sprawy mózgowe są u mężczyzny tysiąc razy bardziej zrozumiałe, przynajmniej dla mnie. Tylko z całą pewnością nie są one tym, co powinno być wspólne wszystkim. Nic bardziej błędnego. Tego materiału, który pozwoliłby na uogólnienie, niepodobna byłoby zgromadzić przez stulecia. Jedna jedyna kobieta musi uporać się ze zbyt wieloma anomaliami, a nikt przedtem nie powiedział jej, na jakie symptomy choroby musi się nastawić, można by powiedzieć, że całe nastawienie mężczyzny do kobiety jest chorobliwe, w dodatku chorobliwe w szczególny sposób, tak że

255
nie będzie już można wybawić mężczyzn od tych chorób.

O kobietach można by najwyżej powiedzieć, że są mniej lub bardziej napiętnowane przez infekcje, których się nabawiają, współczując cierpieniu.

Jesteś dzisiaj w bardzo swawolnym nastroju. Zaczyna mnie to jednak bawić.

Mówię szczęśliwa: Człowiek musi wpędzić się w chorobę. Kiedy sam doznaje tak niewiele nowego, ciągle się powtarza, mężczyzna na przykład gryzie mnie w ucho, ale nie dlatego, że jest to moje ucho albo że on, zadurzony w uchu, musi koniecznie ugryźć, lecz gryzie, ponieważ wszystkie inne kobiety też gryzł w uszy, małe czy większe, czerwonosine, blade, nieczułe, wrażliwe, jest mu zupełnie obojętne, co myślą o tym uszy. Musisz przyznać, że jest to przymus brzemienny w skutki, kiedy ktoś, mając większą czy mniejszą wiedzę i niewielką w każdym wypadku możliwość jej wykorzystania, musi rzucać się na kobietę, być może całymi latami, raz, to jeszcze ujdzie, raz każda to wytrzyma. To tłumaczy też skryte i niejasne podejrzenie mężczyzn, bo właściwie nie mogą sobie wyobrazić, że kobieta musi naturalnie zachowywać się zupełnie inaczej z innym chorym mężczy-

zną, ponieważ widzi on odmienności bardzo powierzchownie i zewnętrznie, właśnie te, o których wieść krąży z ust do ust albo które nauka ukazuje w niekorzystnym, fałszywym świetle. Malina rzeczywiście nie orientuje się. Mówi: Myślałem sobie, że niektórzy mężczyźni muszą jednak mieć szczególny talent, w każdym razie nieraz opowiada się o kimś albo mówi się ogólnie o - powiedzmy: o Grekach. (Malina patrzy na mnie tak podstępnie, potem śmieje się, ja też się śmieję). Staram się zachować powagę: W Grecji miałam przypadkiem szczęście, ale tylko raz. Czasem ma się szczęście, większość kobiet jednak z pewnością nigdy go nie ma. To, co mówię, nie ma nic wspólnego z tym, że podobno jest

256
kilku dobrych kochanków, bo nie ma ich wcale. Jest to legenda, którą trzeba kiedyś obalić, są najwyżej mężczyźni, z którymi jest to zupełnie beznadziejne, i kilku, z którymi jest to nie całkiem beznadziejne. W tym należy szukać przyczyny (której nikt jeszcze nie szukał) tego, że tylko kobiety mają głowę wypełnioną stale swoimi uczuciami i historiami, swoim mężczyzną czy swoimi mężczyznami. Myślenie o tym rzeczywiście zajmuje każdej kobiecie największą część czasu. Musi ona jednak o tym myśleć, bo w przeciwnym razie, gdyby z niesłabnącą nigdy wytrwałością nie podsycała, nie podniecała swoich uczuć, dosłownie nie mogłaby wytrzymać z mężczyzną, który jest przecież człowiekiem chorym i prawie się nią nie zajmuje. Łatwo mu przychodzi mało myśleć o kobietach, bo jego chory system jest niezawodny, powtarza, powtarzał się, będzie się powtarzał. Jeśli chętnie całuje stopy, będzie je całował jeszcze pięćdziesięciu kobietom, dlaczego więc miałby sobie zaprzętać myśli stworzeniem, które w tej chwili pozwala chętnie całować swoje stopy, on tak w każdym razie sądzi. Kobieta natomiast musi dojść do ładu z tym, że teraz przyszła akurat kolej na jej stopy, musi wymyślić sobie niewiarygodne uczucia i przez cały dzień ukrywać swoje prawdziwe uczucia w wymyślonych, żeby wytrzymać to ze stopami, a przede wszystkim, żeby wytrzymać całą brakującą resztę, bo ktoś, kto tak przepada za stopami, zaniedbuje bardzo wiele innych rzeczy. Ponadto bywają jeszcze gwałtowne przestawienia, przechodząc od jednego mężczyzny do drugiego, ciało kobiece musi odzwyczaić się od wszystkiego, przyzwyczaić się do czegoś zupełnie nowego. Mężczyzna zaś przenosi się wraz ze swoimi nawykami, czasem dopisuje mu szczęście, przeważnie jednak nie.

Malina nie jest ze mnie zadowolony: To dla mnie coś zupełnie nowego, byłem przekonany, że lubisz mężczyzn,

257
zawsze podobali ci się mężczyźni, samo ich towarzystwo było ci niezbędne, jeśli nawet nie więcej...

Naturalnie mężczyźni interesowali mnie zawsze, ale to

jeszcze nie powód, żeby ich zaraz lubić, większości w ogóle nie lubiłam, tylko fascynowali mnie zawsze, ot, choćby taka myśl: co teraz nastąpi po tym ukąszeniu w ramię, co on sobie po tym obiecuje? Albo ktoś odwraca się do ciebie plecami, na których kiedyś jakaś kobieta, dawno przed tobą, wyryła paznokciami, pięcioma szponami, tych pięć pręg, na zawsze widocznych, jesteś całkiem speszona, co najmniej zakłopotana, co masz począć z tymi plecami, które bezustannie coś ci przedstawiają, wspomnienie ekstazy czy napadu bólu, jaki ból masz jeszcze odczuć, w jaką jeszcze wpaść ekstazę? Przez bardzo długi czas nie doznawałam w ogóle żadnych uczuć, bo w tych latach nabrałam rozumu. Tylko głowę naturalnie, jak wszystkie inne kobiety, miałam mimo to stale nabitą mężczyznami, z powodów już wymienionych, i jestem pewna, że oni z kolei niewiele o mnie myśleli, najwyżej wieczorem po pracy albo w wolny dzień. Malina: Nie ma wyjątków?

Ja: Owszem, jest jeden.

Malina: Jak dochodzi do tego wyjątku?

To przecież zupełnie proste. Musisz tylko przypadkiem kogoś dostatecznie unieszczęśliwić, nie pomagając mu na przykład naprawić jakiegoś głupstwa. Kiedy masz pewność, że ten ktoś jest przez ciebie naprawdę nieszczęśliwy, wtedy

258
też myśli o tobie. Zazwyczaj jednak większość mężczyzn unieszczęśliwia kobiety i nie ma tu wzajemności, bo my mamy do czynienia z naturalnym nieszczęściem, nieuniknionym, wywodzącym się z choroby mężczyzn, z powodu której kobiety muszą tylko rozmyślać i, ledwie przyuczone, znów uczyć się na nowo, bo kiedy trzeba o kimś stale rozmyślać i budzić uczucia dla niego, to wtedy jest się prawdziwie nieszczęśliwym. Nieszczęście w dodatku z czasem podwaja się, potraja, ustokrotnia. Chcąc uniknąć nieszczęścia, trzeba by po prostu za każdym razem kończyć po paru dniach. Kobieta nie może być nieszczęśliwa, oplakiwać kogoś, jeśli ten ktoś nie zdążył unieszczęśliwić jej do głębi. Nikt nie oplakuje najmłodszego czy najpiękniejszego, najlepszego czy najmądrzejszego mężczyzny już po paru godzinach. Ale pół roku, spędzone ze skończonym gadułą, notorycznym durniem, obrzydliwym, opanowanym przez najdziwaczniejsze nawyki słabeuszem, podcięło już niejedną silną i rozumną kobietę, popchnęło do samobójstwa, proszę cię, pomyśl tylko o Ernie Zanetti, która przez tego docenta teatrologii, pomyśleć tylko, przez jakiegoś teatrologa! połknęła czterdzieści tabletek nasennych, a ona nie jest przecież jedyna, odzwyczała ją jeszcze od palenia, ponieważ sam nie znosi dymu. Nie wiem, czy musiała przejść na jarską kuchnię, ale na pewno wymógł na niej jeszcze parę paskudztw. Zamiast cieszyć się z tego, że opuszczona na szczęście przez tego durnia może od jutra znów palić dwadzieścia papierosów

dziennie i jeść, co zechce, ona, bez zastanowienia, próbuje się zabić, nic lepszego nie przychodzi jej do głowy, ponieważ przez parę miesięcy stale o nim myślała i cierpiała przez niego, naturalnie także przez odstawienie nikotyny, przez te liście sałaty i marchewkę.

259

Malina nie może powstrzymać się od śmiechu, ale udaje przerażenie: Nie powiesz chyba, że kobiety są bardziej nieszczęśliwe od mężczyzn!

Nie, naturalnie, że nie, mówię tylko, że nieszczęście kobiet jest szczególnie nieuchronne i całkiem niepotrzebne. Chciałam rozmawiać tylko o tego rodzaju nieszczęściu. Trudno tu porównywać, a o powszechnym nieszczęściu, które tak ciężko dotyka wszystkich ludzi, nie chcieliśmy dzisiaj mówić. Chciałabym tylko rozerwać cię i opowiedzieć ci o samych śmiesznych rzeczach. Ja, na przykład, byłam bardzo niezadowolona, ponieważ nigdy nie zostałam zgwałcona. Kiedy przyjechałam do Wiednia, zwycięscy żołnierze nie mieli już ochoty na gwałcenie wiedeńek. Czasem czytało się jeszcze w gazetach o dwóch Murzynach w mundurze, ale proszę cię, dwóch Murzynów w Salzburskiem to przecież bardzo mało na tyle kobiet w kraju, a mężczyźni, których znałam albo i nie znałam, którzy tylko mijali mnie w lesie albo widzieli, jak siedzę na kamieniu, nad strumieniem, bezbronna, samotna, nigdy nie wpadli na taki pomysł. Wydaje się to niemożliwe, ale poza paroma pijakami, paroma mordercami seksualnymi i innymi mężczyznami, o których też piszą w gazetach, nazywając ich zbrojeńcami, żadnemu normalnemu mężczyźnie o normalnych popędach nie przyjdzie do głowy, że normalna kobieta chciałaby zupełnie normalnie zostać zgwałcona. Wynika to naturalnie z faktu, że mężczyźni nie są normalni, ale do ich odchyień, do ich niebywałego braku instynktu przyzwyczailiśmy się już do tego stopnia, że nie możemy ogarnąć wzrokiem obrazu choroby w całej rozciągłości. W Wiedniu jednak mogłoby być inaczej, nie powinno być tak źle, bo jest to miasto stworzone dla powszechnej prostytucji. Ty już nie pamiętasz pierwszych lat po wojnie. Wiedeń był miastem o, delikatnie mówiąc, najdziwaczniejszych obyczajach. Czas ten został jednak wy-

260

mazany z jego annałów, nie ma już ludzi, którzy by jeszcze o tym mówili. Nie jest to zabronione wprost, ale mimo to nie mówi się o tym. W dni świąteczne, nawet jeśli były to dni Matki Boskiej, Wniebowstąpienia czy Republiki, zmuszano mieszkańców, by szli do tej części Parku Miejskiego, która graniczy z Ringiem, do tego okropnego parku i by tam robili publicznie to, co chcieli albo mogli robić, zwłaszcza w okresie, gdy kwitły kasztany, ale i później, gdy dojrzewały, pękały i opadały. Nie było chyba nikogo, kto nie spotkałby tam każdego z każdą. Chociaż wszystko odbywało się w mil-

czeniu, niemal z największą obojętnością, można by mówić o koszmarnych scenach, wszyscy ludzie z miasta uczestniczyli w tej powszechnej prostytucji, każda musiała z każdym leżeć na zdeptanej murawie albo, oparta o mur, stękać, sapać, czasem kilka jednocześnie albo na zmianę, jedna przez drugą. Wszyscy spali ze sobą, wszyscy oddawali się sobie nawzajem i dzisiaj nikogo już nie powinno dziwić, że plotki prawie całkiem ucichły, bo te same kobiety i ci sami mężczyźni odnoszą się dzisiaj do siebie uprzejmie, jakby nic się nie stało, mężczyźni zdejmują kapelusz, całują rączki, kobiety przechodzą koło Parku Miejskiego lekkim krokiem wypowiadając szeptem pozdrowienia, noszą eleganckie torebki i parasolki, wydają się pochlebione. Tamtych czasów jednak sięgają początki korowodu, który dzisiaj nie jest już anonimowy. W powiązaniu z tą zarazą trzeba spojrzeć na stosunki, które dziś panują, dlaczego na przykład najpierw widywało się Odóna Patackiego z Franziską Ranner, potem zaś Franziskę Ranner z Leo Jordanem, dlaczego Leo Jordan, który przedtem był ożeniony z Elwirą, tą, co potem pomogła młodemu Markowi, ożenił się jeszcze dwa razy, dlaczego młody Marek zrujnował potem Fanny Goldmann, a ona znów przestawała najpierw zbyt blisko z Harrym, a potem odeszła z Milanem, dlaczego młody Marek związał się z tą

261

Karin Krause, małą Niemeczką, a później z Elisabeth Mihaikwics, która potem dostała się Bertoldowi Rapatzowi, a ten z kolei... Wiem teraz wszystko, także dlaczego Martin miał ten groteskowy romans z Elfi Nemeč, która później dostała się Leo Jordanowi, i dlaczego każdy związany jest w najosobliwszy sposób z każdym, choć wie się o tym tylko w niewielu przypadkach. Przyczyny tego nie są naturalnie znane nikomu, ale ja już je widzę i kiedyś zobaczą je wszyscy! Ale nie mogę o tym opowiadać, ponieważ nie mam na to czasu. Kiedy tylko pomyślę, jaką rolę odgrywał przy tym dom Altenwylów, chociaż Altenwylowie nigdy nie zdawali sobie z tego sprawy, w ogóle w żadnym domu nie zdawano sobie sprawy, także u Barbary Gebauer, jakiego końca rodziły się tam początki, jakimi głupimi plotkami i do jakiego końca doprowadzili to wszystko razem. Towarzystwo jest najlepszą sceną mordu. Z dawien dawna składano w nim w sposób niezauważalny zarodki najbardziej niewiarygodnych przestępstw, które sądom tego świata pozostają nieznanne na zawsze. Nie dowiedziałam się tego, ponieważ nigdy nie przyglądałam się i nie przysłuchiwałam tak dokładnie, coraz mniej słucham, ale im mniej słucham, tym bardziej przerażająco ukazują mi się powiązania. Żyłam ponad miarę, toteż wszystkie te gry pokojowe, za takie bowiem się podają, jak gdyby nie były grammi wojennymi, odczułam na własnej skórze w całej ich potworności. Znane w całym świecie, także w całym mieście przestępstwa wyda-

ją mi się przy nich takie proste, brutalne, pozbawione tajemnicy, są czymś dla psychologów tłumu, dla psychiatrów, którzy też nie położą im kresu, zbyt pilnym i biegłym zadają one tylko prostackie zagadki, z racji swego wspaniałego prymitywizmu. To natomiast, co rozegrało się tutaj i jeszcze się rozgrywa, nigdy nie było prymitywne. Pamiętasz tamten wieczór? Raz Fanny Goldmann poszła zaskakująco

262

wcześniej i samotnie do domu, wstała od stołu, nic się nie wydarzyło, ale dzisiaj wiem, wiem dobrze. Są słowa, są spojrzenia, które potrafią zabijać, nikt tego nie zauważa, wszyscy trzymają się fasady, upiękzonego obrazu. A Klara i Haderer, zanim umarł, ale już dość tego...

Przez jakiś czas, było to w Rzymie, widziałam tylko marynarzy, w niedzielę wystają oni tam na placu, zdaje się na Piazza del Popolo, gdzie nocą ludzie ze wsi próbują z zawiązanymi oczami iść prosto przed siebie, od studni z obeliskiem do Corso. Jest to niewykonalne zadanie. Również w Villa Borghese stoi mnóstwo marynarzy, ale jeszcze więcej żołnierzy. Patrzą przed siebie, mają to poważne, poządlive spojrzenie, skierowane na niedzielę, która zaraz minie.

Widok tych młodych mężczyzn jest fascynujący. Na krótko jednak o władnął mną po prostu pewien mechanik z górnego Erdbergu, który musiał wyklepać błotnik mojego samochodu i dać nowy lakier na przód karoserii. Był dla mnie nieprzenikniony, pełen głębokiej powagi, wyobraź sobie te spojrzenia i te być może mozolne, zacinające się myśli! Zachodziłam jeszcze kilka razy do warsztatu i przyglądałam się, jak wykonuje najrozmaitsze czynności. Nigdy potem nie widziałam w kimś takiej męki, takiej poważnej niewiedzy. Czegoś tak nieodgadnionego. Powstały we mnie smutne, drżące nadzieje, smutne, uciążliwe pragnienia, nic więcej, ci chłopcy nigdy by tego nie zrozumieli, ale przecież nie chce się być zrozumianym. Kto by tego w ogóle chciał!

Byłam zawsze bardzo bojaźliwa, brakowało mi odwagi, powinnam była podsunąć mu mój numer telefonu, mój adres, ale byłam przy nim zbyt pogrążona w zagadce i nie mogłam tego zrobić. Może łatwo jest odgadnąć, jeśli nie każdą, to co drugą myśl takiego Einsteina, Faradaya, jakiego-

263

goś Leuchtfueera, takiego Freuda czy Liebiga, bo są to przecież mężczyźni bez rzeczywistych tajemnic. Piękno jednak i jego niemota przewyższają wszystko. Ten mechanik, którego nigdy nie zapomnę, do którego odbywałam pielgrzymki, aby na koniec zażądać jednak rachunku, nic więcej, był dla mnie ważniejszy. Był ważny. Bo brakuje mi właśnie piękna, ono jest ważniejsze, chcę uwieść piękno. Nieraz idę ulicą i ledwie zobaczę kogoś, kto mnie przewyższa, ciągnie mnie do niego, ale czy to jest naturalne albo normalne? Czy jestem kobietą, czy czymś dymorficznym? Jeśli nie całkiem

jestem kobietą, to czym w ogóle jestem? W gazetach czyta się często te okropne wiadomości. W Pótzleinsdorf, na błoniach Prateru, w Lesie Wiedeńskim, na każdych peryferiach zamordowana została jakaś kobieta, uduszona - mnie też o mały włos to nie spotkało, ale nie na peryferiach - zaduszona przez jakiegoś brutalnego osobnika, a ja wtedy myślę sobie zawsze: to mogłabyś być ty, to będziesz ty. Nieznajoma zamordowana przez nieznanego oprawcę. Pod jakimś pretekstem poszłam do Ivana. Tak lubię kręcić jego tranzystorem. Od kilku dni znów jestem bez wiadomości. Ivan radzi mi, żebym wreszcie kupiła radio, skoro tak chętnie słucham wiadomości czy muzyki. Jest zdania, że rano łatwiej by mi się wstawało, jak jemu na przykład, i że w nocy miałabym czym zabić ciszę. Próbuję wolno kręcić gałką i szukam ostrożnie, żeby przekonać się, czym można zwalczyć ciszę.

W pokoju rozlega się podniecony męski głos: Drogie słuchaczki i drodzy słuchacze, mamy więc teraz Londyn na kablu, nasz stały korespondent doktor Alfons Werth, pan Werth będzie zaraz mówił z Londynu, jeszcze chwilę cierpliwości, łączymy się z Londynem, drogi panie doktorze,

264
słyszymy pana już bardzo wyraźnie, chciałbym, żeby pan opowiedział naszym słuchaczom w Austrii o nastrojach w Londynie po dewaluacji funta, pan Werth ma głos...
Proszę cię, wyłącz to pudło! - mówi Ivan, którego nie interesują teraz doniesienia z Londynu czy z Aten.
Ivan?

Co chcesz powiedzieć?

Dlaczego nigdy nie dasz mi się wygadać?

Ivan musi mieć za sobą jakąś historię, jakiś cyklon, i myśli, że i ja mam za sobą jakąś historię, zwyczajną, w której występuje co najmniej jeden mężczyzna i odpowiednie rozczarowanie, ale ja mówię: Ja? Nic, nie chcę nic mówić, chciałam tylko powiedzieć do ciebie „Ivan”, nic więcej. I mogłabym cię spytać, co myślisz o flirtowaniu?

Masz muchy w domu?

Nie. Staram się wczuć w sytuację muchy albo królika, na którym w laboratorium przeprowadza się doświadczenia, szczura, którego się spryskuje i który mimo to jeszcze raz z nienawiścią szykuje się do skoku.

Ivan mówi: Takie myśli znów nie pozwolą ci się cieszyć. Rzeczywiście, wcale się teraz nie cieszę, czasem nie mam żadnych powodów do radości. Wiem, że powinnam częściej się cieszyć.

(Tylko nie mogę mojej radości i mojemu życiu, które nazywa się Ivan, powiedzieć: ty jeden jesteś radością i życiem! gdyż wtedy Ivan przepadłby mi pewnie jeszcze szybciej, już mi czasem przepada, co poznaję po ciągłym braku radości w tych dniach. Nie wiem, od kiedy Ivan skra-

ca mi życie, i muszę kiedyś rozmówić się z nim).

Ponieważ ktoś mnie zabił, ponieważ ktoś ciągle chciał mnie zabić, zaczęłam potem zabijać kogoś w myślach, to znaczy: nie w myślach, to było coś innego, z myślami nigdy

265

nie da się dużo zrobić, wyszło potem inaczej, nawet to przełamalam, nic już nie robię w myślach.

Ivan, naprawiając przedłużacz do telefonu i odkręcając śrubokrętem śrubkę, podnosi wzrok i mówi z niedowierzaniem: Ty? akurat ty, moja nieszkodliwa wariatko? I niby kogo, kogo! Ivan śmieje się i znów pochyla się nad gniazdkiem, ostrożnie zagina druciki wokół śrubki.

Dziwi cię to?

Ależ nie, dlaczego? Ja w myślach mam już na sumieniu dziesiątki takich, którzy mi się narazili, mówi Ivan. Naprawa się udała, może mu być teraz zupełnie obojętne, co ja chciałam powiedzieć o sobie. Ubieram się szybko, bąkam, że dzisiaj muszę być wcześniej w domu. Gdzie jest Malina? Mój Boże, żebym była już przy Malinie, bo to jest znów nie do wytrzymania, nie powinnam była gadać i mówię do Ivana: Wybacz, po prostu jest mi niedobrze, nie, zapomniałam o czymś, robi ci to różnicę, zrobiłoby ci to różnicę? Muszę zaraz iść do domu, zdaje się, że zostawiłam kawę na ogniu, na pewno nie zgasłam palnika!

Nie, Ivanowi to nigdy nie robi różnicy.

W domu kładę się na podłodze, czekam i dyszę, dyszę coraz ciężiej, parę dodatkowych skurczów to nie wszystko, nie chciałabym umrzeć przed przyjściem Maliny, spoglądam na budzik, nie upłynęła jeszcze minuta, a dla mnie upływa tu życie. Nie wiem, jak doszłam do łazienki, trzymam dłonie pod zimną bieżącą wodą, która spływa aż do łokci, rozcieram ręce, stopy i nogi zimną jak lód myjką, w górę ku sercu, czas nie upływa, ale Malina musi teraz przyjść, a potem Malina już jest i ja natychmiast padam, nareszcie, mój Boże, dlaczego wracasz tak późno!

266

Byłam kiedyś na statku, siedzieliśmy w barze, grupa ludzi płynących do Ameryki, niektórych już znałam. Nagle ktoś zaczął żarzącym się papierosem wypalać sobie dziury na grzbiecie dłoni. Tylko on śmiał się z tego, my nie wiedzieliśmy, czy i nam wolno się śmiać. Najczęściej nie wiadomo, dlaczego ludzie wyrządzają sobie to czy owo, oni tego nie mówią albo mówią coś zupełnie innego, żeby ukryć prawdziwą przyczynę. W pewnym berlińskim mieszkaniu spotkałam kiedyś mężczyznę, który pił wódkę kieliszek za kieliszkiem, ale nie był pijany, jeszcze po kilku godzinach rozmawiał ze mną, bardzo trzeźwo, a gdy nikt nie słuchał, spytał mnie, czy może się ze mną znów zobaczyć, bo koniecznie chce się ze mną zobaczyć, a ja tak wyraźnie nic na to nie odpowiedziałam, że była to zgoda. Mówiło się potem

o sytuacji międzynarodowej i ktoś puścił płytę, „L'ascenseur a l'echafaud”, gdy zabrzmiały cicho pierwsze tony, a w rozmowie wypłynęła sprawa gorącej linii między Waszyngtonem a Moskwą, mężczyzna tak swobodnie jak przedtem, gdy pytał, czy nie powinnam raczej nosić aksamitnych sukien, on najchętniej widziałby mnie w aksamicie, spytał: Czy pani już kogoś zamordowała? Odpowiedziałam równie swobodnie: Nie, skąd, a pan? Mężczyzna powiedział: Tak, jestem mordercą. Przez chwilę nic nie mówiłam, on popatrzył na mnie łagodnie i powiedział jeszcze raz: Może pani spokojnie w to uwierzyć. Uwierzyłam mu, ponieważ musiała to być prawda, był to trzeci morderca, z którym siedziałam przy stole, ale pierwszy i jedyny, który się do tego przyznał. Dwa inne wypadki zdarzyły się wieczorami w Wiedniu, a ja dowiadywałam się o tym później, wracając do domu. Czasami chciałam coś napisać o tych trzech wieczorach, które dzieliło wiele lat, i na osobnej kartce napisałam tytułem próby: Trzej mordercy. Ale nie doprowadziłam tego do końca, bo chciałam tylko zanotować coś

267

o tych trzech, żeby wskazać na czwartego, bo z historii moich trzech morderców nic nie wynika, żadnego już więcej nie widziałam, żyją sobie gdzieś do dzisiaj, jedzą z innymi kolację i coś tam sobie wyrażają. Jeden wyszedł już z odosobnienia w Steinhof, drugi wyjechał do Ameryki i zmienił nazwisko, trzeci pije, aby trzeźwieć coraz bardziej i już nie mieszka w Berlinie. O czwartym nie mogę mówić, nie pamiętam go, zapomniałam, nie pamiętam...

(Ja zaś trafiłam na naelektryzowany drut kolczasty).

Przypomina mi się tylko jeden drobiazg. Kiedyś dzień po dniu wyrzucałam jedzenie, po kryjomu wylewałam też herbatę, musiałam wiedzieć, dlaczego.

Marcel natomiast umarł tak:

Pewnego dnia wszyscy paryscy kloszardzi mieli zostać usunięci z panoramy miasta. Opieka społeczna, najbardziej publiczna opieka społeczna, która dba też o przyzwoitą panoramę miasta, przysłała razem z policją na Rue Monge, chodziło jej tylko o to, żeby starych mężczyzn przywrócić życiu i z tego powodu najpierw umyć i oczyścić na życie. Marcel wstał i poszedł z innymi, bardzo spokojny mężczyzna, nawet po paru szklankach wina mądry, niestawiający oporu mężczyzna. Tego dnia było mu zapewne najzupełniej obojętne, że tamci przyszli, może też myślał, że będzie mógł wrócić na swoje dobre miejsce na ulicy, gdzie z szybów metra napływa ciepłe powietrze. Ale w łaźni, dla dobra ogółu, z wieloma prysznicami, przysłała kolej i na niego, postawili go pod prysznic, który na pewno nie był za gorący ani za zimny, tylko on po raz pierwszy od wielu lat rozebrał się do naga i stanął pod strumieniem wody. Zanim ktokolwiek zdołał się zorientować i podtrzymać go, Marcel upadł i natychmiast

umarł. Widzisz, co mam na myśli! Malina patrzy na mnie
268

trochę niepewnie, chociaż skądinąd nigdy nie jest niepewny. Mogłabym oszczędzić sobie tej historii. Ale znów czuję ten prysznic, wiem, czego z Marcela nie wolno było zmyć. Kiedy ktoś żyje w wyziewach swojego szczęścia, kiedy dla kogoś nie ma już wielu słów oprócz „Bóg zapłać”, „niech Bóg wynagrodzi”, nie powinno się próbować go myć, nie powinno się zmywać tego, co dla kogoś jest dobre, chcieć kogoś oczyścić, na nowe życie, którego nie ma.

Ja: Na miejscu Marcela i ja już po pierwszym strumieniu padłabym martwa.

Malina: Szczęście było zawsze...

Ja: Dlaczego musisz zawsze uprzedzać moje myśli? Naprawdę myślę teraz o Marcelu, nie, prawie nigdy już o nim nie myślę, to jest epizod, myślę o sobie i już o czymś innym, Marcel przyszedł mi tylko z pomocą.

Malina:... i jest pięknym jutrem ducha, które nie przychodzi nigdy.

Ja: Nie przypominaj mi stale mojego szkolnego zeszytu. Było w nim jeszcze mnóstwo innych rzeczy, ale spaliłam go w pralni. Muszę być jeszcze pokryta cienką warstwą szczęścia, żeby tylko nie przyszła ulewa i nie splukała pewnego określonego zapachu, bez którego nie mogę istnieć.

Malina: Od kiedy jesteś w takich dobrych stosunkach ze światem, od kiedy jesteś szczęśliwa?

Ja: Za dużo obserwujesz, dlatego nic nie dostrzegasz.

Malina: Jest odwrotnie. Dostrzegam wszystko, ale nigdy cię nie obserwowałam.

269

Ja: A ja pozwalałam ci nawet czasami żyć, jak chciałeś, nie przeszkadzając ci, to coś więcej, to bardzo wspomniałomyślne.

Malina: Dostrzegłem i to, a ty dowiesz się kiedyś, czy dobrze było o mnie zapomnieć i czy nie lepiej jest znów mnie zauważać. Tylko prawdopodobnie nie będziesz miała wyboru, już teraz nie masz.

Ja: Ja zapomniałam o tobie, jakżebyśmy mogła o tobie zapomnieć! próbowałam tylko, udawałam, żeby ci dowieść, że i bez ciebie jakoś żyję.

Malina uważa, że ta obłuda nie zasługuje na odpowiedź, nie będzie mi wyliczał, na ile dni i nocy zapomniałam o nim, ale on też jest obłudnikiem, o ile gorsze od wszelkich wyrzutów były dla mnie jego względy i będą jeszcze nieraz. Ale już znajdujemy drogę do siebie, bo jest mi potrzebne moje podwójne życie, moje Ivanowe życie i moje Malinowe pole, nie mogę istnieć tam, gdzie nie istnieje Ivan, ale tak samo nie mogę wracać do domu, jeśli nie ma tam Maliny.

Ivan mówi: Przestań już!

Ja mówię jeszcze raz: Ivan, chciałabym ci kiedyś coś powiedzieć, to nie musi być dzisiaj, ale kiedyś muszę ci to powiedzieć.

Nie masz już papierosów?

Właśnie, to chciałam ci powiedzieć, znów skończyły mi się papierosy.

Ivan jest gotów pojechać ze mną trochę po mieście i poszukać papierosów, a ponieważ nie ma ich nigdzie, zatrzymujemy się przed hotelem „Imperial”, u portiera Ivan 270

dostaje w końcu te papierosy. Znów jestem w dobrych stosunkach ze światem. Nawet kochając warunkowo, można kochać świat, jest na nim człowiek, który uruchamia transformator, ale Ivan nie powinien o tym wiedzieć, gdyż znów zaczyna się obawiać, że go kocham, a ponieważ podaje mi ogień i znów mogę palić i czekać, nie muszę mówić: Nie martw się, jesteś tylko od podawania mi ognia, dziękuję za ogień, dziękuję za każdego zapalonego papierosa, dziękuję za jazdę po mieście, dziękuję za odwiezienie do domu!

Malina: Idziesz na pogrzeb Haderera?

Ja: Nie, dlaczego miałabym iść na Cmentarz Centralny i przeziębic się? Mogę przecież jutro przeczytać w gazetach, jak było, co powiedzieli, a poza tym mam wstręt do pogrzebów, po prostu dzisiaj nikt już nie wie, jak się zachować wobec śmierci i na cmentarzu. Nie chcę też, aby stale mnie informowano, że umarł Haderer czy ktokolwiek inny. Przecież nie informuje mnie się stale, że ktoś jeszcze żyje. I tak wszystko mi jedno, czy kogoś lubiłam kiedyś, czy nie, a że spotykam już tylko pewne osoby, mogę je spotkać, ponieważ inne już nie żyją, to mnie nie dziwi, ale z innych powodów. Wy tłumacz mi, dlaczego muszę wiedzieć, że pan Haderer czy jakaś inna sława, dyrygent czy polityk, bankier czy filozof, od wczoraj albo od dzisiaj raptem nie żyją. Mnie to nie interesuje. Dla mnie nikt nigdy nie umarł i rzadko ktoś żyje, chyba że na scenie moich myśli.

Malina: Więc ja dla ciebie najczęściej nie żyję?

271

Ja: Ty żyjesz. Żyjesz nawet bardzo często, ale też dajesz mi dowody, że żyjesz. Jakie dowody dają mi inni?

Żadnych przecież.

Malina: „Niebo ma głęboką czerń”.

Ja: Można by to wykorzystać. Wydaje się, jakby żył ten, kto to napisał. Wreszcie jakaś niespodzianka.

Malina: „Niebo ma głęboką czerń, prawie niewyobrażalną. Gwiazdy są bardzo jasne, nie migoczą jednak, z braku atmosfery”.

Ja: O! Jaki ścisły.

Malina: „Słońce to rozżarzona tarcza, wciśnięta w czarny aksamit nieba. Byłem bardzo przejęty nieskończonością kosmicznej przestrzeni, tą niewyobrażalną rozległością...”

Ja: Kto to jest ten mistyk?

Malina: Aleksiej Leonow, który odbył dziesięciminutowy spacer w kosmosie.

Ja: Nieźle. Ale aksamit, nie wiem, czy ja bym powiedziała: aksamit. Czy ten człowiek jest poza tym poetą?

Malina: Nie, w wolnych chwilach maluje. Bardzo długo nie wiedział, czy ma zostać malarzem, czy kosmonautą.

Ja: Zrozumiała wątpliwość w wyborze zawodu. Ale żeby potem mówić o kosmosie jak romantyczny wędrowiec...

Malina: Ludzie nie zmieniają się tak bardzo. Coś tam przejmują ich zawsze, jeśli jest tylko nieskończone, niewyobrażalne czy niezgłębione, ma głęboką czerń, spacerują po lesie albo przechadzają się w kosmosie z własną tajemnicą w innej tajemnicy.

Ja: I potem przenosi to się na potomność! Można by więc przestać się dziwić postępowi. Leonow dostanie później daczę i będzie hodował róże, ludzie po 272

latach będą słuchali z łagodnym uśmiechem jego opowieści o „Woschodzie II”. Dziadziu Leonow, opowiedz, proszę, jak to wtedy było, w tych pierwszych minutach tam na zewnątrz! Był sobie raz księżyc, na który wszyscy chcieli lecieć, księżyc był daleki i niegościnnie, ale pewnego pięknego dnia zjawia się szczęśliwy Aleksiej i oto...

Malina: Dosyć to osobliwe, że nie zauważył Uralu, ponieważ akurat w tej chwili obok statku wyrócił koziołka w kosmosie.

Ja: To musiało nastąpić. Wywracamy koziołka najczęściej wtedy właśnie, kiedy chcielibyśmy coś zobaczyć lub pochwycić, Ural czy odpowiednie słowo, jakąś myśl czy odpowiednie słowa. Wiedzie mi się tak samo jak naszemu dziadziowi, stale mi coś umyka, ale w środku, kiedy badam tę nieskończoną przestrzeń, która jest we mnie. Niewiele się zmieniło od dawnych dobrych czasów, kiedy po raz pierwszy spacerowało się w kosmosie.

Malina: Nieskończona?

Ja: Pewnie. Jaka by miała być ta przestrzeń, jeśli nie nieskończona?

Muszę położyć się tylko na godzinę, z której potem zrobią się dwie, bo nie wytrzymuję długo rozmów z Maliną.

Malina: Musisz koniecznie posprzątać kiedyś u siebie,

wszystkie te zakurzone, wyblakłe kartki i świstki papieru, pewnego dnia nikt się w nich nie zorientuje.

273

Ja: Co takiego? Co to ma znaczyć? Tutaj nikt nie musi się orientować. Ja już będę miała swoje powody, żeby wszystko coraz bardziej i bardziej porozrzucić. Jeśli jednak ktoś ma prawo oglądać te „świstki”, to właśnie ty. Ale nie zorientujesz się w nich, mój drogi, po latach nie zrozumiałbyś, co który z nich znaczy.

Malina: Pozwól mi kiedyś spróbować.

Ja: Wobec tego wyjaśnię ci, dlaczego znów pojawia się tutaj stara kartka, już po formacie papieru, A4, mogłabym odgadnąć, gdzie ją kupiłam, w wiejskim sklepiku, w pobliżu pewnego jeziora, jest tam mowa o tobie, o pewnej podróży do Dolnej Austrii. Nie dam ci jednak jej przeczytać, możesz tylko spojrzeć na dwa słowa, które są na niej napisane.

Malina: Rodzaje śmierci.

Ja: Ale na następnej kartce, formatu A2, napisanej w dwa lata później, też są „rodzaje śmierci”. Co ja chciałam powiedzieć? Mogłabym się omylić w pisaniu. Jak, kiedy i gdzie? Zgadnij jednak, co napisałam o tobie i Attim Altenwylu! Nie zgadniesz! Jechała wtedy przed wami powoli pod górę wielka ciężarówka wyładowana pniami drzew, było to na zakręcie, ty zauważyłeś, jak źle szczipione łańcuchem pnie zaczęły się zsuwać, jak cały ładunek obsunął się w tył, na wasz wóz, a potem, potem... No, powiedz!

Malina: Skąd ci przyszły do głowy podobne urojenia? Musiałaś być obłąkana.

Ja: Ja też tego nie wiem, ale to nie urojenie, bo wkrótce potem znów coś się stało, poszedłeś z Martinem i Attim popływać nocą w Wolfgangsee, wypłynąłeś

274

najdalej i złapał cię kurcz w lewej nodze, a potem...

Wiesz o tym coś więcej?

Malina: Jak na to wpadłaś, to niemożliwe, żebyś coś wiedziała, nie było cię przy tym.

Ja: Jeśli mnie przy tym nie było, to jednak przyznajesz, że mogłabym przy tym być, nawet jeśli nie byłam.

A co to się stało z gniazdkiem? Dlaczego wtedy w nocy nie chciałeś u siebie w pokoju wetknąć wtyczki w gniazdko, dlaczego siedziałeś w ciemności, co wstąpiło we wszystkie wyłączniki, że tak często musiałeś pozostawać w ciemności?

Malina: Często pozostawałem w ciemności. Ty przecież stałaś wtedy w świetle.

Ja: Nie, tak sobie tylko wymyśliłam.

Malina: Ale to prawda. Skąd o tym wiesz?

Ja: Przecież nie mogę wiedzieć, więc jak to może być prawda?

Nie mogę już dalej mówić, ponieważ Malina bierze dwie kartki, zgniata i rzuca mi w twarz. Chociaż kłęb papieru nie sprawia bólu i spada zaraz na podłogę, boję się go. Malina bierze mnie za ramiona i potrząsa, mógłby też uderzyć mnie pięścią w twarz, ale tego nie robi, i tak usłyszy jeszcze, co trzeba. Ale potem następuje płaskie uderzenie, po którym przytomnieję, znów wiem, gdzie jestem.

Ja: (accelerando) Ja ci nie usnę.

Malina: Gdzie to było, przed Stockerau?

Ja: (crescendo) Przestań, była to jakaś miejscowość przed Stockerau, nie bij mnie, proszę, nie bij, było
275

to tuż przed Korneuburgiem, ale przestań mnie wy-
pytywać. To ja zostałam zmiądzona, nie ty!

Z płonąca, rozpaloną twarzą siedzę i proszę Malinę, żeby mi podał puderniczkę z torebki. Depczę po zgniecionych papierach i odsuwam je nogą, ale Malina podnosi je i wygładza starannie. Nie patrząc na nie, odkłada je do szuflady. Muszę jednak pójść do łazienki, bo z takim wyglądem nie mogłabym się pokazać na ulicy, chyba nie będę miała podbitego oka, tylko czerwone plamy na twarzy, chciałabym teraz koniecznie pójść „Pod Trzech Huzarów”, ponieważ Malina mi to obiecał, a Ivan nie ma czasu. Malina jest zdania, że jakoś ujdzie, powinnam tylko nałożyć na twarz więcej brunatnego kremu, rozcieram jeszcze trochę fond de teint na policzkach, on ma rację, jakoś to ujdzie, a po drodze na powietrzu wszystko minie. Malina obiecuje mi szparagi w sosie holenderskim i śnieżki z czekoladą. Nie ufam już tej kolacji. Podczas gdy po raz drugi nakładam tusz na rzęsy, Malina pyta: Skąd ty to wszystko wiesz?

Dzisiaj nie powinien mnie więcej pytać.

Ja: (presto, prestissimo) Chciałabym jednak szparagi z sosem mousseline i krem caramel. Nie jestem ja-
snowidzem. Tego mi tylko brakowało. To ja o mało co nie utonąłam, nie ty. Nie chcę kremu caramel, tylko crepes surprise, cokolwiek z surprise.

Bo z takich pragnień powstaje jeszcze życie w tych mi-
nutach, kiedy źle wychodzę ze swoim życiem obok życia Maliny.

276

Malina: Co ty rozumiesz przez życie? Myślę, że chcesz jeszcze do kogoś zadzwonić, może lepiej pójdzemy dziś we troje „Pod Trzech Huzarów”. Kogo byś chciała wziąć, Aleksandra czy Martina, może wtedy przyjdzie ci do głowy, co rozumiesz przez życie.

Ja: Ba, gdybym jeszcze coś przez to rozumiała... Masz rację, lepiej, żeby ktoś poszedł z nami. Włożę tę

starą czarną, z nowym paskiem.

Malina: Ale weź i szal, wiesz, który. Zrób mi tę przyjemność, skoro już nigdy nie wkładasz tej w paski. Dlaczego nigdy jej nie wkładasz?

Ja: Jeszcze ją kiedyś włożę. Proszę cię, teraz nie pytaj. Muszę się przemóc. Ale w ogóle to lubię już tylko życie z tobą, w tym szalu, który najpierw mi podarowałeś, ze wszystkimi późniejszymi prezentami. Życ to czytać stronę, którą ty przeczytałeś, albo zaglądać ci przez ramię, kiedy czytasz, czytać razem z tobą i nic z tego nie zapominać, bo ty nic nie zapominasz. To także przechadzać się w tej próżni, w której mieści się wszystko, drogą nad Głan i drogami wzdłuż Gail, leżę wyciągnięta na całej Gorii, mam przed sobą zeszyty, zapełniam je gryzmołami na nowo: Kto musi żyć ciągłym „dlaczego”, zniesie prawie każde „jak”. Przeżywam już czasy najdawniejsze, jak gdyby tak było od dawna, z tobą, zawsze równocześnie z dniem dzisiejszym, biernie, nie dotykając niczego, niczego nie przywołując. Pozwalam sobie tylko więcej żyć. Wszystko musi po prostu pojawić się jednocześnie i wyrzucić na mnie wrażenie.

Malina: Co to jest życie?

Ja: To, czym nie można żyć.

Malina: Co to jest?

277

Ja: (piu mosso forte) Zostaw mnie w spokoju.

Malina: Co?

Ja: (molto meno mosso) To, na co ty i ja możemy się złożyć, to jest życie. Wystarczy ci?

Malina: Ty i ja? Dlaczego nie od razu „my”?

Ja: (tempo giusto) Nie lubię żadnego „my”, żadnego „się”, żadnego „dwoje” i tak dalej, i tak dalej.

Malina: Wydawało mi się niemal, że przede wszystkim nie lubisz już żadnego „ja”.

Ja: (soavemente) Czy to sprzeczność?

Malina: Właśnie.

Ja: (andante eon grazia) To nie jest sprzeczność, póki ja ciebie chcę. Nie siebie chciałabym, lecz ciebie, co o tym sądzisz?

Malina: Byłaby to twoja najbardziej niebezpieczna przyгода. Ale już się zaczęła.

Ja: (tempo) No właśnie, dawno się zaczęła, była dawniejsza niż życie. (vivace) Wiesz, co u siebie zobaczyłam? że moja skóra nie jest już taka jak dawniej, jest po prostu inna, chociaż nie mogę doszukać się ani jednej zmarszczki więcej. Mam ciągle te same, które pojawiły się już koło dwudziestki, robią się tylko głębsze, wyraźniejsze. Czy to wskazówka i co

ona oznacza? Na ogół wiadomo, dokąd to prowadzi, mianowicie do końca. Ale dokąd zaprowadzi nas? w jakiej pomarszczonej twarzy znikniesz ty, zniknę ja? Nie starzenie zadziwia mnie, lecz nieznajoma, która nastąpi po nieznajomej. Jaka wtedy będę? Zadaję sobie to pytanie, jak przed wiekami zapytywano się, co będzie po śmierci, z równie wielkim znakiem zapytania, który nie ma sensu, ponieważ nie sposób sobie tego wyobrazić. Myśląc rozsądnie, nie potrafię sobie tego w ogóle wyobra-

zić. Wiem tylko, że nie jestem już taka, jak byłam dawniej, ani o włos bardziej sobie znajoma, ani odrobinę sobie bliższa. Jedną nieznajomą zastępowała mi zawsze inna.

Malina: Nie zapominaj, że ta nieznajoma dzisiaj ma jeszcze coś na myśli, ma jeszcze kogoś na myśli, kocha może, kto wie, nienawidzi może, chciałyby może jeszcze raz zatelefonować.

Ja: (senza pedale) To cię nic nie obchodzi, bo nie ma nic do rzeczy.

Malina: Ma bardzo dużo do rzeczy, bo wszystko bardzo przyspieszy.

Ja: Tak, pewnie byś tego chciał, (piano) Zobaczyć jeszcze jedną klęskę, (pianissimo) Jeszcze tę.

Malina: Powiedziałem ci tylko, że to będzie przyspieszenie. Nie będziesz już siebie potrzebowała. Ja też nie będę cię już potrzebował.

Ja: (arioso dolente) Ktoś mi już powiedział, że nie mam nikogo, kto by mnie potrzebował.

Malina: Ten ktoś miał coś innego na myśli. Nie zapominaj, że ja myślę inaczej. Zbyt długo zapomniałaś, jak ja istnieję obok ciebie w tym czasie.

Ja: (cantabile) Ja zapomniałam? Ja miałabym zapomnieć ciebie!

Malina: Jak ty potrafisz okłamywać mnie intonacją głosu i jak zarazem podstępnie mówić prawdę!

Ja: (crescendo) Ja miałabym zapomnieć ciebie!

Malina: Chodź już! Masz wszystko?

Ja: (forte) Nigdy nie mam wszystkiego, (rubato) Ty pomyśl o wszystkim. O kluczu, o zamknięciu drzwi, o pogaszeniu świateł.

279

Malina: Dziś wieczorem porozmawiamy o przyszłości.

Trzeba kiedyś koniecznie u ciebie posprzątać.

W tym całym bałaganie nikt się nie zorientuje.

Malina jest już przy drzwiach, ale ja prędko idę korytarzem z powrotem, bo przed wyjściem muszę jeszcze raz zatelefonować, dlatego nigdy w porę nie wychodzimy z domu.

Muszę nakręcić ten numer, jest to przymus, presja, mam

tylko numer w głowie, nie jest to numer mojego paszportu ani numer pokoju w Paryżu, ani moja data urodzenia, ani data dzisiejsza, i nakręcam, mimo niecierpliwości Maliny, 72-68-93, liczbę, której poza mną nikt nie ma w głowie, a ja mogę ją wyrecytować, zaśpiewać, odgwizdać, wypłakać, wypowiedzieć śmiechem, moje palce mogą po omacku odnaleźć ją na tarczy, przy czym ja nie muszę sobie tego numeru przepowiadać.

Tak, to ja.

Nie, tylko ja

Nie. Tak?

Tak, wychodzę

Zadzwoń do ciebie później

Dobrze, dużo później

Zadzwoń do ciebie jeszcze później!

Malina: Powiedz mi wreszcie, skąd ci takie myśli przychodzą do głowy. Bo ja przecież nigdy nie jechałem z Attim do Stockerau, nigdy nie pływałem nocą w Wolfgangsee z Martinem i Attim.

280

Ja: Stale widzę wszystko bardzo wyraźnie przed sobą, przedstawiam sobie, tak się przecież mówi, na przykład dokładnie tę masę długich pni drzew na ciężarówce, zsuwają się wszystkie, a ja siedzę z Attim Altenwylem w wozie, podczas gdy one zsuwają się na nas, a my nie możemy się cofnąć, ponieważ tuż za nami stoi jeden samochód za drugim, i wiem teraz, że zwałą się na mnie całe metry sześciennych drzewa.

Malina: Ale przecież oboje siedzimy tutaj i mówię ci jeszcze raz, że nigdy nie jechałem z nim do Stockerau.

Ja: Skąd w takim razie wiesz, że wyobraziłam sobie drogę do Stockerau? Bo ja z początku nie powiedziałam ani słowa o Stockerau, mówiłam ogólnie o Dolnej Austrii i tylko o niej myślałam, ze względu na ciotkę Marię.

Malina: Naprawdę obawiam się, że jesteś szalona.

Ja: Nie tak bardzo. I nie mów, jak (piano, pianissimo) Ivan.

Malina: Nie mów jak kto?

Ja: (abbandonandosi, sotto voce) Kochaj mnie, nie, jeszcze bardziej, kochaj mnie bardziej, kochaj mnie ze wszystkich sił, żeby to się niedługo skończyło.

Malina: Wiesz o mnie wszystko? I wszystko o wszystkich innych?

Ja: (presto alla tedesca) Ależ nie, nic nie wiem.

O innych już zupełnie nic! (non troppo vivo) Z tym przedstawianiem sobie to było takie gadanie, wcale nie chciałam mówić o tobie, nie wyraźnie o tobie.

Bo właśnie ty nigdy się nie boisz, nigdy się nie bałeś.

Rzeczywiście oboje tu siedzimy, ale ja się boję. (eon sentimento ed espressione) Nie prosiłabym cię przedtem o coś, gdybyś ty tak się kiedyś bał.

281

Położyłam głowę na dłoni Maliny, Malina nic nie mówi, nie rusza się, ale też nie okazuje mojej głowie żadnej czułości. Drugą ręką zapala sobie papierosa. Moja głowa nie spoczywa już na jego dłoni, staram się siedzieć prosto i nie dać nic po sobie poznać.

Malina: Dlaczego znów kładziesz rękę na karku?

Ja: Tak, zdaje się, że często to robię.

Malina: Czy to się wzięło z tamtych czasów?

Ja: Tak. Tak, teraz jestem pewna. Z pewnością zaczęło się to wtedy, a potem stale coś dochodziło. I stale dochodzi. Muszę podtrzymywać głowę. Robię to jednak tak, żeby możliwie nie rzucało się w oczy. Wsuwam dłoń we włosy i podpieram głowę. Mój rozmówca myśli wtedy, że słucham bardzo uważnie i że jest to taki ruch jak założenie nogi na nogę albo podparcie brody dłonią.

Malina: Może to jednak wyglądać na złe przyzwyczajenie.

Ja: Taki już mam sposób, że chwytam się siebie, kiedy nie mogę uchwycić się ciebie.

Malina: Co osiągnęłaś w tych późniejszych latach?

Ja: (legato) Nic. Z początku nic. Potem zaczęłam te lata usuwać. Było to najtrudniejsze, bo paraliżowało mnie to roztargnienie, nie miałam już siły, żeby wyeliminować choćby zjawiska towarzyszące mojemu nieszczęściu. Ponieważ nie tknęłam nieszczęścia, trzeba było pozbywać się tylu rzeczy drugorzędnych, lotnisk, ulic, lokali, sklepów, określonych potraw i win, bardzo wielu ludzi, wszelkiej możliwej gadaniny. Przede wszystkim jednak fałszerstwa. Cała byłam sfalszowana, wciskano mi w rękę fałszywe papiery, wywożono to tu, to tam, potem

282
znów zaangażowano do wysiadania obok, przytakiwania, czemu przedtem nigdy bym nie przytaknęła, do potwierdzania, przyznawania racji. Musiałam naśladować całkowicie mi obce sposoby myślenia. W końcu byłam jednym wielkim fałszerstwem, rozpoznawalna może jeszcze tylko dla ciebie.

Malina: Czego się z tego nauczyłaś?

Ja: (eon sordina) Niczego. Nic dla mnie z tego nie wynikło.

Malina: To nieprawda.

Ja: (agitato) A jednak prawda. Zaczęłam jeszcze raz rozmawiać, chodzić, odczuwać coś, przypominać sobie czasy dawniejsze, poprzedzające te, których

nie chcę sobie przypominać, (tempo giusto) I pewnego dnia byliśmy znów w dobrych stosunkach. Od kiedy właściwie jesteśmy w takich dobrych stosunkach?

Malina: Myślę, że od samego początku.

Ja: (leggermente) Jaki jesteś uprzejmy, jaki miły, jaki łaskawy, że mi to mówisz, (quasi una fantasia) Myślałam czasem, że tak często, co najmniej raz dziennie przez trzysta sześćdziesiąt dni w roku, czuleś przeze mnie śmiertelny strach. Wzdrygałeś się na każdy dzwonek, w każdym cieniu obok siebie widziałeś zagrażającego ci człowieka, ładunek drzewa na ciężarówce przed tobą był szczególnie niebezpieczny. Słyszając kroki za plecami, byłeś bliski śmierci. Kiedy czytałeś książkę, wydawało ci się, że drzwi otwierają się nagle, a ty wypuszczałeś ją z ręki w śmiertelnym strachu, ponieważ ja nie mogłam już czytać książek. Myślałam, że umierałeś setki, nie, tysiące razy, i że to uczyniło cię później tak nie-

283
zwykle spokojnym, (ben marcato) Jak bardzo się myliłam.

Malina co prawda wie, że chętnie wychodzę z nim wieczorami, ale nie oczekuje tego, nie jest zaskoczony, ilekroć mam powód do odmowy, choćby ze względu na podarte pończochy, często Ivan jest naturalnie winien mojemu ociąganiu się, ponieważ Ivan nie wie, jeszcze nie wie, jak wygląda jego wieczór, a potem są jeszcze kłopoty z wyborem lokalu, ponieważ do kilku Malina nigdy by nie poszedł, nie cierpi hałasu, nie znosi muzyki cygańskiej i starowiedeńskich piosenek, nie odpowiada mu duszne powietrze i oświetlenie nocnych klubów, nie potrafi jeść nierozsądnie jak Ivan, jada, bez widocznej przyczyny, odmierzone ilości, nie potrafi pić jak Ivan, pali tylko od czasu do czasu, nieomal ze względu na mnie.

W te wieczory, które Malina spędza wśród ludzi beze mnie, wiem, że mówi tam niewiele. Będzie milczał, słuchał, skłaniał innych do mówienia i na koniec pozostawi wszystkim wrażenie, że powiedzieli coś, co było mądrzejsze, ważniejsze od innych zdań, ponieważ Malina podnosi ich do swojego poziomu. Zawsze jednak zachowa dystans, ponieważ cały jest dystansem. Nie powie nigdy ani słowa o swoim życiu, ani słowa o mnie, ale mimo to nie wzbudzi wrażenia, że coś przemilcza. Malina rzeczywiście niczego nie przemilcza, bo nie ma, w najlepszym znaczeniu, nic do powiedzenia. Nie bierze udziału w tkaniu wielkiego tekstu, tekstury potocznych rozmów, cała wiedeńska tkanina ma parę małych dziurek, które powstały tylko przez Malinę.

284
Toteż jest skrajnym zaprzeczeniem poruszania, powodowa-

nia, rozgłaszania, wybuchania, usprawiedliwiania - za cóż Malina miałby się usprawiedliwiać! Potrafi mieć wdzięk, mówi uprzejme, połyskliwe zdania, które nigdy nie są zbyt miłe, okazuje, choćby przy pożegnaniu, odrobinę serdeczności, która dobywa się z niego i zaraz kryje z powrotem, ponieważ on natychmiast odwraca się i odchodzi, chodzi zawsze bardzo prędko, całuje kobiety w rękę, a kiedy musi im pomóc, bierze je na chwilę za ramię, dotyka je tak lekko, że żadna nie może sobie przy tym nic pomyśleć, a przecież musi coś pomyśleć. Malina zabiera się już do wyjścia, ludzie patrzą na niego zaskoczeni, ponieważ nie wiedzą, z jakiego powodu wychodzi, bo zakłopotany nie mówi, dlaczego, dokąd, po co właśnie teraz. Nikt jednak nie śmie też go zapytać. Wykluczone, żeby ktoś postawił Malinie to pytanie, z którym ja stykam się stale: Co pani robi jutro wieczorem? Na miłość boską, nie może pani już teraz iść! Musi pani koniecznie poznać takiego a takiego, taką a taką! Nie, Malinie nic takiego się nie zdarza, on ma czapkę niewidkę, niemal zawsze spuszczoną przyłbicę. Zazdroszczę Malinie i próbuję go naśladować, ale bez powodzenia, wpadam w każdą sieć, ściągam na siebie wszelkie szantaże, już w pierwszej chwili jestem niewolnicą Aldy, wcale nie jej pacjentką, chociaż ona powinna być lekarką, dowiaduję się od razu, co Aldzie dolega, co ona przeżywa, i po pół godzinie muszę, ze względu na Aldę, dla niejakiego pana Kramera, nie, dla jego córki, która nie chce z ojcem, tym panem Kramerem, mieć nic więcej wspólnego, poszukać nauczyciela śpiewu. Nie znam nauczycieli śpiewu, nigdy ich nie potrzebowałam, ale przyznałam się już prawie, że wiem o kimś, kto na pewno zna nauczycieli śpiewu, powinien znać, bo mieszkam przecież w jednym domu ze śpiewaczką, nie znam jej wprawdzie, ale znajdzie się jakiś sposób, żeby pomóc córce tego

285
pana Kramera, któremu, a raczej którego córce Aida chce być pomocna. Co robić? Doktor Wellek, jeden z czterech braci Wellek, akurat ten, któremu się nie powiodło, ma teraz szansę w telewizji, jego los od tego zależy, i gdybym może ja szepnęła, powiedziała słówko, no, powiedzmy: słowo, jakimś panom z Telewizji Austriackiej, to... Czy mam pójść na Różane Wzgórze i tam szepnąć słówko? Czy pan Wellek nie może beze mnie żyć, czy jestem jego ostatnią nadzieją? Malina mówi: Ty nie jesteś nawet moją ostatnią nadzieją. A pan Wellek również bez ciebie wystarczająco się narazi. Jeśli ktoś mu jeszcze pomoże, to niedługo sam nie zdoła już sobie pomóc. Wykończysz go tylko swoim słówkiem. Dzisiaj czekam w „Niebieskim Barze” u „Sachera” na Malinę, który długo nie przychodzi. Wreszcie jednak zjawia się. Idziemy do dużej sali jadalnej i Malina naradza się z kelnerem, ale potem słyszę nagle swoje słowa: Nie, ja nie mogę, proszę cię, nie tutaj, nie mogę usiąść przy tym stoliku!

Malina uważa, że to bardzo przyjemny stolik, stolik w rogu, który wołałam często od większych stołów, mogę tu siedzieć plecami do wystającego kawałka ściany, kelner uważa tak samo, zna mnie przecież, wie, że lubię to osłonięte miejsce. Mówię bez tchu: Nie, nie! czy ty tego nie widzisz! Malina pyta: A co tu jest takiego do zobaczenia? Odwracam się i powoli wychodzę, żeby nie wzbudzać sensacji, kłaniam się Jordanom i Aldzie, która siedzi z amerykańskimi gośćmi przy największym stole, a potem jeszcze tym ludziom, których też znam, ale których nazwiska wyleciały mi z pamięci. Malina idzie za mną, czuję, że jest tuż, kłania się znajomym. Przy szatni zarzuca mi płaszcz na ramiona, patrzę na niego z rozpaczą. Czy on nie rozumie? Malina pyta cicho: Co ty zobaczyłaś?

286

Nie wiem jeszcze, co zobaczyłam, i nagle idę z powrotem do restauracji, ponieważ myślę, że Malina musi być głodny, że już jesteśmy spóźnieni, wyjaśniam pośpiesznie: Wybacz, wrócimy teraz, mogę jeść, tylko przez chwilę było to nie do wytrzymania! Rzeczywiście siadam przy tym stoliku, a przecież wiem, że jest to stolik, przy którym Ivan będzie siedział z kimś innym, Ivan będzie siedział na miejscu Maliny i zamawiał, a ktoś inny, jak ja u boku Maliny, będzie siedział u jego boku, po prawej. Będzie się jadło po prawej, kiedyś słusznie będzie się tak jadło. Jest to stolik, przy którym jem dzisiaj ostatni posiłek skazańca. Jest to znów sztuka mięsa z chrzanem i sosem szczypiorkowym. Potem mogę jeszcze wypić małą czarną, nie, żadnego deseru, dzisiaj chcę opuścić deser. Jest to stolik, przy którym to się dzieje i będzie się działo później, i tak to jest, zanim człowiekowi utną głowę. Przedtem wolno jeszcze raz się najeść. Moja głowa toczy się w restauracji „Sachera” na talerz, krew tryska na biały adamaszkowy obrus, głowa spadła i goście ją oglądają.

Dzisiaj zatrzymuję się na rogu Beatrixgasse i Ungargasse i nie mogę dalej iść. Spoglądam na moje stopy, którymi nie mogę już poruszyć, potem wokoło na chodnik i skrzyżowanie ulic, gdzie wszystko już spłowiało. Wiem dobrze, że to będzie to ważne miejsce, z brązowego spłowienia wypływa już ciecz, stoję w kałuży krwi, bardzo wyraźnie jest to krew, nie mogę wечно tu stać i chwytać się za kark, nie mogę patrzeć na to, co widzę. Wołam ciszej i głośniejsze: Halo! Proszę! Halo! Proszę się zatrzymać! Jakaś kobieta z torbą na zakupy, która już przeszła koło mnie, odwraca się i patrzy pytająco. Pytam z rozpaczą: Czy mogłaby mi pani, proszę, niech pani będzie tak dobra, niech pani zostanie przy mnie,

287

musiałam zablądzić, nie wiem, jak dalej iść, nie orientuję się tutaj, czy pani nie wie, gdzie jest Ungargasse?

Bo kobieta mogłaby wiedzieć, gdzie jest Ungargasse,

mówi: Tutaj jest już pani na Ungargasse, jakiego numeru pani szuka? Wskazuję za róg, w dół, ale myślę strony, na dom Beethovena, u Beethovena jestem bezpieczna, i spod numeru 5 patrzę na bramę z numerem 6, która stała mi się obca, widzę panią Breitner przed bramą, nie chciałabym teraz zetknąć się z panią Breitner, ale pani Breitner jest człowiekiem, wokół mnie są ludzie, nic mi się nie może stać, i patrzę na drugi brzeg, muszę zejść z chodnika i dostać się na drugi brzeg, dzwoniąc, przejeżdża wóz linii 0, jest to dzisiejszy wóz linii 0, wszystko jest jak zawsze, czekam, aż przejedzie, i drżąc z wysiłku, wyjmuję klucz z torebki, przechodzę na drugą stronę, przybieram już uśmiech, żeby powitać nim panią Breitner, docieram na drugi brzeg, mijam panią Breitner, dla której też powinna być moja piękna książka, pani Breitner nie odwzajemnia się uśmiechem, ale odklania się bądź co bądź, a ja znów jestem w domu. Nic nie widziałam. Wróciłam do domu.

W mieszkaniu kładę się na podłodze, myślę o mojej książce, przepadła mi gdzieś, nie ma żadnej pięknej książki, nie mogę już napisać pięknej książki, dawno przestałam myśleć o książce, bez powodu, nie przychodzi mi już do głowy ani jedno zdanie. A taka byłam pewna, że istnieje piękna książka i że znajdę ją dla Ivana. Nie nadejdzie żaden dzień, ludzie nie będą nigdy, poezja nie będzie nigdy i oni nie będą nigdy, ludzie będą mieli czarne, mroczne oczy, z ich rąk przyjdzie zniszczenie, przyjdzie zaraza, ta zaraza, która jest we wszystkich, ta zaraza, która dotyka wszystkich, powali ich, wkrótce, to będzie koniec.

288

Piękno już nie wypływa ze mnie, mogłoby ze mnie wypływać, przyplęwało do mnie falami od Ivana, który jest piękny, znałam tylko jednego pięknego mężczyznę, bądź co bądź widziałam jeszcze piękno, na koniec i ja jeden jedyny raz byłam piękna, dzięki Ivanowi.

Wstań! mówi Malina, który zastaje mnie na podłodze, i mówi to poważnie. Co ty tu wygadujesz o pięknie? Co jest piękne? Ale ja nie mogę wstać, oparłam głowę na „Wielkich filozofach”, którzy są twardzi. Malina wyciąga książkę i podnosi mnie.

Ja: (eon affetto) Muszę ci to raz powiedzieć. Nie, ty musisz mi to wytłumaczyć. Kiedy ktoś jest doskonale piękny i zwyczajny, dlaczego porusza tylko fantazję. Nigdy ci tego nie mówiłam, nigdy przecież nie byłam szczęśliwa, w ogóle nigdy, tylko w niewielu chwilach, ale na koniec widziałam jednak piękno. Spytasz, na co to wystarczy? Wystarczy samo w sobie. Duch nie porusza ducha, tylko duch o tej samej sile, przepraszam, piękno jest dla ciebie czymś niższym, ono jednak porusza ducha. Je suis tombee mai, je suis tombee bien.

Malina: Nie padaj ciągle. Wstań. Rozerwij się, pójdz gdzieś, zaniedbaj mnie, zrób coś, zrób cokolwiek!

Ja: (dolcissimo) Ja mam coś zrobić? Opuścić cię? Zostawić cię?

Malina: Czy ja powiedziałem coś o sobie?

Ja: Ty nie, ale ja mówię o tobie, myślę o tobie. Wstaję, żeby zrobić ci przyjemność, zjem coś jeszcze, jem już tylko po to, żeby zrobić ci przyjemność.

289

Malina będzie chciał wyjść ze mną, odwrócić moją uwagę, będzie mnie zmuszał, zniewalał, do ostatka. Jak mam mu wytłumaczyć coś z moich historii. Ponieważ Malina przebiera się prawdopodobnie, przebieram się i ja, znów mogę ciągnąć dalej, spoglądam w lustro i uśmiecham się do niego z obowiązku. Ale Malina mówi (czy Malina coś mówi?), Malina mówi: Zabij go! zabij go!

Ja mówię coś. (Ale czy rzeczywiście coś mówię?)

Mówię: Jego jednego nie mogę zabić, jego jednego. Do Maliny mówię ostro: Mylisz się, on jest moim życiem, moją jedyną radością, nie mogę go zabić.

Ale Malina mówi niesłyszalnie i tak, że nie sposób go nie usłyszeć: Zabij go!

Rozrywam się i dużo mniej czytam. Późnym wieczorem, przy nastawionym cicho gramofonie, opowiadam Malinie: W Instytucie Psychologii przy Liebiggasse piliśmy zawsze herbatę lub kawę. Znałam tam mężczyznę, który stale stenografował, co wszyscy mówili, a czasem i inne rzeczy. Ja nie znam stenografii. Nieraz poddawaliśmy się nawzajem testom Rohrschacha i Szondiego, TAT-owi Murraya i stawialiśmy diagnozy co do charakteru i osobowości, prowadziliśmy obserwacje sprawności i zachowania, podejmowaliśmy badania wyrazowe. On spytał kiedyś, z iloma mężczyznami już spałam, a mnie przypomniał się tylko ten jedenonogi złodziej, który siedział w więzieniu, i upstrzona przez muchy lampa w hotelu na godziny w Maria Hilf, ale powiedziałam na chybił trafił: z siedmioma! On zaśmiał się zdziwiony i powiedział, że wobec tego naturalnie chętnie by się ze mną ożenił, mielibyśmy na pewno bardzo mądre dzieci, bardzo ładne również, i co ja o tym sądzę. Pojechaliśmy na Prater i ja chciałam przejechać się na diabelskim

290

kole, bo wówczas nigdy się nie bałam, za to często czułam się szczęśliwa, jak później w czasie lotu szybowcem i jazdy na nartach, mogłam godzinami śmiać się ze szczęścia. Potem naturalnie nigdy już o tym nie mówiliśmy. Wkrótce później musiałam złożyć egzamin doktorski, a rano przed trzema wielkimi egzaminami w Instytucie Filozofii wypadł z pieca cały żar, rozdeptałam kilka kawałków węgla czy drzewa, pobiegłam po szufelkę i miotłę, bo sprzątaczkę jeszcze nie przyszły, żarzyło się i dymiło tak okropnie, nie chciałam

dopuścić do pożaru, zdeptałam żar, potem jeszcze przez wiele dni cuchnęło w Instytucie, moje pantofle były osmalone, ale nic się nie spaliło. Otworzyłam też jeszcze wszystkie okna. Mimo to zdażyłam na pierwszy egzamin o ósmej rano, powinnam tam być z drugim kandydatem, który jeszcze nie przyszedł, dostał w nocy udaru mózgu, dowiedziałam się o tym, zanim jeszcze weszłam do środka, aby poddać sprawdzeniu moje wiadomości o Leibnizu, Kancie i Humie. Stary radca dworu, który był wtedy rektorem, miał na sobie brudny szlafrok, dostał przedtem jakiś order z Grecji, nie wiem za co, i zaczął pytać, bardzo rozgniewany nieobecnością zmarłego kandydata, ale zjawiłam się przynajmniej ja, i to jeszcze żywa. Tylko zapomniał ze złości, jaki temat mieliśmy omawiać, tymczasem ktoś zadzwonił, chyba jego siostra, byliśmy przy neokantystach, to znów przy angielskich deistach, ale wciąż jeszcze daleko od samego Kanta, i ja nie wiedziałam za wiele. Po rozmowie telefonicznej poszło lepiej, zaczęłam bez ceremonii mówić o tym, co było ustalone, a on tego nie zauważył. Zadałam mu lekkie pytanie, które dotyczyło problemu przestrzeni i czasu, pytanie, które wówczas, przyznaję, było dla mnie jeszcze bez znaczenia, jemu jednak bardzo to pochlebiło, że mam jakieś pytanie, a potem byłam wolna. Pobiełam z powrotem do naszego Instytutu, pożaru nie było, i poszłam na dwa 291

następne egzaminy. Zdałam je wszystkie. Później jednak nie uporałam się nigdy z problemem przestrzeni i czasu. Rósł on i rósł.

Malina: Dlaczego to ci się przypomina? Myślałem, że ten czas był dla ciebie całkiem nieważny.

Ja: Nieważny był egzamin doktorski, ale gdy przeszedł, bądź co bądź egzamin doktorski, rygorozum, to słowo mówi przecież wszystko, a ten drugi umarł na udar mózgu, w dwudziestym trzecim roku życia, musiałam przebyć drogę z Instytutu na Universitätsstrasse, wzdłuż całej bocznej ściany uniwersytetu, szłam po omacku przy samej ścianie, przeszłam jakoś przez ulicę, bo czekali na mnie w „Cafe Bastei” Eleonora i Aleksander Fleisser, musiałam być bliska omdlenia, z przygnębioną miną, zobaczyli mnie już przez okna, zanim ja ich zobaczyłam. Gdy doszłam do stolika, żadne nie powiedziało słowa, myśleli, że nie zdałam egzaminu, zdałam go zresztą tylko pod pewnym względem, potem podsunęli mi kawę, a ja powiedziałam w ich zaskoczone twarze, że to było bardzo proste, dziecinnie łatwe. Wypytywali mnie jeszcze chwilę, potem wreszcie uwierzyli, myślałam o żarze, o groźbie pożaru, ale nie pamiętam, nie pamiętam dokładnie... W każdym razie nie świętowaliśmy na pewno. Wkrótce później musiałam

położyć dwa palce na lasce i wypowiedzieć łacińskie słowo. Miałam na sobie pożyczoną od Lily, za krótką czarną sukienkę, w Auditorium Maximum stało rzędem kilku młodych mężczyzn i ja, słyszałam wtedy swój głos, mocny i donośny, innych głosów

prawie się nie słyszało. Nie byłam jednak przerażona sobą, a później znów mówiłam cicho.

Ja: (lamentandosi) Czego ja się nauczyłam, dowiedziałam, przez te wszystkie lata, ponosząc tyle ofiar, i pomyśl o tym trudzie, jaki sobie zadawałam!

Malina: Niczego naturalnie. Nauczyłaś się tego, co już w tobie było, co już wiedziałaś. Czy to dla ciebie za mało?

Ja: Może masz rację. Myślę teraz czasem, że po prostu odzyskuję siebie, taką, jaka byłam kiedyś. Zbyt chętnie myślę o czasach, w których miałam wszystko, w których wesołość była prawdziwą wesołością, w których powaga była dobrą powagą, (quasi glissando) Potem wszystko zostało zepsute, zaprzątnięte, zużyte, wykorzystane i na koniec zniszczone, (moderato) Pomału poprawiałam się, uzupełniałam to, czego coraz bardziej mi brakowało, i wydaje mi się, że wyzdrowiałam. Znów jestem więc niemal taka, jaka byłam, (sotto voce) Ale na co mi się przydała ta droga?

Malina: Droga nie przydaje się na nic, jest dostępna dla każdego, ale nie każdy musi nią iść. Trzeba jednak umieć pewnego dnia dokonać zmiany, między odnalezionym „ja” a przyszłym, które nie może już być dawnym „ja”. Bez wysiłku, bez wpadania w chorobę, bez żalu.

Ja: (tempo giusto) Ja już siebie nie żałuję.

Malina: Tego przynajmniej oczekiwałam, to już jest jakieś osiągnięcie. Któż miałby ochotę płakać nad tobą, nad takimi jak my?

Ja: Ale dlaczego płacze się nad innymi?

293

Malina: I z tym należałoby skończyć, bo inni zasługują równie mało, żeby nad nimi płakać, jak ty zasługujesz, żebym ja nad tobą płakał. Co by ci z tego przyszło, gdyby wtedy ktoś w Timbuktu czy Adelajdzie płakał nad dzieckiem z Klagenfurtu, które zostało zasypane, które leżało na ziemi pod drzewami przy promenadzie nad jeziorem, w czasie nalołu koszącego, a potem musiało patrzeć na pierwszych zabitych i rannych wokół siebie. Nie płacz więc nad innymi, oni są dostatecznie zaprzątnięci obroną swojej skóry lub uporaniem się z godzinami przed swoim zamordowaniem. Nie potrzebują łez

made in Austria. Poza tym płacze się później, po-
śród pokoju, tak przecież nazwałaś kiedyś ten czas,
w wygodnym fotelu, kiedy nie padają strzały i nic
nie płonie. Głoduje się też w innym czasie, na ulicy
między dobrze odżywionymi przechodniami.

W kinie, podczas głupiej prezentacji strachu, do-
piero odczuwa się lęk. Nie marznij się w zimie, lecz
w letni dzień nad morzem. Gdzie to było? Kiedy
najbardziej zmarzłaś? Było to przecież w piękny, jak
rzadko ciepły październikowy dzień nad morzem.
Możesz więc zachować spokój wobec innych albo
stale być niespokojna. Nic nie zmienisz.

Ja: (piu mosso) Gdyby jednak nic nie można było
zrobić, niczego załagodzić, to co wtedy mimo to
trzeba robić? Bo byłoby nieludzkie nic a nic nie
robić.

Malina: Uspokajać niepokój. Niepokoić spokój.

Ja: (dolente, molto mosso) Kiedyż nadejdzie czas,
w którym to osiągnę, w którym będę mogła jedno-
cześnie robić coś i nic nie robić? Kiedy nadejdzie
czas, w którym znajdę na to czas! Kiedy nastanie
294

czas, w którym skończy się fałszywe rozróżnianie,
fałszywy strach i cierpienie, bezsensowne wgłębia-
nie się, bezsensowne rozmyślanie! (una corda)

Chciałabym powoli otrząsnąć się z tych rozmyślań,
(tutte le corde) Czy to tak?

Malina: Jeśli tego chcesz.

Ja: Nie powinnam cię więcej pytać?

Malina: To też jest pytanie.

Ja: (tempo giusto) Idź jeszcze popracować do kolacji,
zawołam cię potem. Nie, nie gotuję, dlaczego mia-
łabym na to tracić czas. Chciałabym wyjść, to jest
to, przejść się parę kroków, zajrzeć do małej knajp-
ki, gdziekolwiek, gdzie jest głośno, gdzie je się
i pije, żebym jeszcze raz mogła wyobrazić sobie
świat. „Pod Starego Halerza”.

Malina: Rozporządzaj moją osobą.

Ja: (forte) Będę jeszcze rozporządzać twoją osobą.

Twoją także.

Malina: Moja droga, poczekajmy!

Ja: Bo to skończy się tak, że będę mogła rozporządzać
wszystkim.

Malina: To jest mania wielkości. W ten sposób wpadasz
tylko z jednej manii w drugą.

Ja: (senza licenza) Nie. Działanie jest brakiem działa-
nia, jeśli ciągnie się dalej, jak ty mi to pokazujesz.

Wobec tego nie jest to już mania wzrastająca, tylko
malejąca.

Malina: Nie. Ty przybierasz ogólnie, a gdybyś przestała roz-

ważać, gdybyś nie ważyła się więcej, coraz więcej i więcej.

Ja: (tempo) Na czym przybrać, skoro nie ma już sił?

Malina: Przybiera się na strachu.

Ja: Więc budzę w tobie strach.

295

Malina: Nie we mnie, tylko w sobie. Prawda rodzi ten strach. Ale będziesz mogła przyjrzeć się sobie. Nie będziesz prawie w to zaangażowana, nie tutaj.

Ja: (abbandonandosi) Dlaczego nie tutaj? Nie, nie rozumiem cię! Ale nic już nie rozumiem... Powinna bym sama z sobą skończyć!

Malina: Ponieważ możesz przydać się sobie tylko wtedy, kiedy sobie szkodzisz. To jest początek i koniec wszystkich walk. Teraz dosyć już sobie zaszkodziłaś. Bardzo ci się to przyda. Ale nie takiej tobie, o jakiej myślisz.

Ja: (tutto ii clavicembalo) Ach! Jestem kimś innym, chcesz powiedzieć, że będę jeszcze kimś zupełnie innym!

Malina: Nie. Co za absurd. Z pewnością jesteś sobą, tego już nie zmienisz. Ale jedno „ja” jest przejęte, a drugie działa. Ty już nie będziesz działać.

Ja: (diminuendo) Nigdy przecież nie lubiłam działać.

Malina: Ale działałaś. I poddawałaś się działaniom, byłaś obiektem działań i układów.

Ja: (non troppo vivo) Tego też nigdy nie chciałam. Nie działałam nawet przeciwko moim wrogom.

Malina: Nigdy nie widział cię żaden z twoich wrogów, nie zapominaj o tym, i ty nie widziałaś nigdy żadnego z nich.

Ja: Nie wierzę. (vivacissimamente) Widziałam jednego, on też mnie widział, ale wciąż jeszcze nie tak, jak trzeba.

Malina: Co za osobliwy trud! Chcesz być widziana, jak trzeba? Może również przez swoich przyjaciół?

Ja: (presto, agitato) Przestań, kto by w to uwierzył, nie ma się przyjaciół, może przejściowo, w tej chwili! (con fuoco) Ale ma się wrogów.

Malina: Może nawet i to nie... może nawet i to.

Ja: (tempo) A jednak, dobrze wiem.

Malina: To nie wyklucza, że masz wroga przed oczyma.

Ja: W takim razie musiałbyś nim być ty. Ale nie jesteś.

Malina: Nie powinnaś dłużej walczyć. Z czym walczyć? Nie powinnaś teraz ani iść naprzód, ani cofać się, tylko nauczyć się walczyć inaczej. To jedyny rodzaj walki, jaki jest ci dozwolony.

Ja: Ale przecież wiem już jak. Odeprę w końcu wroga, bo zdobywam teren. Zdobyłam w tych latach dużo terenu.

Malina: I to cię rozwesela?

Ja: (eon sordina) Słucham?

Malina: Jaki to miły zwyczaj zawsze wykręcać się pytaniem!

Musisz pozostać na miejscu. Musi to być twoje miejsce. Nie powinnaś podążać naprzód ani się cofać. Potem, w tym miejscu, jedynym, które ci przysługuje, zwyciężysz.

Ja: (eon brio) Zwycięzę! Kto tu jeszcze mówi o zwyciężaniu, skoro utraciło się znak, pod którym można by zwyciężyć.

Malina: Mimo to: zwyciężysz. Uda ci się to bez żadnego podstępu i bez przemocy. Nie zwyciężysz jednak ze swoim „ja”, lecz...

Ja: (allegro) Lecz... widzisz?

Malina: Nie dokonasz tego ze swoim „ja”.

Ja: (forte) W czym moje „ja” jest gorsze od innych?

Malina: W niczym. We wszystkim. Bo ty możesz tylko podejmować rzeczy daremne. Jest to niewybaczalne.

Ja: (piano) Nawet jeśli to jest niewybaczalne, chcę zawsze rozpraszać się, gubić, zatracać.

Malina: To, czego chcesz, już się nie liczy. Na właściwym miejscu nie masz już czego chcieć. Będiesz tam
297

tak bardzo sobą, że wyrzekniesz się swojego „ja”.

Będzie to pierwsze miejsce, w którym świat zostanie przez kogoś uzdrowiony.

Ja: Muszę to zacząć?

Malina: Zaczynałaś wszystko, więc musisz zacząć i to. I zaprzestaniesz wszystkiego.

Ja: (pensieroso) Ja?

Malina: Wciąż jeszcze lubisz wymawiać to „ja”? Jeszcze je rozważasz? Zważ je!

Ja: (tempo giusto) Ale dopiero zaczynam je kochać.

Malina: Jak bardzo twoim zdaniem możesz je kochać?

Ja: (appassionato e eon molto sentimento) Bardzo. Za bardzo. Będę je kochać jak bliźniego swego, jak siebie!

Idę dzisiaj Ungargasse i myślę o przewodniczce, ma się zwolnić mieszkanie w Heiligenstadt, ktoś wyprowadza się stamtąd, przyjaciele przyjaciół, mieszkanie co prawda nie jest zbyt obszerne, jak mam to podsunąć Malinie, któremu chciałam już raz zasugerować większe mieszkanie, ze względu na mnóstwo jego książek. On jednak nigdy nie wyprowadzi się z III dzielnicy. Jedna jedyna łza, tylko w kącie oka, zbiera się, ale nie stacza, krystalizuje się w zimnym powietrzu, robi się coraz większa i większa, druga olbrzymia kula, która nie chciałaby krążyć razem ze światem, lecz odrywa się od świata i spada w nieskończoną przestrzeń.

Ivan nie jest już Ivanem, patrzę na niego jak klinicysta, który studiuje zdjęcie rentgenowskie, widzę jego szkielet,

plamy w płucach od palenia, jego samego już nie widzę. Kto
298

mi przywróci Ivana? Dlaczego on pozwala mi się nagle tak oglądać? Chciałabym paść na stolik, podczas gdy on żąda rachunku, albo spaść pod stolik i ściągnąć obrus, ze wszystkimi talerzami i szklankami i całym nakryciem, także z solą, choć taka jestem przesadna. Nie rób tego ze mną, powiem, nie rób tego ze mną, bo umrę.

Wczoraj byłam na tańcach, w barze „Eden”.

Ivan słucha mnie, ale czy słucha naprawdę? powinien przecież usłyszeć, że mówię, iż byłam na tańcach, chciałam coś zniszczyć, bo na koniec tańczyłam już tylko z obrzydliwym młodym człowiekiem, patrzyłam na niego, jak nigdy nie patrzyłam na Ivana, a on tańczył coraz bardziej dziko i niedwuznacznie, klaskał w dłonie albo strzelał palcami. Mówię do Ivana: Jestem okropnie zmęczona, za długo byłam na nogach, naprawdę ledwo żyję.

Ale czy Ivan mnie słucha?

Ivan pyta mimochodem, ponieważ nie widzieliśmy się już dawno, czy nie chciałabym pójść z nimi do Burgkino, grają „Micky Mouse” Walta Disneya. Niestety nie mam czasu, bo nie chciałabym już teraz widzieć dzieci, przede wszystkim dzieci, Ivana zawsze, ale nie dzieci, które mi zabierze. Nie mogę już widzieć Beli i Andrasa. Beze mnie wyrosną im zęby mądrości. Nie będzie mnie już przy tym, jak będą im je wrywać.

Malina szepce we mnie: zabij ich, zabij ich.

Ale coś innego szepce we mnie głośnie: Ivana i dzieci nigdy, oni należą do siebie, nie mogę ich zabić. Jeśli nadejdzie to, co nadejdzie, to Ivan, kiedy dotknie kogoś innego, nie będzie już Ivanem. Ja przynajmniej nikogo nie dotknęłam.

Mówię: Ivan.

Ivan mówi: Proszę o rachunek!

299

To musi być pomyłka, to przecież jest Ivan, tylko stale patrzę gdzieś obok, na obrus, na solniczkę, wpatruję się w widelec, mogłabym wykluć sobie oczy, ponad jego ramieniem spoglądam w okno i odpowiadam mu niedbale.

Ivan mówi: Masz trupio bladą twarz, jesteś niezdrowa?

Tylko trochę niewyspana, powinnam zrobić sobie urlop, moi przyjaciele jadą do Kitzbiihel, Aleksander i Martin wybierają się na St. Anton, inaczej po prostu nigdy nie odpocznę, zimy robią się coraz dłuższe, kto zdoła je przetrzymać!

Ivan myśli więc naprawdę, że to o zimę chodzi, bo doradza mi bardzo, żebym niedługo wyjechała. Nie patrzę już na niego wprost, widzę coś innego, obok niego jest jakiś cień, Ivan śmieje się i rozmawia z cieniem, jest dużo weselszy, bardziej swawolny, taki strasznie swobodny ze mną nigdy nie był, a ja mówię, że Martin albo Fritz na pewno,

ale mam jeszcze masę roboty, nie, nie wiem. Stelefonujemy się przecież.

Czy Ivan też myśli, że dawniej tak nie było, czy tylko mnie wydaje się, że dawniej było inaczej niż dzisiaj. Czai mi się w gardle szaleńczy śmiech, ale ponieważ obawiam się, że potem nie mogłabym już przestać się śmiać, nie mówię nic i robię się coraz bardziej ponura. Po kawie milknę zupełnie, palę.

Ivan mówi: Jesteś dzisiaj nudna.

Ja pytam: Tak? tak? czy zawsze taka byłam?

Przed bramą domu nie ruszam się z samochodu i proponuję, żebyśmy jednak co jakiś czas dzwoniли do siebie.

Ivan nie sprzeciwia się, nie mówi, jesteś szalona, co ty wygadujesz, co to znaczy: co jakiś czas. Uważa już za naturalne, że będziemy do siebie dzwoniли co jakiś czas. Jeśli zaraz nie wysiadę, ale już wysiadam, on się zgodzi, ale ja zatrząskuję drzwiami i wołam: W tych dniach mam wyjątkowo dużo roboty.

300

Nie sypiam już w ogóle, chyba że późnym rankiem. Kto by chciał spać w nocnym lesie pełnym pytań? Czuwam całą noc i myślę, założywszy ręce pod głowę, jaka byłam szczęśliwa, szczęśliwa, a przyrzekłam sobie przecież, że nigdy już nie będę się skarżyć, nikogo oskarżać, jeśli choć raz wolno mi będzie być szczęśliwą. Ale teraz chcę przedłużyć to szczęście, chcę tego jak każdy, kogo spotkało, to umykające szczęście, które za krótko trwało. Nie jestem już szczęśliwa. Jest to piękny poranek ducha, który nigdy nie nadejdzie...

Tylko nie był to wcale mój poranek, było to piękne „dzisiaj” mojego ducha, mojego oczekiwania między szóstą a siódmą po biurze, mojego oczekiwania do północy przy telefonie, i to „dzisiaj” nie może minąć. To nie może być prawda.

Malina zagląda do mnie. Jeszcze nie śpisz?

Przypadkiem jeszcze nie śpię, muszę zastanowić się nad czymś, to jest okropne.

Malina mówi: Tak, a dlaczego to jest okropne?

Ja: (eon fuoco) To jest okropne, to jest okropność, której nie sposób zawrzeć w jednym słowie, to jest zbyt okropne.

Malina: Czy to jest wszystko, co nie daje ci zasnąć? (Zabij go! Zabij go!)

Ja: (sotto voce) Tak, to wszystko.

Malina: I co ty zrobisz?

Ja: (forte, forte, fortissimo) Nic.

301

Wczesnym rankiem skuliłam się na bujaku, wlepiam wzrok w ścianę, która jest pęknięta, musi to być stare pęknięcie, które teraz rozszerza się lekko, ponieważ wpatruję się w nie bez przerwy. Jest tak późno, że mogłabym już przy sposobności zadzwonić, podnoszę słuchawkę i chcę powiedzieć, śpisz już? ale jeszcze w porę przychodzi mi na myśl,

że powinna bym spytać, już się obudziłeś? Ale dzisiaj jest mi za trudno powiedzieć dzień dobry i cicho odkładam słuchawkę, całą twarz mam tak wyraźnie w tym zapachu, że wydaje mi się, iż jestem teraz wtulona w pachę Ivana, w ten zapach, który dla mnie nazywa się zapachem cynamonu i który mnie ani nie usypiał, ani nie budził, ponieważ był jedynym zapachem niezbędnym do oddychania. Ściana nie ustępuje, nie chce ustąpić, ale zmuszę ją, żeby się otworzyła w miejscu, gdzie jest to pęknięcie. Jeśli Ivan zaraz do mnie zadzwoni, jeśli już nigdy więcej nie zadzwoni, jeśli zadzwoni dopiero w poniedziałek, to co wtedy zrobię? Żadna formuła nie poruszyła słońca i innych gwiazd, ja sama, póki Ivan był bliżej, umiałam je poruszyć, nie tylko dla siebie, nie tylko dla niego, także dla innych, i muszę opowiadać, będę opowiadać, niedługo nic już nie będzie mi przeszkadzać we wspomnianiu. Tylko historia Ivana ze mną, której nie ma, nigdy nie będzie opowiedziana, toteż nie będzie miłości w 99 ujęciach i żadnych sensacyjnych wynurzeń z austriacko-węgierskich sypialni.

Nie rozumiem Maliny, który teraz w spokoju ducha je śniadanie, przed wyjściem z domu. Nigdy się nie zrozumiemy, jesteśmy jak dzień i noc, on jest nieludzki ze swoimi podszeptami, swoim milczeniem i spokojnym wypytywaniem. Bo jeśli Ivan ma nie należeć do mnie, jak ja należę do niego, to będzie pewnego dnia istniał w zwyczajnym życiu, 302

sam przez to stanie się zwyczajny, nie będzie już wielbiony, ale może Ivan pragnie właśnie takiego zwykłego życia, a ja moimi niemymi spojrzeniami, jawną nieumiejętnością grania, wyznaniem ze strzępów słów zatrulałam kawałek życia.

Ivan mówi, śmiejąc się, ale tylko raz: Nie mogę tam oddychać, gdzie ty mnie stawiasz, proszę cię, nie tak wysoko, nie wnoś już nikogo w to rozrzedzone powietrze, radzę ci, naucz się tego jeszcze na później! Ja nie powiedziałam: dla kogo bym miała po tobie? ale ty nie myślisz chyba, że mogłabym po tobie? lepiej nauczę się jeszcze wszystkiego dla ciebie. Dla nikogo więcej.

Oboje z Maliną jesteśmy zaproszeni do Gebauerów, ale nie rozmawiamy już z innymi, którzy stoją w salonie, piją i toczą zażarte spory, lecz znajdujemy się nagle sami w pokoju z fortepianem Bechsteina, na którym ćwiczy Barbara, kiedy nas tu nie ma. Przypomina mi się, co Malina grał mi po raz pierwszy, zanim zaczęliśmy ze sobą naprawdę rozmawiać, i chciałabym go prosić, żeby jeszcze raz to dla mnie zrobił. Ale potem sama podchodzę do fortepianu i zaczynam niezręcznie dobierać tony, na stojąco.

Malina nie rusza się, przynajmniej udaje, jak gdyby oglądał obrazy, portret Kokoschki, który przedstawia podobno babkę Barbary, parę rysunków Swobody, dwie małe rzeźby

Wantschury, które dawno zna.

303

Malina odwraca się jednak, podchodzi do mnie, odsuwa mnie i siada na taborecie. Staję znów za jego plecami, jak wtedy. Gra rzeczywiście i pół mówi, pół śpiewa, tylko dla mnie słyszalnie:

Tempo

Smu-tekpo - rzu-cam dziś wszelki i pę - dzę do ma - rzeń

Tempo

moJto rit

blogie dale... To pach - nie daw - ny baś - ni czas.

Pożegnaliśmy się szybko i idziemy pieszo do domu, po ciemku przechodzimy nawet przez Park Miejski, w którym krążą mroczne czarne olbrzymie motyle i akordy są wyraźniej słyszalne przy chorym księżycu, znów jest wino w parku, które pije się oczami, znów jest lilia wodna, która służy za łódkę, znów jest tęsknota za domem i parodia, nikczemność i serenada przed powrotem do domu.

Po długiej gorącej kąpieli wczesnym rankiem spostrzegam, że moje szafy są puste, także w komodzie znajdują tylko parę rajstop i biustonosz. Na wieszaku wisi samotnie

304

sukienka, jest to sukienka, którą Malina podarował mi ostatnio i której nigdy nie noszę, czarna, z poprzecznymi pasami u góry. W komodzie leży, w plastikowej torbie, jeszcze druga czarna sukienka, czarna u góry, z kolorowymi podłużnymi pasami u dołu, jest to stara sukienka, w której Ivan zobaczył mnie po raz pierwszy. Nie włożyłam jej nigdy więcej i przechowywałam jak relikwię. Cóż to się stało w mieszkaniu? Co Lina zrobiła ze wszystkimi moimi sukienkami i moją bielizną? Nie można było przecież oddać tylu rzeczy do prania lub czyszczenia. Chodzę zamyślona z sukienką w ręce i jest mi zimno. Zanim Malina wyjdzie z domu, mówię: Proszę cię, zajrzyj do mnie na chwilę, stało się coś niewiarygodnego.

Malina wchodzi, z filiżanką herbaty w dłoni, musi się pośpieszyć, pije herbatę małymi łykami i pyta: Co takiego? Przy nim wkładam sukienkę przez głowę i oddycham za szybko, zatyka mnie, prawie nie mogę już mówić. To ta sukienka, to przez tę sukienkę, nagle wiem, dlaczego nigdy nie mogłam jej włożyć. Nie widzisz, jest mi za gorąco w tej sukience, wełna musi być za ciepła, ale nie mam już żadnej innej sukienki! Malina mówi: Uważam, że ci do twarzy, ładnie w niej wyglądasz, jeśli naprawdę chcesz usłyszeć moje zdanie, to jest ci w niej wyjątkowo dobrze.

Malina dopił herbatę, słyszę, że kręci się jeszcze, robi parę zwykłych kroków, zabierając parasol, klucz, parę książek i papiery. Wracam do łazienki i patrzę w lustro, sukienka szeleści i naciera mi skórę aż po przeguby, to okropne, to zbyt okropne, jakaś piekielna nić musi być wpleciona w tę sukienkę. Jest to moja suknia Dejaniry, nie wiem, co

wstąpiło w tę sukienkę. Nigdy nie chciałam jej włożyć, musiałam wiedzieć dlaczego.

I jak długo już żyję, z głuchym telefonem? Nie zdoła mnie tu pocieszyć żadna nowa suknia. Kiedy aparat dzwo-

305
ni przeraźliwie, przywołuje, wstaję jeszcze nieraz z niedorzeczną nadzieją, ale potem mówię: Halo? zmienionym, niższym głosem, ponieważ na drugim końcu zawsze jest ktoś, z kim właśnie nie chcę lub nie mogę mówić. Potem kładę się i chciałabym umrzeć. Ale telefon dziś dzwoni, sukienka ociera mi skórę, przygnębiona idę do telefonu, nie zmieniam głosu, ale jak dobrze, że go nie zmieniałam, bo telefon żyje. To Ivan. Nie mogło przecież stać się inaczej, w końcu to musiał być Ivan. Już po jednym zdaniu Ivan dźwignął mnie na nowo, podniósł, ukoił moją skórę, zgadzam się z wdzięcznością, mówię: tak. Tak, tak, powiedziałam.

Na ten wieczór muszę pozbyć się Maliny, wmawiam mu coś, ostatecznie ma zobowiązania, nie może stale odmawiać, obiecał Kurtowi, że przyjdzie jednego z najbliższych wieczorów, Kurt byłby dzisiaj szczególnie rad, chciałby pokazać mu swoje nowe rysunki, Wantschurowie też przyjdą do Kurta, już choćby dlatego musi koniecznie tam pójść, bo kiedy Wantschura pije, to nie będzie takie proste i bez niego, Maliny, zostaną wywleczone stare kłótnie. Obiecuję za to Malinie pójść z nim jednego z najbliższych wieczorów do Jordanów, bo nie możemy dłużej odmawiać, u Leo Jordana musimy być dwa razy w roku. Malina nie robi trudności, pojmuje od razu, że dzisiejszy wieczór musi spędzić u Swobody. Ja przecież zawsze mam rację. Gdybym o tym nie pomyślała, Malina po prostu by zapomniał. Jest bardzo rad, że mnie ma, wychodząc z domu, nie omieszka rzucić mi wdzięcznego spojrzenia, a ja mówię najczulej: Wybacz mi tę sprawę z sukienką, mam dzisiaj na nią wielką ochotę, muszę być w odpowiednim nastroju! Że też ty zawsze tak

306
trafisz, skąd znasz wymiary? dziękuję ci stokrotnie za tę sukienkę!

Do ósmej czytam książkę. Bo kolacja jest gotowa, ja już umalowałam się i uczesałam. „Rzeczą daremną jest udawać obojętność wobec takich badań, których przedmiot nie może być naturze ludzkiej obojętny”.

Potem utknęłam na zdecydowanym zwalczaniu idei przyrodzonych. Medytuję też, ponieważ nie mam już wszystkich książek, czy sens moralny wywodzi się od Hutchesona, czy od Shaftesbury'ego, ale nie mam dzisiaj zmysłu orientacji, za to summa cum laude, choć zawsze wyglądam, jakbym przepadła na egzaminie. Palatalność wymowy. Pamiętam jeszcze słowa, które rdzewieją, od wielu lat, na moim języku, i bardzo dobrze znam słowa, które codziennie rozply-

wają mi się na języku albo których nie mogę przełknąć, nie mogę wykrztusić. Właściwie chodziło nie tyle o rzeczy, które z czasem było mi coraz trudniej kupować i oglądać, ile o ich nazwy, słowa, których nie mogłam słuchać. Dwadzieścia deka cielęciny. Jak to wypowiedzieć? A przy tym wcale mi specjalnie nie zależy na cielętach. Ale także: winogrona, pół kilo. Świeże mleko. Pasek skórzany. Wszystko ze skóry. Moneta, choćby jeden szyling, nie porusza dla mnie problemu obrotu pieniężnego, dewaluacji czy pokrycia w złocie, lecz nagle mam w ustach szylinga, jest lekki, zimny, okrągły, przeszkadza mi, mam ochotę go wypluć.

Ivan wciąż jeszcze leży na łóżku, z takim wyrazem twarzy, jakiego nigdy jeszcze nie widziałam. Myśli intensywnie, jakby się nie śpieszył, nagle ma czas, żeby sobie tu leżeć

307
spokojnie, pochylam się nad nim, z rękami skrzyżowanymi na piersi, ale potem kulę się, żeby Ivan mógł powiedzieć:

Muszę dzisiaj z tobą koniecznie porozmawiać.

Potem znów milczy. Zasłaniam twarz rękami, żebym mu nie przeszkadzała, ponieważ musi ze mną porozmawiać.

Ivan zaczyna: Muszę z tobą porozmawiać. Pamiętasz? powiedziałem ci kiedyś, że pewnych rzeczy ci nie powiem.

Gdyby jednak... co byś zrobiła, gdybym ja... ?

Gdybyś ty? - pytam. Prawie tego nie słysząc.

Gdybyś ty co? - powtarzam.

Ivan mówi: Sądzę, że muszę ci to teraz powiedzieć.

Nie pytam: Co musisz mi powiedzieć? Bo mógłby mówić dalej. Ale gdybym dłużej milczała, też mógłby zapytać: Co byś zrobiła, gdybym...

Ponieważ milczenie nie może trwać zbyt długo, potrząsam głową i kładę się przy nim, gładzę go delikatnie po twarzy, bez przerwy, żeby przestał intensywnie myśleć i żeby nie znalazł słów na dokończenie.

Czy to znaczy, że ty... co ty wiesz?

Znów potrząsam głową, to nic nie znaczy, ja nic nie wiem, a gdybym wiedziała albo gdyby mi on to powiedział, nie byłoby na to odpowiedzi, tutaj i teraz, w ogóle na tym świecie. Póki żyję, nie ma na to odpowiedzi. Kiedyś musi skończyć się ten bezruch, muszę poszukać papierosa dla niego i drugiego dla siebie, muszę zapalić oba, i oboje możemy zaciągnąć się jeszcze raz, bo Ivan musi w końcu iść. Nie mogę patrzeć, jak on unika mnie wzrokiem, patrzę na ścianę i szukam czegoś na ścianie. Ubieranie nie powinno trwać tak długo, mogłoby się zdarzyć, że się tego nie przeżyje, i gdy Ivan, być może nadal myśląc intensywnie, nie wie, jak ma odejść, z jakim słowem, gaszę prędko lampę, on trafi do wyjścia, ponieważ w korytarzu pali się światło. Słyszę, jak za Ivanem zatrząskują się drzwi.

308

Przeraża mnie całkiem zwyczajny szmer, Malina otwie-

ra kluczem drzwi wejściowe. Przystaje na chwilę pod drzwiami mojej sypialni, a ponieważ chciałabym powiedzieć coś miłego, chciałabym też wiedzieć, czy nie straciłam głosu, czy mam jeszcze mój głos, mówię: Właśnie położyłam się spać, prawie już zasnęłam, ty na pewno też jesteś bardzo zmęczony, idź spać. Ale po pewnym czasie Malina wraca ze swojego pokoju i w ciemności podchodzi do mnie. Zapala światło, a mnie znów ogarnia przerażenie, bierze małą blaszaną puszkę z tabletkami nasennymi i przelicza je. To są moje tabletki nasenne, złość mnie bierze, ale nic nie mówię, w ogóle dzisiaj nic już nie mówię.

Malina mówi: Wzięłaś już trzy, sądzę, że to wystarczy. Zaczynamy się spierać, czuję, że się pokłócimy. Teraz pokłócimy się nieuchronnie.

Mówię: Nie, dopiero półtorej, przecież widzisz, że jedna jest przepołowiona.

Malina mówi: Liczyłem je dzisiaj rano, brakuje trzech.

Mówię: Wzięłam najwyżej dwie i pół, a półówka wcale się nie liczy.

Malina zabiera tabletki, chowa do kieszeni marynarki i wychodzi z pokoju.

Dobranoc.

Wyskakuję z łóżka, oniemiała, bezradna, on trzasnął drzwiami, nie mogę znieść trzaskania drzwiami i tego przeliczania, nie prosiłam go dzisiaj rano, żeby sprawdził, mogło się co prawda zdarzyć, że właśnie dzisiaj prosiłam go, żeby je przeliczył w tych dniach, ponieważ ja już nic nie mogę zapamiętać. Ale jak Malina śmie teraz wyliczać mi te tabletki, nie wie przecież, co się stało, i nagle krzyczę, otwierając drzwi: Ale ty przecież nic nie wiesz!

On otwiera swoje drzwi i pyta: Powiedziałaś coś?

309

Proszę Malinę: Daj mi jeszcze jedną, naprawdę jest mi potrzebna.

Malina mówi stanowczo: Nie dostaniesz już żadnej.

Idziemy spać.

Od kiedy Malina tak mnie traktuje? Czego on chce?

Żeby piła wodę i chodziła tam i z powrotem, parzyła herbatę i chodziła tam i z powrotem, piła whisky i chodziła tam i z powrotem, ale w całym mieszkaniu nie znajdzie się butelki whisky. Pewnego dnia zażąda jeszcze ode mnie, żebym nie telefonowała i nie widywała się więcej z Ivanem, ale nigdy tego nie osiągnie. Znów kładę się, znów wstaję i zastanawiam się. Po cichu idę do pokoju Maliny, szukam w ciemności jego marynarki, sięgam do wszystkich kieszeni, ale nie znajduję tabletek, obmacuję każdy przedmiot w jego pokoju, a potem wreszcie wpadają mi w ręce, na stosie książek, z blaszanej puszki odsypuję na dłoń dwie sztuki, jedną na teraz i jedną na później w nocy, z ostrożności, udaje mi się też zamknąć drzwi tak cicho, że on w żaden sposób nie

może mnie usłyszeć. Obie tabletki leżą obok mnie na nocnym stoliku, pali się światło, nie biorę ich, bo to dawka o wiele za mała, ale wdarłam się do Maliny i oszukałam go, on dowie się o tym niedługo. Zrobiłam to jednak tylko po to, żeby się uspokoić, z żadnej innej przyczyny. Niedługo wszystko będziemy wiedzieli. Bo to nie może już długo trwać. Nadejdzie dzień. Nadejdzie dzień, gdy będzie już tylko suchy, pogodny, dobry głos Maliny, ale już ani jednego pięknego słowa, wypowiedzianego przeze mnie w wielkim wzburzeniu. Malina niepotrzebnie się tak martwi. Już ze względu na Ivana, żeby na Ivana nic nie padło, żeby Ivana nic nie dotknęło, ani cień winy, bo Ivan nie ponosi żadnej winy, nie zażyłabym czterdziestu tabletek, ale jak powiem

310

Malinie, że chcę tylko zachować spokój, że nic sobie nie zrobię, aby nic nie zrobić Ivanowi. Muszę tylko uspokoić się, bo nie jest powiedziane, że Ivan przypadkiem nie zadzwoni.

Ekscelencjo, generalissimusie, Malino Esq., jeszcze raz muszę cię o coś zapytać. Czy jest jakiś testament?

Po co ci testament? O co ci chodzi?

Chciałabym zachować tajemnicę pocztową. Ale chciałabym też pozostawić coś po sobie. Czy ty umyślnie mnie nie rozumiesz?

Ponieważ Malina śpi, zaczynam pisać. Panna Jellinek dawno wyszła za mąż, nie ma już kto pisać za mnie listów, porządkować i wpinać.

Wielce Szanowny Panie Richter,

zechciał mi Pan kiedyś najuprzejmiej okazać pomoc w paru, całkiem dla mnie błahych, kwestiach prawnych.

Myślę tu przede wszystkim o sprawie B. Naturalnie nie ma ona dla mnie znaczenia. Ale ponieważ jest Pan prawnikiem, do którego już wówczas mogłam zwrócić się z pełnym zaufaniem, a Pan, nie wystawiając rachunków, tak wielkodusznie mi pomógł, ja zaś dzisiaj, tu w Wiedniu, nikogo nie mogę zapytać, chciałabym zapytać Pana, jak się sporządza testament. Mam parę spraw do uporządkowania, ciągle przecież żyłam w wielkim nieporządku, ale chyba nadchodzi czas, w którym i ja muszę doprowadzić się do porządku. Sądzi

311

Pan, że wystarczy spisać ostatnią wolę odręcznie czy też powinienam spotkać się z Panem, czy...

Drogi Panie Doktorze Richter,

piszę do Pana w panicznym strachu i szalonym pośpiechu, bo... piszę do Pana w panicznym strachu, chciałabym jeszcze uporządkować parę spraw, o niewielkim zakresie, dotyczą one tylko moich papierów, nielicznych przedmiotów, do których jednak jestem bardzo przywiązana, i nie chciałabym, żeby one, te przedmioty, dostały się w obce ręce. Ja niestety nie umiem sobie poradzić, mogę jednak

Panu powiedzieć, że wszystko sobie bardzo dokładnie obmyślałam. Ponieważ nie mam żadnych krewnych, życzę sobie (czy to już jest prawomocne?), by sześcian z niebieskiego szkła, a zwłaszcza mała filiżanka do kawy z zielonym szlaczkiem i stary chiński talizman, który przedstawia po prostu niebo, ziemię i księżyc, przypadły komuś na zawsze. Potem podam jego nazwisko. Papiery natomiast, a na tyle zna Pan zapewne moje nieznośne położenie... Od kilku dni nic nie jadłam, nie mogę już jeść ani spać, nie chodzi też o pieniądze, gdyż nie mam ich wcale, jestem w Wiedniu całkowicie izolowana, oddzielona od reszty świata, w którym zarabia się pieniądze i jada, a ponieważ moje położenie jest Panu być może...

Wielce Szanowny i Drogi Panie Doktorze Richter, nikt nie będzie wiedział lepiej od Pana, że jestem zmuszona, przez różne okoliczności, do sporządzenia testamentu. Testamenty, cmentarze, ostatnie wole w każdym wypadku, od dawien dawna, przejmowały mnie największą zgrozą,

312
nikt chyba nie potrzebuje testamentów. Mimo to zwracam się dzisiaj do Pana, ponieważ Pan, jako prawnik, zdoła może zrozumieć moje niewyjaśnione, a kto wie, czy w ogóle dające się wyjaśnić, położenie i doprowadzić do porządku, którego ogromnie pragnę. Wszystkie moje osobiste, moje najbardziej prywatne rzeczy należy przekazać osobie, której nazwisko załączam na osobnej kartce. Staje przede mną inny problem, dotyczący papierów. Nie są to niezapisane papiery, to papiery bez wartości, papierów wartościowych nigdy nie posiadałam. Mimo to jest sprawą bardzo dla mnie ważną, żeby moje papiery zostały przekazane tylko panu Malinie, którego Pan, o ile wiem, widział kiedyś w czasie jakże krótkiego pobytu w Wiedniu. Ale nie przypominam sobie zbyt dokładnie, mogę się mylić, w każdym razie, na wszelki wypadek, wymieniam Panu to nazwisko...

Drogi Panie Doktorze Richter, piszę dzisiaj do Pana w panicznym strachu i szalonym pośpiechu, nie potrafię zupełnie powziąć choćby jednej jasnej myśli, ale czy ktoś powziął kiedykolwiek jasną myśl? Moja sytuacja stała się całkowicie nie do zniesienia, może zresztą zawsze taka była. Na koniec jednak chciałabym jeszcze zaznaczyć: Nie był to pan Malina, nie był to też Ivan, imię, które nic Panu nie mówi. Wyjaśnię Panu później, jak dalece był on związany z moim życiem. Co się stanie z moimi najbardziej osobistymi przedmiotami, nie ma już dzisiaj dla mnie żadnego znaczenia.

313

Wielce Szanowny i Drogi Panie Richter, może zbyt wiele od Pana wymagam, ale piszę do Pana w panicznym strachu i szalonym pośpiechu. Czy Pan, prawnik o tak wielkiej fachowej wiedzy, mógłby mi wyjaśnić, jak

się sporządza ważny testament? Ja tego niestety nie wiem, ale jestem z różnych powodów zmuszona...

Proszę, niech mi Pan odpowie natychmiast, jeśli to możliwe, natychmiast po otrzymaniu mojego listu!

Wiedeń, dnia...

Nieznajoma

Malina ma wolny dzień, wolałabym ten dzień spędzić sama, ale w żaden sposób nie można Maliny wyprawić z domu, chociaż jest między nami coś wrogiego. Zaczyna się od tego, że jest rozdrażniony i głodny, jemy wcześniej niż zwykle, zapalam świecznik, który zwykle pali się tylko dla Ivana. Stół wydaje mi się odpowiednio nakryty, ale jest tylko wędlna, zapomniałam niestety o chlebie. Malina wprawdzie nic nie mówi, ale wiem, co myśli.

Ja: Od kiedy mamy tę rysę na ścianie?

Malina: Nie przypominam sobie, chyba już od dawna.

Ja: Od kiedy mamy ciemne cienie nad kaloryferem?

Malina: Musimy coś mieć na ścianie, skoro nie wieszamy żadnych obrazów.

Ja: Ja potrzebuję białych ścian, nietkniętych ścian, w przeciwnym razie wydaje mi się, jakbym mieszkała w ostatnim pokoju Goi. Pomyśl o głowie psa pośród głębin, o wszystkich tych ponurych wyczynach na ścianie, z jego ostatniego okresu. Nie po-
314

winieneś był nigdy pokazywać mi tego pokoju w Madrycie.

Malina: Nigdy przecież nie byłem z tobą w Madrycie. Nie opowiadaj bajek.

Ja: To zupełnie obojętne, w każdym razie byłam tam, monseigneur, za twoim pozwoleniem czy bez.

Widzę pajęczyny w górze na ścianach, patrz, ile tam pajęczyn!

Malina: Nie masz co na siebie włożyć, dlaczego chodzisz w moim starym szlafroku?

Ja: Bo właśnie nie mam już co na siebie włożyć. Czy nie zapamiętałaś takiego zdania: siamo contenti, sono un uomo, ho fatto questa caricatura.

Malina: Zdaje się, że tam jest: sono dio. Bogowie umierają wieloma, wieloma śmierciami.

Ja: Ludzie, nie bogowie.

Malina: Dlaczego wprowadzasz stale takie poprawki?

Ja: Mam do tego prawo, ponieważ stałam się karykaturą, duchem i ciałem. A więc jesteśmy zadowoleni?

Malina wychodzi z pokoju, do siebie, i wraca z pudełkiem zapalek. Świeca w świeczniku dopaliła się. Zapomniałam kupić nowe świece. Malina musi być zadowolony.

Mogłabym go jeszcze raz spytać, co się dzieje i jak to się dzieje, chociaż coraz wyraźniej wyczuwam napięcie i wrogość.

Ja: Już u ssaków naczelnych, a najpóźniej u człowieko-
watyh coś musiało się nie udać. Mężczyzna, ko-
bieta... osobliwe słowa, osobliwe urojenie! Kto
315

z nas dwojga zda summa cum laude? Ja, to była dla
mnie pomyłka. Czy to może jest przedmiot?

Malina: Nie.

Ja: Ale istnieje tutaj i teraz?

Malina: Tak.

Ja: Czy ma jakąś historię?

Malina: Już nie.

Ja: Możesz tego dotknąć?

Malina: Nigdy.

Ja: Ale musisz mnie zatrzymać!

Malina: Muszę? Więc jak miałbym cię traktować?

Ja: (eon fuoco) Nienawidzę cię.

Malina: Mówisz do mnie, powiedziałaś coś?

Ja: (forte) Panie von Malina, Jaśnie Wielmożny,
magnificencjo! (crescendo) Wasza Dostojność
i Wszechmocność, nienawidzę pana! (fortissimo)
Niech tam, zamień mnie, wymieńmy się. Wasza
Wysokość! (tutto ii clavicembalo) Nienawidzę cię!
(perdendo le forze, dolente) Proszę, zatrzymaj
mnie. Nigdy nie czułam do ciebie nienawiści.

Malina: Nie wierzę ani jednemu twojemu słowu, wierzę
tylko wszystkim słowom razem.

Ja: (dolente) Nie opuszczaj mnie! (cantabile assai) Ty
miałbyś mnie opuścić! (senza pedale) Chciałam
opowiedzieć, ale nie zrobię tego. (mesto) Ty jeden
przeszkadzasz mi we wspomnianiu, (tempo giusto)
Przejmij historie, z których zrobiona jest wielka
historia. Zabierz mi je wszystkie.

Sprzątnęłam ze stołu, ale trzeba jeszcze uprzątnąć coś
więcej. Nie przyjdą już żadne listy, telegramy i widokówki.
W dodatku Ivan w najbliższym czasie nie wyjeżdża
316

z Wiednia. Ale również później i jeszcze dużo, dużo później
- nic już nie przyjdzie. Szukam w mieszkaniu jakiegoś
specjalnego miejsca, jakiejś skrytki, bo chodzę tam i z po-
wrotem z małym zawiniątkiem w ręku. Powinna być taka
przegródka w sekreterze, która zatrzśnie się na dobre,
nikomu nie da się otworzyć. Albo mogłabym oderwać
dłutem klepkę z parkietu, ukryć tam listy, włożyć klepkę
z powrotem i opieczętować, póki jeszcze mam tu coś do
powiedzenia. Malina czyta książkę, prawdopodobnie:
„Rzeczą daremną jest udawać obojętność wobec takich
badań, których przedmiot nie może być naturze ludzkiej
obojętny”. Co jakiś czas gniewnie podnosi wzrok, jakby nie
wiedział, że kręcę się z paczuszką listów i szukam dla niej
kryjówki.

Klęczę na podłodze, ale to nie w stronę Mekki ani Jerozolimy biję pokłony. Przed niczym nie biję już pokłonów, muszę tylko wyciągnąć z sekretery najniższą szufladę, która zacina się i którą tak trudno otworzyć. Żeby Malina nie zorientował się, na które miejsce się zdecydowałam, nie wolno mi robić żadnego hałasu, ale oto rozwiązuje się pętla szpagatu, listy rozsypują się, niezręcznie związuję je na nowo, wciskam w szparę szuflady, zaraz jednak wyciągam z powrotem, ze strachu, że listy mogłyby już zniknąć. Zapomniałam napisać coś na pakowym papierze, na wypadek, gdyby ktoś jednak znalazł te listy, ktoś obcy, po licytacji, na którą zostanie wystawiona moja sekretera. W paru słowach trzeba by podkreślić ich ważność. Więc jeszcze tych parę słów: Są to jedyne listy... te listy są jedynymi listami... listami, które otrzymałam... Moje jedyne listy!

Nie znajduję zdania, które określiłoby wyjątkowość listów Ivana, muszę z niego zrezygnować, zanim zostanę
317

tutaj zaskoczona. Szuflada zacina się. Całym moim ciężarem, ale cicho, dociskam ją, zamykam i chowam klucz w starym, wiszącym na mnie szlafroku Maliny.

Siedzę w bawialni naprzeciwko Maliny, on zamyka książkę i spogląda na mnie pytająco.

Skończyłaś?

Kiwam głową, bo skończyłam.

Więc dlaczego tu siedzisz, zamiast zrobić nam wreszcie kawę?

Patrzę łagodnie na Malinę i myślę, że powinna bym powiedzieć mu coś strasznego, co rozdzieli nas na zawsze i uniemożliwi jakiegokolwiek dalsze słowa między nami. Ale wstaję i powoli wychodzę z pokoju, odwracam się w drzwiach i słyszę, że mówię nie coś strasznego, lecz coś innego, cantabile i dolcissimo:

Jak chcesz. Zaraz zaparzę kawę.

Stoję przy kuchence i czekam, aż woda się zagotuje, sypię kilka łyżeczek kawy na filtr i myślę, wciąż jeszcze myślę, osiągnęłam taki stopień przymusu myślenia, na którym myślenie już nie jest możliwe, chowam głowę w ramiona, robi mi się tak gorąco, ponieważ przysunęłam twarz za blisko płyty. Nous allons a l'Esprit! Mogę jednak zaparzyć jeszcze tę kawę. Chciałabym tylko wiedzieć, co Malina robi w pokoju, co o mnie myśli, bo i ja trochę o nim rozmyślałam, choć moje myślenie wykracza już daleko poza niego i poza mnie. Krzątam się, podgrzewam dzbanek do kawy i stawiam na tacy dwie małe filiżanki z augarteńskiej porce-
318

lany, stoją przede mną tak nieprzejrzanie, jak nieprzejrzane musiałyby być to, że stoję tutaj i jeszcze myślę.

Była sobie raz księżniczka, jej królestwo najechali raz Węgrzy z rozległego, sięgającego w niezbadaną dal kraju,

było to nad Dunajem i szeptała wiklina, był sobie raz bukiet złotogłowiu* i czarny płaszcz... Moje królestwo, mój kraj przy Ungargasse, który trzymałam moimi śmiertelnymi rękami, mój wspomniały kraj, teraz nie większy już od płyty mojej kuchenki, która zaczyna się żarzyć, podczas gdy reszta wody skapuje przez filtr... Muszę uważać, żeby nie upaść twarzą na płytę, nie okaleczyć się, nie oparzyć, bo Malina musiałby wezwać policję i pogotowie, musiałby przyznać się do nie dbalstwa, gdyż oto kobieta na pół mu się spaliła. Wyprostowuję się, z twarzą rozpaloną od rozżarzonej do czerwoności płyty, przy której nocą tak często zapalałam skrawki papieru, nie po to, żeby spalić coś, co napisałam, lecz żeby mieć ogień do ostatniego i ostatniego ze wszystkich papierosa. Ale przecież nie palę już, odzwyczaiłam się dzisiaj. Mogę jeszcze nastawić wyłącznik z powrotem na 0. Była sobie raz, ale nie spale się, trzymam się prosto, kawa jest gotowa, dzbanek przykryty. Jestem gotowa. Z jakiegoś okna w podwórzu słyhać muzykę, qu'il fait bon, fait bon. Ręce mi nie drżą, zanoszę tacę do pokoju, posłusznie nalewam kawę, jak zawsze, wsypuję dwie łyżeczki cukru do filiżanki Maliny i ani jednej do mojej. Siadam naprzeciwko Maliny, jest cicho jak w grobie, pijemy naszą kawę. Co się dzieje z Maliną? Nie dziękuje, nie uśmiecha się, nie przełamuje milczenia, nie proponuje nic na wieczór. Ma przecież wolny dzień i niczego ode mnie nie chce.

| * Nawiązanie do „Rozmowy w górach” Paula Celana.

319

Wpatruję się w Malinę nieprzerwanie, ale on nie podnosi wzroku. Wstaję i myślę, że jeśli on zaraz czegoś nie powie, jeśli mnie nie podtrzyma, to będzie to morderstwo, oddalam się, ponieważ nie mogę już tego powiedzieć. To już nie jest takie okropne, tylko nasze oddalanie się od siebie jest bardziej okropne niż wszelkie starcia. Żyłam w Iwanie i umieram w Malinie.

Malina wciąż jeszcze pije kawę. Słyhać wołanie „hola” z jakiegoś okna w podwórzu. Podeszłam do ściany, wchodzę w ścianę, wstrzymuję oddech, powinna bym jeszcze napisać na kartce: To nie był Malina. Ale ściana otwiera się, jestem w ścianie, a Malina zobaczy tylko rysę, którą już dawno widzieliśmy. Będzie myślał, że wyszłam z pokoju.

Dzwoni telefon, Malina podnosi słuchawkę, bawi się moimi okularami słonecznymi i rozbija je, bawi się potem sześcianem z niebieskiego szkła, który przecież należy do mnie. Nigdy nie podziękowałam nadawcy, ofiarodawca nieznanym. On jednak nie tylko się bawi, bo już odsuwa mój świecznik. Mówi: Halo! Przez chwilę Malina nic nie mówi, potem zimno i niecierpliwie: Pomyłka.

Rozbił moje okulary, rzuca je do kosza na śmieci, to są moje oczy, potem ciska sześcian z niebieskiego szkła, to jest drugi kamień ze snu, usuwa moją filiżankę do kawy, próbu-

je rozbić płytę gramofonową, płyta jednak nie ustępuje, wygina się i stawia wielki opór, potem jednak trzaska, on uprzęta stół, drze parę listów, wyrzuca mój testament, wszystko wpada do kosza. Rzuca blaszane pudełko z tabletkami nasennymi między strzępy papieru, szuka jeszcze
320

czegoś i rozgląda się dokoła, odsuwa świecznik jeszcze dalej, chowa go w końcu, jak gdyby dzieci mogły go kiedykolwiek dosięgnąć, a w ścianie jest coś, co nie może już krzyżeć, ale jednak krzyczy: Ivan!

Malina rozgląda się uważnie dokoła, widzi wszystko, ale już nie słyszy. Stoi tam już tylko jego mała filiżanka z zielonym szlaczkiem, ona jedna, dowód rzeczowy, że jest sam. Telefon znów dzwoni. Malina ociąga się, ale podchodzi. Wie, że to jest Ivan. Malina mówi: Halo? I znów przez chwilę nic nie mówi.

Słucham?

Nie?

Wobec tego źle się wyraziłem.

To musi być pomyłka.

Numer 72-31-44.

Tak, Ungargasse 6. Nie, nie ma.

Nie ma tu żadnej kobiety.

Mówię przecież, że nigdy nie było tu nikogo o tym nazwisku.

Nikogo więcej tu nie ma.

Mój numer to 72-31-44.

Moje nazwisko?

Malina.

Kroki, wciąż kroki Maliny, cichsze kroki, najcichsze kroki. Znieruchomienie. Żadnego alarmu, żadnych syren.

Nikt nie śpieszy z pomocą. Ani karetka pogotowia, ani po-
311

Keja. Jest to bardzo stara, bardzo mocna ściana, z której nikt nie zdoła wypaść, której nikt nie zdoła otworzyć, z której już nigdy nie wydobędzie się żaden dźwięk.

To było morderstwo.

Tablica chronologiczna

1926 Ingeborg Bachmann rodzi się 25 czerwca w Klagenfurcie.

1932-1936 Uczy się w szkole podstawowej.

1936-1938 Uczy się w gimnazjum realnym.

1938-1944 W szkole średniej dla dziewcząt prowadzonej przez urszulanki (Ursulinengasse 5).

1944-1945 Kurs maturalny w kolegium nauczycielskim, przerwany z zakończeniem wojny.

1945-1946 Studia filozoficzne w Innsbrucku.

1946 Semestr filozofii i prawa w Grazu, publikacja pierwszego opowiadania Die Fdhre.

1946-1950 Kontynuacja studiów filozoficznych w Wiedniu, dodatkowe kierunki - germanistyka i psychologia.

1948-1949 Publikacja pierwszych wierszy w wiedeńskim czasopiśmie „Lynkeus. Dichtung, Kunst, Kritik”.

1949 Praktyki w ośrodku dla nerwowo chorych w Steinhof pod Wiedniem.

1950 Obrona dysertacji doktorskiej Krytyczna recepcja filozofii egzystencjalnej Martina Heideggera (25 marca).

1950-1951 Podróże do Paryża i Londynu. Powrót do Wiednia i posada w sekretariacie amerykańskiej administracji okupacyjnej. Od jesieni pracuje jako script-writerka, a później redaktorka w rozgłośni Rot-Weiß-Rot w Wiedniu.

1952 Pierwsza emisja słuchowiska Etn Geschdft mit Trdumen {Sklepik z marzeniami} w rozgłośni Rot-Weiß-Rot.

Cykl wierszy Ausfahrt {Odjazd} pojawia się w roczniku „Stimmen der Gegenwart” w Wiedniu.

W maju zaproszona na 10. spotkanie grupy 47 w Niendorfie nad Morzem Bałtyckim.

We wrześniu pierwsza podróż do Włoch.

1953-1957 Od późnego lata mieszka jako niezależna pisarka we Włoszech, na Ischii, w Neapolu i Rzymie.

1953 Pojawia się zbiór Die gestundete Zeit {Czas odroczoney}.

1954 Objęta mecenatem Federalnego Związku Przemysłu Niemieckiego.

1955 Premierowa emisja słuchowiska Die Zikaden {Cykady} z muzyką Hansa Wernera Henzego w Radiu Północnoniemieckim w Hamburgu.

Zaproszenie na międzynarodowe seminarium Harvard Summer School of Arts and Sciences and of Education, Harvard University, Cambridge.

1956 Ukazuje się tom Anrufung des grojien Bdren (Wzywianie Wielkiej Niedźwiedzicy).

1957 Nagroda Literacka Wolnego Hanzeatyckiego Miasta Bremy.

324

Stypendium Rudolfa-Alexandra Schrödera za Wzywianie Wielkiej Niedźwiedzicy (razem z Gerdem Oelschlegalem).

Korespondencyjna członkini Niemieckiej Akademii Języka i Poezji w Darmstadt.

Hans Werner Henze komponuje muzykę do jej wierszy Im Gewitter der Rosen i Freies Geleit.

1957-1958 Kierownik literacki w Telewizji Bawarskiej w Monachium.

1958 Emisja słuchowiska Dergute Gott von Manhattan

{Dobry Pan Bóg z Manhattanu) - wspólna produkcja z Północnoniemieckim Radiem Hamburg.

1958-1962 Mieszka na zmianę w Rzymie i Zurychu.

1959 Otrzymuje Nagrodę Ociemniałych Inwalidów Wojennych.

1959-1960 Wykłady z poetyki na Uniwersytecie we Frankfurcie nad Menem.

1960 Wystawienie opery Der Prinz von Homburg {Książę Homburga) w Operze Hamburgskiej - libretto: Ingeborg Bachmann, muzyka: Hans Werner Henze.

1961 Tom opowiadań Das dreifigste Jahr {Rok trzydziesty). Bachmann dostaje za niego Nagrodę Literacką Związku Niemieckich Krytyków.

1963 Zaproszenie Fundacji Forda na roczny pobyt w Berlinie.

Przeprowadzka do Berlina.

325

1964 Podróże do Pragi, Egiptu i Sudanu.

Otrzymuje Nagrodę im. Georga Buchnera przyznawaną przez Niemiecką Akademię Języka i Poezji w Darmstadt.

1965 Prapremiera opery Der junge Lord {Młody lord) w Operze Niemieckiej w Berlinie - libretto: Ingeborg Bachmann, muzyka: Hans Werner Henze.

Przenosiny do Rzymu, gdzie odtąd mieszka.

1968 Przyznanie Wielkiej Austriackiej Nagrody Literackiej.

1971 Ukazuje się powieść Malina (pierwsza książka z cyklu Todesarten - Rodzaje śmierci).

1972 Ukazuje się tom opowiadań Simultan {Symultanka). Nagroda im. Antona Wildgansa przyznawana przez Zrzeszenie Przemysłowców Austriackich.

1973 Zaproszona do Warszawy przez Instytut Kultury Austriackiej. Podróż do obozu koncentracyjnego Auschwitz-Birkenau. Odczyty w Warszawie i na uniwersytetach w Krakowie, Wrocławiu, Toruniu i Poznaniu.

Ingeborg Bachmann umiera 26 września w wyniku poparzeń doznanych w rzymskim mieszkaniu. Pochowana na cmentarzu Annabichl w Klagenfurcie.

326

Spis treści

Rozdział pierwszy

Szczęśliwa z Ivanem 23

Rozdział drugi

Ten trzeci..... 165

Rozdział trzeci

O rzeczach ostatecznych 225

Tablica chronologiczna 323

Opracowanie graficzne, typografia

Ryszard Krynicki

Na okładce wykorzystano zdjęcie ze spuścizny Ingeborg Bachmann

© Photograph from Ingeborg Bachmann estate

Redakcja

Joanna Roszak

(oraz tłumaczenie Tablicy chronologicznej i noty biograficznej)

Przypisy pochodzą od polskiej redakcji i tłumacza

Adiustacja i korekta

Aleksandra Burba

Wydanie nowe, kwiecień 2011

ISBN 978-83-61298-28-1

Wydawnictwo a5

ul. Stawarza 16/3

30-540 Kraków

Dział sprzedaży:

tel./fax 22 632 83 74

e-mail: mtm-motyl@wp.pl

Skład i łamanie

Sławomir Onyszko

Druk

Zakład Graficzny Colonel

Kraków, ul. Dąbrowskiego 16

Pierwszym utworem Bachmann

udostępnionym polskiemu

czytelnikowi było opowiadanie

Wszystko, opublikowane w 1960 roku

w „Nowej Kulturze”. Później ukazały

się książki prozatorskie: Malina (przeł.

S. Błaut, 1975), Symultanka (przeł.

A.M. Linke, 1975), Rok trzydziesty

(przeł. K.Jachimczak, 1994),

Przypadek F. (przeł. K. Jachimczak,

1997) oraz dwa zbiory wierszy: Wybór

poezji (pod red. G. Prokopa) i Wyjaśnij

mi, miłości I Erklđr mir, Liebe (przeł.

S. Lisiecka, Z. Jaskuła, 2005).

W zeszłym roku nakładem

Wydawnictwa a5 ukazał się zbiór

korespondencji Czas serca (przeł.

M. Łukasiewicz, 2010) - niezwykle

świadcstwo wieloletniego związku

Bachmann z Pauliem Celanem.

Malina, pierwsza i jedyna ukończona powieść poetki Ingeborg Bachmann, to książka-błaganie, wyznanie namiętności, może najbardziej niezwykła historia trójkąta miłosnego: ponieważ dwoje protagonistów jest w rzeczywistości jedną osobą, „stanowią jedno”, a przecież zarazem każdy jest podwójny.

„Malina ma w ekscentrycznych fragmentach coś z protokołu”, napisał Joachim Kaiser w „Siiddeutsche Zeitung”, „ma coś z tekstu dokumentującego trudną duszę... Tę konfesyjną, często bogatą w wariacje literackie książkę, przeczytać można w sposób właściwy, tylko będąc świadomym zawrotnej przepaści, jaka oddzielają od współczesnej produkcji literackiej. Powieść miłosna, będąca absolutnym wyrzeczeniem się - także nawet najdrobniejszej choćby prowokacji erotycznej... Pisana językiem, który próbuje sprostać najpierwszym uczuciom. Ekscytująca, piękna, antymodna książka. Poetycka w gromadzeniu ludzkich możliwości”.

Jedna z najważniejszych powieści europejskich XX wieku - wydana 17 marca 1971 roku - po raz pierwszy ukazała się po polsku cztery lata później w przekładzie Sławomira Błauta. Po czterdziestu latach od niemieckojęzycznej premiery wznawia ją Wydawnictwo a5.